

eduardo mendoza

przygoda
fryzjera damskiego

przekład
marzena chrobak

wydawnictwo
znak
kraków
2003

Tytuł oryginalu
La aventura del tocador de señoras
Copyright © Eduardo Mendoza, 2001

Opracowanie graficzne
Witold Siemaszkiewicz

Adiustacja
Aneta Piech

Korekta
Joanna Stovrag
Barbara Gąsiorowska

Łamanie
Ryszard Baster

© Copyright for the translation by Marzena Chrobak

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Znak, Kraków 2003

ISBN 83-240-0308-8

Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Bezpłatna infolinia: 0800-130-082

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl

I

Kiedy jej nogi (bardzo zgrabne i tak dalej) weszły do mojego miejsca pracy, tkwiłem tam jak kretyń już od wielu lat. Jednak choć owa nagła wizyta dała początek przygodzie, którą zamierzam opowiedzieć, czytelnik z pewnością oceniłby, że brak danych niezbędnych do pełnego zrozumienia zawłości mojej opowieści, gdybym nie przeniósł ich (czytelnika i opowieści) o moment do tyłu, a nawet znacznie głębiej w przeszłość, i nie rozwinął wstępu, okraszając go większą liczbą szczegółów.

Mówiąc o momencie w przeszłości, mam na myśli ten, w którym oznajmiono mi, że nasz ukochany dyrektor, współczujący i litościwy doktor Sugrañes, wzywa mnie, bym stawił się bezzwłocznie w jego biurze. Udałem się tam raczej ze zdziwieniem niż trwogą, jako że w owym czasie doktor Sugrañes nie pokazywał się nikomu, a już najmniej mnie, którego nie zaszczycił ani słowem, ani gestem, ani spojrzeniem w ciągu ostatnich trzech albo czterech lat, to jest od czasu, gdy mój przypadek został uznany za zamknięty, a ściśle mówiąc, gdy została najpierw zawieruszona, a następnie bezpowrotnie zagubiona teczka zawierająca dokumentację na mój temat, w wyniku czego nad moją osobą fizyczną i prawną zapadła głucha cisza, w której ani mój głos, ani moje pisma, ani moje czyny nie zdołały uczynić najdrobniejszego wyłomu. Przyczyna mojego zamknięcia została zapomniana całe wieki temu, a ponieważ nie istniał żaden argument, który by ją zakwestionował (z wyjątkiem wysuwanych przeze mnie), a moja odległa przeszłość, wygląd zewnętrzny oraz garść epizodów z niedawnego życia (wewnątrz i na zewnątrz murów zakładu) nie budziły zaufania (wręcz przeciwnie), nic nie wskazywało na to, by moje dni w szacownym przybytku dobiegły kresu innego niż wysoce makabryczny.

- Proszę, niech pan wejdzie, drogi panie, i zechce spocząć. Czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty? - takimi słowy powitano moją sylwetkę pochyloną w drzwiach.

Doktor Sugrañes, którego Najwyższy nadzwyczaj hojnie obdarzył najróżniejszymi cnotami i talentami, znacznie przekroczył wiek emerytalny i zsuwał się slalomem z górki życia. Sklerotyczny, niedowidzący, przygłuchy, przytępy i ledwie powłóczący nogami, nie popuszczał ani mikrona władzy, nie tracił ani źdźbła dumy i tak kurczowo trzymał się stanowiska (dorzucając tym samym do swojej emerytury pensję podstawową, premie, trzynastki, dodatki za wysługę lat oraz inne bagatelki), że jego przełożeni, wiecznie pochłonięci sprawami wyższej wagi, wreszcie to zauważyli.

W rzeczy samej, upłynęło już ponad pięć lat od chwili, gdy niegdysiejsze władze, obecnie zwane instytucjami, raczyły się nami zainteresować. Jeśli pamięć mnie nie myli, pewnego upalnego, letniego poranka złożyli nam wizytę przedstawiciele prześwieconego i przeoświeconego Zarządu Miasta, przesławnego i dwakroć prze-jasnego Rządu Prowincji, przezasadniczych i przesumiennych Ministerstw Zdrowia Publicznego i Spraw Społecznych, przeświątobliwego i przeprzezornego Arcybiskupstwa, przebystrego i przeuprzejmego Sądu Okręgowego, przeuroczego i przezabawnego Zarządu Głównego Więzień, przesławnej i nadzwyczaj dzielnej Komendy Głównej Policji, przeszacownego i przetranscendentnego Wydziału Resocjalizacji Drobnych Przestępców i Osób, Które Zeszły na Złą Drogę, a także fabryki produktów dietetycznych Miserere, która sfinansowała ekspedycję. Jakiś czas później powiedziano nam, że wywarliśmy bardzo dobre wrażenie. Faktem jest, że w przeddzień wizyty najbardziej niestali (jeśli tak można powiedzieć) z nas zostali zamknięci w nowych, dźwiękochłonnych celach, a reszta nie mogła wykorzystać transparentów, manifestów, petycji i ulotek ukrytych pod szlafrokami, ponieważ członkowie komisji wizytującej zostali po drodze poczęstowani przez sponsora ciastkami bogatymi w błonnik i kielki, stymulującymi przewód pokarmowy, w wyniku czego zaledwie autokar zatrzymał się na centralnym dziedzińcu i rozsunęły się automatyczne drzwi, pasażerowie wyskoczyli, pytając jednym wściekłym głosem, gdzie znajdują się toalety, na co my, wyprężeni w szeregu od dwóch godzin, w morderczym upale, na schodach głównego (czyli starego) budynku,

odpowiedzieliśmy, jak nam nakazano, intonując zgodnym wrzaskiem katalońską piosenkę o treści:

*Niedaleko pada
Jabłko od jabłoni*

Po tygodniu odczytano nam w jadalni, w porze deseru i z należyтым namaszczeniem, list, jaki komisja wizytująca wystosowała do naszego ukochanego dyrektora doktora Sugrañesa. List ów wychwalał nasze zachowanie, wynosił pod niebiosa dyrekcję i personel ośrodka, opiewał doskonałość tego ostatniego, a kończył się zaleceniem, by ugór, który zwykle wykorzystywaliśmy jako boisko do piłki nożnej, przekształcić w centrum sportu, bardziej odpowiadające duchowi czasu, w tym to celu - obiecywało ostatnie zdanie listu - miał nam zostać niebawem przekazany stosowny sprzęt. Jako zapowiedź owego szczęsnego wydarzenia jeszcze tego samego popołudnia odebrano nam piłkę. Ponieważ była ona wykonana ze szmat, drutu i wypalanej gliny, powstrzymaliśmy się od protestów, sądząc, że otrzymamy w zamian prawdziwą. Jednakże po kilku dniach wręczono nam paczkę zawierającą dwie piłeczki do golfa oraz pół tuzina kijów różnych rozmiarów. Z tych ostatnich uczyniliśmy właściwy użytek, gdyż w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny – bo tyle ich upłynęło, zanim odebrano nam kije - nie uchwycił się ani jeden pensjonariusz czy pielęgniarz bez rozciętej wargi, złamanej kości lub wybitego zęba. Co do piłeczek, dość długo posługiwaliśmy się nimi, ze zgrzytaniem zębów i wyłącznie z braku czegoś lepszego, gdyż były twarde, małe i jakby po ospie i co rusz ginęły w bruzdach lub wśród liści, a poza tym nie dało się nimi kiwać ani strzelać, ani odbijać ich głową, choćbyśmy wkładali w to całą naszą energię i kunszt.

Przytaczam owo ulotne wydarzenie, ponieważ był to ostatni raz, gdy przedstawiciele finansów publicznych raczyli się nami zainteresować. Później, w miarę wzrostu cen, coraz bardziej obcinano nam budżet i ośrodek, ku zdumieniu nas, którzy nie wierzyliśmy, że można upaść jeszcze niżej, rozpoczął przyspieszony proces degradacji. Jedzenie pogorszyło się do tego stopnia, że paciorkowce biegały w popłochu po stole, uciekając przed jego zapachem, meble rozpadły się, ubrania wystrzępiły, rury zatkały, żarówki spaliły, nawet telewizor, niegdysiejsza duma ośrodka, zaczął tracić kolor, ostrość i dźwięk, a po pewnym czasie pokazywał już tylko programy sprzed roku 1966. Niezbyt ruchliwych pensjonariuszy nierzadko spotykano zasnutych pajęczynami, podobnych poczwarkom. Kurz i śmieci przesłaniały drzwi i okna. Nad ową dynamiczną inwolucją królewską gwiazdą lśniła zidiociała wszechwiedza doktora Sugrañesa, do gabinetu którego zapukałem w mojej opowieści na moment przed wtrąceniem niniejszego wspomnienia.

- Zawsze do pańskich usług - odrzekłem.

- Zechce pan spocząć i czuć się jak u siebie - odparł doktor, wskazując na fotel, z którego brudnego siedziska musiałem usunąć truchło kota.

Z uprzejmości doktora wywnioskowałem, że nie wie, kim jestem ani co mnie tu sprowadziło. Myliłem się jednak - co dla mnie typowe. Doktor Sugrañes otworzył teczkę zajmującą sporą część biurka, wyjął z niej dokument będący, jak zdążyłem zauważyć, czystą z obu stron kartką, napuszył się i udał, że go czyta.

- To pański wypis - wyjaśnił głosem słodkim jak miód. - Wynika z niego, rzecz oczywista, że zachowanie pańskie było wzorowe, począwszy od momentu przybycia do ośrodka po dzień dzisiejszy. Posłuszny wobec przełożonych, grzeczny wobec współtowarzyszy, uprzejmy wobec gości, sumienny w wypełnianiu codziennych obowiązków, wzorowo przestrzegający pobożnych praktyk. Doskonale, doskonale. O czym to mówiliśmy? Ach, tak, o panu, drogi przyjacielu. Uważałbym pana niemalże za syna, gdyby nie to, że uważam pana niemalże za ojca. Co to za papier? Ach, tak, pański wypis, w rzeczy samej - chrząknął, odkaslnął, dokonał kilku wariacji z różnego rodzaju flegmami, po czym kontynuował: - W uznaniu powyższego oraz z tytułu prerogatyw nierozzerwalnie związanych z

moim stanowiskiem postanowiłem wypisać pana natychmiast, a nawet działając wstecz, gdyby uznał to pan za stosowne. Może pan odejść. Proszę mi nie dziękować. A gdyby jakiś dziennikarz zapytał pana o projekt zagospodarowania tego terenu, proszę powiedzieć, że nic panu o tym nie wiadomo, ale że pańskim zdaniem, gdyby wszyscy pacjenci wyzdrowieli jednego dnia i zwolnili lokal, nie ma najmniejszego powodu, by spółka deweloperska Sugrañes SA nie miała wybudować centrum handlowego oraz sześciu bloków mieszkalnych w miejscu, gdzie niegdyś stał dom wariatów. Zrozumiałeś mnie, śmieciu?

- Wydaje mi się, że tak.

Doktor Sugrañes odzyskał pogodny wygląd, ponownie otworzył teczkę i wyjął druk, który podał mi wraz z długopisem.

- To zaświadczenie o powrocie do zdrowia. Proszę wypełnić puste rubryki: nazwisko, wiek, przyczyny choroby, zastosowane leczenie. Typowe pytania. Mógłbym to zrobić sam, ale wie pan: pismo lekarza... Pod spodem proszę za mnie podpisać. Może być nieczytelnie. W zaufanym gronie... A teraz, po dokonaniu wymaganych formalności, jeśli zechce pan pójść za mną, pokażę panu wyjście. Proszę nie tracić czasu na pakowanie rzeczy osobistych, wyślę je panu przesyłką priorytetową.

Popychany przez niego, przebiegiem korytarze i ogród. Brama była otwarta. Doktor Sugrañes pomógł mi przejść na drugą stronę, a gdy podniosłem się z ziemi, zobaczyłem, że brama zamyka się z łoskotem.

- Nie radzę panu wracać: dla pańskiego dobra podłączyliśmy ogrodzenie do prądu - oznajmił z głębi ogrodu. - Proszę, oto nieco pieniędzy na pierwsze wydatki. Odda mi pan, gdy zdobędzie fortunę. Ma pan całe życie przed sobą. I za sobą. Ach, gdyby dało się odzyskać młodość.

Spróbowałem zaimprovizować stosowną odpowiedź na tak sympatyczne życzenia, lecz huk spychaczy, koparek i dynamitu sprawił, że uznałem mój trud za daremny. Zresztą doktor Sugrañes już splunął na mój cień, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę gmachu ośrodka. Nieco oszołomiony, stałem dłuższą chwilę, patrząc na ogrodzenie, za którym wyrzuciłem w błoto najlepsze lata życia. Nie bardzo mogłem uważać ośrodek za mój drugi dom, jako że nigdy nie miałem pierwszego, a poza tym przez wszystkie lata, które tu spędziłem, zęby nie przestawały mi zgrzytać ani na minutę. Za nic w świecie nie przekroczyłbym z powrotem motu proprio przeklętej bramy. I to nie przykry swąd usmażonych ptaków - dowód, że nie było czcze ostrzeżenie doktora Sugrañesa - zmusił mnie do oddalenia się szybkim krokiem. Jeśli poczułem coś w rodzaju ucisku w gardle, drżenia kolan i skurczu niektórych organów wewnętrznych (i jednego zewnętrznego), to bynajmniej nie z sentymentu. Zawsze marzyłem o tym, żeby odzyskać wolność. Ale teraz, gdy wreszcie w sposób wyjątkowo nagły i nieoczekiwany mój sen się spełnił, oładnął mną lęk wywołany świadomością, że świat, któremu miałem stawić czoło, bardzo się zmienił podczas mojej długiej nieobecności, i ja też.

Po uczynieniu tych refleksji i nie mając w tym miejscu nic więcej do roboty ani do przemyślenia, ruszyłem w kierunku, w którym, jak podpowiadało mi moje marne poczucie orientacji, powinna była leżeć Barcelona. Z najwyższą niepewnością próbowałem określić, raz tu, raz tam, cztery strony świata, posługując się w tym celu cieniem, który rzucało na asfalt moje ciało, gdy nagle znalazłem się na skraju autostrady, niewątpliwie niedawno otwartej, na poboczu której siedział Cañuto. Gdy podeszedłem, aby dowiedzieć się, co tu robi, zobaczyłem, że w najwyższym pośpiechu porusza oczami, wargami i palcami.

- Sześć tysięcy sto dziewięć w tę stronę, osiem tysięcy sześćset czternaście w tamtą. Tamta wygrywa.

Cañuto był człowiekiem w wieku średnim, zbliżającym się powoli do podeszłego. W latach siedemdziesiątych (naszej ery) obrabował wielu punków, pardon, wiele banków. Działal sam, z jedną pończochą na głowie i drugą, zapasową w kieszeni (na wszelki wypadek), z pistoletem-zabawką i prawdziwą bombą. Mówił, że to bomba atomowa. Tak źle nie

było, ale tak czy owak, oddawano mu pieniądze bez oporu. Po napadzie Cañuto ściągał pończochę, wypowiadał kilka stosownych słów i spokojnie odchodził chodnikiem. Co ciekawe, bardzo długo trwało, zanim go złapano. W skromnym mieszkaniu znaleziono wszystkie zrabowane pieniądze. Cañuto nie wydał ani pesety i żył z dobroczynności publicznej. Kiedy wreszcie postawiono go przed sądem, galopująca inflacja owych niespokojnych lat zredukowała dochód z występku do śmiesznej kwoty. Adwokat przedłożył sądowi bilet do kina, którego cena przekraczała to, co w czasach Cañuto byłoby fortuną. Zapewne zwolniliby go i odesłali na ulicę, gdyby nie upierał się przy twierdzeniu, że jego napady na bank stanowią część globalnego planu pogrążenia świata w chaosie, planu, w którym on, Cañuto, jest zaledwie czubkiem góry lodowej czy też, jak się skrótowo wyrażał, po prostu czubkiem. Nie wiedząc, jaką karę mu wymierzyć, odesłano go do domu wariatów, gdzie szybko zyskał zasłużoną opinię człowieka metodycznego, ścisłego, mocno zaangażowanego w wydarzenia na giełdzie, gdzie poznałem go i polubiłem.

- Słuchaj, Cañuto, wiesz może, gdzie leży Barcelona?

- Wiesz co - odpowiedział Cañuto - to zależy od kierunku wiatru. Zaraz sprawdzę.

Wyszedł na środek autostrady, przystanął i włożył palec do ust, zamierzając go zwilżyć i wystawić na wiatr. Wzniósłem do nieba modły o wieczny odpoczynek dla Canuta i ruszyłem przed siebie skrajem autostrady, starając się stawiać obie stopy po zewnętrznej stronie krawężnika. Co do kierunku, wybrałem go na oko, gdyż mimo że moim pierwotnym zamiarem było dotarcie do Barcelony, tak naprawdę równie dobrze mogłem udać się w inne miejsce (na przykład do Kopenhagi), ponieważ - jeśli mogę się tak wyrazić - nigdzie nie czekał na mnie pies z kulawą nogą.

Droga była równa, czasu miałem aż nadto, czego nie można powiedzieć o energii, ponieważ w ferworze najróżniejszych spraw zjadłem tego dnia tylko pół kostki brukowej z brudną wodą, jaką podano nam na śniadanie, a specyficzny bieg autostrady zmuszał mnie do obchodzenia z daleka węzłów, w które dość często zaplątywała się z dużym wdziękiem. Było więc już grubo po północy, a ja ledwie żyłem, gdy olimpijskie miasto powitało mnie z pogardą właściwą nieśmiertelnym.

Nie mając celu i dysponując zaledwie stupeśetową monetą, którą wręczył mi doktor Sugrañes, skierowałem się do dzielnicy, gdzie w dobrych czasach i od najmłodszych lat poniewierała się moja siostra Cándida. Była to dość oddalona od centrum, raczej uboga część miasta, której przytulne bramy, oświetlenie dyskretne, żeby nie powiedzieć żadne, rzeźki i uporczywy fetorek oraz obecność istot takich jak Cándida przyciągały klientelę niezbyt liczną i nie grzeszącą nadmiarem wdzięku, młodości, zdrowia, wykształcenia, subtelności, majątku i zamiłowania do higieny osobistej, a zarazem bardzo stałą w swoich złych nawykach, bezpośrednią w obcowaniu i łatwą do zadowolenia. Klientelę, z którą Cándida utrzymywała więź niezbyt żywą, lecz do pewnego stopnia czułą, bo choć jednak jest prawdą, że natura poskapiła jej uroku, talentu i rozumu, życie nie okazało się wobec niej miłosierne, usposobienie miała ponure, inteligencję żywą i takie zamiłowanie do cierpienia, że potrafiła w czerwcu odmrozić sobie palec; za to gdy przychodziło do pracy, w całej Barcelonie nie było osoby bardziej dobrodusznej i ustępliwej niż biedna Cándida.

Po przybyciu na miejsce stwierdziłem jednak, że dzielnica zmieniła się, a wraz z nią jej mieszkańcy i zwyczaje. Ulice były rześkie oświetlone, a chodniki czyste. Przechadzali się po nich dobrze ubrani ludzie, podziwiając typową lokalną architekturę. Podeszedłem do kilku z nich, aby zapytać, czy znają Cándidę, lecz na sam mój widok rzucali się do ucieczki. Jeden zrobił mi zdjęcie (po czym uciekł), inny zamierzył się przewodnikiem z serii Michelin, a trzeci - jedyny, który mnie wysłuchał - okazał się cudzoziemcem, członkiem sekty i najwyraźniej kretynem. Nie pozostało mi więc nic oprócz cierpliwego czekania, moje siły były wyczerpane, a klimat łagodny, przycupnąłem zatem w gruzach jakiejś budowy i zanim jeszcze głowa opadła mi na ziemię, pogrążyłem się w głębokim śnie.

Zbudził mnie chłodek świtu. Tkwiłem wciąż w tym samym miejscu, aczkolwiek pozbawiony pieniędzy i ubrania z wyjątkiem slipek, których nie dałoby się oderwać od mojej skóry, nie raniąc jej głęboko. Zwinąłem się więc w kłębek i ponownie zapadłem w błogi sen, który trwał aż do momentu, gdy hałas pracowitego miasta przerwał go i odpędził bezpowrotnie. O tej porze sklepy otworzyły już swe podwoje i w nich to kontynuowałem moje poszukiwania przekonany, że nawet jeśli zmiany w architektonicznej tkance miasta lub naturalny cykl biologiczny wyeliminowały Cándidę z zawodu, o ile jeszcze żyła, nie mogła zamieszkać zbyt daleko. Na szczęście, rozpoczął się już sezon turystyczny i mój strój niczym się nie wyróżniał spośród strojów licznych gości zagranicznych, którzy w zamian za możliwość podziwiania osobliwości tutejszej architektury oferują nam widok tłustych i owłosionych ciał. Mogłem więc spacerować po okolicy bez przeszkód, nagabywany jedynie przez osoby oferujące przejażdżkę dorożką, mieszkanie w wiosce olimpijskiej lub *suquet* z homara, ewentualnie wszystkie trzy rzeczy naraz. Wszędzie przyjmowano mnie z usługowymi oznakami serdeczności, które zmieniały się w wyzwiska, drwiny i groźby, gdy tylko sformułowałem moje pytanie we własnym języku. W południe nadzieje na odnalezienie Cándidy rozwiały się. Usiadłem na ławce, by zastanowić się nad dalszymi krokami, a gdy trwałem w tej bezproduktywnej pozycji, zaczepił mnie chłopiec o śniadej cerze, który bardziej z tupetem niż znajomością gramatyki oznajmił, że podąża za mną od samego rana, że wie, czego szukam, i że dysponuje informacją, którą wycenia na drobne dwa tysiące peset.

- Chłopcze - odrzekłem - nie mam ani reala. Ale mogę zaproponować ci interes. Ile masz lat i jak się nazywasz?

Odpowiedział, że wkrótce skończy dwadzieścia jeden, ale na razie ma tylko osiem, i że mogę nazywać go Jamín, skrót od Jaime w arabskim katalońskim.

- W porządku, Jamín - powiedziałem. - A teraz posłuchaj. Jeśli wiesz, gdzie mieszka Cándida, powiedz mi, a być może pewnego dnia będę mógł zapłacić ci za tę przysługę. Jeśli mi nie powiesz, pójdę na policję i powiem, że cię zgwałciłem. Mnie puszczą wolno, a ciebie zamkną w poprawczaku.

Był sprytny, chociaż brakowało mu doświadczenia i światologii. Ruszył przed siebie zwawym krokiem, a ja podążyłem za nim, nie ukrywając podziwu dla owego autentycznego produktu reformy szkolnej. Po krótkiej chwili przystanął przed budynkiem, który najwyraźniej umknął autorom planu upiększenia i higienizacji dzielnicy: fasada ociekała sadzą, a z bramy wydobywał się smrodek smażonych sardynek, ekskrementów i najtańszego gazu. Jamín wskazał na mroczne wejście, odwrócił się na pięcie i wymamrotał:

- Trzecie piętro, drugie drzwi.

Z duszą nabrzmiałą nadzieją i targaną niepewnością wspiałem się po śliskich schodach i dotarłem do drzwi, które ze względu na otaczające je płyty odpadłego tynku uznałem za prowadzące do mieszkania mojej siostry. Nacisnąłem dzwonek i odczekałem długą chwilę. Wreszcie moje uszy wyłowiły zmysłowy szelest starych kapci sunących po oderwanych płytkach zniszczonej podłogi. Odsunęła się klapka wziernika, ale jako że osoba po drugiej stronie drzwi najwyraźniej nie sięgała do niego wzrokiem, klapka opadła, a słaby głos powiedział:

- Nie ma nikogo. Kto tam?

- Szukam panny o imieniu Cándida - odparłem? - Przynoszę jej dobre nowiny. Oraz bukiet kwiatów. Oraz zestaw produktów spożywczych. Oraz możliwość wygrania wielu innych nagród.

- Wystarczy, młodzieńcze - powiedział słaby głos. - Cándida nie może pana przyjąć. Jest zajęta.

- Proszę pani - zagroziłem - jeśli nie otworzy mi pani natychmiast, wyważę drzwi.

Zaskrzypiały zasuw, zajęczały zawiasy i w szparze pojawiła się twarz staruchy. Błyskawicznie wsunąłem stopę za próg, raczej jako oznakę zdecydowania niż w

jakimkolwiek innym celu, ponieważ byłem boso i gdyby owa wiedźma postanowiła zatrzasnąć drzwi, musiałbym wycofać się sromotnie, zostawiając w mieszkaniu pięć zmiądzonych palców. Na szczęście jednak, wiedźma była zbyt zaskoczona, by dostrzec swoją przewagę taktyczną.

-Kim pan jest?

- Kim pani jest?

Oboje zadaliśmy to samo pytanie jednocześnie, ale ja udzieliłem odpowiedzi pierwszy, częściowo z uprzejmości, a częściowo dlatego, że nie ma sensu dyskutować z osobami w podeszłym wieku.

- Jestem bratem panny Cándidy.

- Cándida nigdy nie mówiła mi, że ma brata - zareplikowała wiedźma.

- Nie lubi się chwalić. Czy jest w domu? , - %, . >\; >. .

- Kto, ja?

- Nie, Cándida.

- Ach. A dlaczegoż to paraduje pan w tak skąpym odzieniu, młodzieńcze?

- Na wizytę rodzinną wybrałem strój nieformalny - odrzekłem. - Nie jestem niewolnikiem mody. Podobnie jak pani, sądząc po jej obrzydliwym szlafroku.

- Tak, ale ja jestem u siebie.

- U siebie? - zapytałem - Mieszka pani z Cándidą?

- Nie, proszę pana - odparła wiedźma. - Cándida mieszka ze mną.

- Czy mogę zapytać, w jakim charakterze? - zapytałem.

- Cándida - wyjaśniła wiedźma - jest moją synową. Mój syn i jego małżonka, to jest moja synowa i jej małżonek, mieszkają w moim domu i żyją z mojej skromnej emerytury. Nie są jednakże parą pasożytów - mój syn prowadzi kwitnący interes, a Cándida robi to, co może, to jest bardzo niewiele.

- Czyli - wykrzyknąłem, raczej do siebie niż do zatkanych uszu wiedźmy - biedna Cándida wreszcie wyszła za mąż! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy!

- To dziwne, że będąc jej bratem, nie wie pan o tym — stwierdziła wiedźma. - Skoro nie poinformowała pana o swoim ślubie, musiała mieć ważne powody. A teraz, jeśli pan pozwoli, zamknę drzwi, łamiąc panu palce albo nie - w zależności od tego, co pan wybierze.

- Błagam panią - zabłagałem - muszę porozmawiać z Cándidą. Nie żywię złych zamiarów, lecz są to zamiary stanowcze. Jeśli nie pozwoli mi pani wejść, usiądę na wycieraczce i będę czekać, aż wyjdzie - jeśli jest w środku - lub aż wejdzie - jeśli jest poza domem - a im dłużej to potrwa, tym większe są szansę, że pani sąsiedzi zobaczą mnie w pozie parodiującej pozę Buddy.

Widząc, że szykuję się do spełnienia groźby i że gdy przyjmowałem pozycję lotosu, zsunęły mi się slipy, wiedźma otworzyła drzwi na oścież i zaprosiła mnie do przedpokoju wąskiego i umeblowanego wyraźnie w złym guście. Po krótkiej chwili, zwabiona krzykami staruchy, z czeluści nędznej nory wynurzyła się moja siostra.

Są kobiety, na których aparycję magiczny wpływ wywiera zmiana stanu cywilnego na lepszy, powodując prawdziwą transfigurację. Nie był to jednak przypadek Cándidy, którą znalazłem, mówiąc oględnie, autentycznie zeszkaradniałą, jak gdyby lata, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, regularnie częstowały ją mocnym kuksańcem.

- Cześć, Cándida - wyszeptałem. - Wyglądasz uroczko.

Wbrew wszelkim przewidywaniom wykonała grymas, który u naczelnych mógłby uchodzić za uśmiech, i odpowiedziała:

-Ty też dobrze wyglądasz. Ale nie stój w przedpokoju. Przejdź dalej i rozgość się. Czuj się jak u siebie.

Przypominając sobie telewizyjne filmy i reportaże na ten temat, pomyślałem przez moment, że biedna Cándida stała się ofiarą abdukcji ze strony jakiegoś Obcego i jej ziemską

powłoka została zastąpiona kosmiczną. Szybko jednak powiedziałem sobie, że żaden Obcy przy zdrowych zmysłach nie sięgnąłby po takiego rupiecia, nawet w ramach przygotowań do podboju lub zniszczenia naszej planety, a jeśli nawet jakaś przedziwna istota z innej galaktyki miała taki kaprys, mnie wyszedłby on tylko na dobre. Tak więc rozpląnałem się w uśmiechach i poszedłem za nią w głąb mieszkania składającego się z dwóch sypialni, kuchni, łazienki i salonu, jak wydedukowałem z umeblowania, dekoracji i innych dodatków.

- Jak widzisz - stwierdziła Cándida, kiedy zakończyliśmy zwiedzanie - żyjemy tu sobie bosko, ja, Viriato i mamusia.

- Mamusia, to znaczy ten pączek róży, ta dziewięćdziesięcioletnia wariatka? - zapytałem.

- Tak, to mamusia Viriata - potwierdziła Cándida - i moja droga teściowa. Viriato jest moją drugą połową jabłka. Spodoba ci się. Jest odrobinę młodszy ode mnie, atrakcyjny, bystry i inteligentny, o usposobieniu niezmiernie pokojowym i liberalnym.

- Myślisz, że ja też mu się spodobam?

- Jestem przekonana. Prawda, mamusiu?

Na szczęście, wiedźma przysnęła lub umarła w przedpokoju, pólżąc na stojaku na parasole, i nie mogła odpowiedzieć na to podchwytliwe pytanie.

- Słuchaj, Cándida - powiedziałem. - Wydaje mi się, że powinnaś opowiedzieć mi tę historię od początku. Przewidując jednak, że będzie długa, byłbym ci niewymownie wdzięczny, gdybyś przedtem dała mi coś do jedzenia. Muszę cię uprzedzić, całkiem szczerze i na wypadek, gdybyś tego jeszcze nie zauważyła, że moja sytuacja jest daleka od pomyślnej. Lecz nie obawiaj się: gdy tylko zaspokoję apetyt i ciekawość, a może nawet tylko to pierwsze, odejdę, skąd przybyłem. W żaden sposób moja obecność nie zakłóci twojego szczęścia małżeńskiego.

- Nie opowiadaj bzdur - odrzekła moja siostra. - Interes rodzinny miewa się doskonale, cieszymy się zasłużonym dobrobytem i właśnie potrzebujemy ludzi młodych, ambitnych i przedsiębiorczych w celu powiększenia potencjału rozwojowego naszej firmy. Czasy się zmieniły, chłopie. To już nie lata siedemdziesiąte, które pamiętasz, ani osiemdziesiąte, które spędziłeś w zamknięciu. Jesteśmy w połowie lat dziewięćdziesiątych. U progu nie wiem którego wieku. Zostań z nami, a czeka cię ciężka praca, godziwa pensja i świetlana przyszłość.

Mówiąc to, otworzyła najpierw jedną, potem drugą szufladę sekretery i wyjęła z nich kawałek sera i kromkę niezbyt czerstwego chleba, które natychmiast padły ofiarą mojej łapczywości. A ponieważ nie przestała mówić, gdy jadłem, umknęła mi spora część jej opowieści. Usłyszałem jednak to, co najważniejsze:

- Trochę ponad rok temu Viriato porozklejał na murach i latarniach ogłoszenie następującej treści: poszukiwana żona pochodząca z tej dzielnicy, wiek, wygląd, inteligencja, pozycja społeczna, rasa, wyznanie lub ideologia obojętne. Odpowiedziałam, że jeśli rzeczywiście nie przywiązuje wagi do figury, mózgu i pieniędzy, to jestem sobą, której szuka, bo nie posiadam żadnej z tych trzech rzeczy, że jeśli chciałby mnie obejrzeć, może przyjść po mnie o świcie, po robocie, karczowisko za starym cmentarzem, dział ofert. No i następnego dnia przyszedł i się pobraliśmy.

Przestałem żuć i wpatrzyłem się w Cándidę w oczekiwaniu na ciąg dalszy, ale ona zamknęła tylko oczy, uśmiechnęła się błogo stwierdziła:

- To wszystko.

Wyczuwając, że zadanie jej pytania, które przebiegło mi w tym momencie przez myśl, byłoby zbyt okrutne, postanowiłem zamilknąć i poczekać, aż dalsze wypadki przyniosą odpowiedź.

- A gdzie jest teraz Viriato? - zapytałem tylko.

- W pracy, oczywiście - powiedziała Cándida. - Ale niebawem przyjdzie. Zawsze jada

w domu, z rodziną. W ten sposób oszczędza i przestrzega właściwej diety. Sam robi zakupy, gotuje i zmywa naczynia. W porze kolacji też.

- A po kolacji nie wychodzi na chwilę, żeby rozprostować nogi?

- Swoje? Nie. Viriato jest domatorem. Po kolacji oglądamy telewizję, jeśli jest jakiś program kulturalny. Jeśli nie, gramy w Monopol. Ale oto słychać dzwonek, mamusia otwiera drzwi i męskie kroki mojego Viriata rozbrzmiewają w przedpokoju. Za kilka sekund będziecie mieli okazję się poznać.

Viriato ocierał się o pięćdziesiątkę. Był niski, gruby, łysawy, krótkoręki, lekko garbaty, a w czasie gdy dysponował jeszcze parą oczu, zapewne miał zęza. Poza tym wyglądał zdrowo i przyzwoicie i sprawiał wrażenie dobrodusznego i skłonnego do śmiechu z własnych dowcipów. Przyjął do wiadomości moją obecność oraz kondycję bez zdziwienia i bez cienia gniewu, powtórzył ofertę Cándidy i nie uchylił się od odpowiedzi na pytanie, które z dużą przenikliwością wyczytał z moich oczu.

- Chodź ze mną do kuchni, porozmawiamy, kiedy będę robił obiad - powiedział. A gdy zostaliśmy sami, wyjaśnił: - Bez wątpienia zastanawiasz się, dlaczego osobnik taki jak ja, uderzająco podobny do Kevina Costnera, ożenił się takim dowcipem natury jak Cándida. Wszystko ma jednak jakieś uzasadnienie. Od małego pragnąłem wieść życie w odosobnieniu, poświęcone medytacji i filozofii, lecz fakt, że mój ojciec zniknął po kilku minutach od poczęcia mnie, zabierając przy okazji skąpe oszczędności mojej matki, spowodowane tym pewne trudności natury ekonomicznej oraz inne niepowodzenia, których nie ma sensu teraz wspominać, pokrzyżowały moje plany. Przez pewien czas zamierzałem wstąpić do klasztoru, ale przeszkodziło mi w tym nie tyle to, że jestem zaprzysięgłym pedałem, ile niechęć do pozostawienia własnemu losowi mojej starej matki, dotkniętej nieszczęściem - notabene bardzo powszechnym - bycia staruszką od najmłodszych lat. W obliczu powyższego, poświęciłem się zajęciu, które aktualnie zapewnia nam utrzymanie, a w wolnych chwilach oddaję się mojemu prawdziwemu powołaniu. Tym sposobem spełniam mój obowiązek, a zarazem piszę dziewiąty już tom traktatusa, który kiedyś, jeśli zechcesz, przeczytam ci w całości, łącznie z przypisami.

- Nic nie uczyni mnie szczęśliwszym - odpowiedziałem - ale miałeś opowiedzieć mi o Candidzie.

- Ach, tak, Cándida - wykrzyknął, jakby to imię coś mu przypomniało. - Otóż moja matka, przewidując nadejście przypadłości właściwych jej latom, nalegała, bym się ożenił. Wiesz, jak wytrwale bywają matki w takich przypadkach i jakie pokłady emocji potrafią uruchomić. Dwa razy podpaliła mieszkanie, raz skoczyła w przepaść klatki schodowej, a wreszcie, gdy owe próby targnięcia się na własne życie zawiodły, poszła do zoo i rzuciła się do klatki z lwami, gdzie znajdowałyby się zapewne do tej pory, gdyby zwierzęta te nie zwróciły uwagi strażnika rozpaczliwym rykiem i gestykulacją. Wobec powyższego postanowiłem spełnić życzenie matki. Po rozpatrzeniu wielu interesujących ofert poznałem Candidę i przekonałem się, że znalazłem, czego szukałem. Nie omyliłem się: Cándida przypadła do gustu mojej matce, a mama wydaje się idealnie pasować do Cándidy. Ja, jako prawdziwy filozof, przystosowałem się, szybko i bez problemów, do nowej sytuacji. Cándida jest usłużna bardzo cierpliwa, nie wtrąca się w moje sprawy, wyprowadza mamę na spacer, kiedy jest ładna pogoda, nie trwoni pieniędzy i sprzęta prawie w takim stopniu, w jakim brudzi. Wiem, że któregoś dnia zabije je obie siekierą, ale na razie żyje nam się dobrze.

Nic więcej nie potrafiłbym dodać do słów tak rozsądnych, a jako że podczas swojej przemowy Viriato przygotował spaghetti po bolońsku, jakiego nie powstydziliby się na swoim stole nawet basza, energicznym uściskiem przypieczętowałem naszą przyjaźń i jako męski członek rodziny udzieliłem błogosławieństwa owemu szczęsnemu związkowi.

Po posiłku, zakrapianym cabernetem sauvignon domowego wyrobu i umilanym przez mamusię Viriata, której imienia nie byłem w stanie wyłowić z rozmowy, ponieważ wszyscy

zwracali się do niej czule: „wiedzmo” i „ropucho”, a która, z właściwym wielu starszym osobom talentem do opowiadania o rzeczach ciekawych i przyjemnych, zreferowała nam pokrótce dzieje swoich najwspanialszych biegunek, Viriato zaproponował, bym wyszedł z nim do pracy, ponieważ moja siostra powiedziała mu, że szukam płatnego zajęcia, i on, ze swej strony, potrzebuje kogoś, z kim mógłby podzielić się obowiązkami. W oczekiwaniu na moment, kiedy zarobki pozwolą mi na nabycie stosownego odzienia, pożyczyci mi stary żółty dres, a którym, z wyjątkiem momentów, kiedy niekompatybilność jego rozmiarów z moimi wyjątkowo rzucała się w oczy, mogłem przejść niemal niezauważony pośród zacnych mieszkańców olimpijskiej wioski.

Firma mojego szwagra mieściła się nieopodal jego mieszkania, przy ulicy niezbyt szerokiej, niezbyt długiej i niezbyt czystej, za to obfitującej w najróżniejsze punkty handlowe i usługowe, a zatem zdecydowanej zasługującej na miano ulicy handlowej. Był to zakład fryzjerski, wyposażony we wszelki niezbędny sprzęt (co prawda nie najnowszej generacji) oraz w szczupły zapas produktów kosmetycznych w różnych stadiach rozkładu. Na nadprożu, od strony zewnętrznej, królował szyld, na którym, mimo braku sporej liczby liter, dało się odczytać:

POWIERNIK PAŃ
FRYZJER DAMSKI

Firma założona w roku 1985 albo 86

Szybkość i szyk w cenach konkurencyjnych

- Mamy tu - powiedział Viriato, oprowadzając mnie z dumą po salonie pod nieobecność klientów (jego zdaniem, niezrozumiałą) - klientelę liczną, a co więcej, bardzo wierną. Zakład zajmuje się wyłącznie fryzjerstwem damskim, na co wskazuje jego nazwa, ale przyjmujemy zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Wśród naszych najbardziej zagorzałych sympatyków znajduje się nawet kilku kapelanów. Nie muszę chyba nadmieniać, że nasza klientela jest, nie przesadzając nawet o szczyptę, doborowa.

Chociaż przemawiał w liczbie mnogiej i opatrywał swoje słowa gestami sugerującymi liczny hufiec pracowników, szybko wywnioskowałem, że personel zakładu ograniczał się do samego Viriata, co usprawiedliwił następującymi słowami:

— W rzeczy samej, mógłbym spokojnie zatrudnić wielu pomocników, biorąc pod uwagę popyt, ale w obecnych czasach ogromnie trudno znaleźć osoby pracowite i odpowiedzialne. Rok temu podpisałem umowę z pewnym uczniem, którego musiałem błyskawicznie zwolnić, ponieważ (pomijając fakt, że nie dawał się rznąć od tyłu) brakowało mu niezbędnych w tym zawodzie: oglądy, subtelności, naturalnej elegancji i znajomości psychiki ludzkiej. Rozumiesz? Widzę, że tak, bo ruszasz głową na przemian z góry w dół i z prawa na lewo, co cieszy mnie niewymownie. Oczywiście, nie mogę ci zaoferować godziwego wynagrodzenia. Nie mogę nawet zaoferować ci niegodziwego wynagrodzenia. Na początku będziesz musiał zadowolić się napiwkami i tym, co uda ci się wyciągnąć z damskich torebek. Nieco później, jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, być może pozwolę ci nabyć akcje uprzywilejowane spółki. Składam ci tę propozycję z racji łączących nas więzi rodzinnych. Nie dziękuj. Za tamtym parawanem znajdziesz fartuch, szczotkę i wiadro.

Tym sposobem uzyskałem pierwszą uczciwą pracę mojego życia. Zbędne wyjaśniać, iż włożyłem w nią całą energię zgromadzoną przez tyle lat bezczynności, całą nadzieję, jaką napelniała mnie perspektywa ujrzenia się ponownie częścią społeczeństwa, oraz, po cóż zaprzeczać, cały zapał, jaki podsycali we mnie zdrowa ambicja i wiara, że moje wysiłki nie pójdą na marne.

Przez pierwsze dni, korzystając z przedłużającego się wyjątkowego braku klientów, zająłem się sprzątaniami i porządkowaniem lokalu. Kijem od szczotki wypłoszyłem zadomowione w zakładzie szczury, a kopniakami przepędziłem liszajowate koty, które zawarły z tymi pierwszymi haniebnym paktem o nieagresji. Podeszwą buta przekonałem pchły,

pluskwy, gnidy, karaluchy i stonogi, by zmieniły miejsce zamieszkania. Usunąłem pijawki, które znalazły schronienie w lokówkach. Uprałem ręczniki, fartuchy i serwetki przy publicznej studni, na krawędzi chodnika naostrzyłem nożyczki, dokleiłem zęby grzebieniem... po cóż wyliczać dalej? Pracowałem od wschodu do zachodu słońca, a szwagier mój, aby pokazać, że pokłada we mnie całkowite zaufanie, zostawiał mnie samego przez cały dzień. O wyznaczonej godzinie zasuwałem rygiel w drzwiach i wyruszałem do jednego z dziewięciu sex-shopów, które stanowiły ozdobę naszej ulicy. W ich spokojnych i cienistych zakamarkach Viriato kontynuował swoje studia filozoficzne z taką gorliwością, że częstokroć musiałem ciągnąć go do domu siłą, ponieważ znajdował się w stanie zasłużonej emanacji. Potem wracałem do salonu, przygotowywałem wszystko na następny dzień i udawałem się na kolację do pobliskiej eleganckiej, choć niewyszukanej restauracji, w witrynie której jaskrawy napis głosił:

WYŚMIENITE PIZZE:

Na węglu drzewnym	400 peset
Surowe	200 peset
Bez rozmrażania	50 peset
VAT	6%

W dni świąteczne ową wyborną ucztę uzupełniałem pepsi-colą (duża porcja), po czym śpieszyłem do salonu. Wystarczało mi jeszcze czasu na strzepnięcie ostatniego pyłku z lustra. Następnie kładłem się spać, zmęczony, lecz szczęśliwy, na materacu, który wykonałem własnoręcznie z kłaków zgromadzonych na podłodze, na ścianach i na suficie. Wczesnym rankiem podnosiłem metalową roletę i stawałem w drzwiach, przedstawiając donośnym głosem ofertę firmy.

- Powiernik Pań, fryzjer damski! Farba, odrosty, trwała! Warkocze, czuby, afro! Pasemka, loki, pazurki, koki! Nieprawdopodobne ceny!

Gdy krzykiem i rękoczynami udało mi się zwabić klienta lub klientkę, prowadziłem jego lub ją do wnętrza, sadzałem w fotelu, zakładałem płaszczyk, pelerynkę lub ochraniacz (który w każdym z tych trzech wymienionych przypadków zasługiwał na miano szmaty), zwilżałem mu włosy wodą w aerozolu, starając się celować w oczy, aby nie przyglądał się zbyt dociekliwie szczegółom otoczenia, i biegłem po Viriata, który lepiej czy gorzej wieńczył dzieło.

Będąc przedsiębiorczym z natury, wkrótce znalazłem sposób na poszerzenie oferty i uzyskanie dodatkowego wynagrodzenia. Rozpocząłem od czyszczenia butów starą szmatką, nadzwyczaj miękką i w walce z kurzem skuteczną, oraz pastami, które uzyskiwałem ze smoły rozpuszczonej w oleju terpentynowym albo, w przypadku jego braku, w wyciągach winogronowych kupowanych w hurtowni. Nieco później, usłyszawszy przykładną historię wybitnego barcelończyka, który położył podwaliny pod swoją fortunę, sprzedając płyn na porost włosów podczas Wystawy Światowej w 1888 roku, zapragnąłem pójść w jego ślady, lecz porzuciłem to przedsięwzięcie po odniesieniu licznych, choć na szczęście drobnych, obrażeń. Oferowałem mojej klienteli herbatki ziołowe, napoje orzeźwiające i przekąski, po które osobiście biegałem do baru naprzeciwko, pobierając za ową usługę napiwki od jednej strony, a prowizję od drugiej. Wszystkie powyższe świadczenia opatrywałem najwyszukańszymi oznakami uprzejmości i służalczości. Wysłuchując opowieści klientów, udawałem, że wpadam w trans, a pękając ze śmiechu z ich dowcipów, dla wzmocnienia efektu waliłem głową o podłogę. Te drobne i niewinne pochlebstwa znacznie zwiększały ich szczodrość.

Świadomy znaczenia właściwego wizerunku, zafarbowałem sobie pierwsze siwe włosy, a przy okazji całą czuprynę, na pastelowy szafran. Za pierwsze oszczędności, wykorzystując

styczniowe przeceny, ubrałem się zgodnie z moim nowym statusem, starając się uwydatnić zgrabną i smukłą sylwetkę, która doznała lekkiego uszczerbku z powodu spożywania dużych ilości mozzarelli, prosciutto i peperoni. I tak, stopniowo i nie bez znacznych wydatków, przekształciłem się w eleganckiego mieszkańca Barcelony.

Szwagier mój zachował się wobec mnie bardzo dobrze. Z czasem nauczył mnie podstaw swojego zawodu i dokładając starań, po upływie kilku miesięcy oraz pewnej ilości krwi, mogłem zastępować go ze stosunkowym powodzeniem, co pozwoliło mu oddać się swoim sprawom i pojawiać jedynie pod koniec dnia, w celu opróżnienia kasy. Dzięki temu dorzucił do swego traktatusa tom dziewiąty, w którym udowodniał niezbicie, iż woda z rzeki nigdy nie przepływa dwa razy przez ten sam punkt, z wyjątkiem rzeki Llobregat. Ów wkład w świat idei, opieka nad matką staruszką i młodziutki urzędnik banku Caixa, który wyciągał od niego kasę za możliwość obciążania w dowolnym miejscu i czasie, zajmowały mu cały dzień.

Klientela salonu nie należała być może do śmietanki towarzyskiej naszego miasta, ale nie brakowało jej pozycji i zawijasa przy podpisie. Powiedziałem kilka stron temu, że dzielnica, niegdyś podrzędna, w ciągu ostatniej (szczęśliwej) dekady została poddana procesowi uzdrowienia i uporządkowania. Teraz dodam, że proces ów nie zatrzymał się (czego można by oczekiwać, gdyby nasze instytucje były gnuśne lub sprzedajne) na oznakach zewnętrznych. Zmianie uległy także wnętrza ludzkie, odpowiednio potraktowane przez szkołę podstawową, ambulatorium i siłownię, z których każdy obywatel, całkowicie bezpłatnie, wychodził nauczony, uzdrowiony, wzmocniony i zakąszony grzybicą. Deptaki przystosowano do ruchu samochodowego, ponownie wybrukowano chodniki i ulice, posadzono miłe dla oka drzewka, które w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy rozpoczęła się ta historia, utraciły już listki, gałązki i pnie, idealnie dostosowując się do miejskiego pejzażu. Powietrze było czystsze, niebo błękitniejsze, a klimat łagodniejszy. Wypełniała nas duma z tego, że tu mieszkamy.

Zbyteczne jest wyjaśnianie, że przy mojej sumienności, uczciwości, innych przymiotach i polocie wtopiłem się bez najmniejszego problemu w to zdrowe środowisko. Stałem się znany, szanowany i bardzo ceniony w całej dzielnicy. Ojcowie pytali mnie o radę w kwestii przyszłości swoich dzieci, handlowcy o prowadzenie firmy, emeryci o lokowanie oszczędności. Korzystając z okazji, wynająłem apartament nieco ciasny i mało przewiewny, za to w pobliżu salonu. Nieco później nabyłem z drugiej ręki lodówkę i telewizor. Aby nadrobić liczne lata zaległości, zapisałem się na kilka kursów korespondencyjnych kultury ogólnej. Co miesiąc przysyłano mi odbite na ksero notatki oraz listę pytań, a za skromną dopłatą także listę odpowiedzi. Nie mając wyrobionego nawyku studiowania, częstokroć upadałem na duchu, widząc nikłe efekty moich wysiłków. W takich momentach mój szwagier Viriato ponownie wspierał mnie swoją mądrością.

- Nie poddawaj się, stary - mówił - studiuj i nie przejmuj się zbytnio. Pamiętaj, że przyda ci się w życiu tylko to, czego nie zrozumiesz.

Wpisałem się do kilkunastu organizacji sąsiedzkich, a gdy czasem ksiądz szedł do umierającego z ostatnim namaszczeniem, niosłem przed nim kadzidło i parasol, sumiennie machając jednym drugim. Tym sposobem nabyłem oglądę wewnętrzną i zewnętrzną, a także zaspokoilem potrzeby materialne, ambicje społeczne i aspiracje intelektualne. Co do kobiet, do których w dawnych czasach odczuwałem pociąg graniczący z wilkołactwem, przestały mnie interesować. Traktowałem je ze szczególnym szacunkiem i gorliwie usuwałem z naszych kontaktów wszelkie oznaki śmiałości. Dzięki temu miałem ich tyle, ile chciałem, to znaczy żadnej.

I tak żyłem sobie, już o krok od otrzymania Krzyża Świętego Jerzego, kiedy w salonie pojawiła się ona.

2

Byłem sam, przycupnięty jak zwykle w najdyskretniejszym kąciku, pograżony w nauce. Być może dlatego nie zwróciłem uwagi na jej zewnętrzną powłokę. Spostrzegłem tylko, że nie miała psa. Eleganckim gestem narzuciłem na siebie biały kitel, żeby stworzyć wrażenie profesjonalizmu i pilności, a przy okazji zakryć członek w trakcie nagłej i niespodziewanej erekcji, i wskazałem jej fotel, który zajęła, nie przestając wpatrywać się we mnie z uwagą.

- Jest mi ogromnie przykro, że przeszkodziłam panu w lekturze — powiedziała głosem leniwym i czułym.

-Ależ nie, ależ żadnym sposobem. Jestem do usług klientów w każdym momencie i miejscu. Wyłącznie w niezwykle rzadkich chwilach spokoju, jakie pozostawia mi ten świetnie prosperujący salon, korzystam zeń, by poszerzyć horyzonty mojej wiedzy - odpowiedziałem. Po czym, widząc na jej twarzy jakby cień zachęty, dorzuciłem: - Każde ciało zanurzone w wodzie, oprócz wody, traci pozornie na wadze tyle, ile waży ciecz wyparta przez to ciało.

- Jest pan uczonym - powiedziała.

- O nie, na Boga, wręcz przeciwnie - odrzekłem z szacunkiem i skromnością. - Mycie głowy?

- Czyszczenie butów - odparła, a rzuciwszy okiem na sprzęt, dodała pośpiesznie: - Wystarczy chusteczką higieniczną.

Uklękłem, a ona podniosła nogę i oparła but na taborecie, który przed nią postawiłem. Rezultatem mojego skłonu i jej zmiany pozycji była mroczna i podstępna wizja w dalekim zakątku ud, fragmentu paska lub tasiemki z organdy.

— Jest pan nowy? - usłyszałem jej głos.

Przełknąłem ślinę, żeby rozluźnić grdykę, i odpowiedziałem:

— Nie, proszę pani. Pracuję w tym zawodzie od lat. To pani jest nowa. Mam na myśli nasz zakład. I:

— Przyszłabym wcześniej, gdybym wiedziała, że pracuje tu oso-Va tak utalentowana jak pan, panie...

— Sugrañes. Onan Sugrañes, do usług.

Po czym natychmiast zdałem sobie sprawę, że oto po raz pierwszy od niepamiętnych czasów uciekłem się do niewinnego kłamstwa i że zrobiłem to pod wpływem nagłego poczucia niebezpieczeństwa: nie żebym nie ufał pięknym kobietom - nie ufam sobie, gdy znajduję się w obecności pięknych kobiet. A zresztą, jeśli nawet moja odpowiedź nieco mijala się z prawdą, różnica nie była zbyt duża, jako że w zamęcie ostatnich lat nie miałem czasu wystane o dowód osobisty, a nawet uregulować mojego statusu prawnego. Kiedy przyszedłem na świat, mój ojciec czy matka, czy ktokolwiek, kto mi w tym pomógł, nie zadał sobie trudu, żeby wpisać mnie do rejestru stanu cywilnego, w związku z czym jedynym dowodem mojego istnienia był ten, który z większym uporem niż trafnością nadałem osobiście moimi własnymi czynami. A ponieważ ostatnimi czasy, w wyniku kolejnych amnestii, propagowanych przez uczciwych ludzi i uwierzytelnianych z podejrzanym entuzjazmem przez niektórych polityków, przetrzebiono rejestry skazanych i kartoteki policyjne, moja sytuacja stała się podobna sytuacji niektórych wymarłych zwierząt, z tą oczywiście różnicą, że nie wzbudzała - najmniejszego zainteresowania nauki.

Na tych refleksjach oraz na innych, o których tutaj nie wspomnę, minęła mi dość długa chwila, po czym padło kolejne pytanie:

— Lubi pan swoją pracę?

Powiedziałbym, że mnie sonduje (w przenośni), gdyby coś takiego w ogóle wchodziło w grę. Na wszelki wypadek odpowiedziałem:

- O tak, bardzo.

- A zanim zaczął pan pracować jako fryzjer, czym się pan zajmował? - zapytała jeszcze, po czym, być może zauważając cień podejrzliwości w moim spojrzeniu, dodała: - Proszę

wybaczyć mi ciekawość. Taka już jestem.

Mówiąc to, skrzyżowała nogi, a ja odniosłem wrażenie, że melodyjny głos przemawia do mnie z eteru: „Szanowna publiczności, przedstawienie właśnie się zaczyna”.

- Ależ proszę - udało mi się wykrztusić. - Może pani pytać mnie, o co tylko zechce. Jestem do usług. Zanim poświęciłem się fryzjerstwu, pracowałem przez wiele lat w ośrodku dla osób niepełnosprawnych. Poza Barceloną. A wcześniej byłem ministrantem.

Usłyszawszy owo sugestywne CV, uśmiechnęła się i powiedziała, wstając z fotela:

- Ile się należy?

- Nic - odpowiedziałem, żeby nie komplikować sprawy. Wręczyła mi czterdzieści duro i wyszła, a ja, po zaksięgowaniu wpływów, strzepnięciu kurzu z fotela i uporządkowaniu sprzętu, powróciłem do przerwanej lektury z silnym postanowieniem zapomnienia o tym spotkaniu.

Niemal mi się udało. Po kolacji w pizzerii wracałem do domu piechotką, a był to spacer równie przyjemny, co wyśmienicie wspomagający trawienie. W salonie, do którego zazwyczaj nikt nie zaglądał, nawet pogoda, nie zauważyłem, że wieczory stały się cieplejsze, zwiastujące lato. Powietrze było łagodne i zmysłowe, a daleka woń kwiatów mieszała się z zaduchem spalin i odorem śmieci. Był piątek, w ogródkach barów grupy młodych ludzi zabawiały się, dokonując wesołych aktów przemocy na sobie lub na przechodniach. Ogłuszający ryk muzyki i samochodów tłumiał krzyki pijaków i energumenów oraz jęki staruszków i chorych porzuconych przez rodziny korzystające z dni wolnych od pracy i pierwszych upałów, aby przenieść miejski zgiełk do swoich letnich, jeszcze gorszych domków. Otoczony tymi oznakami witalności, nieustannym wyciem syren samochodów policyjnych i karettek, przemierzających miasto w drodze na ratunek ofiarom wypadków, kłótni i przedawkowania, dotarłem do mojego milutkiego mieszkanka. Ubrałem letnią piżamę (podarte szorty) i włączyłem telewizor. Skandynawski piłkarz, chyba pochodzący z Nigerii, usiłował przedstawić w naszym języku rezultat meczu rozegranego dwa miesiące temu.

- Ranag somajcerem orep odidrep someh.

Zgasiłem telewizor, umyłem zęby, położyłem się, włożyłem po jednym palcu do każdego ucha, żeby nie słyszeć hałasu ulicy, i próbowałem zasnąć, ale mijały godziny, a sen nie nadchodził.

Po nadejściu lata w sobotnie przedpołudnia ruch w zakładzie był niewielki, ale po południu ożywiał się, gdyż ludzie przychodzili do mnie prosto z plaży, aby usunąć z włosów ropę i meduzy. Jako że wszyscy mieli jakieś plany na wieczór, byli wymagający wobec personelu (czyli mnie), dyskutowali o cenie i nie zostawiali napiwku. Kiedy wychodził ostatni klient, mniej więcej o północy, zostawałem jeszcze, żeby posprzątać, i nigdy nie opuszczałem zakładu przed drugą, ponieważ bez przerwy robiłem coś nie tak jak należy. O tej porze pizzeria była już zamknięta i żeby nie zmieniać diety, kładłem się spać bez kolacji. W niedziele zakład był nieczynny, chyba że otwieraliśmy go na specjalne zamówienie albo w przeddzień powszechnego święta czy w maju, który jest miesiącem ślubów, chociaż nigdy nie zgłosiła się do mnie żadna panna młoda (a uczesałbym ją doskonale) ani druhna, ani nawet gość weselny. Ale przynajmniej na coś się czekało. Niedziele wolne od pracy były mniej stymulujące. Rano zwiedzałem dwa albo trzy muzea (w dni świąteczne wstęp bezpłatny), a następnie, żeby nie umrzeć z nudów, stawałem przed parkingiem i patrzyłem na wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Około drugiej kupowałem torbę makaroników migdałowych i udawałem się do domu Cándidy, gdzie oczekiwał mnie przyjemny obiad w rodzinnym gronie, a po nim jeszcze przyjemniejszy deser i rozmowa, szczególnie miła w wilgotne, chłodne i mroczne zimowe popołudnia, kiedy to matka Viriata milczała, zaczadzona wyziewami z piecyka butanowego, a my przesiadaliśmy się na kanapę, Cándida bezskutecznie usiłowała nawlec igłę, a Viriatio czytał i z dydaktyczną drobiazgowością komentował swoje dzieła. Z niekończącymi się oznakami wdzięczności o szóstej trzydzieści zęgnąłem się, wracałem do

domu, przez chwilę oglądałem telewizję i kładłem się wcześniej, aby zacząć nowy tydzień, tryskając energią.

Wróciła dziewięć dni później, z tymi samymi nogami. Nie czekając na zaproszenie, usiadła w fotelu, gestem pokazała, że nie chce narzutki, i powiedziała, patrząc mi prosto w oczy:

- Nie przyszedłem w sprawie moich włosów, lecz po to, żeby porozmawiać z tobą o sprawie osobistej. Czy mogę mówić ci na „ty”? Byłoby to logiczne, biorąc pod uwagę osobisty charakter sprawy, o której wspomniałam. Wcześniej jednak muszę wiedzieć, czy mogę liczyć na ciebie w owej sprawie osobistej i we wszystkim, co się z nią będzie wiązało.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy - odrzekłem - z wyjątkiem rzeczy niezgodnych z kodeksem etycznym mistrza fryzjerskiego.

- Nie oczekiwałam innej odpowiedzi - powiedziała. - Ale lepiej nie rozmawiajmy tutaj. Ktoś może wejść i przeszkodzić nam. O której kończysz pracę?

- Praca dobrego fryzjera nigdy się nie kończy - powiedziałem - ale Powiernik Pań zamyka o ósmej.

- O ósmej oczekuję cię w barze naprzeciwko - powiedziała. - Nie zrób mnie w konia.

O wyznaczonej godzinie stawiłem się na spotkanie. Już tam była, przy stoliku w głębi, zaabsorbowana butelkowanym (przez kelnera) napojem orzeźwiającym, obojętna na wszystko, co ją otaczało. Bez słowa wskazała mi krzesło. Usiadłem. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, ona myślała o swoich sprawach i ja też (ja też myślałem o jej sprawach). Dało mi to okazję do swobodniejszego przyjrzenia się jej i uzupełnienia opisu jej postaci, z pominięciem dolnych części ciała, o których napomknąłem już w innym miejscu. Była kobietą w młodym wieku, o bardzo szczupłej sylwetce i bardzo wysokim wzroście (kiedy oboje staliśmy, musiałem wspiąć się na czubki palców, żeby spojrzeć jej uważnie w twarz) i bardzo piękną, chociaż muszę przyznać, że w tej kwestii mam dość szeroki margines tolerancji. Poza tym była schludna: z całego jej ciała emanował zdrowy zapach, w którym mieszały się nuty mydła, dezodorantu i mleczka, i najwyraźniej pielęgnowała włosy produktem nadającym połysk, lekkość i elastyczność. Przyciągnęła moją uwagę jej ostentacyjna indolencja; pomyślałem, że niewiele jada i że uroda pozwala jej iść przez świat bez poświęcania mu większej uwagi. Pomyślałem także, że coś ją dręczy. Chociaż wszystkim w ogóle, a mnie w szczególności, rzucała pogardliwe spojrzenia, niekiedy i bez wyraźnego powodu jej oczy przesłaniała mgła niepewności graniczącej ze strachem, jak gdyby jakiś niezwykle dar pozwalał jej od czasu do czasu dostrajać się do najgorszych instynktów swego rozmówcy. W takich momentach jej wargi zaciskały się lekko i musiała chwycić się kurczowo pierwszego lepszego obiektu (nieożywionego) znajdującego się w jej zasięgu, aby powstrzymać drżenie rąk.

- Jaką piękną pogodę - odezwałem się nagle, aby przerwać ciszę odrobiną światowej i wykształconej konwersacji - mamy tej wiosny. Oczywiście, jest to całkiem normalne. Na półkuli zachodniej.

- Nie lubię wiosny - odpowiedziała sucho, jakbym ponosił odpowiedzialność za cykliczne zmiany pór roku. — Ogarnia mnie wtedy nieprzewyciężona i całkowicie dziecinna gnuśność. Ale lato jest gorsze, bo przynosi mi smutne wspomnienia. Kiedy byłam małą, każdego lata wysyłano mnie do Szwajcarii, do internatu dla eleganckich pańienek. Umierałam tam z nudów. A kiedy wracałam do Barcelony, wysyłano mnie do innego internatu, też dla pańienek, ale już nie tak eleganckich. Katalonek. Dlatego też nie znoszę jesieni.

Jej twarz spochmurniała. Sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę się rozplakać, dlatego też powstrzymałem się od pytania, co sądzi o zimie. Po kilku sekundach wzięła się w garść, popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem i powiedziała:

- Zanim cokolwiek ci powiem, muszę cię uprzedzić, że przysługa, o którą cię poproszę, pociąga za sobą małe ryzyko. Oraz że balansuje na granicy prawa. Jeśli któraś z tych

rzeczy cię przeraża, powiedz, zanim zacznę mówić. W takim przypadku pójdę sobie i nie zobaczymy się nigdy więcej.

Jej wyjaśnienie nie zaskoczyło mnie. Mężczyźnie takiemu jak ja kobieta taka jak ona może zaproponować wyłącznie naruszenie prawa.

- Proszę powiedzieć, o co chodzi - zachęciłem ją.

Skrzyżowała i rozkrzyżowała nogi, jak to zrobiła już raz w mojej obecności, a ja próbowałem patrzeć w inną stronę, żeby dobrze zrozumieć, co chciała mi powiedzieć, i żeby się nie rozpraszać.

- Tak naprawdę - zaczęła - to nie ja potrzebuję twojej pomocy, lecz mój ojciec. Zgłosiłby się do ciebie osobiście, ale ma bardzo napięty kalendarz spotkań. Pomyśleliśmy też, że ja będę bardziej przekonująca. Mój ojciec nazywa się Pardalot, Manuel Pardalot. Być może mówi ci coś to nazwisko: jest liczącym się człowiekiem interesu. Mówiąc ściśle, liczy się nie on sam, lecz jego interesy. Z powodów, które nie mają tu nic do rzeczy, interesy papcia przyciągnęły ostatnio uwagę sądu. Oczywiście, chodzi o jakąś koszmarną pomyłkę, ale żeby ją udowodnić, trzeba, aby zniknęły pewne dokumenty.

Obecnie dokumenty te są zdeponowane w biurze. Resztę łatwo odgadnąć: chodzi o to, by wejść do biura, zabrać dokumenty, wyjść i wręczyć mi je. W zamian oferuję milion peset w używanych banknotach, o małych nominałach i niekolejnych numerach.

- Oferta jest dobra dla kogoś, kogo życie upływa poza granicami prawa - powiedziałem - ale nie jest to mój przypadek. Proszę wymienić jakiś powód, poza pieniędzmi, dla którego miałbym się zainteresować sprawą tego typu.

- Sam poszukaj - odpowiedziała. - A kiedy znajdziesz, opowiedz mi o nim. Nie jestem niewdzięcznicą.

Mówiąc to, skierowała w moją stronę uśmiech tak sztuczny, że mógł zostać zinterpretowany w sposób najbardziej jednoznaczny. Zastanowiłem się przez kilka sekund, a być może zaledwie przez sekundę, starając się nie ulec prowokacji, po czym powiedziałem:

- Przykro mi. Jestem uczciwym człowiekiem, przykładnym obywatelem, i nawet argumenty tak przekonujące jak te, którymi pani szafuje, które pani odślania i insynuuje, nie odwiądą mnie od kroczenia przez życie prostą drogą. Proszę nie liczyć na mnie w niczym, z wyjątkiem dyskrecji. Uważam nasze spotkanie za niebyłe. Dobranoc.

Wróciłem do zakładu i zacząłem napełniać dwa flakoniki po łagodnym szamponie (do włosów suchych i delikatnych) siarczanem amoniaku. Musiałem jednak przerwać tę czynność, ponieważ pogrążony w jałowych dociekaniach, rozlewałem i marnotrawiłem cenny płyn. Tak czy owak, podjęta decyzja nadal jawiła mi się jako najszuszniejsza. Nie przestając o niej myśleć, zamknąłem zakład i udałem się do pizzerii, usiadłem na ulubionym taborecie, zawiązałem pod szyją serwetkę i zamówiłem pięć pizz z tuńczykiem, sardelą, szynką, jajkiem, papryką, grzybami, pomidorami, parmezanem i majonezem. Pani Margherita spojrzała na mnie zdumiona.

- Bo dzisiaj nie mam apetytu - wyjaśniłem.

- Kłopoty sercowe? - zażartowała pani Margherita.

Ograniczyłem się do westchnienia i spojrzenia w inną stronę.

Rodzina prowadząca pizzerię, złożona z pani Margherity, pana Calzone i ich synka Quattro Stagione, stanowiła w moich oczach paradygmat szczęścia, ideał, do którego nie miałem nawet prawa pretendować, lecz którego wizja napełniała mnie zarazem entuzjazmem i melancholią. W ciągu ostatnich kilku lat stałem się ich najlepszym klientem, a oni odpłacali mi za wierność sympatią i tkliwością. W pizzerii czułem ciepło (dosłownie i w przenośni) ogniska domowego, jakiego nigdy nie zaznałem osobiście. Obraz pani Margherity piorącej mężowskie skarpetki w zlewie restauracji lub brudnych pieluszek walających się między świeżym ciastem napełniał mnie marzeniami o spokojnym, monotonnym żywocie, do którego zawsze w głębi ducha tęskniłem, lecz który świat, los czy też moje własne błędy umieściły

poza moim zasięgiem.

W drodze do ohydnej klitki stanowiącej moje mieszkanie musiałem przystanąć, a nawet przysiąc na krawężniku z powodu skrętu kiszek (być może spowodowanego nadmiarem oregano, który wspomaga oddawanie gazów). Jakiś parszywy kundel stanął na połach mojej marynarki i podniósł łapę. Odpędziłem go kamieniami, ale nie poprawiło to mojego samopoczucia. Siedziałem jeszcze, gdy zatrzymał się przede mną samochód, otworzyły drzwi, a znajomy głos powiedział:

- Ej, ty, wsiadaj.

Nie zastanawiając się długo, wskoczyłem do środka. Drzwi zamknęły się i pojazd ruszył w nieznane. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że w kabinie znajdowaliśmy się nie tylko ona i ja, czego zresztą powinienem był się domyślić wcześniej, gdyż zawołała mnie z tylnego siedzenia limuzyniska, którego nie zawahałbym się nazwać samochodem luksusowym, gdyby użycie tego staromodnego określenia nie wskazało wyraźnie na mój podeszły wiek. To prawda, że tylko ona wychyliła się ze środka, opuszczając przyciemnianą szybę, podczas gdy pozostałe były nadal podniesione, zapewniając pasażerom anonimowość, która stanowiła, przynajmniej dla mnie, dowód na ich nieobecność w tym miejscu, jako że gdybym ja, pewnego dnia, posiadał taki samochód, nie chowałbym się w nim, a wręcz przeciwnie, dążyłbym do tego, by widział mnie cały świat, więcej, rozsyłałbym pozdrowienia na prawo i lewo, jak Ojciec Święty i inne osoby, które nie mają się czego wstydić. Całe to rozumowanie nie zmieniało jednak faktu, że w danym momencie znajdowałem się w towarzystwie nieznanymi mi osobami, o których intencjach nie wiedziałem nic poza tym, że zamierzali wprowadzić je w czyn z pistoletem w ręce, jako że ten właśnie przedmiot był wymierzony dokładnie we mnie.

- Niech pan wstanie z dywanika i usiądzie - powiedział czyjś dziwny głos.

Ona tymczasem przesiadła się na drugą stronę, oferując mi swoje miejsce oraz widok, który dał początek moim przygodom i od analizy którego oderwał mnie po chwili inny, nieco mniej przyjemny widok reszty towarzystwa, to jest kierowcy oraz indywiduum siedzącego teraz u mojego boku, z pistoletem marki Heckler & Koch P7 w ręku. Kierowca był typem wysokim i umięśnionym, o murzyńskich rysach twarzy i czarnej skórze, z czego wywnioskowałem, że musi być Murzynem, chyba że był pomalowany, a rysy twarzy wynikały z czegoś innego, miał bowiem okulary o nienormalnie grubych szklach, jakich nie zwykli nosić czarni, tym bardziej za kierownicą. Osobnik siedzący obok mnie, normalnego wzrostu i nieco otyły, sprawiał wrażenie przywódcy bandy (przynajmniej w tym momencie), a bez wątplenia osoby ważnej i znanej, gdyż ukrywał twarz pod maiską, na którą nałożył kapelusz o wielkim rondzie, nasunięty aż na nos, oraz sztuczną brodę przymocowaną do karku sznurkiem. Mówił głosem zmienionym i afektowanym, być może po to, bym nie rozpoznał go jako częstego gościa audycji radiowych. Mówię o głosie, gdyż to właśnie ten osobnik, jako przywódca, zabrał głos po długiej chwili ciszy, gdy opuściliśmy zatłoczone ulice miasta i utknęliśmy w całkowicie nieruchomym korku.

- Wybacz pan - zaczął, jako że maniery miał nad wyraz wyrafinowane - że w celu uzyskania pańskiej bezcennej współpracy uciekamy się do metod nie całkiem zgodnych z prawem, chociaż nie rzadkich. Nie mam na myśli kontaktów werbalnych, które odbył pan dwukrotnie z obecną tu panną, z pozycji całkowicie dobrowolnej, lecz kontakty ze mną, które utrzymuje pan w tym momencie. Oczywiście, nie zatrzymujemy tu pana wbrew jego woli. Gdy tylko przyjdzie panu ochota, może pan opuścić ten pojazd, chociaż na pańskim miejscu starałbym się, żeby mi taka ochota nie przyszła. Wręcz przeciwnie, na pańskim miejscu wysłuchałbym, co ma panu do powiedzenia osoba siedząca u pańskiego boku, czyli ja.

Jako że wypowiadając te uprzejme słowa, do głowy przystawił mi lufę pistoletu heckler & koch P7, gestami oznajmiłem mu, że przeprowadziłem podobne rozumowanie i całkowicie się z nim zgadzam, wobec czego kontynuował.

- Tak naprawdę nie prosimy pana o dokonanie kradzieży. Jestem właścicielem tej firmy, a moja córka, tu obecna, jej spadkobierczynią. Kradzież jest pozorna. Oczywiście, gdyby cokolwiek się wydarzyło, odpowiemy za pana. Ale cała operacja jest w rzeczywistości operacją pozorną. Nie całkiem zgodną z prawem, ale też nie nielegalną. Żyjemy w erze obrazu, a ja chcę podtrzymać dobry obraz siebie. Czy to coś złego?

Odpowiedziałem, że nie i że właśnie ja sam, jako fryzjer, codziennie staram się poprawiać obraz mojej szanownej klienteli. Niestety, temat ów najwyraźniej nie wzbudził jego zainteresowania, ponieważ nie pozwolił mi mówić dalej.

- Wolelibyśmy - powiedział - zawrzeć z panem umowę opartą na obopólnej zgodzie. Niestety, nie było to możliwe, mimo wielkodusznej oferty złożonej niedawno przez tę oto młodą osobę, oferty, którą pan odrzucił, podając idiotyczne powody natury etycznej. Sądząc po pańskiej postawie, manierach, a przede wszystkim sposobie ubierania, zapewne należy pan do ludzi, którzy bezsensownie upierają się jeszcze przy odróżnianiu dobra od zła. Chyba że, rzecz jasna, chodzi panu o podwyższenie wynagrodzenia, co wykluczamy ze względu na ograniczenia budżetowe. Milion to dużo pieniędzy, a my jesteśmy tylko bogaci. Dla pana słowo to nic nie znaczy, wiem. Pan i panu podobni śmieją się z takich rzeczy. Nawet z sarkazmem. To naturalne: proletariusz, cokolwiek by zrobił, nigdy nie ryzykuje, że przestanie być proletariuszem. Natomiast bogacz, przy najmniejszej pomyłce, staje się bezbronny. Ale przejdźmy do sedna: nazywam się, jak już pan wie, Pardalot, Manuel Pardalot. Jestem właścicielem i dyrektorem firmy Hiszpański Szachraj, spółka z o.o. Firmy tej dotyczą dokumenty, które ma pan wynieść z budynku. Jak już powiedzieliśmy, kradzież jest wyłącznie pozorna. To powinno wystarczyć, by oddalić od pańskiego sumienia jakiegokolwiek skrupuły natury moralnej lub innej. Chodzi, powtarzam, o operację księgową, nie całkiem prawidłową, przyznaję, lecz nie nielegalną. Podsumowując, milion peset i możliwość wypicia lampki wermutu na naszym jachcie. To moje ostatnie słowo.

- Nie - odrzekłem stanowczo.

- Będziemy się targować aż do Estartit.

- Zostaw go - powiedziała ona. - Jest głupi i uparty.

Zabolala mnie ta obraźliwa ocena, ponieważ w głębi ducha pochlebiałem sobie, że wywarłem na niej dobre wrażenie. Nie odezwałem się jednak.

- No dobrze - powiedział mężczyzna w masce. - To co teraz robimy, mała?

Na te słowa kierowca odwrócił się w naszą stronę i krzyknął:

- Niech pan nie mówi do mnie „mała”, wypraszam sobie!

- Ależ nie mówiłem o panu! Niech pan zajmie się kierownicą i nie odzywa niepytany - odpalił mężczyzna w masce i zwrócił się do mnie szeptem: - Ci cuchnący Murzyni są przeokropnie wrażliwi. Bez przerwy im się wydaje, że mówimy o nich z pogardą. - Po czym normalnym głosem dodał: - Co do naszych spraw, cóż więcej mogę powiedzieć, żeby pana przekonać? Jesteśmy ogromnie rozczarowani. Tyle nadziei pokładaliśmy w panu! Proszę nie sądzić, że znaleźliśmy pana bez trudu. Szukaliśmy od dawna. Przetrzęsaliśmy niebo i ziemię, aż natknęliśmy się na pana, mającego wszelkie cechy niezbędne do pracy tego typu, jak wynika z pańskiej opinii w dzielnicy, z przykładowego wysiłku wkładanego w budowę przyszłości w oparciu o wspaniały salon fryzjerski oraz, rzecz jasna, z pewnych szczególnych cech pańskiej przeszłości...

- Mojej przeszłości? - wykrzyknąłem.

- To ona - wskazał na dziewczynę lufą pistoletu - pomyślała, że człowiek o historii takiej jak pańska nie pogardzi naszą propozycją... rozumie mnie pan.

Popatrzyłem na nią, a ona puściła do mnie oko. Tego nie przewidziałem. Mieli mnie. Ponieważ jeśli któryś z czytelników nie zna jeszcze mej dawnej i niedawnej trajektorii życiowej oraz być może mojej prawdziwej natury, śpieszę z wyjaśnieniem, że w dzieciństwie, okresie nastoletnim i młodości byłem kimś, kogo można by nazwać, i kto faktycznie

zasługuje na to miano, elementem przestępczym. Los sprawił, że urodziłem się i wyrosłem w środowisku, gdzie uczciwej pracy, czystości, umiarkowaniu, nieskazitelnej postawie moralnej, dobrym manierom i innym chwalebny cechom nie przyznawano należytej wartości, ja zaś nie potrafiłem dostrzec jej samodzielnie, a udawać nauczyłem się zbyt późno. W dobrej wierze, przekonany, że tak powinni zachowywać się ludzie, popełniłem niezliczone przestępstwa. Następnie, gdy osoby obarczone misją czuwania nad pielęgnowaniem cnót, spokojnego życia, dobrych obyczajów i harmonijnych stosunków międzyludzkich (gliny) zwróciły na mnie uwagę i zastosowały sobie właściwe metody, jako strona słabsza musiałem zgodzić się na wykonywanie pewnych usług na rzecz wspólnoty (donosicielstwo), które nie przysporzyły mi niczyjej sympatii, a raczej powszechną niechęć. Wreszcie, gdy nadeszła pora, by stanąć przed sądem i odpowiedzieć za własne czyny, na moją korzyść przemawiało tak niewiele, że mój adwokat ograniczył się do wysłania sądowi widokówki z Menorki. Przy tym wszystkim jednak moje własne świadectwo, logika wyjaśnień, których udzieliłem, oraz szczerą skruchą, której złożyłem dowody, przepełniony szacunkiem, a nawet serdecznością, stosunek do sędziego, prokuratora i świadków i, ogólnie biorąc, moje rozsądne zachowanie podczas dwóch tygodni procesu musiały wywrzeć korzystne wrażenie na wymiarze sprawiedliwości, ponieważ wbrew moim obawom nie zostałem skazany na karę więzienia, lecz tylko na leczenie przez psychologa mające na celu szybką resocjalizację, w zakładzie poprawczym z gatunku tych nazywanych pospolicie domami wariatów. Tam jednakże sprawy nie potoczyły się najlepiej. Drobne zatargi z przedstawicielami wyspecjalizowanego personelu (zbirami i mordercami) oraz jedno czy dwa nieporozumienia z doktorem Sugrañesem, który z racji pełnionej przez siebie funkcji dyrektora ośrodka na podstawie swej rozległej wiedzy (i odpowiedniej łapówki) miał określić moment mojego wyzdrowienia i zwrócenia mi wolności, sprawiły, że mój pobyt w owej placówce przedłużał się z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, a wreszcie z roku na rok, aż do pięknego dnia, w którym (gdy już straciłem wszelką nadzieję na powrót do świata zewnętrznego i jego uczciwych i roztropnych mieszkańców) zaszły wypadki opisane w pierwszym rozdziale tej książki. Czytelnik zrozumie zatem z łatwością, że chociaż wspominam je tutaj (mam na myśli owe wydarzenia z przeszłości), wobec długiej, lecz owocnej drogi ku odnowie, jaką przebyłem od tamtej pory, jak mało pragnąłem, a także obawiałem się nagłej utraty pozycji, w której solidność podstaw nigdy całkowicie nie wierzyłem. Bo czyż nie utracę - zapytywałem sam siebie - szacunku współobywateli, gdy wyjdą na światło dzienne moje sekrety, i czyż oni sami, aż nadto słusznie, powodowani naturalną obawą, nie będą wzdragać się przed oddaniem swoich włosów w ręce kryminalisty? Z drugiej strony, cóż mogłem stracić, przystając na niewygórowaną prośbę ludzi w potrzebie, którzy w dodatku byli gotowi wynagrodzić mój trud w brzęczącej monecie, a któż wie, czy nawet nie w bardzo apetycznej naturze?

- Kiedy? - zapytałem.

- Im szybciej, tym lepiej - odpowiedział mężczyzna w masce. - jeśli panu odpowiada, nawet dzisiaj wieczoru.

- Zgadza się - powiedziałem. - Nie traćmy więcej czasu. Proszę powiedzieć, co mam zrobić.

Słyszając te rezolutne słowa, dziewczyna uśmiechnęła się, mężczyzna w masce odetchnął, a nawet kierowca mruknął: *arbucias!*, co potwierdziło moje przypuszczenie, że faktycznie jest imigrantem. Po chwili ogólnego odprężenia mężczyzna w masce podjął wątek:

- Sprawa nie jest skomplikowana. Jak chyba powiedziała już panu dziewczyna, chodzi o wyniesienie pewnych dokumentów. Dokumenty te znajdują się w teczce koloru niebieskiego, w prawej szufladzie biurka w gabinecie szefa, noszącego w strukturze firmy miano *Executive Director*. Oczywiście, aby dotrzeć do wspomnianego biurka, należy najpierw wejść do gmachu firmy. To także nie jest skomplikowane. Nocą nie ma tam nikogo, a tym bardziej w upalne soboty; nikogo, oprócz strażnika przebywającego stale w portierni. Strażnik ów

obserwuje wszystkie pomieszczenia gmachu za pomocą systemu telewizji przemysłowej. Jest ona zaprogramowana w ten sposób, że obraz pomieszczeń pojawia się na ekranie ze stałą częstotliwością i w niezmienniej kolejności. Czerwona lampka zapalająca się w tym momencie umożliwi panu oszukanie tego prostackiego systemu wykrywania. W budynku jest także alarm, który można wyłączyć kombinacją pięciu znaków. Na tej kartce znajdzie pan ową kombinację. Proszę ją zapamiętać, ale też nie zgubić kartki, na wypadek luki w pamięci. Oto druga kartka ze szkicem budynku, który pozwoli panu się po nim poruszać. Drzwi do biur zostawia się otwarte, żeby mogły tam wejść sprzątaczkę. Drzwi do gabinetu szefa, gdzie znajduje się biurko z niebieską teczką, są jedynymi, które powinno się zamykać ze względów bezpieczeństwa, lecz zorganizowałem wszystko tak, że dzisiejszej nocy również będą otwarte. Reszta należy do pana. Jakies pytania?

- Jak wejść do budynku, skoro przy drzwiach siedzi strażnik?

- Przez garaż - odpowiedział mężczyzna w masce. - Bramę otwiera się pilotem. Z garażu na wszystkie piętra budynku prowadzą schody ewakuacyjne.

- Sa psy?

- Nie - stwierdził sucho. - I niech pan już przestanie nudzić, do diabła. Proponujesz brudasowi pracę, a on od razu robi trudności.

- A forsa?

- Przy odbiorze dokumentów - powiedział mężczyzna w masce.

Kierowca zatrzymał samochód przy skromnej, obsadzonej drzewami, opustoszałej ulicy Bonanova, pod latarnią, która - jak wszystkie latarnie w tej zamożnej i eleganckiej dzielnicy - charakteryzowała się rozbitymi żarówkami. Zgasił silnik, w samochodzie zapanowały ciemność i cisza. Ta ostatnia nie trwała jednak długo.

- To tu - powiedział mężczyzna w masce, wskazując na nowoczesny budynek z przyciemnionego szkła i jakiegoś innego materiału. - Pamięta pan instrukcje?

Odpowiedziałem twierdząco, próbując jednocześnie rozpoznać teren. Przejęty instrukcjami, jakich mi udzielano po drodze, nie zwróciłem uwagi, którądy jechaliśmy, ale stwierdziłem, że stoimy przy ulicy Odbytologa Zambomby, naprzeciwko numeru 10. Spokój tej ulicy kontrastował z hukiem dobiegającym z Via Augusta, znajdującej się tuż za rogiem. Zachowałem te szczegóły w pamięci na wypadek, gdybym musiał później wrócić na miejsce przestępstwa.

- Jest dwunasta dwadzieścia trzy - ciągnął mężczyzna w masce. - Ma pan dwadzieścia pięć minut na przeprowadzenie operacji. Każda minuta więcej będzie ryzykiem, żeby nie powiedzieć, luksusem. Dwadzieścia trzy plus dwadzieścia pięć równa się czterdzieści osiem. Dokładnie o tej godzinie, to jest punktualnie o dwunastej czterdzieści osiem, będziemy czekać na pana w tym samym miejscu. Zsynchronizujemy zegarki.

Manewr ten zabrał nam sporo czasu, ponieważ musieliśmy dostosować wszystkie zegary, z samochodowym włącznie, do kaprysów mojego niegrzeszącego punktualnością, zakupionego za dziesięć duro od pewnego nieogolonego Araba na peronie metra. Wreszcie dziewczyna westchnęła i powiedziała:

- Szaleję za odważnymi mężczyznami, ale idź już.

Podbudowany tą deklaracją wysiadłem, a samochód natychmiast ruszył, skręcił w pierwszą przecnicę i zniknął mi z oczu. Normalne. Robią dużo hałasu, a w rozstrzygającym momencie zostawiają cię samego.

Okrzyłem budynek spokojnym krokiem. Wejście główne znajdowało się u zbiegu ulicy, przy której się zatrzymaliśmy, i Via Augusta. Były to szklane drzwi, na których wytrawiono kwasem nazwę firmy: Hiszpański Szachraj, sp. z o.o., i przez które było widać przestronny hol, portiernię oraz strażnika, osobnika odzianego w mundur (przynajmniej od pasa w górę, jako że reszta pozostawała niewidoczna za ścianą pomieszczenia), w chwili obecnej zatopionego w lekturze dość grubej książki o żółtych okładkach typowych dla dzieł z

gatunku sensacyjnego. Od czasu do czasu podnosił oczy znad książki i spoglądał na monitor telewizora. Obszedłem budynek naokoło i dotarłem do wejścia do garażu znajdującego się przy bocznej uliczce, a odgradzonego od niej kratą i drzwiami w głębi. To jednak nie mogła być i nie była przeszkoda dla kogoś, kto tak jak ja dysponował pilotem. Nacisnąłem przycisk, a wówczas krata odsunęła się po szynie w bok, a brama w górę. Po wejściu do środka ponownie wcisnąłem przycisk pilota, krata i brama wróciły na swoje miejsce, jak gdyby nigdy nic. W miejscu, w którym się znalazłem, panowały nieprzeniknione ciemności oraz fetor będący mieszaniną wilgoci, oparów paliwa i zapachu spod pachy goryla, charakterystyczny dla zamkniętych, a bywa że i dla otwartych garaży. Na podłodze nie zabrakło oczywiście grubej warstwy oleju i smarów, na której pośliznęły się moje eleganckie mokasyny. Upadłem jak długi i pojechałem, najpierw na boku, następnie na wznak, a wreszcie na brzuchu, aż do ściany, na której zatrzymałem się gwałtownie i boleśnie. Nie chciałem nawet myśleć, jak teraz wygląda mój seledynowy garnitur (pięćdziesiąt procent poliestru, pięćdziesiąt procent wiskozy), który zupełnie przypadkiem i w braku innego miałem na sobie owego dnia. To niewiarygodne, że budynek tak wspaniałe, nieomal symboliczny, ma taki syfiasty garaż - pomyślałem, stąpając ostrożnie i powoli, szukając po omacku drzwi prowadzących na schody, zaznaczonych na szkicu, na którym wszystko wyglądało znacznie prościej i bardziej dostępne niż w rzeczywistości. Wymacałem je i otworzyłem, obracając gałką. Za drzwiami również było ciemno jak w worku, ale czubkami mokasynów natrafiłem na krawędź stopni, co upewniło mnie, że jestem na dobrej drodze. Zacząłem wchodzić. Stopnie były z metalu lub czegoś podobnego i każdy mój krok rozbrzmiewał tak donośnie, jakbym ważył sześć ton (nie przekraczam wagi sześćdziesięciu czterech kilo) i nie zachowywał największej ostrożności. Hałas i mrok zbiły mnie z tropu do tego stopnia, że dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, iż nie wiem, na którym jestem piętrze. Powinienem był zapalić zapalniczkę, ale w garniturze nasączonym ropą mógłbym się zmienić w żywą pochodnię. Wróciłem więc do drzwi garażu i poszedłem w górę jeszcze raz, tym razem licząc stopnie i spoczniki. Gdy uznałem, że dotarłem na czwarte piętro i znalazłem odpowiednie drzwi, otworzyłem je i wszedłem. Do tego momentu nie natrafiłem na żadną przeszkodę, ponieważ były to schody ewakuacyjne, przygotowane do szybkiej ewakuacji budynku. Praca w takich warunkach sprawiała przyjemność.

Korytarz, do którego wszedłem, był na szczęście łagodnie oświetlony chłodnym światłem latarń z Vía Augusta, przefiltrowanym przez przyciemnione szkło fasady. Pozwoliło mi to odczytać z kartki z instrukcjami (nie mylić z kartką ze szkicem budynku) kod (1-1-1-1-1) i wcisnąć odpowiednie klawisze na tablicy umieszczonej nad drzwiami, zanim zdążył włączyć się alarm. Następnie uchyliłem się przed okiem kamery zawieszanej na wysięgniku, która, jak należało sądzić po braku czerwonego światelka, nie filmowała w tym momencie tego pomieszczenia, i zacząłem przebiegać kolejne korytarze, poczekalnie i biura, aż do sali konferencyjnej, gdzie na długim stole leżały w szeregu notesy oprawne w skórę, długopisy, podstawki pod szklanki oraz tabliczki z nazwami stanowisk i działów: Assistant Manager, Dział Rozwoju i Zasobów, Sekcja Synergetyki i inne. W głębi znajdowały się drzwi do gabinetu dyrektora. Do nich to skierowałem moje ciche kroki.

Drzwi były zamknięte. Na szczęście, zamek należał do super-bezpiecznych, a te otwiera się najłatwiej. Zawsze noszę przy sobie dwie wsuwki do włosów, grzebień i nożyczki, na wypadek, gdybym musiał kogoś pilnie ostrzyć. Dzięki temu specjalistycznemu sprzętowi i wrodzonej zręczności po kilku sekundach znalazłem się w środku.

Żaluzje były spuszczone i w gabinecie panował półmrok. Hałas dobiegający zza okna wskazywał na to, że stoję przy ścianie frontowej, od strony Vía Augusta. Nawet w tak skąpanym oświetleniu nie mogłem nie zauważyć wspaniałych mebli. Na zdjęciu w wytwornej ramce dystyngowany dżentelmen we fraku ścisnął rękę komuś, kto właśnie przypiął mu medal. Wyglądali na zadowolonych. Z pewnością znajdowało się tu więcej rzeczy, które

chętnie bym pooglądał, ale nie mogłem tracić czasu. Spojrzałem na zegarek, który po synchronizacji zatrzymał się na dobre, i przystąpiłem do ostatniego etapu mojej misji. Otworzyłem prawą szufladę. Leżała tam niebieska teczka wypchana papierami. Pod nią znajdowały się inne, ale żadna, przyniesiona do okna, nie sprawiała wrażenia niebieskiej, wobec czego odłożyłem je na miejsce. Po tej operacji niebieska teczka wylądowała na dnie szuflady i musiałem znowu przynieść wszystkie do światła, żeby odróżnić ją od pozostałych. Minuty biegły z właściwą sobie chyżością. Po zidentyfikowaniu z całkowitą pewnością niebieskiej teczki odłożyłem ją na bok, zamknąłem szufladę, z tylnej kieszeni spodni wyjąłem coś w rodzaju skorupiaka, który niegdyś był moją chusteczką, starłem nim ślady linii papilarnych, podkreślone jeszcze czernią smaru z garażu, zabrałem niebieską teczkę i wyszedłem.

Teczka miała zerwane gumki i musiałem obejmować ją, żeby dokumenty nie rozsypały się po korytarzu, co utrudniało mi marsz, a jeszcze bardziej orientację. Zanim dotarłem do schodów ewakuacyjnych, upłynęła długa chwila, a na schodach, choć usiłowałem do tego nie dopuścić, przekłeta teczka kilka razy wymknęła mi się z rąk. Musiałem po omacku pozbierać dokumenty i wcisnąć je do środka bez ładu i składu. Przeszkody te sprawiły, że gdy wyostałem się wreszcie na zewnątrz, byłem w stanie najwyższego pomieszania i musiałem dwukrotnie przejść wzdłuż ulicy, aby odnaleźć miejsce spotkania, do którego dotarłem cały spocony.

Nie było tam ani śladu samochodu, ani niczego, co by go przypominało. Oczekałem chwilę z teczką w ramionach, próbując uporządkować dokumenty, które przez moją niezręczność wyslizgiwały się z okładek, oraz usunąć za pomocą śliny i mocnego pocierania rękawem tłuste plamy od smaru. Po chwili obok mnie zatrzymała się taksówka, okno od strony pasażera zostało otwarte i ukazały się w nim twarz, szyja i górna część korpusu znajomej dziewczyny.

- Proszę wybaczyć niedociągnięcia - powiedziałem, podchodząc do niej - oraz mój stan, ale pośliznąłem się w garażu i teczka zachowała ślady tego wydarzenia. Zauważy pani, że papiery są w pewnym nieładzie, ale po ciemku...

- Ach, nie szkodzi, nie szkodzi - ucięła moje przeprosiny. - Najważniejsze, że wyszedłeś cało z tej próby i zdobyłeś teczkę. Ważniejsze to drugie niż to pierwsze. Dalej, daj mi ją, na co czekasz? To nie pora ani miejsce na flirty!

- A mężczyzna w masce? - zapytałem.

- Wolał nie pojawiać się osobiście, ze względów bezpieczeństwa. Uprzejmie prosi o wybaczenie.

Wręczyłem jej teczkę, chwyciła ją mocno, położyła na kolanach i zaczęła zamykać okno.

- Hej! - krzyknąłem. - A moje wynagrodzenie?

- Jutro, jutro - odpowiedział przytłumiony głos, który zawisł w powietrzu w miejscu, gdzie kilka sekund temu stała taksówka.

Pogoń nie przyniosłaby efektu, więc nie ruszyłem się, sam na pustej ulicy, czując, jak zalewa mnie nieprzyjemna pewność, że stałem się ofiarą banalnego oszustwa. Co gorsza, całkowicie zasłużenie. Pragnąc popisać się przed dziewczyną, którą teraz bez wahania nazwałbym perfidną, popełniłem najbardziej niewybaczalny błąd: nie zażądałem zaliczki. W ten sposób zostałem bez pieniędzy i bez dziewczyny. W geście rozpaczyny wzniosłem oczy ku niebu, a nie znajdując tam nic, na co warto by było popatrzeć, spuściłem je ponownie ku ziemi i ruszyłem wzdłuż Vía Augusta, w stronę przystanku, gdzie przyłączyłem się do kolejki pariasów oczekujących na nocny autobus.

3

Dotarłem do domu niedługo przez brzaskiem - cały, bezpieczny i zmęczony. Przebrałem się w opisaną wcześniej piżamę i przed pójściem spać spróbowałem za pomocą środka do wywabiania plam przywrócić garnitur do stanu sprzed upadku w garażu. Po pewnym czasie, znużony i otumaniony toksycznymi wyziewami wywabiacza, zasnąłem.

Po upływie godziny obudziłem się bez pomocy budzika (umiejętność, dzięki której zaoszczędziłem fortunę na bateriach), umyłem twarz, uczesałem się, ubrałem garnitur, z którego, kosztem przeraźliwego wymięcia i zaledwie kilku dziur, plamy prawie całkiem znikły, po czym z przykładową punktualnością udałem się do salonu.

Na szczęście, rano upłynął spokojnie, przynajmniej dla mnie, który zaszyłem się w kącie i spałem jak kłoda. Nieco przed dwunastą obudziła mnie kobieta, pytając, czy mógłbym rozjaśnić włosy. Powiedziałem, że tak, ale gdy dowiedziałem się, że chodzi o psa husky, wpadłem w gniew i wyrzuciłem ją z salonu. W chwilę potem zobaczyłem, że na półeczce z ustawionymi w nienagannym porządku aerosolami zostawiła gazetę, którą wchodząc, trzymała pod pachą, już to z zamiarem poczytania jej, już to, co bardziej prawdopodobne, w celu powstrzymania psa przed dokonaniem karygodnego czynu, ponieważ - jak wiadomo - instynkt skłania wiele zwierząt do zaznaczania swojego terytorium własnymi odchodami, a psy są wyjątkowo skłonne do praktykowania tej niewłaściwej formy kartografii natychmiast po wyjściu na ulicę.

Muszę wyznać, nie bez wstydu, że nie jestem gorliwym czytelnikiem periodyków, marnując to, co w nich najlepsze, to jest periodyczność. I to bynajmniej nie dlatego, że je lekceważę. Raczej wręcz przeciwnie, uważam, że periodyki mogą być cennym źródłem informacji pod warunkiem, że są czytane z należytą uwagą i w odpowiednim miejscu. Ja, niestety, nie wyrobiłem w sobie tego nawyku, ponieważ do domu wariatów przychodziły wyłącznie, z niezawodnym opóźnieniem, pojedyncze numery najróżniejszych dzienników, i nawet one stanowiły przedmiot rozbojów, bójek i sporów, ponieważ nic nie wzbudzało takiego zainteresowania, entuzjazmu i agresji pacjentów jak wiadomości i komentarze dotyczące Tour de France, który wszyscy z uporem maniaków uważali za trwający nieprzerwanie, a nie, jak to było w rzeczywistości, przez kilka tygodni lipca. Wskutek powyższego cała zawartość dziennika była interpretowana jako odnosząca się do Tour de France, z czego wynikały (jak zawsze, gdy zaślepienie zwycięża rozsądek) ożywione hermeneutyczne dyskusje oraz napaści słowne i czynne, nieodmiennie zakończone zdecydowaną interwencją naszych opiekunów i ich giętkich pałek. A wówczas wszyscy ruszaliśmy rączym peletonem, pedałując bez rowerów, ten w stylu Alexa Zulle, tamten Induraina, ów, bardziej skromnie, *à la* Blijevens lub Bertoletti, ktoś inny, z racji wieku, w stylu Martina Bahamontesa czy Louisona Bobeta. A to nie jest sposób czytania czasopisma z pożytkiem.

Wszystko to nie przeszkodziło mi jednak, gdy już znalazłem się w posiadaniu gazety pozostawionej w salonie (nie mając w tym momencie żadnego pilnego zajęcia), rzucić na nią okiem, przy czym mój wzrok padł dość szybko na informację umieszczoną na jednej ze środkowych stron, którą przytaczam w całości:

ZABÓJSTWO NIESZCZĘSNEGO PRZEDSIĘBIORCY

Wczorajszej nocy, to jest nocy z wczoraj na dzisiaj, został zamordowany znany przedsiębiorca M. P. (Manuel Pardalot), 56 lat, akcjonariusz i dyrektor firmy Hiszpański Szachraj. Do zbrodni doszło w jego gabinecie, do którego przybył poza godzinami pracy, jak oświadczył naszej gazecie strażnik budynku, tłumacząc, że zapomniał ważnych dokumentów, których, wedle słów tegoż, jak powiedział tamten, miał potrzebować następnego lub innego poranka. Znalazszy się w gabinecie, wspomniany przedsiębiorca (Pardalot) zmarł w wyniku siedmiu postrzałów, które uszkodziły najróżniejsze organy niezbędne mu do życia. Według źródeł bliskich zmarłego, został przewieziony do szpitala,

gdzie dotarł już jako trup i skąd został natychmiast wypisany. Cytowany powyżej strażnik, niejaki Santi, pracownik prywatnej agencji ochroniarskiej i dawny asystent na Uniwersytecie Pompeu Fabra, wyjaśnił, że nie słyszał nic podejrzanego ani nie zauważył, by ktoś obcy wchodził do budynku, do czego zresztą - oświadczył stanowczo strażnik - w żaden sposób by nie dopuścił z racji swojej funkcji, polegającej właśnie na tym, chociaż i owszem, przypomina sobie, że zobaczył wielokrotnie już wspomnianego, znanego, a obecnie zmarłego przedsiębiorcę M. P. (to jest Pardalota), który wszedł do budynku wkrótce po północy czasu lokalnego i z którym zamienił kilka słów, niewskazujących jednak na to, że ów zostanie zamordowany w tak krótkim czasie. Nie widział natomiast, aby z budynku wychodził wspomniany Pardalot ani nikt inny. Chociaż brak jeszcze wskazówek co do autorstwa zbrodni, policja zaprzecza, jakoby zamordowanie Padalota miało jakikolwiek związek z Tour de France.

Tej niepokojącej informacji towarzyszyło zdjęcie zmarłego, wykonane, jak rzucalo się w oczy, kiedy jeszcze żył w jego własnym gabinecie, tym samym, gdzie - według kroniki policyjnej - został zamordowany. Nie trzeba dodawać, że gabinet ów był tym samym, który odwiedziłem w noc zbrodni w celu wyniesienia zeń niebieskiej teczki. Szczegółowa analiza zdjęcia wykonana za pomocą okularów pożyczonych od pani Eulalii ze sklepu galanteryjnego potwierdziła moje podejrzenia.

Pan Mariano, właściciel kiosku, zrobił wielkie oczy, gdy zacząłem przeglądać inne gazety lokalne. We wszystkich pojawiała się informacja o zamordowaniu zmarłego pana Pardalota, ale żadna nie podawała szczegółów i nie wspomniała o mnie w związku z tym pożałowania godnym incydentem. Przyniosło mi to pewną ulgę, aczkolwiek niewielką.

W południe zamknąłem salon i po zasięgnięciu wskazówek w przewodniku, który pożyczyle mi koncesjonariusze sklepu papierniczo-księgarskiego Sowa (pan Mahmud Salivar i pani Pinol), wróciłem autobusem na miejsce zbrodni. Przed gmachem nie tłoczyli się gapie, nie stali też przed nim umundurowani policjanci. Wejście główne, to przeszklone, wyglądało na zamknięte, już to z powodu oficjalnej żałoby ogłoszonej przez firmę, już to dlatego, że osoby kompetentne prowadziły śledztwo w najściślejszej tajemnicy. Z tyłu budynku, w pobliżu bramy garażowej, zobaczyłem mężczyznę, który wpatrywał się w ścianę. Podeszedłem do niego i zapytałem, czy ustalono już, jaki był motyw morderstwa. Odwrócił się zdziwiony, a wtedy stwierdziłem, że to nie policjant, lecz przechodzień oddający moc. O mało mnie zresztą nie opryskał.

Wróciłem przed wejście główne i przystanąłem. Przez szybę widziałem dwóch osobników dyskutujących zażarcie. W jednym z nich rozpoznałem, a przynajmniej tak mi się wydawało, strażnika, którego gazety określały mianem Santi, a którego czujność zmyliliśmy ubiegłej nocy, my, to jest kreślący te słowa, a następnie morderca lub mordercy zmarłego Pardalota. Nic dziwnego, że robiono mu teraz nieziemską awanturę. Drugiego osobnika, dojrzałego dżentelmena o posiwiałych włosach, ubranego w elegancki, trzyczęściowy, popielaty garnitur, nigdy nie widziałem, ale z jego wyglądu i zachowania wydedukowałem, że nie był policjantem, lecz wysokim rangą pracownikiem firmy. Byłbym chętnie przyłączył się do nich i zadał kilka pytań, ale odradzała mi to ostrożność i świadomość, że salon nie powinien zbyt długo pozostawać bez opieki. Wsiadłem więc do autobusu tej samej linii jadącego w przeciwnym kierunku i otworzyłem salon z zaledwie dziesięciminutowym opóźnieniem — troska równie godna pochwały, co zbędna, ponieważ nikt na mnie nie czekał i nikt nie pojawił się w ciągu kilku kolejnych godzin. Dopiero za kwadrans ósma przyszła pani Pascuala, by przyciąć jej końcówki, a zauważywszy po chwili moje posępne milczenie i przeraźliwe partactwo, stwierdziła:

- Bardzo dzisiaj milczący.

Na co odpowiedziałem ponurym pomrukiem, ponieważ w mojej głowie przez całe popołudnie zbierały się czarne chmury podejrzeń. A wówczas pani Pascuala podniosła się z

fortela, nie czekając, aż skończę, i zrywając z siebie pelerynkę, wyszła z salonu, krzycząc:

- Jesteś nadętym maniakiem i fircykiem! A tak sympatycznie wyglądałeś na początku!

Pani Pascuala była właścicielką sklepu rybnego Tuńczyk, w którym niczego nie kupowałem od czasu, gdy przed laty ona sama, pani Pascuala, sprzedała mi, po niebotycznej cenie stu pięćdziesięciu peset za kilo, wspaniałego okonia, który w chwilę później, pieczołowicie ułożony przeze mnie na patelni, błyskawicznie stracił kolor, smak, płetwy, łuski, formę i konsystencję, zachowując tylko jeden ze swoich pierwotnych atrybutów: nieznośny i uporczywy abisalny fetor, którego pozbyłem się dopiero po wielokrotnym okadzaniu mieszkania. Nie to jednak (dawne dzieje) spowodowało moje szorstkie zachowanie wobec pani Pascuali, lecz jej gwałtowne odejście nie pozwoliło mi udzielić stosownego wyjaśnienia. Gdy w porze kolacji opowiedziałem o wszystkim pani Marghericie, przyjaciółce pani Pascuali (zaopatrującej się w jej sklepie w sardele w marynacie, które następnie, w liczbie trzech i zakamuflowane pod pomidorem, atakują i kaleczą język, podniebienie i dziąsła osoby, która popełniła straszliwy błąd zamówienia pizzy neapolitańskiej), ta westchnęła i opowiedziała, że po moim pojawieniu się w dzielnicy pani Pascuala żywiła w stosunku do mojej osoby pewne nadzieje, które moja obojętność wkrótce rozwiła.

- Ale to nie powód, żeby mnie obrażać - odparłem - a tym bardziej, żeby sprzedawać mi rozpuszczalnego okonia. Nigdy nie zauważyłem jej względów, a nawet gdybym je zauważył, nie zmieniałbym postępowania: w pani Pascuali nie podoba mi się ani fizjonomia, ani charakter, ani w ogóle nic.

- No i co z tego? - odpowiedziała pani Margherita ze zdrowym rozsądkiem cechującym nierozumne kobiety, dorzucając tym samym kolejną rozterkę do tych, które już mnie dręczyły.

*

Przed wejściem do domu upewniłem się, że w pobliżu nie pęta się nikt podejrzany. Następnie wśliznąłem się do bramy, nie zapalając światła, wszedłem po schodach, otworzyłem drzwi do mojego niezbyt dzisiaj ukochanego - i to bynajmniej nie z powodu jego skromności - apartamentu, zajrzałem do środka, zobaczyłem, że jest w takim stanie, w jakim go zostawiłem, wróciłem na korytarz i zapukałem cicho do sąsiedniego mieszkania. Drzwi uchyliły się natychmiast, korytarz zalało czerwone światło, a od jego tła odcięła się sylwetka kobiety odzianej w skórę od stóp do głów, trzymającej w jednej ręce pejcza, a w drugiej irygator.

- Cześć, Purines - szepnąłem. - Przeszkadzam?

- Nie, coś ty - odrzekła moja sąsiadka. - Czekałam na klienta, ale obawiam się, że już nie przyjdzie, bo umówił się na szóstą, a dzwonił w parafii właśnie wybił dziesiątą. W czym mogę pomóc?

W ciągu wielu lat mieszkania przez ścianę stosunki sąsiedzkie między Purines a mną zawsze były wyśmienite. Ja prowadziłem życie regularne i wyjątkowo ciche. Ona natomiast przyjmowała o każdej porze dnia i nocy wyselekcjonowaną klientelę podejrzanych dżentelmenów, którym spuszczała przeraźliwe cięgi. Znosili je, jęcząc z rezygnacją, a w kulminacyjnym momencie wyli z rozkoszy i krzyczeli: Barça! Barça! Jako że ścianka działowa między naszymi mieszkaniami nie była szczególnie dźwiękochłonna, nie traciłem najdrobniejszego szczegółu z tych hucznych imprez, ale nigdy się nie skarżyłem, gdyż komuś przyzwyczajonemu do pandemonium domu wariatów, gdzie spędziłem większą część życia, wrzawa ta nie przeszkadzała ani czytać, ani oglądać telewizji, ani spać twardo jak noworodek. Często oddawaliśmy sobie drobne przysługi, tak typowe dla sąsiadów: odebrać przesyłkę pod nieobecność adresata, wpuścić hydraulika, nakarmić kota (jej), pożyczyliśmy sobie przyprawę i tym podobne. A pewnego dnia, gdy klient Purines zmarł w szczytowym momencie rozkoszy, z przyjemnością pomogłem jej wynieść go z mieszkania i zawlec na ławkę, gdzie zostawiliśmy go w pozycji siedzącej, wkładając w rękę dodatek kulturalny „ABC”.

- Purines - powiedziałem - muszę poprosić cię o pomoc, ponieważ chyba wpakowałem się w tarapaty. Kilka nocy temu dokonałem kradzieży z włamaniem. Myślałem, że sprawa jest czysta, ale później kilka szczegółów sprawiło, że powziąłem pewne podejrzenia.

- Stary, bardzo się cieszę - odrzekła Purines. - Wyglądałeś tak oficjalnie, że aż się przestraszyłam. Co mogę zrobić?

- Ty zawsze jesteś w domu - powiedziałem. - Obserwuj moje mieszkanie i powiadom mnie, jeśli ktoś tu przyjdzie podczas mojej nieobecności.

- Załatwione - powiedziała. - Coś jeszcze?

- Tak - powiedziałem. - Masz może talk?

- Jasne - odparła. - A jak inaczej wciskałabym się w to przebranie?

Podziękowałem Purines za życzliwość, pożegnałem się, rozsypałem talk na podłodze korytarza, zamknąłem się w mieszkaniu, położyłem się i zasnąłem szybko jak ktoś, kto ma nieczyste sumienie, ale jest wykończony.

Następnego ranka na warstwie talku w korytarzu zobaczyłem wyraźne odciski męskich butów o dość dużym rozmiarze, jakie mogłyby należeć do człowieka bardzo wysokiego i barczystego albo bardzo nieforemnie zbudowanego. Ślady szły od schodów do moich drzwi i od moich drzwi do schodów. Ktokolwiek je zostawił, nie chciał wchodzić do mieszkania, widząc, że jestem w środku. Zamiotłem talk, aby nie narazić się na słuszny gniew wspólnoty sąsiedzkiej, i wyszedłem, zostawiając drzwi uchylone, żeby intruzi, jeśli wrócą, przynajmniej nie wyłamali mi zamka.

W salonie kłódka przy metalowej rolicie została otwarta, lecz nie uszkodzona, dzięki Bogu, bo kosztowała furę pieniędzy. W środku panował pozorny ład. W rzeczywistości jednak każda rzecz została podniesiona, a następnie odłożona na swoje miejsce. Wyłącznie doskonała znajomość zasobów zakładu pozwoliła mi dostrzec zniknięcie flakonika oliwki do włosów. Najwyraźniej rewizja była dziełem marnego zawodowca ze skłonnościami do tłustych cieczy. Poza tym dzień przebiegł bez zdarzeń godnych wzmianki. Nawet więcej: bez żadnych zdarzeń.

Lecz wieczorem, wracając do domu, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ustaliłem, że chodzi o człowieka wysokiego wzrostu, ponieważ jego kroki rozbrzmiewały w ciszy pustych ulic w proporcji jeden jego na dwa moje. Poszedłem zygzakiem, a on zrobił to samo. Przystanąłem przed witryną sklepu, jakby w najwyższym stopniu zainteresowany sprzętem rehabilitacyjnym (wkładkami, obuwiem ortopedycznym, pieluchami oraz innymi artykułami dla osób mających problemy z utrzymaniem moczu), a mój prześladowca zatrzymał się kilka metrów za mną. W szybie dostrzegłem odbicie jego postaci, rysy twarzy i ubiór, a wszystkie te trzy elementy przypominały czarnego kierowcę z limuzyny. Poszedłem dalej i za rogiem schowałem się do bramy. Kiedy wysoki mężczyzna mijał ją, wyskoczyłem z ukrycia i zapytałem:

- Czego pan chce?

O mało nie zemdłał. Krzyknął, podskoczył i podniósł ręce do serca.

- Tak się nie robi, *carambwa!* - zawołał, ochłoniwszy nieco z przestachu. — Byłbym dostał zawału!

- Zasłużył pan na to, śledząc mnie o tej godzinie - odparłem. - A może myśli pan, że z przyjemnością spaceruję po tych niezbyt bezpiecznych ulicach, w samotności nocy, ze zbirem deptającym mi po piętach?

- Nie śledziłem pana - zaprotestował kierowca. - Próbowałem tylko pana dogonić. Ale zaczął pan iść slalomem, a ponieważ słabo widzę i nie znam dzielnicy, gdyby nie zatrzymał się pan przy wystawie, na pewno zderzyłbym się z latarnią. Poza tym nie myślałem, że pan mnie zauważy.

- Człowieku, dwumetrowego Murzyna w stroju szofera naprawdę trudno przeoczyć - odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie uważnie, jakby zastanawiał się, czy mnie uścisnąć, czy rozbić mi głowę pięścią. Wytrzymałem jego wzrok, usiłując ukryć pietra, bo z bliska wszystko w nim było straszne. Mierzył znacznie więcej niż ja, zarówno na długość, jak i na szerokość, i zdecydowanie był Murzynem. Miał mało przyjazny wyraz twarzy, a na dodatek ze skręconych i tłustych włosów ściekały mu strużki cieczy, które spływały za kołnierz koszuli, i dalej, pewnie aż do skarpetek, co uświadomiło mi, że to właśnie ten osobnik włamał się do salonu, zrabował flakonik z oliwką do włosów i wylał go na siebie bez zastanowienia. Sądząc po rozmiarze butów, to również on zostawił ślady na talku w korytarzu. Jednakże jego postawa, ton głosu i zachowanie nie zdradzały złych zamiarów, wręcz przeciwnie: raczej lekką sympatię.

- Popatrz pan, a ja sądziłem, że my, Murzyni, jesteśmy wszyscy jednakowi - skomentował. - Przynajmniej w mojej wsi tak jest. Fakt, tam nie chodzimy w strojach szoferów. No tak, na to nie wpadłem. Ale nie zbaczajmy na wzgórza Ugandy. Przyszedłem do pana z wiadomością. Nie ode mnie, rzecz jasna, ale od osoby, którą pan zna.

- Od pańskiego zamaskowanego szefa? - zapytałem.

- Nie, od panieki Ivet - odparł. - Na pewno wie pan, o kogo chodzi.

- Nie znałem jej imienia. Dlaczego nie przyszła osobiście? - zapytałem.

- Panieka Ivet nie powiedziała mi, dlaczego. Ale gdy pan usłyszysz jej wiadomość, sam pan się domyśli. Wiadomość brzmi następująco: zrób to, co ci każe, albo typ, który przekazuje ci tę wiadomość, skreśli ci kark. Zrozumiał pan?

- Tak - powiedziałem. - Ale wolałbym rozmawiać bezpośrednio z panieką Ivet.

- Będzie pan musiał zadowolić się mną.

- - A jeśli odmówię, naprawdę skreśli mi pan kark?

- Byłbym wdzięczny, gdyby nie wystawiał mnie pan na próbę — odpowiedział kierowca. - Nie jestem dzikusiem. Mam tylko na względzie powszechne dobro.

- Postawa ta przynosi panu zaszczyt, a mnie radość - powiedziałem. - Od razu uznałem pana za prawego człowieka. Z wielką przyjemnością wysłucham, co ma mi pan do przekazania, a ze swej strony, jeśli nie widzi pan przeszkód, chętnie zadam kilka pytań o charakterze ogólnym i szczegółowym.

- Dobrze - odpowiedział kierowca po chwili wahania. - Ale zostawiłem samochód źle zaparkowany, a wie pan, że ci od dźwigu zupełnie nie dbają o karoserię. Jeśli chce pan wysłuchać wiadomości i nawiązać dialog, proszę pójść ze mną do samochodu. Zapraszam pana na coś mocniejszego.

Przyjmując zaproszenie, nie miałem nic do stracenia, więc poszedłem z nim do miejsca, gdzie zaparkował w drugim rzędzie na jezdni. Nie stała tam jednak limuzyna, lecz seat z owej szczęśliwej epoki, kiedy każdy pojazd otrzymywał błogosławieństwo biskupa i wyjeżdżał z fabryki uwieczniony na filmie przez NO-DO. Na widok mego zdziwienia i rozczarowania Murzyn wyznał, że limuzyna była wynajęta.

- Za to ten gruchot jest mój - dorzucił. - Nigdy nim nie jeżdżę, wie pan? Tak naprawdę w dzisiejszych czasach samochód jest tylko symbolem statusu, podobnie jak okulary progresywne czy elegancka bielizna, dwa elementy, które zamierzam nabyć tak szybko, jak tylko pozwolą mi oszczędności. Integracja to klucz do sukcesu.

- Nie musi pan mi mówić - przytaknąłem.

Wsiadliśmy do samochodu, włączył silnik, ruszyliśmy i już po chwili zatrzymaliśmy się przed wejściem do nocnego lokalu, który wyglądał na dawną fabrykę przerobioną na bar i który był dawną fabryką przerobioną na bar, przy czym transformacja ta nie objęła ani jej upiększenia, ani uprzątnięcia, ani wywietrzenia. Zanim weszliśmy, zapytałem go, czy zna ten lokal. Odpowiedział, że nie, że nigdy nie postąpił tu jego stopa oraz że wybrał go tylko dlatego, że przejeżdżając obok, zobaczył miejsce do parkowania. Zresztą, dodał, bar wydaje mu się gościnny i spokojny, mimo neonu w kształcie swastyki jarzącego się nad drzwiami i

napisu na ścianie MURZYNY KURWISZONY DO GAZU, już to dlatego, że przyznawał tym szczegółom funkcję czysto dekoracyjną, już to dlatego, że był głupi i niedowidział. Na szczęście, o tej godzinie jedyną osobą w barze był właściciel — muskularny olbrzym z torsem pokrytym tatuażem przedstawiającym kardynała Goma - który na nasz widok porzucił przetaczanie beczki piwa i wyszedł do nas, witając uprzejmymi słowami:

- Nie chcę tu ani pedałów, ani szympansów. -

- Niech pan nie mówi tak głośno - szepnąłem mu do ucha. - Jego wysokość sułtan Brunei nie przepada za takimi żartami. Chciałby pan mieć rollsa kabrio? To proszę wskazać nam dobry stolik, podać coś do picia, ściszyć muzykę i zadbać, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Jego wysokość nie cierpi popularności. Dlatego właśnie przebiera się za kierowcę.

Tarzan zaprowadził nas do stolika w głębi i wrócił z drinkiem firmowym (pół litra ginu i pół litra wódki) oraz porcją oliwek, których wolałem nie kosztować, widząc, że farsz się rusza. Jako że mój układ trawienny źle znosi napoje alkoholowe, a głowa jeszcze gorzej, pozwoliłem, żeby mój towarzysz zaopiekował się zawartością obu szklanek. Następnie poprosiłem tarzana, żeby napelnił je ponownie, a mojego towarzysza, żeby przekazał mi wiadomość od pani Ivet.

- Jest bardzo prosta - powiedział kierowca. - Ma pan zachować milczenie co do wydarzeń tamtej nocy. To znaczy nocy kradzieży. Nigdy pan nie widział pani Ivet, a pani Ivet, jak wskazuje jej imię, nigdy nie widziała pana. Nawet na obrazku. Nie mówię tego ja, tylko ona, takimi właśnie słowami: nawet na obrazku. Dla mnie nie ma to sensu. W naszej wiosce nie używamy obrazków do takich celów. Zrozumiał mnie pan?

- Tylko w połowie.

- Dlatego że jestem czarny?

- Nie. Dlatego że sprawy są bardziej skomplikowane, niż wyglądają - odpowiedziałem.

- Co kradzież niebieskiej teczki ma wspólnego z zabójstwem pana Pardalota? Czy chodzi o zwykły przypadek, czy o precyzyjnie skonstruowany plan? Co zawiera niebieska teczka? Dlaczego przyjechała po nią pani Ivet taksówką, a nie mężczyzna w masce limuzyną prowadzoną przez pana? Czy mężczyzna w masce był panem Pardalotem, a pani Ivet córką mężczyzny w masce, a co za tym idzie, córką pana Pardalota?

- Nie umiem panu odpowiedzieć — powiedział mój rozmówca — ponieważ w tych kwestiach jestem, jak pan widzi, zielony. Pozostawiwszy pana przed biurami, pokręciliśmy się trochę po okolicy. Pani Ivet bardzo się zdenerwowała, powiedziała, że nie czuje się dobrze i że musi natychmiast wysiąść. Mężczyzna w masce kazał mi stanąć i pani Ivet wysiadła. Pokręciliśmy się jeszcze trochę i o umówionej godzinie wróciliśmy na umówione miejsce. Ale pana nie było. Czekaliśmy przez chwilę, a pan nie przyszedł. Mężczyzna w masce kazał mi odjechać. Zapytałem, dokąd sobie życzy. Odparł, żebym ruszał, a on mi powie, gdzie mam stanąć. Kazał mi się zatrzymać przy ciemnym placyku Sarria albo Pedralbes. Niech pan się zatrzyma, powiedział. Zatrzymałem się, zapłacił mi, wysiadł, a ja odjechałem. Czy był, czy nie był panem Pardalotem, tego nie potrafię powiedzieć. Ani na moment nie zdjął maski i nie powiedział: jestem Pardalot. Co zresztą na nic by się nie zdało. Spokojnie mógłby skłamać, ponieważ nigdy wcześniej nie widziałem pana Pardalota. Mogę panu powiedzieć tylko jedno: kiedy go zostawiłem, był żywy. W lusterku wstecznym widziałem, że skręca w przecznicę, nadal w masce, i znika za rogiem. Potem straciłem go z oczu. Jeśli coś mu się później stało, ja nic nie widziałem. Nic więcej nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Podczas tej przemowy wypił dwa drinki i stał się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej rozmowny. Powiedział mi, że nazywa się Magnolio. Nie było to jednak jego prawdziwe imię, lecz imię nadane przez misjonarza podczas chrztu. Naprawdę nazywał się Luis Gonzaga, ponieważ urodził się dwudziestego pierwszego czerwca. Magnolio, jak mi opowiedział,

wyemigrował do Barcelony (albo przyimigrował, w zależności od punktu widzenia) dwanaście albo trzynaście lat temu. Mimo że nie znał żadnego języka oprócz swojego, został zatrudniony jako kierowca. Nie umiał prowadzić samochodu, ale jako że na wszystkie pytania odpowiadał „tak”, co w jego języku znaczy „nie”, nikt się nie zorientował. Chociaż już wtedy cierpiał na daleko posuniętą krótkowzroczność, w swoim kraju wykształcił doskonały węch, z nawiązką rekompensujący mu słaby wzrok, dzięki czemu w nocy bez świateł był w stanie rozpoznać, czy znajduje się w mieście czy na wsi i czy toalety na stacji benzynowej nadają się do użytku, czy nie.

Gdy zakończył tę zwięzłą, lecz treściwą autobiografię i wypił jeszcze dwa drinki, jego rysy złagodniały, stały się szlachetne.

- Jest pan dobrym człowiekiem - powiedział, podając mi łąpsko. - Zauważyłem to od razu. Czy chce pan być moim przyjacielem? Ja chcę być pańskim.

Zapewniłem go, że jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi, i zapytałem, czy długo zna fałszywą Ivet.

- O tak, co najmniej trzy, cztery lata, co w tropikach równa się dziesięciu latom znajomości - odpowiedział.

Jednakże, przyciśnięty dalszymi pytaniami, przyznał, że niewiele o niej wie — zna jedynie garść szczegółów, które sama mu opowiedziała albo dała do zrozumienia, i kilka pogłosek zasłyszanych tu i ówdzie. Zdaje się, że Ivet mieszkała przez jakiś czas za granicą.

Pracowała tam (to znaczy za granicą) jako modelka dla renomowanych projektantów mody i zarabiała sporo forsy. Następnie z jakiegoś powodu wróciła. Jeśli jej ojciec był, na co wszystko wskazywało, panem Pardalotem, mogłaby żyć wygodnie, nie kiwnąwszy palcem, ale panienska Ivet była bardzo niezależna, tak że otworzyła własny interes. Oczywiście, mogło być tak, dodał Magnolio, że panienska i Ivet nie była córką pana Pardalota, co obaliłoby poprzednią hipotezę. Tak czy owak, panienska Ivet miała firmę usługową.

W asortymencie usług świadczonych przez firmę panienski Ivet znajdował się on, Magnolio, wyjaśnił mi ówże. Gdy ktoś potrzebował kierowcy, panienska Ivet wynajmowała go na tygodnie, na dni, a nawet na godziny. Za inne usługi (na przykład dostarczenie przesyłki albo wymianę opony) pobierał dodatkową opłatę. Do tej pory, jeśli pamięć nie myliła Magnolia, nigdy nie wynajęto go do popełnienia przestępstwa takiego jak tamtej nocy. Poza tym nigdy przed wspomnianą datą nie widział pana Pardalota ani w masce, ani bez maski.

Chętnie zapytałbym go o inne rzeczy dotyczące panienski Ivet, i ale Magnolio, udzieliwszy tych jakże szczegółowych wyjaśnień i zapewniwszy mnie o szczerości swych przyjacielskich uczuć, uderzył czołem w blat stołu i zaczął chrapać. Zawolałem właściciela baru i powiedziałem mu, że sobie idę.

- Jego wysokość sułtan Brunei - dodałem, wskazując na śpiącego Magnolia - ma *jet lag*. Proszę dopilnować, żeby niczego mu nie zabrakło. Jego wysokość zapłaci panu, kiedy się obudzi.

Opuściłem lokal w chwili, gdy swoją obecnością zaszczycał go, uzbrojeni w pałki, noże i łańcuchy, wnukowie kobiet, które niegdyś zaszczycały swoją lokale takie jak Grill w Ritzu i Salón Rosa.

*

Z samego rana stałem już w kiosku pana Mariano, przeglądając prasę naszego miasta, w której bez trudu znalazłem to, czego szukałem. To znaczy:



Manuel Pardalot i Pernilot
urodzony w Olot
Prezes firmy Hiszpański Szachraj
Odszedł wczoraj w wieku 56 lat obrachunkowych
po otrzymaniu siedmiu ran postrzałowych

oraz błogosławieństwa papieskiego.

Pozostające w nieutulonym żalu były żony: Montserrat, Jeniffer, Donatella, Tatiana Grigoriwna, Liu Chao Fei i Montserrat bis, córka Ivet i pozostali krewni, wspólnicy,

współpracownicy,

pracownicy i przyjaciele

proszą o modlitwę za wieczny spokój jego duszy.

Pogrzeb odbędzie się o godzinie 10.00

w parafii Niepokalanego Poczęcia.

Indywidualnych zaproszeń nie wysyłamy.

W salonie czekała mnie nieprzyjemna niespodzianka. Poprzedniego dnia, z powodu burzliwej, jeśli można to tak ująć, wymiany zdań z panią Pascualą, zapomniałem zostawić otwarte drzwi wejściowe. Przywitała mnie przecięta kłódka przy rolocie, a w salonie panował straszliwy bałagan. Bogu dzięki, nie skradziono niczego, a klientela o tak wczesnej porze nie była liczna. Ustawiłem wszystko na swoim miejscu, pozamiatałem, starłem kurze, umyłem szyby i punktualnie kwadrans po dziewiątej Powiernik Pań otwierał swoje podwoje dla klientów jak gdyby nigdy nic. Ale incydent ten wzbudził mój niepokój, ponieważ oznaczał, że Magnolio nie był jedyną osobą, która mnie śledziła i przeszukiwała moje włości.

O dziewiątej trzydzięci tego samego ranka, wobec braku jakiegokolwiek klienta, udałem się do wypożyczalni kaset wideo pana Boldo, mieszczącej się dokładnie naprzeciwko salonu, i powiedziałem do pana Boldo:

- Panie Boldo, muszę pilnie wyskoczyć na godzinkę. Proszę rzucić okiem na salon, a jeśli pan zobaczy, że ktoś wchodzi, proszę powiedzieć, że zaraz wracam. Jeśli będzie trzeba, proszę włączyć mu jakiś film wideo, a ja później zapłacę za wypożyczenie kasety.

Wsiadłem do autobusu i dotarłem do parafii Niepokalanego Poczęcia dziesięć po dziesiątej. Nie musiałem o nic pytać, ponieważ ubrany na popielato dżentelmen, stojący w drzwiach świątyni, wręczył mi kartonik potwierdzający, że pan Pardalot rozpoczął lepsze życie na tamtym świecie. Dałem mu pięć duro i wszedłem. Założyłem, że rodzina zmarłego zajmie najlepsze miejsca, to jest pierwszą ławkę od ołtarza, i utorowałem sobie drogę w tłumie wypełniającym nawę, rozdając na przemian ciosy łokciem i szturchańce lub słowa pociechy i współczucia, aż dotarłem do pierwszego rzędu. Siedziała tam faktycznie grupa kobiet w żałobie, szepejących z pochylonymi głowami, i mężczyźni w dobrze skrojonych garniturach, błędzący wzrokiem gdzieś w górze, podczas gdy kapłan mełł w ustach zdania rozsądne, stosowne i pochlebne. Starając się nie zakłócić skupienia obecnych, podszedłem do młodej kobiety siedzącej na skraju ławki i szepnąłem jej do ucha:

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Nieboszczyk i ja byliśmy nierozłączni. Czy wiadomo coś o motywie zbrodni?

- Kim pan jest? - zapytała, rzucając mi krzywe spojrzenie.

- Sugrañes, agent ubezpieczeniowy - odpowiedziałem. - Jeśli poda mi pani nazwisko i stopień pokrewieństwa, powiem, czy została pani uwzględniona w polisie.

- Co za bzdury pan opowiada? - odparła. - Jestem Ivet Pardalot, córka zmarłego Pardalota, i dziedziczę cały ten kram.

- Niemożliwe - powiedziałem. - Córka Pardalota jest powalająca, a pani, nie obrażając, nie dorasta jej do pięt.

Miała odpowiedzieć, ale ksiądz przerwał swój bełkot i, pokazując w naszą stronę, powiedział: .

- Ej, wy w pierwszym rzędzie, może byście się tak uciszeli.

Na te słowa kobieta ponownie przybrała strapiony wyraz twarzy, a ja ukloniłem się i rozpocząłem odwrót.

W kruchcie zebrało się pięciu panów dyskutujących gorąco na temat niewystawienia

Romera w meczu z Celta Vigo.

- Czy mogę panów o coś zapytać? - przerwałem im.

- Niech pan pyta, o co zechce, dobry człowieku — odpowiedział jeden w imieniu wszystkich - ale przedtem powiem panu coś, czego pan nawet nie podejrzewa: dzisiaj futbol przestał być sportem i stał się interesem jak każdy inny.

- Strzelił pan w dziesiątkę! - wykrzyknąłem i zapytałem: - Czy znali panowie zmarłego, świeć Panie nad jego duszą?

- Jasne - odpowiedział drugi, jako że pierwszy pograżył się w rozmyślaniach nad znaczeniem wygłoszonego przed chwilą werdyktu dla świata. - A pan nie?

- Byliśmy nierozłączni - stwierdziłem. - I bardzo przyjaźniłem się z jego czterema córkami.

- Chyba pomylił pan pogrzeby - zasugerował trzeci. - Tutejszy corpus insepultus to Manuel Pardalot, który miał tylko jedną córkę, Ivet, z pierwszego małżeństwa.

- Ivet? - upewniłem się. - Blondynka, wysoka, śliczna, z niesamowitymi nogami?

- Nie, drogi panie; brunetka, niska, szkaradna, z nogami jak dwie marchewki.

- Rzeczywiście - przyznałem. - Musiałem pomylić dzień, godzinę, kościół i nieboszczyka. Dobrej zabawy życzę panom.

Kwadrans po jedenastej stałem już z powrotem w salonie. Pan Boldo poinformował mnie, że podczas mojej nieobecności w zakładzie nie było żywej duszy. Powiedziałem, że byłem na pogrzebie znajomego, podziękowałem mu serdecznie za uprzejmość i rozeszliśmy się do naszych zajęć.

Resztę dnia poświęciłem na porządkowanie danych zebranych do tej pory i spoglądanie od czasu do czasu na drzwi salonu, na wypadek, gdyby wszedł jakiś klient, co jednak nie nastąpiło.

Z wydarzeń, jakie zaszły do tej pory, mogłem wyciągnąć następujące wnioski: a) dziewczyna, która powiedziała, że jest Ivet Pardalot, nie była Ivet Pardalot, jeśli ta, która mówiła, że jest Ivet Pardalot, faktycznie jest Ivet Pardalot; b) mężczyzna w masce, który powiedział, że jest Pardalotem, mógł faktycznie być Pardalotem, chociaż bardziej prawdopodobne było, że nim nie jest, natomiast najprawdopodobniej jest c) zabójcą prawdziwego Pardalota albo jeśli nie bezpośrednim wykonawcą, to z pewnością mózgiem całej operacji oraz, patrząc z każdego punktu, jej sprawcą moralnym, a co gorsza d) nadal pozostaje przy życiu i Bóg jeden wie, czy właśnie w głowie pod jego maską nie lęgną się myśli o kolejnych zabójstwach (choćby i mnie); e) lub f) z powyższego nie można wywnioskować, czy perfidny człowiek w masce nie jest ojcem dziewczyny udającej Ivet Pardalot (a nie będącej nią) i czy udawał go za jej wiedzą i zgodą, czy też naprawdę jest jej ojcem, co oczyszcza ją z zarzutu kłamstwa, nie zwalniając jednak z zarzutu wielu gorszych kłamstw g) i perfidnych oszustw.

Na tym etapie zakończyłem gimnastykę umysłową, chociaż mówiąc szczerze, jej rezultatów nie uznałem za zadowalające. Nie dysponowałem jednak większą liczbą danych, z których mógłbym wyciągnąć lepsze wnioski.

Około godziny czwartej mój szwagier Viriato przybył do salonu na inspekcję. Nie cierpiałem tych sporadycznych wizyt i bałem się ich, ponieważ Viriato, który wobec rodziny był przykładnym synem, wyrozumiałym (i troskliwym) mężem, uprzejmym szwagrem, człowiekiem grzecznym i taktownym wobec bliźnich, jednym słowem, prawdziwym koteczkim, w sprawach związanych z pracą stawał się wymagający i nieugięty, żeby nie powiedzieć, despotyczny, szczególnie gdy rachunek wyników dawał wyniki tak skromne jak te, które przedstawiałem mu zazwyczaj. Wtedy odkładał na bok swoje nienaganne maniery i zasypywał mnie wyrzutami, oskarżeniami oraz groźbami, nazywał — bezpodstawnie - bezczelnym próżniakiem i zawadą, a niekiedy nawet posuwał się do ręko- i nogoczynów, lekce sobie ważąc moje logiczne wyjaśnienia, obejmujące argumenty takie jak konsekwencje

(pośrednie) traktatu w Maastricht czy zły stan suszarki elektrycznej. Co do traktatu, próbowałem mu przetłumaczyć, że Viriato i ja niewiele mogliśmy zrobić, ale co do suszarki, sytuacja wymagała zastosowania środków nadzwyczajnych, ponieważ w ciągu ostatnich dwóch lat pięcioro klientów (obecnie eks-klientów) musiało zostać odwiezionych przez pogotowie do ambulatorium z drobnymi obrażeniami ciała, odniesionymi wskutek wadliwego funkcjonowania pewnych urządzeń.

- Bo spędzasz całe dni - odpowiedział Viriato, oglądając lokal w poszukiwaniu pretekstu do odrzucenia mojej kolejnej prośby o suszarkę - gadając z klientkami o pierdołach.

Zamierzałem właśnie wygłosić mowę w obronie mojej uczciwości, pracowitości i lojalności wobec firmy, kiedy inna znacznie pilniejsza sprawa przykuła moją uwagę.

- Słuchaj, Viriato - powiedziałem. - Wiem, że pytanie jest cokolwiek niedyskretne, ale czy masz może wszczepiony rozrusznik?

-Nie.

- To spieprzajmy stąd - powiedziałem - bo od jakiejś chwili słyszę tykanie, od którego przechodzą mnie ciarki.

Zaledwie przekroczyliśmy próg, powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk, otoczył nas kłęb dymu, poczuliśmy na plecach ogień i odbyliśmy krótki lot, podczas którego na próżno próbowałem złapać przelatujące obok najróżniejsze elementy wyposażenia salonu (suszarka, fotel, miednica), przemieszczające się znacznie szybciej ode mnie ze względu na mniejszy ciężar właściwy.

Po dzielnicy lawirowała jeszcze fala uderzeniowa, rozbijając szyby wystaw sklepowych, gdy wylądowałem na przeciwległym chodniku, przed wypożyczalnią kaset wideo pana Boldo, pośród licznej publiczności, która nieodmiennie i niezwłocznie gromadzi się wszędzie tam, gdzie bliźni doznaje jakiejś krzywdy. Przed sprawdzeniem, czy nadal składam się z wszystkich i tych samych części, przepelzłem po najbliższej okolicy, pozbierałem rozrzucony sprzęt i zabezpieczyłem go przed pożądlivością ewentualnych szabrowników, w drugiej kolejności zająłem się sobą, a na końcu zainteresowałem się losami szwagra, który - jak skwapliwie poinformował mnie jeden z sąsiadów - miał fuksa i spadł na markizę sklepu owocowo-warzywnego pani Consuelo, a zatem nie został nawet draśnięty, chociaż chwilowo stracił słuch, wzrok, władzę w członkach, pamięć i nieco masy. Uspokojony co do jego stanu, pozostawiłem go pieczy gapiów próbujących go reanimować, a przede wszystkim usunąć z jego nozdrzy wiązkę bananów, i pobiegłem umieścić ocalony sprzęt na swoim miejscu, to jest w zrujnowanym salonie, na którego fasadzie napisałem zwęglonym trzonkiem szczotki:

OFERTA SPECJALNA

10% zniżki

podczas prac renowacyjnych i rozbudowy

Po czym odszukałem szczotkę oraz łopatkę i spróbowałem pozamiatać na kupę gruz, okruchy szkła, kawałki stopionego plastiku, popiół, gałgany i konfetti (pochodzące z czasopisma „Tydzień w 10 minut”), sporządzając jednocześnie bilans strat. Pograżonego w tym zajęciu zastała mnie policja, która - powiadomiona przez jakiegoś przechodnia - z właściwym sobie pośpiechem przybywała na miejsce katastrofy.

- Dziękuję panom za przybycie, panowie posterunkowi. Czym mogę służyć? - zapytałem z udawanym entuzjazmem, wołałbym bowiem, żeby zostali gdzieś na drodze, regulując ruch, niż przyjeżdżali zadawać mi kłopotliwe pytania. .

Moje obawy okazały się jednak nieuzasadnione, ponieważ przedstawiciele prawa (miejskiego) ograniczyli się do rzucenia okiem na lokal i zapytania, czy to był butan.

- Tak, proszę panów - odpowiedziałem. - Miałem włączony piecyk, mimo doskonałego klimatu, jaki oferuje nam za darmo Zarząd Miasta, i zaniedbałem niezbędne środki ostrożności. Ale konsekwencje wypadku są nieznaczne, ponieważ agencja ubezpieczeniowa

pokryje większą część naprawy drobnych uszkodzeń.

Viriato, który doszedłszy do siebie, wrócił do salonu po marynarkę, buty i lewą nogawkę spodni, usłyszał moje słowa, a gdy stróże ładu wyszli, napadł na mnie:

-I po cóż żeś naopowiadał im kłamstw? Doskonale wiesz, że nie płacimy składki od roku osiemdziesiątego siódmego!

- Viriato - powiedziałem - obawiam się, że wpakowaliśmy się w niezłe tarapaty i że będzie lepiej, jeśli spróbujemy wypłatać się z nich na własną rękę. Tym razem cudem wyszliśmy z tego cało. Następnym razem może być gorzej. Wracaj do swoich zajęć, nie opowiadaj nikomu, co się tu stało, i trzymaj się z daleka ode mnie.

Gdy zaczął zapadać zmierzch, zakończyłem wymiatanie gruzu na ulicę, prowizorycznie połączyłem wszystkie kawałki rury, przez którą płynęły teraz jednocześnie woda, gaz i prąd, odtworzyłem lustro, sklejjąc jego fragmenty plastrem. Suszarka elektryczna stała się całkowicie bezużyteczna, a fotel stracił ramiona i oparcie. Kiedy głowiłem się, jak zaradzić tym brakom, do salonu wszedł osobnik o chwiejnym kroku i niezwykle bladej cerze, co wzbudziło we mnie podejrzenie, że być może jest to trup. Raz czy dwa zdarzyło mi się golić, czesać i upiększać nieboszczyka, ale nigdy takiego, który przyszedłby do mnie o własnych siłach. Wobec powyższego i jako że nie było czasu na wdawanie się w drobiazgowy rozważania, wskazałem mu resztki fotela. Przybysz roześmiał się i wykrzyknął:

— *Arbucias!* Widzę, że nie poznał mnie pan!

Wpatrzyłem się w jego fizys ze zdwojoną uwagą i odkryłem, że stoi przede mną Magnolio.

- Jak miałem pana poznać? - zapytałem. - Przedtem był pan czarny.

- A pan biały - odpowiedział kierowca.

- Wysmarowałem się sadzą - powiedziałem. I

- A ja mąką - oznajmił. Potem rozejrzał się dokoła i dodał: - Nawet bez okularów widzę, że podłożyli panu bombę. Zasłużył pan na nią figlem, jaki spletał mi pan wczoraj wieczorem. Ale nie wybieliłem się i nie przyszedłem tu po to, żeby wypominać panu jego zachowanie, lecz by przemknąć się niespostrzeżenie i przekazać nową wiadomość od pani Ivet. Tymrazem chce pana zobaczyć. Mówi, że jej życiu grozi niebezpieczeństwo. Jej, a także pańskiemu. Obu. A być może i mojemu. Tego pani Ivet nie powiedziała, lecz dodaję sam, z własnej inicjatywy. Pani Ivet mówi, że w tej sytuacji zagra z panem czysto, nie tak jak poprzednio. I dodaje, że połączonym wysiłkiem możecie wyjść z matni, w którą wpędził was pech. Przewidując odpowiedź odmowną, pani Ivet nalegała, żebym nalegał i żebym panu powiedział, że spotykając się z nią, nie ma pan nic do stracenia, bo stracił już pan wszystko.

- Gdzie mielibyśmy się spotkać? - zapytałem.

- W bezpiecznym miejscu - odpowiedział kierowca. — Zawiozę pana. Proszę się wyzybyć podejrzeń. Miałem wiele okazji, by pana załatwić, i nie zrobiłem tego. Mógłbym załatwić pana tu i teraz, gdybym zechciał. Ochoty mi nie brakuje. Nie wstyd panu było nadużyć mojej przyjaźni, upić mnie i porzucić w tej jaskini? W dodatku z jakąś bajką o rolls-royse. Rozbiłbym panu łeb i kilka kości, gdyby pani Ivet wyraźnie mi tego nie zabroniła.

- Cieszę się. Tylko tego by mi jeszcze brakowało! - wykrzyknąłem. - Niech pan popatrzy na mój salon. Co ja zrobię bez suszarki elektrycznej?

Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Sprawdziłem, która jest godzina. W wyniku eksplozji na zegarze ściennym został tylko sekundnik, co utrudniło mi zadanie, ale wyliczyłem, że powinna być godzina zamknięcia salonu, postanowiłem więc odłożyć do następnego dnia prace remontowe i poświęcić chwilę moim drugoplanowym zajęciom.

- Przyjechał pan samochodem? - zapytałem Magnolia.

- Tak, proszę pana - odpowiedział kierowca. - Stoi tu nieopodal. Nawet pan nie wie, jak łatwo jest zaparkować bez okularów.

- Dobrze - powiedziałem. - Proszę mi pomóc osadzić drzwi w zawiasach i pójdę z

panem, dokąd pan zechce.

Na rogu ulicy Bailen Magnolio zatrzymał samochód, wskazał jeden z budynków i powiedział: .

-To tu. Czwarte piętro, drzwi C. Czeka na pana. Ja przyłączę się do was, gdy tylko znajdę miejsce do parkowania.

Udałem się we wskazane miejsce, znalazłem drzwi C i nacisnąłem dzwonek. Drżący głos natychmiast zapytał, kto to. Na jego dźwięk mój gniew i uraza rozwiały się jak dym.

- Nie bój się, ślicznotko - powiedziałem, starając się ukryć zadyszkę (trzecie piętro na piechotę). - To ja: twój błędny rycerz, twój galaktyczny bohater, twój superman.

- Kto? - powtórzył drżący głos.

- Fryzjer - uściśliłem.

Falszywa (i obłudna) Ivet uchyliła drzwi, zobaczyła, że stoję za nimi ja, i wpuściła mnie. Wyglądała na przestraszoną i zdenerwowaną. Gdy tylko wszedłem, zamknęła drzwi i zasunęła rygle. Dopiero wówczas zapaliła światło w przedpokoju, kwadratowym pomieszczeniu, którego jedyną dekoracją stanowiła kasa i z którego wychodził krótki i mroczny korytarz. Powietrze było gęste i bez zapachu, jakby mieszkanie pozostawało zamknięte od wielu dni. Przeszliśmy do dość dużego salonu, którego środek zajmowały składany stół i cztery składane krzesła. Z sufitu zwisała żarówka osłonięta szarym papierem. Ivet wskazała mi krzesło i powiedziała:

- Oto mój dom i biuro czy też, jak wolę je nazywać, agencja. To stare mieszkanie, podzielone obecnie na wiele mniejszych; moje podzieliłam jeszcze na dwie części. W głębi znajdują się pokoje prywatne. Wchodzę tam tylko ja i ludzie, którym na to pozwalam.

Druga część mieszkania, w której znajdujemy się obecnie, pełni funkcję biura. Dekoracja zapewne wyda ci się skąpa. Otóż wynajmuję wyposażenie w zależności od prowadzonej aktualnie operacji handlowej. W ten sposób mogę się lepiej dostosować do indywidualnych cech każdego klienta. Gdy mam do czynienia z cudzoziemcami, zamawiam kataloński modernizm; gdy z Katalończykami — meble w stylu włoskim. Niekiedy wystarcza mata. Ale odbiegam od tematu. Czy napijesz się czegoś? Mam tradycyjne napoje.

- Pepsi-colę?

- Nie.

- To nie, dziękuję.

- Przyniosę ci wodę - powiedziała.

Odeszła korytarzem i weszła w boczne drzwi. Ponieważ płynęły minuty, a ona nie wracała, zajrzałem do sąsiedniego pokoju. Tam także żaluzje były spuszczone, a okiennice zamknięte, tak że nie było prawie nic widać. Wydało mi się, że dostrzegam szafę i nieposłane jednoosobowe łóżko. Na podłodze leżało porozrzucane ubranie. W powietrzu unosił się ciepły zapach, typowy dla osób młodych i czystych, śpiących samotnie. Wróciłem do pustego salonu w tym samym momencie co Ivet ze szklanką wody, którą wypilem jednym haustem, bo po krótkiej wizycie w sypialni zaschło mi w gardle. Ivet wyglądała na spokojniejszą: nie okazywała lęku, uśmiechała się i była w gawędziarskim nastroju.

- Opowiem wszystko po kolei - zaczęła. - Nie jestem córką Pardalota, o czym już wiesz, bo rano byłeś na pogrzebie Pardalota i poznałeś autentyczną Ivet. Moje prawdziwe imię brzmi Lila... nie, Lala..., nie, Lulii... W końcu, czy to ważne? Załóżmy, że ja też nazywam się Ivet; życie jest pełne zbiegów okoliczności. Prowadzę agencję usługową, w której obecnie się znajdujemy. Nie chodzi o usługi, jakie mógłby sobie wyobrazić ktoś złośliwy na widok mojej nienagannej figury, ale o inne, gorsze. Lepiej opowiem ci o wszystkim.

Historia Ivet była w głównym zarysie zbieżna z tym, co poprzedniego wieczoru w barze opowiedział mi Magnolio. Kiedyś była modelką w Nowym Jorku, ale potem wróciła do Barcelony i tu (w Barcelonie) założyła agencję cateringową dla oszustów. Za określoną cenę agencja Ivet dostarczała wszystkiego, co niezbędne do popełnienia oszustwa dowolnego typu,

zarówno narzędzi, jak i personelu. Przykładem mógł być Magnolio, a obecnie także ja. Wybierała osobę lub osoby najodpowiedniejsze do przeprowadzenia danej operacji, rozmawiała z nimi, przekonywała je w sposób, jaki uznawała za właściwy, a wreszcie, jeśli ich praca była satysfakcjonująca, sumiennie im płaciła. Niestety, tym razem sprawy nie potoczyły się tak jak zwykle, zakończyła.

Zamilkła na chwilę, po czym widząc, że nic nie mówię, kontynuowała:

- Kilka tygodni temu skontaktował się ze mną osobnik, który przedstawił się jako Pardalot. Nie był Pardalotem, tylko kimś, kto go udawał, ale ja wówczas o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero, gdy zobaczyłam w gazetach zdjęcie prawdziwego Pardalota. Domniemany Pardalot podał mi twoje dane i powiedział, żebym udała jego córkę, jego, to znaczy Pardalota, i żebym cię namówiła do wykonania prostej i bezpiecznej robótki. To, co ci opowiedziałam, usłyszałam właśnie od niego: że chce wynieść pewne dokumenty z własnego gabinetu, żeby uniknąć płacenia podatków albo ukryć, że ich nie płacił, albo coś w tym stylu, i że ty nadajesz się do tego idealnie. Początkowo nie zrozumiałam jego planu. Jeśli chciał usunąć dokumenty z własnego biura, najprościej byłoby udać kradzież, to znaczy powiedzieć, że ktoś je wyniósł, i pozbyć się ich w jakiś sposób. Natomiast plan domniemanego Pardalota niósł ze sobą poważne ryzyko, choćby takie, że złapią cię na gorącym uczynku. Ale domniemany Pardalot odpowiedział, że nic nie może się nie udać. Wszystko jest przygotowane, żeby kradzież odbyła się bez przeszkód - wyjaśnił. Nawet zamek w drzwiach gabinetu został przygotowany tak, żeby każdy matoł mógł otworzyć go za pierwszym podejściem. Najważniejsze, powiedział domniemany Pardalot, żeby złodziej zostawił jakiś ślad swej wizyty: odciski palców, odrobinę włosów lub spermy, żeby można było zbadać jego DNA. I jakby to miało nie wystarczyć, historia z telewizją przemysłową była nieprawdziwa. Strażnik cię nie widział, to fakt, ale kamera owszem i wszystko zostało nagrane. W ten sposób, po uzyskaniu dokumentów, domniemany Pardalot mógł pokazać film przedstawiający twoje wejście do budynku i kradzież.

Doszedłszy do tego punktu opowieści, fałszywa Ivet wstała, podeszła do okna, otworzyła je i rozchyliła lekko blaszki żaluzji, żeby wpuścić nieco powietrza, ponieważ to w mieszkaniu było już niemal wyczerpane. Zadbala przy tym, żeby ewentualny obserwator nie dostrzegł, co się dzieje w środku.

- Ale i tak - zauważyłem, kiedy wróciła do stołu - plan nie trzyma się kupy. Mając moje odciski i film, prędzej czy później policja odszuka mnie, a ja opowiem, że to sam Pardalot wynajął mnie, żebym okradł biura Szachraja Hiszpańskiego, własność Pardalota, czyli jego własne biura.

- To samo zastrzeżenie wysunęłam ja - stwierdziła Ivet. - Ale słysząc je, domniemany Pardalot wybuchnął śmiechem. Od tej strony, powiedział, nic mu nie grozi. Właśnie znalazł, dodał, nie przestając się śmiać, idealnego wykonawcę planu, to jest człowieka o nieskazitelnej przeszłości, najbardziej statecznego i prostodusznego z ludzi zamieszkujących nasze miasto.

Mówiła o mnie. Czytelnik wybaczy mi, jeśli w tym punkcie opowieści wyjawię coś, co on (niesprawiedliwy czytelnik) odkrył zapewne już wcześniej, a to dlatego, że do momentu, gdy udzielono mi tego wyjaśnienia, żywiłem próżne przekonanie, że zostałem wybrany przez tę laskę i jej domniemanego i pierdolonego ojca (RIP) ze względu na moją niegdyś całkiem znaczną reputację w kręgach złodziei, szubrawców, bezwstydników i innych łotrów, a nawet - po cóż zaprzeczać - ze względu na skłonność, jaką poczuła do mnie Ivet, poruszona moją powierzchownością, elegancją ubioru, sympatycznym charakterem, manierami, a na koniec zdolnościami uwodzicielskimi. Zbyt późno przypomniałem sobie biedną panią Pascualę ze sklepu rybnego, której bezczelność wobec mojej osoby nabrała teraz (w świetle bolesnego rozczarowania) pełnego i nieodwołalnego znaczenia.

- Najprawdopodobniej, dodał Pardalot - ciągnęła Ivet, nieczuła na wyraz rozgoryczenia, jaki musiał ukazać się na mojej twarzy - policja nigdy do ciebie nie dotrze. Poświęć kilka dni

na przeszukanie archiwów i zamkną sprawę. A nawet gdyby cię znaleźli, on wszystkiemu zaprzeczy, a ponieważ jest poważną osobistością, a ty żalosnym fryzjerem, uwierzą raczej jemu. Co do ciebie, nic by ci się nie stało. Przy twojej nieskazitelnej opinii i wyglądzie gamonia sąd uzna, że popełniłeś kradzież w chwili niepoczytalności, i wyśle cię na jakiś czas do ośrodka psychiatrycznego. Podobno są jak sanatoria. Ale morderstwo wszystko skomplikowało.

- O jakim morderstwie mówisz? - zapytałem.

- Jeszcze nie powiązałeś wątków? - zapytała. - Domniemany Pardalot nie był Pardalotem. I nie chodziło o to, żeby ukraść dokumenty należące do Pardalota, tylko żeby zamordować prawdziwego Pardalota i zrzucić winę na niewinnego człowieka, który - nawiasem mówiąc - ma twoje linie papilarne i twoją twarz.

- To jakiś absurd - odparłem. - Ja nie zabiłem Pardalota, ani domniemanego, ani prawdziwego, ani żadnego innego.

- A jak masz zamiar to udowodnić? - zapytała. - Oczywiście, możesz iść na policję i opowiedzieć im, co się stało, ale kto ci uwierzy? Pozostawienie odcisków palców w pobliżu trupa i swojego wizerunku na taśmie nagranej w noc zbrodni na miejscu zbrodni, nie jest peccata minuta. Ale jeśli mimo wszystko postanowisz iść na policję, muszę cię uprzedzić, że przysięgnę, że nigdy cię nie widziałam, a Magnolio robi to samo. Nie bierz mi tego za złe. Nikt nie lubi pakować się w cudze tarapaty, zwłaszcza gdy jego własna sytuacja nie jest zbyt czysta. Z drugiej strony, nie jestem do końca przekonana, że faktycznie nie zabiłeś prawdziwego Pardalota. Ledwie cię znam. Możesz być psychopata.

- Mogę, ale nim nie jestem - stwierdziłem - i tu jest pies pogrzebany. Bo jeśli ja nie jestem mordercą, a ktoś zamordował Pardalota, musimy uznać, że w tym momencie na wolności jest morderca, który cię zna i ma aż nadto powodów, by cię uciszyć. Dlatego wysłałaś Magnolia, żeby przeszukał moje mieszkanie i salon, żeby śledził mnie i wyciągnął na spytki. Chciałaś sprawdzić, czy zabiłem Pardalota. Następnie, przekonana o mojej niewinności i o naiwności Magnolia, sprowadziłaś mnie tutaj. Po co? .., -

- Żeby ci pomóc. Nie ufasz mi?

- Nie - odrzekłem stanowczo. - Co więcej, uważam, że jesteś podstępna, bezwzględna i samolubna jak Dalila, Salome, Mumia i inne złe kobiety, które przeszły do historii ze względu na okrucieństwo, dwulicowość i szachrajstwa. Ale jeśli zaproponujesz mi rozsądny układ, wysłucham cię.

- I dobrze zrobisz - powiedziała, nie okazując urazy. - W rzeczywistości sytuacja jest poważniejsza, niż myślisz. Powodowana złym podszeptem, w noc zbrodni ukradłam niebieską teczkę. Myślałam, że uda mi się odsprzedać ją Pardalotowi. Kiedy odkryłam, że osoba, która mnie wynajęła, nie jest Pardalotem, a prawdziwy Pardalot został zamordowany, chciałam oddać teczkę za darmo, ale nie wiedziałam, komu. Oni, kimkolwiek są, nie wiedzą jeszcze, że to ja ją mam. Z pewnością sądzą, że masz ją ty. Dlatego chciałam cię uprzedzić. Prędzej czy później będziesz miał ich na karku.

- Już mam - wycedziłem. - Kilka godzin temu podłożyli bombę w moim salonie. Jak widzisz, wyszedłem z tego bez szwanku, ale straty materialne są znaczne.

- Przykro mi - szepnęła.

- Za skruczę nie kupi się suszarki elektrycznej - odparłem sucho. - Gdzie jest niebieska teczka?

- W sejfie banku.

Nie uwierzyłem w to, ale dyskusja na temat tego trywialnego szczegółu nie doprowadziłaby donikąd. Najważniejsze było ocalenie obu naszych skór.

- Czy masz pojęcie, kto może stać za tym wszystkim? - zapytałem. - Kto mógłby mieć interes w wyeliminowaniu Pardalota, a może wiesz chociaż, kim był Pardalot?

- Nie. Wiem tylko to, co napisano w gazetach.

- W takim razie od tego musimy zacząć - stwierdziłem.
- Jak?
- Bardzo prosto: wracając do biur Hiszpańskiego Szachraja, spółka z o.o.
- To bardzo niebezpieczne - powiedziała.

- Równie niebezpieczne jak siedzenie i czekanie na następną bombę - powiedziałem. - Za to jeśli przejmujemy inicjatywę, przez krótki czas będziemy górą, ponieważ nasi przeciwnicy, uważając nas za słabych, a siebie za silnych, na pewno nie zachowają ostrożności. W takich przypadkach to, co najtrudniejsze, jest zawsze najłatwiejsze, właśnie dlatego, że wydaje się trudne. Czy Magnolio to osoba zaufana?

- Tak - potwierdziła. - Chociaż został ochrzczony, zachował uczciwość bałwochwalców i w odróżnieniu od wielu dżentelmenów, którzy zachowują się wobec mnie jak nieokrzesani prostacy, on, który jest nieokrzesanym prostakiem, zawsze zachowywał się wobec mnie jak dżentelmen. Osobą, której nie wiem, czy mogę zaufać, jesteś ty.

- Musisz podjąć to ryzyko. Zostań tutaj i nie otwieraj nikomu. Skontaktuję się z tobą. A teraz do widzenia.

Odprowadziła mnie do drzwi. Zanim je otworzyła, pchnięta niewytłumaczalnym impulsem (albo etykietą przedsiębiorczą), uściśniła mnie i, nawiązując do czyhających na zewnątrz niebezpieczeństw, szepnęła mi do ucha:

- Uważaj na siebie, serduszko.

Poczułem na piersi drżące ciepło jej delikatnych kształtów (pełnych), a ponieważ od wielu lat nie nawiązałem z żadnym ludzkim ciałem kontaktu fizycznego (te w autobusie się nie liczą), nie wiem, jak bym zareagował, gdyby moment nie był tak mało stosowny do okazywania uczuć. Ale w tej sytuacji uścisk Ivet raczej mnie przygnębił. Pożegnałem się więc jeszcze raz i zbiegłem ze schodów najszybciej jak mogłem. Na ulicy spotkałem Magnolia oglądającego z satysfakcją swój samochód, którego maska zrosła się teraz z częścią samochodu stojącego z przodu.

- Panienska Ivet kazała mi powiedzieć panu, że dzisiaj już nie potrzebuje jego usług - powiedziałem. - Co do mnie, już nie musi pan mnie śledzić ani wpychać nochała w moje sprawy. Natomiast bardzo by się przydało, gdyby został tu pan przez chwilę na straży. Proszę się upewnić, że panienska Ivet nie opuści budynku. Gdyby to zrobiła, proszę iść za nią tak, by tego nie zauważyła. Wiem, że śledzenie ludzi nie jest pana specjalnością, ale proszę nie tracić ducha: praktyka czyni mistrza. I proszę przyjść do mnie jutro rano, zdać mi sprawę z tego, co się wydarzyło.

Około jedenastej, bez kolacji, pojawiłem się przed budynkiem Hiszpańskiego Szachraja i obejrzałem go uważnie z bezpiecznej odległości. Światła w gmachu były wygaszone wszędzie oprócz holu, gdzie w swojej kanciapce siedział na straży strażnik. Nie ten, co kiedyś, ale inny, w średnim wieku, z brzuszkiem, łysy i z gęstym wąsem. Tacy są najlepsi.

Skręciłem za róg i stanąłem przed bramą garażową. W tej (bocznej) uliczce nie było żywego ducha. Wyjąłem z kieszeni pilota, którego kilka nocy wcześniej dał mi mężczyzna w masce, aby ułatwić mi wejście do tegoż budynku (właśnie przez garaż), a który został w kieszeni mojego garnituru, potem zaś przeleżał u mnie w domu, dokąd po niego poszedłem przed przyjściem tutaj. Nacisnąłem przycisk. Krata odsunęła się po szynie w bok, a brama w górę, jak już opowiadałem w stosownym miejscu tymi samymi słowami. Wejście do budynku przez garaż byłoby dla mnie pestką, ale powstrzymałem się, uznając, że na pewno zmienili kod do alarmu, ze względu na to, że poprzedni nie na wiele im się zdał, zwłaszcza Pardalotowi.

Zostawiłem otwartą bramę, wróciłem po własnych śladach, stanąłem naprzeciw przeszklonych drzwi i zacząłem dawać znaki strażnikowi, aż zauważył moją obecność, pokazał, że biura są już nieczynne, a następnie, z wymowną mimiką dotykając kolejno swojej pałki i pewnej części swojego ciała, poinformował mnie, gdzie mi włoży tę pierwszą, jeśli nie

zostawię go w spokoju. Na co odpowiedziałem jeszcze bardziej sugestywnymi gestami i minami, więc wstał, zapiał pas, który dla wygody miał rozpięty, i wywijając pałką, podszedł do drzwi i otworzył je.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam - powiedziałem szybko - ale mam powód. Widzi pan, mieszkam tu niedaleko, w tej pięknej dzielnicy, i, przechodząc przed momentem boczną uliczką, po drodze do domu, zauważyłem, że brama garażowa pańskiego budynku, to znaczy tego budynku, jest otwarta. Rzekłbym, że na oścież. W poczuciu obywatelskiego obowiązku zajrzałem do środka i wydało mi się, że widzę jakąś podejrzaną postać w garażu. Jasne, że mógł to być po prostu wytwór mojej wyobraźni. Jestem strachliwy z natury. I mam skłonności do reumatyzmu. Nie to co pan, który jest dzielny, odpowiedzialny i wspaniały.

Strażnik podrapał się pałką poniżej pleców, myśląc intensywnie, po czym powiedział:

- Pójdę się rozejrzeć. A pan niech się stąd nie rusza i niczego nie dotyka.

- Proszę się nie obawiać. Popilnowanie pańskiej kanciapy będzie dla mnie zaszczytem - odrzekłem, wślizgując się do holu. - Aha, i proszę nie zapomnieć wyłączyć alarmu, zanim patrol albo pan sam uruchomicie go, powodując harmider. Ludzie w dzielnicy są drobiazgowi i nie chciałbym, żeby mieli do pana pretensje, jeśli okaże się, że były to tylko moje przywidzenia.

Strażnik zamknął przeszklone drzwi, ścisnął trzonek pałki, uderzył się w kaburę, żeby sprawdzić, czy ma pistolet, wyłączył alarm z klawiatury i zniknął w drzwiach w głębi holu.

Gdy tylko zostałem sam, wpadłem do jednej z wind, wjechałem na czwarte piętro, odszukałem gabinet Pardalota, jeszcze raz sforsowałem zamek i wszedłem do środka. Wszystko wyglądało tak samo jak w noc zbrodni. Wydawało się niemożliwe, by w tym tak elegancko umeblowanym pomieszczeniu znaleziono trupa. Pośpiesznie przetrząsałem szuflady, segregatory i szafy, lecz niczego nie znalazłem: z pewnością dokumenty zmarłego zostały zarekwirowane przez sędziego śledczego na mocy przepisów kodeksu postępowania karnego. Widząc, że w gabinecie nie ma nic ciekawego, wróciłem do sali konferencyjnej. Nie spodziewałem się tu interesujących znaleźsk, ale przynajmniej mogłem napchać kieszenie długopisami.

Nic z tego jednak nie wyszło. W nieskazitelnie czystej szybie drzwi zarysowała się serdelkowata sylwetka strażnika z pałką wzniesioną do ciosu. Podczas gdy przekręcał master key w zamku do sali (konferencyjnej), wycofałem się do gabinetu Pardalota i zamknąłem drzwi w momencie, gdy strażnik i jego pałką wchodzili do sali. Coś musiał zauważyć, bo ruszył prosto do gabinetu i otworzył drzwi. Ponieważ nie było tam żadnego parawanu, ścianki działowej czy wnęki, gdzie mógłbym się schować, pozostawało mi jedynie wycofać się w gęstszy mrok. Wpadłem jednak na jakiś mebel i narobiłem hałasu. Strażnik zatrzymał się w wejściu, zajmując je prawie całkowicie swoim korpulentnym cielskiem. Nie wypuszczając pałki, sięgnął ręką do pistoletu i zapytał:

- Kto tu jest? Proszę wyjść z rękami w górze albo strzelam!

Już miałem się poddać, kiedy głos głęboki, czysty, pewny siebie, głos z za grobu, odpowiedział za mnie:

- Cześć, to ja, Pardalot.

Strażnik opuścił pałkę, odwrócił się na pięcie i jak z procy wypruł z gabinetu i z sali konferencyjnej. A ja byłbym zrobił to samo, gdyby nogi nie ugięły się pode mną.

Wspominając teraz tamto zdarzenie, zastanawiam się, czy moje oszołomienie odezwaniem się ducha należy przypisać strachowi czy zdumieniu, gdyż choć nie jestem takim ignorantem, by nie wiedzieć, że ofiary krwawych i straszliwych zbrodni często wracają na miejsce śmierci (słusznie zwane „miejsce zbrodni”), podzwaniając łańcuchami, grzechocząc kośćmi, wyjąc, jęcząc i wydając z siebie inne dźwięki w celu siania popłochu, zawsze myślałem, że zjawiska te mają miejsce w krainach egzotycznych takich jak Węgry czy Japonia, pośród zmarłych, szlachetnie urodzonych, i do głowy by mi nie przyszło, że w ich

poczet dołączy podejrzany przedsiębiorca kataloński w sanktuarium swojego gabinetu. Chociaż w przeszłości miałem już przelotne spotkania z duchami, dość szokujące i niewyjaśnione przez naukę w sposób satysfakcjonujący, nigdy nie natknąłem się na ducha tak bezczelnego ani tak pewnego siebie, jako że są one z natury raczej nieśmiałe, jak przystało na byty (albo niebyty) przywykłe do tego, że wszędzie spotykają się z niechętnym przyjęciem. Rozważania te nie mają już zresztą najmniejszego znaczenia, jako że owej nocy głos Pardalota, powód mego przestachu, osobiście rozwiązał tajemnicę, dorzucając po krótkiej chwili:

„Chwilowo nie mogę rozmawiać. Po usłyszeniu długiego sygnału proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu, a ja oddzwonię najszybciej, jak to będzie możliwe”.

Zrozumiałem, że, cofając się i trącając biurko, uruchomiłem niechcący automat zgłoszeniowy, z którego dobiegł wkrótce niepewny kobiecy głos:

„Dzwonię z kwaciarni. Chodzi o kwiaty, które zamówił pan na wtorkową kolację u Reinony. Bardzo proszę zadzwonić do nas i powiedzieć, co mamy robić”.

Wysłuchałem owego niezrozumiałego i błędnego (w moim odczuciu) nagrania, przebiegając salę konferencyjną niby daniel (który to przeżuwać przemieszcza się bardzo szybko) i wskakując do kabiny windy, która zwiózła mnie na parter. Tam prześliznąłem się po doskonale wyfroterowanej podłodze do kanciapki i padłem na krzesło, dokładnie w momencie, gdy strażnik pojawił się w drzwiach w głębi holu, w których zniknęła kilka minut wcześniej.

- Czy ujrzał pan coś niezwykłego, nieulekły strażniku? - zapytałem, usiłując ukryć falowanie klatki piersiowej.

- Nic - odpowiedział, usiłując ukryć szczykowanie zębami.

- Bo widzę pana bladym i spoconym - powiedziałem - i gdyby nie był pan strażnikiem, rzekłbym, że pan się zeszczał. A pałka?

- Przykro mi - uciał - ale nie jestem upoważniony do komentowania wydarzeń mających miejsce podczas służby w rozmowach z ludnością cywilną. Proszę odejść i zachować top secret.

Po czym z papierowej torby wyjął butelkę wódki i pociągnął z niej spory łyk, a następnie pokazał mi ręką, spojrzeniem i oddechem, bym wyszedł.

- Po powrocie do domu czekała mnie nieprzyjemna niespodzianka. Liczyłem się wprawdzie z tym, że podczas mojej nieobecności mogą przeszukać mieszkanie, lecz nie sądziłem, że okażą mi tak mało względów. Meble były przewracane, a zawartość szaf i szuflad rozrzucona po podłodze, jakby włamywacze, niezadowoleni z wywrócenia wszystkiego do góry nogami, grali sobie w siatkówkę moimi ukochanymi rzeczami osobistymi. Szybki przegląd mieszkania wykazał, że nie znikło nic oprócz jogurtu z lodówki. Zapukałem do Purines i zapytałem ją, czy coś zauważyła. Powiedziała, że tak, że około ósmej doszedł do jej uszu przeraźliwy huk dobiegający z mojego mieszkania, ale uznała, że nie powinna dociekać, co się stało, ani zawiadamiać policji. Podziękowałem jej i zapewniłem, że zrobiła to, co najlepsze dla wszystkich, to znaczy dla siebie i dla mnie.

- Stary, nie wiem, w co się wplątałeś, ale powinieneś znaleźć coś pośredniego między dawnym życiem a obecnym - powiedziała. I z miejsca dodała: - Musisz sobie poszukać jakiejś dziewczyny, porządnej, z twoją klasą i założyć rodzinę.

Najwyraźniej wszyscy mieli zamiar mnie ożenić.

— Nie rób takiej miny, chłopie — zaśmiała się Purines, wyczytując z mojej twarzy zmieszanie i niechęć. - Jadłeś kolację? Właśnie przyniosłam z supermarketu pół tuzina frankfurterek, które wołają: zjedz mnie! Czuj się zaproszony.

Byłbym chętnie przyjął jej propozycję, ponieważ nie jadłem kolacji ani też obiadu (z powodu bomby), ale nie chciałem odkładać na później porządkowania mojego maltretowanego mieszkania ani sprawiać Purines dodatkowego kłopotu, odrzuciłem więc

zaproszenie, wyrażając zarazem najgłębszą wdzięczność i nadzieję, że w niedalekiej przyszłości dotrzymam jej towarzystwa przy posiłku. Dodałbym więcej eleganckich słów, gdyby nie wstrzymało mnie przeraźliwe ziewnięcie.

- Rób, jak chcesz - powiedziała Purines. - Ja tylko chciałam ci pomóc.

A po chwili, gdy już trzymałem rękę na klamce, dodała ciszej i z pewnym wahaniem:

- Nie jestem od dawania ci rad, ale uważaj na siebie. Ta dziewczyna to nic dobrego. Nie mówię, że jest zła. Już nie ma złych ludzi. Dawniej były *femmes fatales*, szczone lisice i różne inne spryccyary. Teraz wszystkie jesteśmy dobre. Ale na wszelki wypadek...

- Purines - przerwałem jej - jesteś aniołem.

Wróciłem do zmaltretowanego mieszkania i zabrałem się do roboty. Przywrócenie porządku, obejmujące zawieszenie perkalowych zasłon i ułożenie kwiatów (plastikowych) dodających mojemu gniazdku ciepła nie kłócego się z jego spartańskim charakterem, zajęło mi około kilku godzin. Potem zasnąłem jak suseł.

*

Następnego ranka za dwadzieścia dziewięć wszedłem do baru na rogu i poprosiłem kelnera o pół kanapki z kalmarami w cebulce oraz o pozwolenie na skorzystanie z książki telefonicznej. Gdy - choć niechętnie - zostało mi ono udzielone, poszukałem nazwiska Reinona, wspomnianego w nagraniu zarejestrowanym przez automat Pardalota (policja nie skonfiskowała go wraz z materiałami z gabinetu) a dotyczącym, jeśli dobrze zapamiętałem, jako że w tamtym[^] momencie nie zwróciłem nań należytej uwagi, wtorkowej kolacji, kwiatów i wspomnianego nazwiska, którego jednakże nie znalazłem w spisie. Wobec powyższego, przeżuwając kanapkę z kalmarami w cebulce, udałem się do salonu i otworzyłem go.

Magnolio przybył na poranne spotkanie ustalone poprzedniego wieczoru punktualnie, nieco zaspany, i streścił mi to, co zaszło przed bramą domu Ivet nadzwyczaj lakonicznie: nic. Przynajmniej, dodał pośpiesznie, do momentu, gdy na zegarze w sąsiednim kościele wybiła północ, bo wtedy - nie żeby bał się duchów czy coś w tym stylu - ale jako że nadeszła godzina spoczynku, udał się do domu.

- A pan - zagadnął - co robił?

- Nic ważnego - odpowiedziałem. - Czy słyszał pan kiedyś o kimś zwanym Reinona? Zwłaszcza ostatnio?

- Nie.

- Niech pan nie odpowiada tak lekkomyślnie, człowieku - zganiałem go. - Jak może być pan taki pewny?

- Nigdy nie zapominam nazwisk białych - powiedział - bo mnie śmieszą. W nocy, w łóżku, powtarzam je sobie i zwijam się ze śmiechu. Przedwczoraj poznałem niejakiego Capdeperę. Co pan na to? Gruszkogłów! Cha, cha, cha! Cha, cha!

Z podbródkiem drgającym ze śmiechu wyszedł, zostawiając mnie samego z klientami, to znaczy całkiem samego. Odczekałem chwilę, po czym wyskoczyłem do sklepu z książkami i materiałami piśmiennymi Sowa i poprosiłem panią Pinol o spis ulic Barcelony. Z tą bibliografią, kartką papieru i długopisem (także pożyczonym) wróciłem do baru. j

Jako że klientela baru była o tej porze równie liczna jak klientela salonu, poprosiłem kelnera, by został w salonie na wypadek, gdyby ktoś przyszedł, bo ja muszę wykonać kilka rozmów telefonicznych, które mogą mi zabrać trochę czasu. Jednocześnie zobowiązałem się do powiadomienia go, gdyby w barze pojawił się jakiś parafianin. Propozycja ta nie spodobała mu się ani odrobinę, ale ponieważ byłem stałym klientem (w porze obiadowej), w końcu się zgodził. Gdy zostałem sam, otworzyłem książkę telefoniczną firm (żółte strony), położyłem ją na stole obok spisu ulic, rozłożyłem kartkę, chwyciłem długopis i w ciągu niecałej godziny sporządziłem listę dziesięciu kwaciarni w pobliżu gmachu Hiszpańskiego Szachraja. Następnie zadzwoniłem do pierwszej z nich i powiedziałem:

- Dzień dobry. Nazywam się Pardalot. Zamówiłem u państwa bukiet kwiatów do Reinony, prawda?

- Nie, proszę pana. Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiedział na drugim końcu linii jakiś osobnik, zapewne sprzedawca kwiatów.

- Ja też nie. Do widzenia.

Ten sam dialog powtórzyłem jeszcze cztery razy. Za piątym razem kobieta, której głos przypominał ten z automatu zgłoszeniowego Pardalota, wykrzyknęła:

- Pan Pardalot?

- Tak, proszę pani.

- Mam nadzieję, że spodobał się panu wieniec, jaki wysłaliśmy na pański pogrzeb.

- Och, proszę pani - powiedziałem pośpiesznie - nie jestem oplakiwanym panem Pardalotem, lecz wykonawcą jego testamentu. Dlatego właśnie posługuję się jego nazwiskiem: reprezentuję go wszakże, że tak powiem, na tym świecie. Przeglądając jego papiery, zauważyłem nazwę kwiaciarni oraz zamówienie na dostarczenie kwiatów do domu Reinony. O ile się nie mylę.

- Nie myli się pan - potwierdziła kwiaciarka. - Właśnie wczoraj zadzwoniłam do biura, prosząc o instrukcje w tej sprawie, a ponieważ nikt nie odbierał, zostawiłam wiadomość na sekretarce. Pan Pardalot zadzwonił osobiście w piątek i zamówił dwa tuziny czerwonych róż. Ale teraz, biorąc pod uwagę te smutne okoliczności, domyślam się, że trzeba będzie odwołać zamówienie.

- Ależ skądże, proszę pani - powiedziałem. - Moim obowiązkiem jest wypełnienie co do joty ostatniej woli zmarłego. Proszę wysłać kwiaty, nie zwlekając. Dzwonię tylko po to, by potwierdzić adres legatariusza.

- Kogo?

- Reinony.

- Ten, co zawsze.

- Czy mogłaby mi pani przypomnieć? Chciałbym zostawić porządek w dokumentach.

- Oczywiście, proszę zapisać - powiedziała kwiaciarka. - Polvoalegre dwadzieścia siedem.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Oddałem spis ulic i długopis, po czym zamieniłem się miejscem pracy z kelnerem. W południe zamknąłem salon, udałem się znów do baru, pozdrowiłem kelnera, usiadłem przy stoliku i poprosiłem o drugą połowę kanapki z kalmarami w cebulce. Zamierzałem właśnie zatopić w niej zęby, kiedy do baru wszedł Magnolio. Na jego widok kelner chwycił za dubeltówkę, ale uspokoiłem go, wyjaśniając, że Magnolio jest moim przyjacielem i że odpowiadam za jego poprawne zachowanie. W tym czasie, nie zwracając uwagi na negocjacje, Magnolio przyglądał się uważnie mięsom fermentującym w witrynie.

- Poproszę porcję sałatki z majonezem i ciemny chleb, drogi kelnerze - powiedział, przysiadając się do mnie.

Zapytałem go o powód tej niespodziewanej wizyty, a wówczas jego oczy zabłyśły za grubymi soczewkami okularów.

- Nie jestem głupi - powiedział. - Pomyślałem i zorientowałem się, co pan zamierza.

- Zamierzam tylko zjeść w spokoju tę połowę kanapki - powiedziałem.

- Cha, cha - odpowiedział Magnolio. - Nie zamydli mi pan tak łatwo oczu. Zamierza pan odnaleźć prawdziwego zabójcę pana Pardalota. Proszę nie zaprzeczać. Na pańskim miejscu zrobiłbym to samo. W innym przypadku powędruje pan za kratki, cha, cha. Ale pozwoli pan, że coś panu powiem: samotnie, jeśli będzie pan miał szczęście, nie osiągnie pan niczego; a jeśli nie będzie pan miał szczęścia, dostanie pan kulkę w łeb. Cha, cha.

- Co to pana obchodzi?

- Obchodzi. Wszyscy ludzie są braćmi. ,,

- Zabójca Pardalota też. Niech pan sobie zje z nim obiad.

- To nie to samo - powiedział Magnolio. - Jestem uczciwym człowiekiem, podobnie jak pan. Obaj walczymy po tej samej stronie, chociaż pod różnymi banderami. Flaga mojego kraju jest podobna do katalońskiej, z tą różnicą, że pośrodku jest mandryl. Jeśli my, uczciwi ludzie, nie zjednoczymy się, świat opanują łajdacy. Być może już to zrobili.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym panu zaufać - odpowiedziałem.

- Niech pan posłucha - powiedział Magnolio, nie tracąc spokoju. - Bez złych intencji z mojej strony przyczyniłem się do stworzenia tego galimatiasu, w który teraz wszyscy jesteśmy wplątani. Nie chciałbym mieć na sumieniu pańskiej śmierci. Obawiam się także o panienkę Ivet, którą znam i szanuję. To osoba dobra i czuła (w przenośnym tego słowa znaczeniu), a zarazem bardzo krucha i bezbronna. Niekiedy, jadąc z nią samochodem, widziałem ją płaczącą w lusterku. To znaczy widziałem w lusterku, jak płakała. Kiedy indziej wykazywała objawy przygnębienia, zmęczenia, depresji i lęku. Nie znam się na psychologii, ale ośmielę się stwierdzić, że panienka Ivet znajduje się pod wpływem złego ducha, czyli papusa. Potrzebuje ochrony, a w tym momencie tylko my możemy ją jej zapewnić. Ale to nie wszystko. Powodują mną także względy natury osobistej, których nie będę tu wyłuszczał, gdyż zabrałoby to zbyt wiele czasu i nie jest konieczne.

Po tej przemowie zamilkł i zabrał się do jedzenia sałatki, wytwornie, delektując się jej smakiem. Obserwowałem go z uwagą i szczyptą zazdrości, gdyż - choć zachowałem, Bogu dzięki, wszystkie zęby i staram się nie mówić podczas przeżuwania - nigdy nie udaje mi się dokończyć posiłku bez pozostawienia menu na stole, podłodze i ścianach, nie mówiąc już o ubraniu i obuwiu. Z tego oraz innych powodów Magnolio przypadł mi do gustu. Pomoc, jaką mi oferował, także była nie do pogardzenia, zważywszy szczególnie jego wygląd i posturę. Poza tym miał samochód. Postanowiłem więc przyjąć jego ofertę i poinformowałem go o tym.

- Podjął pan rozsądną decyzję - powiedział, pochylając lekko głowę. - Jak mówią w moim kraju, wspólnymi siłami dopniemy wszystkiego. Tłumaczenie nie posiada wdzięku oryginału. A teraz proszę mi powiedzieć, kim jest Reinona.

Uporawszy się z sałatką i chlebem, poprosił o pomarańczę na deser, a podczas gdy jadł ją nożem i widelcem, ku zdumieniu i uciesze stałych klientów, przyzwyczajonych do czerpania zupy ręką, opowiedziałem mu o nagraniu na automacie zgłoszeniowym oraz o wynikach mojego telefonicznego dochodzenia wśród sprzedawców kwiatów. Gdy skończyliśmy, wytarł starannie usta serwetką, złożył ją, odłożył na stół i powiedział:

- Doskonale, ale do tego momentu na pewno wiemy tylko jedno: że Pardalot nie pojawi się na kolacji, która - jako że dziś przypada wtorek - odbędzie się tego wieczoru.

- Pardalot - odparłem - nie przyjdzie, ale ja owszem. I z pewnością przyjdzie także osoba, która go zabiła lub zleciła zabójstwo. Nadchodzi pora, byśmy stanęli ze sobą twarzą w twarz. Nie warto nadmieniać, że wiąże się to z pewnym ryzykiem. Czy mogę liczyć na pańską pomoc?

- Nie, proszę pana - odpowiedział.

- To proszę zapłacić rachunek - powiedziałem. Wezwałem kelnera, prosząc gestem o rachunek (także za rozmowy telefoniczne) i wskazując na Magnolia. Zapłacił, wyszliśmy i pożegnaliśmy się na chodniku, nie szczędząc ukłonów i podniosłych słów.

4

Jako że do godziny otwarcia salonu brakowało jeszcze kilku minut, przeszedłem kilkanaście metrów i zatrzymałem się przed sklepem, którego szyld głosił:

RAMACHANDRA SAPASTRA

Pralnia hemiczna
Cerowanie skarpetek
Łatanie ubrań
Przyszywanie gózików

Pralnia była zamknięta. Zastukałem w szybę, na co z zaplecza wyszedł pan Ramachandra w slipkach, bamboszach i z łyżką w ustach. Wyjaśniłem mu, że zostałem zaproszony na elegancką kolację i chciałbym ubrać się stosownie, to jest odstawić się co najmniej jak stróż w Boże Ciało. Wpuścił mnie i spośród powierzonej jego opiece odzieży wybraliśmy ubranie, które odpowiadało mi rozmiarem, krojem oraz ceną, a także rękawiczki z koźlej skórki i fular. Zapłaciłem patola zaliczki i wróciłem do salonu.

Za pięć ósma, kiedy wyszedł ostatni klient (tak się złożyło, że tego dnia także pierwszy), zafarbowałem sobie włosy na śmiały agat. Następnie wykonałem brodę ze sztucznego koczka, ale po wielu przymiarkach zrezygnowałem z niej, ponieważ nadawała mi wygląd nieco niepokojący i nieokrzesany. Miałem zamiar wpaść do domu, żeby się trochę ogarnąć, ponieważ tak moja koszula, jak i ja pozostawialiśmy wiele do życzenia w kwestii czystości, świeżości i zapachu, ale gdy szykowałem się do wyjścia, na progu salonu wyrosła nagle Ivet. Wyglądała bardzo ładnie i sprawiała wrażenie podekscytowanej. Podczas gdy dokonywałem tych obserwacji, prześliznęła po mnie wzrokiem i zapytała:

- Skąd wytrzasnąłeś to przebranie? A te lampasy!

Chciałem jej wyjaśnić, że wypożyczenie ubrania p o praniu kosztuje dwa razy tyle co przed praniem, na wypadek, gdyby po zwrocie trzeba je było czyścić ponownie. Co do modelu (skromny posrebrzany smoking), byłem przekonany, że trafiłem w dziesiątkę. Ivet nie zwróciła jednak większej uwagi na moje słowa, twierdząc, że to odstręczające i stęchłe miejsce (salon) zawsze ją przygnębiało, ale od czasu wybuchu bomby wprowadzało ją w głęboką depresję. Zrozumiałem aluzję i zaproponowałem, byśmy przeszli do baru.

Zamknąłem (symbolicznie) drzwi salonu, udaliśmy się do baru i usiedliśmy przy tym samym stoliku, przy którym odbyło się nasze pierwsze spotkanie. Ów zbieg okoliczności wydał mi się znaczący i zapytałem, czy moglibyśmy nazywać to miejsce „naszym barem”, na co odpowiedziała, że jego dotychczasowa nazwa (U Braci Pezuña) wydaje się jej doskonała. Z kobietami takimi jak Ivet nie ma co się śpieszyć, postanowiłem więc sprowadzić naszą rozmowę na inne tory i zapytałem o przyczynę jej niespodziewanej wizyty.

Odpowiedziała, że chciałyby usłyszeć z moich ust o wyniku wczorajszych poszukiwań, na co pokrótce streściłem jej wydarzenia zaszłe w gmachu Hiszpańskiego Szachraja, nie wyłączając incydentu z automatem zgłoszeniowym oraz moich dalszych dociekań. Zakończyłem ową opowieść, znaną już czytelnikowi, wyłuszczeniem planu odwiedzenia domu Reinony.

- Ależ to największa nieostrożność! - wykrzyknęła. - Nie wiesz, kim jest Reinona i co za ludzie będą u niego dziś wieczorem.

- Nie obawiaj się - odpowiedziałem. - Będą to bogacze i Katalończycy, czyli ludzie całkowicie nieskuteczni. A zresztą nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo: jak widzisz, przystosowałem mój wygląd zewnętrzny do okoliczności i bez problemu, niezauważony, wmieszam się w elity. Od dawna obracam się w tych sferach - dorzuciłem z wyższością. - Wbrew temu, co ci się wydaje, jestem człowiekiem zamożnym. Taka kolacja to dla mnie pestka! ?

- Sądząc po rezultatach, powinieneś zmienić metody pracy -powiedziała Ivet.

- Nie robię tego z sympatii do zawodu, lecz z braku innych możliwości - wycodziłem. - Ale o mnie się nie bój. To o ciebie się martwię.

Jej oczy wypełniły się łzami, już to ze względu na moje słowa, już to na zaduch panujący w barze. Kładąc rękę (swoją) na mojej, szepnęła:

- Nie chcę, żebyś się narażał z mojego powodu.

Poczułem ucisk w gardle i nie wiem, co jeszcze byłoby się między nami wydarzyło (pewnie nic), gdyby w tym momencie nie pojawił się w barze Magnolio i, widząc nas siedzących przy tym samym stoliku, pochylonych ku sobie czule, nie zaważał się podejść i rozbić czar chwili opowieścią o swoich poczynaniach. Otóż - powiedział na wstępie - przemyślawszy mój zamiar udania się dzisiejszego wieczoru do domu Reinony, uznawszy ten plan za zbyt śmiały, a swoją postawę wobec mnie za niesolidarną, postanowił zbadać teren. Udał się zatem pod adres wskazany przez kwiaciarkę, zapukał do drzwi rezydencji, bo na takie miano zasługiwała, jego zdaniem, tamtejsza budowla, i zapytał kamerdynera, który mu otworzył, czy mieści się tu ośrodek pomocy dla Senegalczyków przebywających nielegalnie na terenie Hiszpanii. Jego przebiegłość przyniosła skutek, gdyż kamerdyner odpowiedział mu, że nie, ale że jeśli szuka pracy dorywczej i marnie płatnej, może mu coś zaproponować. Magnolio, oczywiście, nie omieszkał wykorzystać okazji i odpowiedział twierdząco. Wówczas kamerdyner powiedział mu, żeby zgłosił się w rezydencji nie później niż o wpół do dziewiątej, gdyż tejsze nocy ma się odbyć przyjęcie dla sporej liczby gości, a im akurat brakuje personelu. Tym nieoczekiwanym obrotem wydarzeń Magnolio czuł się nadzwyczaj usatysfakcjonowany.

- I nic dziwnego - wtrącił się kelner, przysłuchujący się rozmowie. - Ale powinien pan się pośpieszyć, bo jest już ósma. A co do państwa, proszę albo coś zamówić, albo wynająć sobie pokój i tam się czulić.

Uwaga dotycząca pośpiechu była słuszna, a jako że Ivet nie miała apetytu, a ja pieniędzy, wyszliśmy wszyscy troje. Umówiłem się z Magnoliiem u Reinony i poszedł sobie. Nie zwracając uwagi na prostacką sugestię kelnera, którą Ivet najwyraźniej nie była chwilowo zainteresowana, zaproponowałem, że odprowadzę ją na przystanek autobusowy. Wyjaśniła, że cierpi na mieszaną klaustrofobię i agorafobię, która uniemożliwia jej korzystanie ze wspaniałej sieci naszego transportu publicznego, ale nie protestowała, bym pomógł jej poszukać wolnej taksówki. Podeszliśmy do głównej arterii (czy też ulicy) w milczeniu, gdyż choć jestem z natury rozmowny, a z racji mojego zawodu i lektur nie brakuje mi tematów, którymi mógłbym wzbudzić najwyższe zainteresowanie kobiet (osteoporoza i tym podobne), w tym niezwykłym momencie intymności poczułem się tak onieśmielony, żeby nie powiedzieć: wystraszony, i tak nie w swojej skórze, że nie poznawałem własnego odbicia (na szczęście), gdy kątem oka widziałem siebie w jakiejś szybie sklepowej w towarzystwie owej tak niebiańskiej dziewczyny, z którą, być może ze względu na mój elegancki strój, stanowiliśmy, jak mi się zdawało, dobraną parę. Ten niezapomniany spacer trwał przez czas, który zdał mi się zarazem chwilką i wiecznością, ale w rzeczywistości był krótki, ponieważ o tej godzinie i przy tym poziomie rozwoju gospodarczego dzielnicy nie brakowało wolnych taksówek. Do jednej z nich wsiadła Ivet i odjechała.

Jej zniknięcie zasmuciło mnie, lecz nie odjęło apetytu, wobec czego postanowiłem wpaść do pizzerii. Później jednak pomyślałem, że u Reinony, jak wynikało z opisu przedstawionego przez Magnolia, z pewnością podadzą sutą kolację (był to, jak się później okazało, błąd) i uznałem, że skoro już mam podjąć pewne ryzyko, powiniennem przynajmniej wynieść z tego jakąś korzyść. Wszedłem więc do pizzerii, by przeprosić za nieobecność, po czym udałem się na przystanek autobusowy, ponieważ choć było jeszcze zbyt wcześnie, by pojawić się na przyjęciu, miejsce, do którego zmierzałem, leżało na drugim końcu miasta i czekała mnie, w najlepszym wypadku, długa podróż.

Około wpół do jedenastej, po pokonaniu na piechotę ostatniego, najbardziej stromego odcinka, dotarłem w pobliże mojego celu. Noc była ciepła, ale w Pedralbes wiał chłodny wiaterek przesiąknięty wonią jaśminu. Ten oszałamiający zapach nie łagodził jednak topornego wyglądu mężczyzn, którzy, oparci o lśniące limuzyny, pełnili straż wzdłuż wąskiej i stromej uliczki, jaką z udawaną obojętnością wspiałem się na sam szczyt wzgórza. Ich liczba wskazywała mi, że wielu gości Reinony już jest. Dotarłem do dużej furtki, zatrzymałem się, sprawdziłem adres, otworzyłem furtkę, wszedłem do ogrodu, przeszedłem zwirową alejką prowadzącą między mirtami do głównego wejścia i nacisnąłem dzwonek. Czekając na otwarcie drzwi, rozejrzałem się po okolicy. Dom był wykonany z najsolidniejszych materiałów, w stylu łączącym harmonijnie elementy dawne : nowoczesne i zdecydowanie zasługiwał na miano rezydencji, jakie przypisał mu Magnolio. Składał się z parteru i piętra. Na piętrze znajdował się taras lub balkon, z którego można było zeskoczyć, modląc się, by trawnik zamortyzował upadek. Sądząc po jego rozmiarach, ogród otaczający dom przylegał do tylnej ulicy, od której oddzielał go kamienny mur nieprzekraczający dwóch metrów wysokości w najniższym miejscu, a więc możliwy do pokonania. Kilka świerków i pyszny cedr oferowały chwilowe schronienie wśród gałęzi przed psami i innymi zwierzami. Smukły cyprys był całkowicie bezużyteczny. W klombach dominowały róże i inne rośliny kolczaste.

Byłbym z przyjemnością i pożytkiem kontynuował oględziny terenu, gdyby nie to, że drzwi zostały otwarte, a w progu stanął młody człowiek, którego twarzy nie widziałem dokładnie, gdyż znajdowała się w cieniu, podczas gdy ja zostałem oślepiiony światłem z holu, co sprawiło, że pożałowałem braku wachlarza, za którym mógłbym się skryć przed jego badawczym spojrzeniem.

- Dobry wieczór - powiedział młody portier. - Czy mogę prosić o zaproszenie?

Udałem, że szukam go w kieszeniach garnituru, po czym wykrzyknąłem, pomiędzy jowialnymi (i głupkowatymi) wybuchami śmiechu:

- Cóż za pech! Musiałem je zostawić w którymś z licznych czystych garniturów, jakie posiadam.

- Przykro mi - stwierdził. - Bez zaproszenia nie mogę pana wpuścić. Ścisłe polecenie Reinony.

Mówiąc to, przechylił głowę, jakby w ten sposób chciał podkreślić swój żal, a wówczas rozpoznałem w nim strażnika, który w noc zbrodni pilnował, czy też powinien był pilnować, biur Hiszpańskiego Szachraja. Ów zbieg okoliczności, który bynajmniej mi się nim nie wydał, potwierdzał, że intuicja przywiodła mnie do miejsca tak odpowiedniego pod względem naszego śledztwa, jak niebezpiecznego dla mojej skóry, w związku z czym pewnie wycofałbym się pod pretekstem braku zaproszenia, gdyby męski głos za plecami portiera nie zapytał, o co chodzi.

- Nic ważnego - odrzekł tenże. - Jakiś cwaniak polujący na przekąski.

Po czym usunął się na bok i odsłonił stojącego w głębi dojrzałego i siwowłosego dżentelmena, w którym rozpoznałem, jak gdyby jeden zbieg okoliczności nie wystarczył, dojrzałego i siwowłosego dżentelmena, którego widziałem wczoraj w holu biur Hiszpańskiego Szachraja, wówczas pogrążonego w rozmowie ze strażnikiem, a obecnie młodym portierem, z którym to także w tym właśnie momencie, chociaż w innym miejscu, rozmawiał dojrzały i siwowłosy dżentelmen. Który zaczął mi się przyglądać.

Zanim dojrzały i siwowłosy dżentelmen, przypatrujący mi się z jedną brwią uniesioną, a drugą zmarszczoną (co niechybnie oznaczało zakłopotanie i podejrzliwość), doszedł do jakiegoś niekorzystnego dla mnie wniosku, ponownie wybuchnąłem głupkowatym śmiechem, rozwarłem ramiona i krzyknąłem:

- Cześć, stary pniu, jakże się cieszę, że cię widzę!

Dojrzały i siwowłosy dżentelmen odpowiedział dość zimno na to wylewne powitanie.

- Nie sądzę, żebym miał przyjemność znać pana - rzekł.

- Być może to ja się mylę - przyznałem. - Przez cały rok mam do czynienia z wieloma dojrzałymi i siwowłosymi dżentelmenami. Pozwoli pan zatem, że się przedstawię. Jestem adwokatem pana Pardalota, obecnie świętej pamięci pana Pardalota, i mam kancelarie przy alei Diagonal.

- Cóż za zbieg okoliczności - powiedział dojrzały i siwowłosy dżentelmen. - Ja również jestem adwokatem Pardalota i także mam kancelarię przy alei Diagonal.

- Nie chciałbym pana zmartwić - odrzekłem - ale pan Pardalot miał wielu adwokatów, w tym prawie wszystkich z kancelariami przy alei Diagonal. Być może pan był jego ulubionym, ale ja zajmowałem się... jakby to powiedzieć... ja byłem do specjalnych poruczeń...

- Na przykład?

- Mandaty za wykroczenia drogowe... oraz różne inne transakcje... głównie zamorskie... rozumie pan. Co do zaproszenia - dodałem natychmiast, by porzucić zbyt śliski dla mnie temat - otrzymałem je kilka dni temu z notatką sporządzoną własną ręką Reinony . zachęcającą mnie do przyjścia.

- Zna pan Reinonę? - zapytał dojrzały i siwowłosy dżentelmen.

- Jesteśmy nierozłączni - odpowiedziałem. Dojrzały i siwowłosy dżentelmen zamyślił się na tak długą chwilę, że wyraźnie zobaczyłem, jak coraz bardziej dojrzewa. Wreszcie zapytał:

- Przyniósł pan wolny datek?

- Tak, oczywiście - powiedziałem, wkładając dłoń do kieszeni spodni. - Ile się należy?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy na głowę.

- O kurcze. I do czego uprawnia ta drobna kwota?

- Do lampki najwyborniejszego cavy.

- To rozsądna cena - stwierdziłem. - Ale wolę dobić targu w obecności zainteresowanego.

- Dobrze - powiedział dojrzały i siwowłosy dżentelmen. - Proszę za mną.

Poprzedzany przez adwokata (z pewnością autentycznego) Pardalota, z postępującym za mną portierem (z pewnością fałszywym), przeszedłem przez hol i wszedłem do przepysznego salonu wypełnionego mężczyznami oraz kobietami z szacownych rodów w wieku oscylującym od dojrzałego po zbutwiały.

- Proszę tu zostać - powiedział dojrzały i siwowłosy dżentelmen, gdy tylko przekroczyliśmy próg, wskazując palcem na podłogę. - Ja pójdę po Reinonę.

Zostawił mnie w towarzystwie młodego portiera i jego siwa czupryna utonęła w morzu innych siwych czupryn, z którego gdzieś, spośród błękitnej mgiełki dymu ostatnich cygar, przebijały lśniąca wyspy łysin. Korzystając z tej przerwy, poszukałem wzrokiem Magnolia. Nie zauważyłem go od razu, ponieważ nie było go w salonie, ale zaraz wszedł przez boczne drzwi. Ubrali go w strój kelnera (to jest frak), który z pewnością należał niegdyś do innego lub innych kelnerów i który, biorąc pod uwagę posturę Magnolia, był na niego za ciasny, miał zbyt krótkie rękawy, nogawki i był zbyt opięty w kroku. Jedną ręką podtrzymywał wysoko w powietrzu (na tyle, na ile pozwalał mu wykrój rękawa) tacę z kieliszkami szampana. Na mój widok wykonał przyjazny gest, przy czym spadły mu na podłogę dwa lub trzy kieliszki. Udałem, że tego nie zauważam, aby nie zdradzić naszej znajomości, która to przezorność była jednak zbyt duża, gdyż goście byli pochłonięci prowadzeniem tylu rozmów, ile osób wypełniało salon. Po krótkiej chwili dojrzały i siwowłosy dżentelmen, adwokat Pardalota, powrócił, odesłał gestem młodego portiera, a drugim gestem zaprosił mnie, bym poszedł za nim. Wymijając gości i kolumny, przebyliśmy gwarny, przepyszny salon i doszliśmy na jego skraj, gdzie - nieco oddaleni od reszty stada - stali dwaj panowie oraz kobieta. Panowie (oczywiście dojrzały i siwowłosy) toczyli jakąś płomienną dyskusję, którą przerwali lub odłożyli na później, zauważając naszą obecność.

Adwokat Pardalota wskazał na mnie i powiedział:

- To ten, co twierdzi, że jest adwokatem Pardalota i że otrzymał osobiste zaproszenie Reinony.

Myślałem, że napadną na mnie, ale nie dość, że tego nie zrobili, to jeszcze jeden z nich uśmiechnął się i podał mi rękę. Zachęcony tą oznaką serdeczności, objąłem go i walnąłem w plecy, wrzeszcząc:

- Cholewka, Reinona, wyglądasz fenomenalnie!

- Chyba pomylił się pan - odpowiedział przedmiot mojego afektu, uwalniając się z uścisku — ponieważ ani nie jestem Reinoną, ani nie widziałem pana nigdy w życiu.

- Za to ja jestem przekonany, że widziałem cię tysiące razy, chłopie - powiedziałem.

- Bo jestem prezydentem Barcelony - powiedział.

Być może nie wyszedłbym tryumfująco z tej sytuacji, gdyby kobieta, która do tej pory ograniczyła się do przyglądania się tej scenie z wyższością, z jaką osoby ładne, bogate i wykształcone patrzą na bliźniego robiącego z siebie idiotę, nie wtrąciła się do rozmowy:

- To ja jestem Reinona. Ale nie musi mnie pan witać tak wylewnie.

Spojrzałem wówczas na nią z uwagą należną jej słowom i stwierdziłem, że chodzi o kobietę wielkiej urody i szyku. Jej wieku nie można było określić ani jako dojrzały, który wydawał się tu obowiązkowy, ani jako młody, przynajmniej wedle mojej klasyfikacji, cokolwiek rygorystycznej. Co do jej włosów, ich koloru nie dało się ustalić w sposób rozstrzygający, ponieważ miała nałożoną farbę wysokiej jakości, bardzo różną, aj, ja biedny, od tej, którą pofarbowałem sobie włosy kilka godzin temu, a która teraz, z powodu upału, farbowała mi twarz na barwy kibica Chelsea. Jej ubiór (długa, gładka suknia na szelkach, obszyta tiulem) pochodził bez wątplenia z najlepszych butików Paryża czy Mediolanu. Na szyi miała koliaż z rubinów, a na palcu pierścioneł z wielkimi brylantami, które skrzyły się, odbijając światło żyrandoli. Nieco onieśmielony szepnąłem:

- Proszę pani...

Przypisując moje zmieszanie innym powodom, przerwała mi:

- W obecności tych dżentelmenów może pan mówić bez ogródek. Jednego z nich już pan zna, gdyż sam się przedstawił, a poza tym jego zdjęcie codziennie pojawia się w gazetach. Drugim jest mój mąż, Arderiu. Czy nie przeszkadza panu, że będę go nazywać Pedro?

- Ależ skądże. Jeśli o mnie chodzi, może się pani zwracać do swojego męża, jak tylko ma pani ochotę.

- Mam na myśli pana. Lepiej będzie zachować anonimowość. Wszyscy tu obecni są zaufanymi osobami, ale mógł się znaleźć wśród nich szpieg, zdrajca albo nawrócony grzesznik. Może nawet wielu. Może wszyscy w mniejszym lub większym stopniu szykują jakąś zdradę. Poza tym gdzieś mogą być ukryte mikrofony. Być może pan ma mikrofon ukryty pod ubraniem. Albo w odbycie. A zresztą na tym etapie używanie naszych imion nie jest konieczne. Być może później, jeśli lepiej się poznamy, ale nie teraz.

Wyraziłem aprobatę dla jej słów, a mąż zapytał:

- I co nowego?

- No cóż... - zacząłem - w zależności od punktu widzenia...

Prawdziwy adwokat Pardalota wtrącił się w tym momencie i oznajmił:

- Podobno wczoraj podłożono bombę temu kretynowi fryzjerowi, ale wyszedł cało.

- W rzeczy samej — wykrzyknąłem, nie będąc w stanie powstrzymać emocji — ktoś podłożył bombę w Powierniku Pań, prestiżowym salonie piękności, powodując w lokalu straty materialne o znacznej wartości. A skoro już o tym mówimy, chciałbym wiedzieć, czy władze miasta przewidują jakieś subwencje na takie cele i czy pan prezydent mógłby osobiście zainterweniować w tej sprawie.

- Bardzo proszę - szepnął prezydent - to nie są rzeczy, których powinienem słuchać. A

tym bardziej rozstrzygać podczas prywatnego przyjęcia.

- To prawda, nie możemy tracić czasu na głupstwa. Czas nagli - stwierdził mąż Reinony. Po czym, odwracając się do żony, zapytał: - O czym to mówiłem, kochanie?

- Nie męcz się, myszko, zrobisz sobie krzywdę - odparła.

W tym momencie do naszej grupki podszedł dżentelmen, który zwrócił się do prezydenta:

- Panie prezydencie, sprzedam panu komplet dziesięciu tysięcy latarni w cenie czternastu tysięcy latarni. Złoty interes.

- Bardzo proszę - odrzekł prezydent, nie otwierając ust. - To nie miejsce ani moment.

- Coś skapnie panu, a także tym dżentelmenom - nalegał przemyślny dostawca, obejmując szczodrym gestem wszystkich obecnych.

- Ile? - zapytałem.

- To nie są rzeczy, których powinienem słuchać - stwierdził prezydent.

Adwokat Pardalota dał znak młodemu portierowi, a gdy ten podszedł do nas, powiedział mu:

- Proszę zabrać tego pana do kuchni i niech mu dadzą banana.

Młody portier wywlókł niefortunnego dostawcę z salonu. Wywołało to pewne zamieszanie, z którego skorzystała Reinona, by szepnąć mi do ucha:

- Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy. Jeśli nie dzisiaj u mnie, to jutro gdzie indziej. Nie wierz nikomu i nic nie mów.

Już miałem poprosić o wyjaśnienie, gdy przerwał nam kolejny gość, wyróżniający się spośród innych największymi uszami, jakie widziałem w życiu. Człowiek ten, biorąc prezydenta za ramię, jakby chciał zachować go tylko dla siebie, powiedział:

- Panie prezydencie, powinien pan wygłosić kilka słów do tych szanownych obywateli, od których widoku robi się panu niedobrze jako instytucji i jako istocie ludzkiej.

- Widzi pan, jak czas ucieka? - powiedział mąż Reinony.

- Dobrze - zgodził się prezydent. - Przemówię do tych pocziwców. Na jaki temat?

- O niczym, panie prezydencie, jak zwykle - odpowiedział uszaty.

- Dobrze - powtórzył prezydent. - Niech pan zapowie moje wystąpienie, Enric - po czym, zwracając się do nas, dodał: - Uprzejmie proszę o wybaczenie. Wrócę do panów za ułamek sekundy.

Uszaty wspiął się na stolik i klasnął kilkakrotnie tym, co początkowo wzięłem za jego uszy, podczas gdy były to talerze, które Orquesta Ciutat de Barcelona i Nacional de Catalunya wypożyczyła mu na tę okazję. Zwróciwszy na siebie uwagę obecnych piekielnym łomotem, oznajmił:

- Panie i panowie, najdostojniejszy pan prezydent wygłosi do was przemowę krótką jak moja obecność na tym stole.

Po czym stracił równowagę i runął na ziemię. Natychmiast umilkły głosy, spojrzenia zwróciły się ku nam, a ja, świadom beznadziejnej wulgarności mojego oblicza, ukryłem się za plecami Reinony, której wzrost przewyższał mój i zza której wszystko widziałem, słyszałem i zakonotowałem.

Prezydent zatarł ręce, odkaszlnął i skoncentrował się. Następnie zaczął:

- Obywatelki i obywatele, przyjaciele moi, pozwólcie, że przerwę wam czczą paplaninę i wyjaśnię przyczynę naszego niegroźnego zgromadzenia i towarzyszącego mu wyłudzenia kasy. Kilka chwil temu nasz drogi amfitrion, przyjaciel Arderiu, któremu tyle zawdzięczamy (zwłaszcza w brzęczącej monecie), wspomniął, że czas leci.

Drogiemu Arderiu Bóg poskąpił światła: wszyscy zgadzamy się co do tego, że jest kretynem. Ale niekiedy biedny Arderiu mówi rzeczy sensowne. To prawda: czas leci. Ledwie schowaliśmy narty, a już pora szykować jachty. Na nasze szczęście, podczas gdy drapiemy się po jajach, kursy akcji rosną. Zapewne zapytujecie się, w jakim celu wyłuszczam te

zasady? Wyjaśnię wam. Zbliżają się wybory do władz miejskich. Znowu? Tak, przystojniacy, znowu.

Pan prezydent zamilkł na moment, spojrzął na zgromadzonych, a następnie, zachęcony pełną szacunku ciszą, jaka zaległa po jego pierwszych słowach, podjął wątek:

- Nie muszę wam mówić, że będę kandydował na następną kadencję. Dziękuję za owację, którą bez wątpienia przywitalibyście moje oświadczenie, gdybyście nie mieli zajętych rąk. Wasza wymowna cisza zachęca mnie, bym kontynuował. Tak, przyjaciele, ponownie wysunę moją kandydaturę i ponownie wygram. Ponownie wygram, ponieważ mam za sobą dorobek stanowiący najwyższą rekomendację. Wygram, bo zasługuję na to. A przede wszystkim wygram dlatego, że liczę na wasze wsparcie moralne. I materialne.

Nie będzie łatwo. Naprzeciw nas stoi wróg silny, zdecydowany, równie jak my pozbawiony skrupułów, a w dodatku nieco młodszy. Arderiu miał rację: czas leci i są tacy, co pragną wykorzystać tę smutną okoliczność. Ci, którzy pragną przejąć ster, twierdzą, że nasz czas się skończył, że nadeszła ich kolej, by rządzić i mieć dostęp do koryta. Być może mają rację, ale od kiedy racja stanowi dostateczny argument? Oczywiście, że to nie dzięki racji ruszą mnie z fotela.

Zamilkł, na wypadek, gdyby ktoś chciał zaklaskać lub krzyknąć „hurra”, ale widząc, że na nic takiego się nie zanoszą, mówił dalej.

-Nie, przyjaciele, nic ruszą nas. W gruncie rzeczy jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, bo zdobyliśmy naszą pozycję mozołem i wytrzymałością. Były czasy, gdy władza wydawała nam się nieziszczalnym snem. Byliśmy wtedy bardzo młodzi, nosiliśmy brody, wąsy, baczki i długie włosy, graliśmy na gitarze, paliliśmy marihuanę, spaliśmy z kim popadło i okropnie cuchnęliśmy. Niektórzy za swoje przekonania trafili do więzienia, inni na wygnanie. Kiedy wreszcie doszliśmy do władzy, podniosły się głosy ostrzegające, że nie będziemy umieli jej sprawować. Myliły się. Umieliśmy, na nasz sposób. I jesteśmy tu. A ci, którzy nas krytykowali i wątpili w nas, także. Droga nie była łatwa. Los bywał nam przeciwny, niektórzy z nas wrócili do więzienia, chociaż z innych powodów. Ale w zasadzie nie zmieniliśmy się. Zmieniliśmy, i owszem, samochód, dom, partię, żonę, i to wielokrotnie, Bogu dzięki. Ale nasze przekonania pozostały niezienne. Staliśmy się za to bardziej bezczelni.

Jednakże same słowa, nawet tak natchnione jak zawsze są moje, nie na wiele się zdadzą. Potrzebujemy czynów. I czegoś jeszcze: ludzi zdolnych do ich dokonania. Bo czyny nie dokonują się same, z wyjątkiem nocnego zanieczyszczenia powietrza i niektórych projektów urbanistycznych. I z tej właśnie przyczyny, moi drodzy, ukochani obywatele i obywatelki, wezwałem was tej nocy drżących gwiazd. Zieleń strzelała z procy żółtą rosą. Wybaczcie, że w momentach takich jak ten daję się ponieść liryzmowi. Mówią, że jestem wariatem, ale to nieprawda. Niekiedy rozum ulatuje mi do nieba, to wszystko. I tylko ten ciągły szum w uszach i przekłete halucynacje. Enric, czy mógłby pan jeszcze raz uderzyć w talerze? Dziękuję, już mi lepiej.

Mówiłem wam, ukochani obywatele i obywatelki, że trzeba nam człowieka do wykonania pewnej misji. Pomyśleliście zapewne, że myślę o misji w kosmosie. Nie. Nie proszę nikogo, by udał się na Marsa ani na Wenus, ani na Saturna. Misja, o której myślę, jest ziemską, lecz równie trudną i transcendentalną.

Gdy wymawiam te słowa, przychodzi mi na myśl wspomnienie z dzieciństwa. Widzę siebie samego, w charakterystycznym dla schizofreników rozdwojeniu jaźni, w szkole podstawowej. Na pulpicie leży rozłożony podręcznik do historii powszechnej, a w nim, na lewej stronie u góry, w ramce, znajduje się ilustracja. Przedstawia rzymskiego żołnierza w typowej minispódniczce, która tak podniecała moją rodzącą się wówczas lubieżność, z mieczem w dłoni, broniącego mostu przed hordami barbarzyńców, którzy usiłowali przezeń przejść. Ciekawe, gdzie wtedy była reszta. Jeden człowiek, zwykły żołnierz, legionista, być może skurwysyn broniący Cesarstwa Rzymskiego. Nigdy nie zapomnę tego obrazka. Za to

zapomniałem doszczętnie, o czym wam mówiłem. I jak się nazywam. Ach, tak. Ten odważny żołnierz nigdy nie został prezydentem Rzymu. Wiecie, jak to jest we Włoszech. Ale jego gest na coś się przydał, mam nadzieję.

Słuchałem przemowy głowy naszego miasta jak urzeczony, przepełniony wzruszeniem, że oto dzięki systemowi społecznemu tak otwartemu i demokratycznemu jak nasz (jakże różnemu od, na przykład, hinduskiego) istota o tak nędznym pochodzeniu i nikczemnym życiorysie jak mój mogła przebywać w pobliżu luminarzy, gdy widok Magnolia podskakującego i usiłującego przyciągnąć moją uwagę gwałtowną gestykulacją przypomniał mi o prawdziwym powodzie naszej obecności w tym miejscu oraz o steku kłamstw, które ją umożliwiły. Porzuciłem moją kryjówkę i, korzystając z tego, że wzrok, a także słuch obecnych skierowane były gdzie indziej, spotkałem się z Magnolikiem w pomieszczeniu przylegającym do salonu.

- Dowiedział się pan czegoś? - zapytał.

- Wielu rzeczy - powiedziałem. - Człowiek, który teraz przemawia, to prezydent Barcelony. To stawia go ponad wszelkimi podejrzeniami. Za to pozostali z pewnością mają nieczyste sumienie. Młody portier był strażnikiem w firmie Pardalota i być może do dziś pracuje tam w wolnych chwilach. A pani domu insynuowała mi pewne rzeczy.

- Niech to pana nie dziwi - powiedział Magnolio. - Jak usłyszałem od służby, pani domu miała, ni mniej, ni więcej, związek ze zmarłym Pardalotem. W ostatnich miesiącach jednak stosunki między nimi ochłodziły się. Służba nie wie na pewno, kto kogo porzucił czy też może zerwanie nastąpiło za obopólną zgodą. Wszyscy są jednak zgodni co do tego, że od momentu zerwania pani była bardzo przygnębiona, co mogłoby oznaczać, zdaniem służby, że to Pardalot ją zostawił. Mógł to być powód morderstwa, jeśli przychylimy się do hipotezy zbrodni z namietności. Twardy orzech do zgryzienia, nie wydaje się panu?

- Tak, przyjacielu mój - przytaknąłem. - Takie właśnie, jakże interesujące, jest życie bogaczy. Ale nie bawmy się w socjologów. Widział pan pokoje?

-Tylko jeden.

-I co pan znalazł?

- Niewiele. To była toaleta.

- Dobrze - powiedziałem. - Więc ja spróbuję, zobaczymy, czy będę miał więcej szczęścia. A pan niech tu zostanie i da mi znać, kiedy skończy się przemówienie, albo wcześniej, jeśli coś się wydarzy.

- Jak mam panu dać znać?

- Niech pan krzyknie.

- Jak pan Tarzan?

- Właśnie.

Z przedpokoju na górne piętro prowadziły schody o stopniach z mahoni lub innego szlachetnego drewna. Dotarłszy na piętro, gdzie wszystko zdawało się zaprojektowane z myślą o wygodzie, tak jak na parterze z myślą o przepychu, wśliznąłem się do pierwszego pokoju, jaki znalazłem po drodze. Było w nim ciemno, a po omacku nie udało mi się znaleźć wyłącznika, więc wyszedłem. Skrzywienie szlachetnych stopni uprzedziło mnie, że ktoś po nich wchodzi lub schodzi. Na wypadek, gdyby chodziło o to pierwsze, ponownie schowałem się w ciemnym pokoju i przez szparę w drzwiach zobaczyłem młodego portiera. W jednej ręce trzymał butelkę cavy, którą zapewne podprowadził w chwili nieuwagi kierownika sali i z której pociągał wielkimi haustami. W drugiej ręce dzierżył berettę 89 gold standard kaliber 22. Broń i kwaśny odczyn żołądka spowodowany spożyciem dużej ilości musującego wina czyniły go podwójnie niebezpiecznym. Gdy zniknął w załomie korytarza, wypuściłem z płuc wstrzymane powietrze, wróciłem na korytarz i wśliznąłem się do następnego pokoju. Łóżko przykryte gładką narzutą, koronkowa koszula nocna oraz kłapki z kwiatuskami pozwalały domniemywać, że znajdowałem się (chyba że było inaczej) w sypialni kobiety, a ściśle

mówiąc, w sypialni pani domu, zwanej przez siebie samą oraz przez innych Reinoną. Na stoliku nocnym leżała powieść Saramago i okulary, w szufladzie - dwie identyczne tubki różnych leków, koronkowa chusteczka, pudełko z tabletkami, zapinka (do włosów) i cztery cukierki. Włożyłem je do ust, ale natychmiast wyplułem, bo były z anyżkiem. Nie znoszę anyżku. Musiałem się śpieszyć, więc porzuciłem przeszukiwanie sypialni i przeszedłem do przyległego pokoju. Był znacznie mniejszy, choć pewnie i tak zmieściłoby się w nim całe moje mieszkanie oraz pół mieszkania Purines; służył za garderobę, ubieralnię, a także buduar (budular?), jak wynikało z obecności ubrań najstynniejszych marek. Szuflady komody zawierały kolekcję bielizny osobistej, która wprowadziła mnie w najwyższe pomieszczenie. Na szczęście, z ubieralni wychodziły drzwi do łazienki, gdzie orzeźwiłem się, wkładając stopy do zimnej wody, z butami i całą resztą. Wróciłem do ubieralni. Na komódce, między flakonikami perfum i słoiczkami kremów, stało zdjęcie w niewyszukanej ramce z jasnego drewna. Przedstawiało Reinonę dosiadającą wierzchem wierzchowca, to jest konia. W szufladzie stolika leżało inne zdjęcie, bez ramki, fotografia kilkuletniej dziewczynki opartej o drzewo. Sądząc po widocznych w tle domach, bardzo różnych od naszych, została zrobiona za granicą. Cień drzewa nie pozwalał dostrzec twarzy dziecka. Może była to Reinona sprzed wielu lat, a może nie. Odłożyłem zdjęcie do szuflady. W następnej szufladzie znalazłem drażetki waleriany na uspokojenie nerwów, a gdyby te nie przyniosły spodziewanego efektu, cały zestaw barbituranów i innych środków odurzających. Były tam także amfetamina (w kapsułkach i zastrzykach), środki rozkurczowe, rifampicyna, ampicyna, krem z antyutleniaczem z alg morskich zawierających naturalne aminokwasy oraz pistolet walter ppk, kaliber 7,65, mały i lekki, idealny do noszenia w kieszeni.

Przechodząc przez łazienkę, żeby zapobiec drugiemu atakowi, powtórzyłem zabieg orzeźwiający i przemknąłem do kolejnego pokoju. Był to gabinet z biblioteczką (zawierającą inne powieści Saramago) zajmującą jedną ścianę, biurkiem, zestawem wypoczynkowym, kilkoma lampami oraz innymi niezbędnymi meblami. Na biurku leżał cenny łup: listy, wyciągi bankowe z najróżniejszych banków, spis telefonów, kalendarz. Chętnie zabrałbym wszystko, ale nie chciałem pozostawiać śladów swojej wizyty, więc ograniczyłem się do przejrzenia kalendarza.

Poniedziałek: tenis.

Wtorek: zadzwonić do Nicolasete.

Środa: odpoczynek.

Nie było tego wiele i niczego nie dowodziło, ale też nie mogłem oczekiwać więcej. Nawet najbardziej tępy złoczyńca nie notuje w kalendarzyku planowanych zbrodni. Saldo rachunków bankowych było niewielkie. Na biurku stała jeszcze jedna fotografia, tym razem w ramce z jasnej skóry. Przedstawiała młodziutką Reinonę w sukni ślubnej, u ramienia męża, pocziwego Arderiu w garniturze ślubnym, z twarzą kretyna. Panowie młodzi zawsze wyglądają na zdjęciach jak kretyni, ale ten wszystkich przebijał.

Przez kanał klimatyzacyjny dobiegły odgłosy braw i wiwatów. Najwyraźniej prezydent kończył przemówienie. Nie mogłem pozostawać dłużej na piętrze, jeśli nie chciałem, by zauważono moją nieobecność. Wszedłem na korytarz i skierowałem się w stronę schodów. Chętnie rzuciłbym okiem na pokoje męża Reinony, ale czas naglił. Przed zejściem spojrzałem w dół, aby sprawdzić, czy droga jest wolna. Nie była. U stóp schodów czuwał młody portier. Pobiegnąłem korytarzem w przeciwnym kierunku, szukając drugich schodów. Gdy je znalazłem, spojrzałem w dół i zobaczyłem tego samego młodego portiera w tej samej pozycji. Najwyraźniej obiegłem cały dom i wróciłem do pierwszych schodów. Aby nie tracić czasu, wniosek ów wyciągnąłem w biegu, otwierając po kolei wszystkie napotkane drzwi. Wreszcie za jednym z nich, niczym nie wyróżniającymi się spośród innych, znalazłem wąskie schody, murowane, popękane, przeznaczone do dyskretnego ruchu służby. Zszedłem po nich i wylądowałem w czymś w rodzaju szafy wnękowej, w której siedział na taborecie Filipińczyk.

Przeszedłem obok niego, otworzyłem kolejne drzwi i znalazłem się w salonie, dokładnie w momencie, gdy prezydent po raz czwarty kończył swoje przemówienie i zbierał salwę oklasków. Stałem niespostrzeżenie za plecami Reinony i dołączyłem do owacji. Reinona odwróciła się i powiedziała mi do ucha coś, co ledwie usłyszałem z powodu hałasu, lecz nie zrozumiałem, ponieważ wspomnienie jej bielizny zakłóciło moje procesy intelektualne i sprawiło, że policzki mi płonęły.

- Prawdziwe arcydzieło oratorskie! - zawołałem, żeby ukryć zmieszanie.

- Mówię ci, żebyś stąd spadał, jeśli zależy ci na własnej skórze - powtórzyła Reinona. - Za tą zasłoną są przeszklone drzwi wychodzące na ogród. Są zamknięte, ale tylko na zasuwkę. W głębi ogrodu znajdziesz mur, a w nim zarośniętą furtkę. Nigdy jej nie używamy. Jeśli uda ci się ją otworzyć, może wyjdiesz stąd cało.

Wymawiając ostatnie słowo, objęła mnie lub może szturchnęła, po czym szepnęła mi do ucha:

- Nie próbuj kontaktować się ze mną. Ja sama odezwę się do ciebie. I bez względu na to, co się stanie, nie opowiadaj nikomu o tej rozmowie. Zmykaj.

To ostatnie polecenie było zbędne. Kątem oka dostrzegłem młodego portiera, zmierzającego prosto ku mnie z wyrazem twarzy nie pozostawiającym wątpliwości co jego zamiarów. Poszukałem wzrokiem Magnolia, na próżno. Reinona odsunęła się ode mnie i zaczęła rozmowę z kimś innym. Uratował mnie nagły tłok i wrzawa wokół prezydenta. Wszyscy naraz chcieli mu przedstawić swoje prośby: jeden domagał się rozwiązania kontraktu władz miejskich z konkurencyjną firmą, drugi chciał zostać mianowany dyrektorem Luwru, ktoś inny prosił o pozwolenie na jazdę lewą stroną drogi, bo kupił sobie angielski samochód, i tak dalej. Skorzystałem z zamieszania i przysunąłem się do zasłony. Znalazłem za nią drzwi, o których wspomniała Reinona. Otworzyłem je i wyszedłem do ogrodu.

Stamtąd wyprułem jak chart, starając się nie deptać kwiatów, i zatrzymałem się dopiero na murze. Noc była ciemna, szukałem furtki po omacku. Była zamknięta na klucz, a ja uświadomiłem sobie, że nie przełożyłem mojego zestawu awaryjnego do wypożyczonego garnituru. Na szczęście, zamek był przerdzewiały i rozpadł się, gdy walnąłem w niego kamieniem. Zastanowiłem się przelotnie, dlaczego młody portier jeszcze mnie nie dogonił. Dużo później dowiedziałem się, że wbiegając do ogrodu, trafił stopą w dołek i skrzył sobie kostkę. Zastanowiłem się też, czy kogokolwiek mogła zainteresować opowieść o tych niewiarygodnych przygodach. Na ulicy nie było żywego ducha, w odróżnieniu od tamtej, przy której na gości czekały samochody i ochroniarze. Przebrnąłem przez jakieś karczowisko i wyszedłem na ruchliwą aleję. Chwilowo byłem raczej bezpieczny.

Dochodziła trzecia, gdy wysiadłem z autobusu. Wszystkie sklepy i punkty usługowe w okolicy były zamknięte, z wyjątkiem baru z panienkami i dyżurnej apteki. Jako że nie jadłem kolacji, pomyślałem, że kupię sobie w aptece słoiczek papki dla niemowląt, ale nie miałem przy sobie zbyt wiele pieniędzy, więc ostatecznie zdecydowałem się na coś zupełnie lekkiego (czyli nic) i poszedłem do domu. W mroku bramy kulił się jakiś cień.

- Nie bój się - powiedziałem. - To ja.

- Jak ci poszło? - zapytała Ivet.

Jej głos drżał, jakby była o krok od łez. Wstała z trudem i ruszyła niezgrabnie przed siebie. Weszliśmy po schodach na piętro i stanęliśmy przed drzwiami mojego mieszkania. Powiedziałem:

- Wejźmy.

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Człapała za mną zgięta wpół. Pewnie pozostawała przez dłuższy czas w tej niewygodnej pozycji i miała zeszytywniałe stawy. Gdy znaleźliśmy się w środku, zamknąłem drzwi, nie zapalając światła. Podszedłem do okna, opuściłem żaluzje i zaciągnąłem perkalowe story. Wróciłem do drzwi i dopiero wtedy zapaliłem lampę. Chociaż nie jestem rozrzutny, jeśli chodzi o moc oświetlenia, jego blask oślepił Ivet. Zakryła sobie

oczy dłonią. Była blada. Miała na sobie wzorzystą, letnią sukienkę, nie wiem, czy luźną, czy obcisłą (od czasu, gdy zacząłem czytać czasopisma kobiece, miewam kłopoty z nazewnictwem), podkreślającą figurę. Wyglądała w niej uroczo.

- Co się stało? - zapytałem. H;

- Boję się - odpowiedziała. - A ty? Jak ci poszło u Reinony?

- Spoko - powiedziałem. - Reinona to kobieta. Jej mąż ma na imię Arderiu. Jadłaś kolację?

-Nie.

- Lodówka jest pusta, ale mogę skoczyć do apteki i kupić papkę dla niemowląt - zasugerowałem.

- Nie, nie przejmuj się - powiedziała.

Przeciągnęła się, żeby rozruszać stawy, i poprosiła o pozwolenie na skorzystanie z łazienki, którego udzieliłem jej bez ceregieli. Podczas jej nieobecności zdjąłem garnitur, który wczesnym rankiem miałem w nienagannym stanie zwrócić do pralni pana Sapastry, otrzepałem go i z największą ostrożnością powiesiłem na oparciu krzesła (jedyne w mieszkaniu), przysunąłem krzesło do okna, żeby przewietrzyć garnitur (pachniał trochę nieprzyjemnie), a sam wciągnąłem koszulkę Unio Esportiva Lleida, znalezione wiele lat temu niedaleko szamba, ale w całkiem niezłym stanie, porzuconą pewnie dlatego, że wspomniana drużyna spadła do drugiej ligi po tym, jak przez cały sezon mydliła kibicom oczy w pierwszej lidze. Koszulka ta sięgała mi do stóp, jeśli klęcząc, przyciskałem piętami pośladki i pochylałem tułów do przodu. W takiej pozycji zastała mnie Ivet, gdy nieco ożywiona i odświeżona wyszła z łazienki. Usiadła w fotelu (ja zająłem miejsce na podłodze), zapytała, czy mam coś do picia, uprzejmie odrzuciła ofertę skosztowania wody z kranu i opowiedziała, co następuje:

Tegoż wieczoru, kiedy wróciła do domu ze spotkania ze mną, rozmowy w barze i spaceru pod ramię (rozkochana bez pamięci, jak podszeptywała mi zwodnicza pamięć), nie wydarzyło się nic ciekawego. Jednakże później musiała wyjść na zakupy do pobliskiego supermarketu, a wtedy odniosła wrażenie, że ktoś ją śledzi. Początkowo, powiedziała Ivet, nie przejęła się tym, ponieważ, jak wyjaśniła, jest przyzwyczajona do tego, że mężczyźni podążają za nią w milczeniu albo idą u jej boku, prawiąc komplementy, a najśmielsi nawet drepczą przed nią tyłem, pokazując ptaka. Jednakże po upływie chwili coś nieprzystępnego w zachowaniu owego indywiduum, a także, powiedziała Ivet, w sposobie, w jaki jego cień kładł się na chodniku, uzmysłowiło jej, że nie chodzi o zwykłego podrywacza. W tym punkcie opowieści poprosiłem, żeby opisała z grubsza owego mężczyznę, na co Ivet powiedziała, że wydał się jej regularnej budowy, raczej wysoki, szczupły, nieco przygarbiony, o krzywym chodzie i gestach szpiega. Miał na sobie ciemny garnitur, czarny płaszcz przeciwdeszczowy, kapelusz z szerokim rondem i rękawiczki w tym samym kolorze, a także - chociaż była noc - okulary przeciwsłoneczne. W tym wszystkim, powiedziała Ivet, widać było chęć pozostania niezauważonym. Wspomniany osobnik, ciągnęła, szedł za nią do drzwi supermarketu, poczekał, aż zrobiła zakupy, i towarzyszył jej w drodze powrotnej tuż do bramy domu, do której Ivet wbiegła, a on został na straży oparty o latarnię (której blade światło nadawało jego sylwetce posępny wygląd), jak ustaliła sama Ivet, wyglądając ukradkiem przez okno sypialni. Podczas gdy wyglądała ukradkiem przez okno sypialni, ciągnęła, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos neutralny, ani męski, ani żeński, grożący jej najstraszliwszymi karami, jeśli natychmiast nie odda niebieskiej teczki, a ja nie porzucę, także natychmiast, mojego śledztwa. Po czym, nie dając jej czasu na powiedzenie słowa, opryskliwy rozmówca odłożył słuchawkę. Wówczas, zdjęta lękiem, podrywając się przy najbliższym dźwięku, Ivet wykorzystwała chwilową nieobecność człowieka w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu i przybiegła do mnie, aby opowiedzieć mi tę historię oraz prosić o oparcie i ochronę.

*

Bez makijażu i nieuczesana Ivet zdawała się jeszcze młodsza. W przyćmionym świetle rzucanym przez moją lampę (czyli w półmroku) wyglądała na najwyżej dwadzieścia lat, jak to zwykle bywa z kobietami, które jeszcze nie mają dwudziestu lat, i z tymi (choć to rzadkość), które niedawno skończyły czterdzieści. Myślałem sobie o tym (a także o papce dla niemowląt), kiedy spostrzegłem, że Ivet przyryka oczy.

- Jest oczywiste, jak wynika z tego, co mi opowiedziałaś - powiedziałem - że odkryli, że to ty, a nie ja, zabrałaś teczkę. Prędzej czy później musiało do tego dojść. Coś trzeba będzie z tym zrobić, ale nie teraz. Oboje jesteśmy zmęczeni i potrzebujemy snu. Tu jesteś bezpieczna, przynajmniej tej nocy. Z uwagi na rozmiary mieszkania mam tylko jedno łóżko, a raczej barłóg, nadzwyczaj wąski i dziurawy. Materacowi, pościeli i poduszce lepiej się nie przyglądać zbyt badawczo. Mimo wszystko jednak jest to najwygodniejszy mebel służący do spania. Oddaję ci go. Ja prześpię się w fotelu albo w kabinie prysznicowej.

- W żadnym wypadku - zaprotestowała Ivet. - Nie chcę sprawiać ci kolejnego kłopotu. Prześpijemy się oboje w łóżku. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Czytelnik z łatwością wyobrazi sobie (jeśli zechce), jakie wrażenie wywarła na mnie ta propozycja; poczułem się także głęboko zaniepokojony. Od najwcześniejszego dzieciństwa starałem się zachowywać zgodnie z nakazami rozsądku, etyki i prawa. A jeśli przy jakiejś okazji (niezmiernie rzadkiej) pogwałciłem te przewodnie reguły mojego życia, dając się ponieść emocjom i wykraczając (na przykład) przeciwko świętemu prawu własności, uczciwości, nietykalności fizycznej, przepisom prawa cywilnego lub karnego, kodeksowi drogowemu, taryfie cel czy porządkowi publicznemu, konsekwencje zawsze okazywały się nieproporcjonalnie niekorzystne dla mnie, przynajmniej z mojego punktu widzenia. W związku z powyższym obiecałem sobie jak ognia unikać wspomnianych sytuacji. Lękałem się ponownego zanurzenia w wirze czy też odmętach oceanu, które rozkołysałyby kruche czółno mego życia i nastęczyłyby mi wyrzutów sumienia, uszczerbku na ciele oraz problemów zawodowych. Do owych rozważań, jakby ich było mało, dochodził jeszcze strach przed nieumyślnym skrzywdzeniem Ivet, do której nadal czułem taki sam pociąg jak w chwili, kiedy ją zobaczyłem, lecz teraz połączony z czułością niewróżącą nic dobrego. Nie mówiąc już o obawie, że mógłby mi nie stanąć. Jednakże, jako że Ivet zdążyła się rozebrać, podczas gdy ja traciłem czas na rozmyślania, postanowiłem porzucić obawy i nie lekceważyć jedynej okazji do podupczenia, jaką los podsuwał mi w tej pięciolatce.

Lecz gdy zamierzałem się rozebrać, zadzwonił domofon i dzwonił tak uparcie, że nie sposób go było zlekceważyć.

- To jakaś pomyłka - powiedziałem, żeby uspokoić Ivet. - Wyjaśnię ją i zaraz będziemy w łóżku.

Podniosłem słuchawkę i zapytałem:

- Kto tam?

- Policja - odparł grzmiący głos. - Proszę natychmiast otworzyć albo rozniesiemy drzwi i schody.

Nacisnąłem przycisk otwierający bramę i powiedziałem Ivet:

- Lepiej, żeby cię tu nie spotkali. Schowaj się w szafie, a ja szybko się ich pozbędę. I nie bój się: wiem, jak ich traktować.

A oni mnie - dodałem po cichu. Ivet zebrała z podłogi ubranie i znikła w szafie. Zamknąłem drzwi na klucz, schowałem go do pudełka ze środkiem przeciwko karaluchom i podbiegłem do drzwi mieszkania, w które walili już stróże prawa, zdecydowany na okazanie najwyższej stanowczości, a gdyby to nie odniosło skutku, najwstrętniejszej uległości. Para, która wpadła do pokoju, nie dała mi jednak okazji do zademonstrowania ani jednego, ani drugiego. Para owa składała się z szeregowego policjanta krajowego oraz szeregowego policjanta katalońskiego. Na mocy paktu Bóg wie jakiego, ten pierwszy przemówił pierwszy:

-Nie ruszać się! Będziemy robić rewizję.

- Mów po ludzku, do kurwy nędzy - powiedział drugi.

- Czy mają panowie stosowny akt prawny? - zapytałem. Po czym, widząc wyraz ich twarzy i odgadując ich zamiary, dodałem pośpiesznie: - To proszę się nie fatygować i nie szukać. Zawsze do usług stróżów ładu publicznego. O co jestem oskarżony?

- O kradzież.

- Z okolicznościami obciążającymi.

- Z pewnością chodzi o jakąś pomyłkę, panowie. Nic nikomu nie ukradłem.

- Nie słuchaj go, Baldiri - powiedział policjant krajowy, bardziej przemądrzały. - Oni wszyscy tak mówią. Zrewiduj go rewizją i zobaczysz, że coś znajdziesz.

Policjant kataloński ruszył prosto w stronę garnituru wietrzącego się na krześle, obszukał go i wyjął z kieszeni złoty pierścionek z wianuszkiem z brylantów.

- Aha! - powiedział.

Rozpoznałem pierścionek i zrozumiałem, zbyt późno, że Reino-na wsunęła mi go do kieszeni, kiedy kilka godzin temu, w salonie swojego domu z przesadną uprzejmością objęła mnie na wpół bratersko, na wpół szelmowsko. Po czym, jak rzuciła się w oczy, zademonstrowała mi policji. A w dodatku powiedziała, że bym nikomu nie ufał.

- Czy zaprzecza, że przywłaszczył sobie na własność ten wartościowy przedmiot o dużej wartości?

Nie miało sensu zaprzeczać. Poza tym, gdyby zaczęli przeszukiwać mieszkanie, znaleźliby Ivet w szafie i w majteczkach, a ja nie byłem w stanie wytłumaczyć obecności dwóch przedmiotów tej klasy i wartości w mieszkaniu komunalnym.

- Proszę spełnić swój obowiązek - powiedziałem. - Wszystko się niebawem wyjaśni. Pokładam całkowite zaufanie w prawości i szybkości naszych trybunałów.

Wykręcili mi ręce, skuli kajdankami i wymierzili pół tuzina regulaminowych kuksańców. Potem nakazali:

- Idziemy!

Ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i wypełniła je, jakby za sprawą czarów, korpulentna figura niskiego mężczyzny, przybranego w galowy mundur Gwardii Cywilnej, który (mężczyzna, nie mundur) wykrzyknął tubalnie:

- Bacność, dupki! Jestem pułkownik Díaz-Bomba!

Obaj funkcjonariusze podnieśli jednocześnie dłonie do daszków, stukając obcasami i zębami.

- Dokąd zabieracie tego człowieka? - ryknął nowo przybyły.

- Do komisariatu, panie pułkowniku.

- Podejrzany o rąbniecie biżuterii, panie pułkowniku.

- A wam kto pozwolił mówić, dupku? Gdzie ta pieprzona biżuteria?

- Tu, panie pułkowniku, włożyłem sobie na mały palec, żeby zobaczyć, czy pasuje.

- Oddać pieprzoną biżuterię właścicielowi, zdjąć mu pieprzone kajdanki i spieprzać stąd, zanim wam dopieprzę tak, że Panie Boże nie pomoże. Głusiście, głupi, czy co?

Funkcjonariusze usłuchali i w sekundę później ich tętent ucichł w dole schodów. Nieznajomy, zadowolony, zatarł ręce, a zza jego pleców dobiegł znany mi głos:

- Świetnie to zrobiłeś, Marcelino.

Po czym do mieszkania weszła moja sąsiadka Purines, skrzęcając się ze śmiechu. Była przebrana za nauczycielkę, miała plisowaną spódnicę z popielatej flaneli, zapinany sweter z angoryny, jej włosy były spięte w ciasny kok, a na nosie miała okulary. W jednej ręce trzymała linijkę, a w drugiej elementarz. Najwidoczniej ona sama i jej stały klient, tu obecny, usłyszeli najpierw dzwonek, a następnie walenie do drzwi i przekleństwa. Z tego wszystkiego oraz z wymiany zdań podsłuchanych po przyłożeniu ucha do ścianki działowej wydedukowali, że znajdują się w kłopotliwej sytuacji. Wówczas Purines, powodowana

swoimi filantropijnymi skłonnościami, przy grzecznościowym współudziale klienta zaimprovizowała numer, który został odegrany. Złożyłem jej najszczerze podziękowania, a spontanicznego współpracownika grzotnąłem kilka razy w plecy, od czego zadźwięczały jego medale.

- Gratulacje, stary - powiedziałem. - Przedstawienie było super, a w tym idiotycznym przebraniu wyglądasz wypisz wymaluj jak prawdziwy pułkownik.

- Ba, nie mam w tym wielkiej zasługi - zaśmiał się. - Jestem prawdziwym pułkownikiem Gwardii Cywilnej, a mundur jest mój. Ubieram go, kiedy idę w odwiedziny do mojego cukiereczka. Za co pana aresztowali?

- Za coś, czego nie zrobiłem.

- Tak, tak. To samo powiem sędziemu Garzonowi i zobaczy pan, co z tego wyniknie. Areszt prewencyjny, nawet jeśli trafi na Pinocheta.

-Bardzo mi przykro, że nie mogę was niczym poczęstować - powiedziałem.

- Nie przejmuj się - powiedziała Purinfcs. - Już idziemy. Marcelino nie odrobił dziś lekcji i pani ukarze go bardzo, bardzo surowo.

Ponownie podziękowałem obojgu, umówiliśmy się, że spotkamy się kiedyś na kolacji, i już mieli wychodzić, gdy usłyszeliśmy dyskretne pukanie do drzwi.

- No tak - wycedziłem. - Ciekawe, kto to tym razem?

I podnosząc głos, zapytałem, kto tam. Zza drzwi odpowiedziano:

-To ja, prezydent.

Rzeczywiście, rozpoznałem jego niepowtarzalny i charyzmatyczny głos. Nieco zakłopotany tym nieoczekiwanym zaszczytem, zapytałem:

- Kto panu otworzył bramę?

- Dwóch sympatycznych policjantów, którzy zmykali stąd jak zające.

- Wolałbym, żeby mnie tu nie zastał - szepnął mi do ucha pułkownik Díaz-Bomba. - Nic się wprawdzie nie stało, ale...

- Rozumiem pana. Proszę wejść do szafy - zasugerowałem. - Purines może się schować w toalecie. Pan się nie zmieści.

Wyjąłem z pudełka klucz, otworzyłem szafę i, zanim Ivet zdążyła cokolwiek zrobić, wepchnąłem do środka pułkownika Díaza-Bombę. Purines wśliznęła się do toalety, a ja poszedłem otworzyć. Prezydent wszedł do pokoju, tryskając serdecznością.

- Lubię patrzeć, jak żyją mieszkańcy tego miasta o czwartej dwadzieścia nad ranem - powiedział, rzucając okiem na zegarek.

- Jak pan mnie zlokalizował?

- Och, mam w głowie spis mieszkańców. Przeszkadzam?

- Ależ skądże. Czym mogę służyć, panie prezydencie?

- Mnie? Nie, nie. To ja jestem na usługi obywateli. Nie pytaj, co twoje miasto może zrobić dla ciebie, lecz co ty możesz zrobić dla swojego miasta, jak powiedział, nie wiem kto. Czy korzysta pan z transportu miejskiego? Czy segreguje pan śmieci? Czy płaci pan podatki w terminie? Wyłącznie to mnie interesuje. Nie mam ambicji politycznych ani osobistych. Jeśli tylko nie trafię do mamra, będę zadowolony. Ale nie przyszedłem, żeby mówić o sobie, tylko o tobie. Był pan dzisiaj w nocy w domu Reinony. Doskonale pamiętam. Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina: jestem prezydentem Barcelony. Mówią, że mam nierówno pod sufitem, i czasem zastanawiam się, czy nie mają racji. Na przykład teraz wydawało mi się, że ktoś śpiewa Toma Dooleya w szafie. Zresztą, pomijmy to. Przyszedłem prosić pana o pomoc. Jestem człowiekiem uczciwym, lecz każdego dnia lawiruję między wulkanami, ruchomymi piaskami i bagnami. Nie narzekam: prezydent miasta musi być mistrzem ekwilibrystyki. Do pewnego stopnia. Kto zabił Pardalota? Jeśli pan wie, niech pan nie mówi; to rzeczy, których nie powinienem słyszeć. Ale jeśli odpowiedź jest twierdząca, niech pan położy lewą rękę na prawym kolanie, a w przeciwnym przypadku, prawą na lewym. Proszę się przy tym nie

przewrócić. Pardalot miał tylu przyjaciół, ilu wrogów, przy czym były to te same osoby. Społeczeństwo tak złożone jak nasze nie funkcjonuje, jeśli od czasu do czasu nie naoliwi się jego trybów. Pardalot zajmował się właśnie tym. Nie pytam o nazwisko mordercy. Nie będę się wtrącał w kompetencje wymiaru sprawiedliwości. Czytałem Monteskiusza. Ale ten, kto wydał polecenie, wpakował się w tarapaty. Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Wszyscy chcieli zlikwidować Pardalota, ale też wszystkim odpowiadało, żeby żył. Jeśli pan mnie nie rozumie, proszę dotknąć lewego ucha prawą stopą.

*

Informacje ujawnione przez mego znamienitego gościa budziły moje żywe zainteresowanie i chętnie byłbym go nakłonił (z należyтым szacunkiem), by paplał dalej, gdyby w tym momencie nie rozległ się dzwonek domofonu. Podniosłem słuchawkę i przyłożyłem ją tam, gdzie trzeba.

- Kto tam? - zapytałem.

— To ja, Reinona, pamiętasz mnie?

Rzuciłem panu prezydentowi pytające spojrzenie, a pan prezydent odpowiedział spojrzeniem wyrażającym pełne przyzwolenie.

- Pamiętam - powiedziałem, naciskając przycisk otwierający bramę. - Proszę wejść.

- Ta kobieta - powiedział pośpiesznie pan prezydent - wie więcej, niż pokazuje po sobie. Byłoby głupie z naszej strony, gdybyśmy nie wykorzystali okazji, by ją wy badać. Przy tym wszystkim jednak lepiej będzie, jeśli mnie tu nie zobaczy. W mojej obecności nic nie powie. Proszę mi wskazać miejsce, gdzie mogę się schować. A jej ani słowa o tym, o czym mówiliśmy.

- Proszę wejść do toalety - powiedziałem - i nie robić hałasu, cokolwiek by się działo wewnątrz lub na zewnątrz.

Schowałem pana prezydenta w toalecie i pomknąłem otworzyć Reinonie. Weszła do pokoju stanowczym krokiem i nakazała:

- Zamykaj. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tu jestem.

Miała na sobie elegancki szlafrok z czerwonego aksamitu i pantofle. Tym domowym strojem oraz powieścią Saramago trzymaną pod pachą oszukała męża i służbę, udając, że idzie spać. Następnie, niezauważona przez nikogo, wyszła do ogrodu, a potem, przez furtkę, na ulicę, gdzie znalazła taksówkę. Opowiedziała mi to, po czym przeprosiła za pojawienie się o tej porze. Goście wyszli późno, powiedziała. Ona zaś, uzupełniła, nie chciała odwręcać naszego spotkania.

- Musiałam cię jak najszybciej zobaczyć - wyjaśniła. - Wiem, że jesteś wplątany w tę historię z Pardalotem. Widziałam cię w kościele. Ktoś mi powiedział, że jesteś głównym podejrzanym o morderstwo. Nie zaprzeczaj.

- Nie zaprzeczam - powiedziałem. - Ale ja nie zabiłem Pardalota.

- Na jedno wychodzi - stwierdziła. - Nie przyszedłem po to, żeby szukać zabójcy. Nie żeby mnie to nie interesowało. Pardalot i ja byliśmy przyjaciółmi. Nie... No dobrze, powiedzmy, że nie tylko przyjaciółmi. Ale nie przyszedłem po to, żeby cię o tym poinformować, bo w sumie to nie twój interes. Przyszedłem z powodu znacznie dla mnie ważniejszego. Wykonawca zbrodni jest zwykłym pionkiem. Płatnym mordercą. Ktoś wydał mu polecenie. A może nikt nie wydał polecenia. Mądrym podwładnemu nie trzeba mówić, co ma robić. Wystarczy mu potem zapłacić. O, ja biedna.

Osunęła się na krzesło, nie omieszkała uprzednio zerwać z oparcia mojego wypożyczonego garnitur, zwinąć go w kłębek, cisnąć na podłogę i podeptać z furją. Była kobietą z temperamentem, którego nie ujawniała na co dzień, a tylko w najbardziej nieodpowiednich momentach i w najbardziej niewłaściwy sposób.

- Proszę mi powiedzieć, w czym mogę pani pomóc - powiedziałem szybko, żeby tylko zostawiła w spokoju mój garnitur.

Wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Udałem się do kuchni i nalałem do szklanki wody z kranu.

- Proszę to wypić - powiedziałem. - Mętna i cuchnąca woda ze źródeł świętego Higieniusza, doskonała na stany udręki i niepokoju.

Zachęcona moimi słowami, wypła duszkiem całą szklankę i uspokoiła się nieco.

- Może opowie mi pani to, co przyszła mi pani opowiedzieć? - zasugerowałem.

- Nie mogę - powiedziała. - Zbyt dużo wiem. Jeśli zacznę mówić, wybuchnie skandal.

- Myślałem, że pani nie zależy.

- Gdyby chodziło tylko o mnie, ale...

Zamilkła. Wzrok wbiła w ziemię, brwi miała zmarszczone, wargi zaciśnięte, jednym słowem, wyglądała na osobę głęboko przejętą. Po chwili podniosła głowę i zapytała:

- Mogę skorzystać z ubikacji?

- Nie.

- Ta woda na mnie działa.

- Przykro mi. Ubikacja jest nieczynna. Ale może pani sikać na podłogę - to nie Pedralbes.

- Nieważne - powiedziała z rezygnacją. - Kiedy człowiek jest w najwyższym niebezpieczeństwie, cała reszta staje się drugorzędna. Pomożesz mi? Powiedziałeś, że jesteś adwokatem, a adwokaci są po to, żeby pomagać klientom. A przy okazji rodzajowi ludzkiemu.

- Skłamałem. Nie jestem adwokatem.

- To pomóż mi, jak byś nim był - powiedziała błagalnie. - Jestem biedną kobietą, osaczoną i bezbronną. Wystarczy na mnie spojrzeć.

- Proszę iść na policję.

- Och, nie. Tylko nie to. Przede wszystkim, z daleka od policji. Przysięgnij, że ty też nie pójdziesz na policję. Przysięgnij.

- W moim przypadku nie musi się pani obawiać - uspokoiłem ją. - Jestem głównym podejrzanym, jak sama pani powiedziała.

- To prawda - przyznała. - Ale nie sądzę, żebyś był mordercą. Pokaż mi ręce. Widzisz? Ręce nie kłamią, a ty nie masz rąk mordercy. Masz dłonie delikatne, jak fryzjer.

Nie uległa wątpliwości, że pochlebstwami usiłuje zaskarbić sobie moją przychylność, a w dalszej kolejności współpracę. Po jeszcze kilku nieudanych próbach, zauważając moją wrodzoną nieśmiałość, postanowiła zakończyć te ceregiele, wstała, zdjęła szlafrok i rzuciła go w najdalszy kąt pokoju. Miała pod nim koszulę tak skąpą i przezroczystą, że nic nie usprawiedliwiała jej obecności prócz jej obecności.

- Rób to, co ci powiem - rozkazała, zmieniając nagle ton i postawę - a nie pożałujesz.

Ten argument wydał mi się nie do obalenia.

- Proszę mi powiedzieć, co trzeba zrobić.

- Posłuchaj - szepnęła mi do ucha. - Doszły mnie słuchy, że w tej historii, to znaczy w historii z Pardalotem, macza palce jakaś dziewczyna. Młodsza ode mnie i piękniejsza, ale nie tak szybka i skuteczna. Chcę, żebyś ją znalazł. Znajdź ją. Musisz ją znaleźć. To konieczne. *Il le faut!*

Zawahałem się. Oczywiście, że mógłbym wyjawić jej, że nie tylko znam Ivet, lecz że właśnie w tym momencie trzymam ją pod kluczem w szafie, w towarzystwie pułkownika Gwardii Cywilnej, ale nawet za rozkosze, jakie słowem i ciałem oferowała mi owa dystyngowana dama o równie dystyngowanej figurze, nie chciałem zawieść zaufania, jakie Ivet, wedle jej własnych słów, pokładała we mnie.

- Proszę mi najpierw powiedzieć, dlaczego interesuje panią ta dziewczyna - wybełkotałem.

- Zrobię to - odrzekła drżącym głosem - gdy tylko skończymy. Najpierw pocałuj mnie,

zaspokój i zdejmij koszulkę Unió Esportiva Lleida.

Najpierw z niedowierzaniem, później zdumieniem, zdałem sobie sprawę, że to, co zaczęło się jako prostacka próba uwiedzenia mnie, doprowadziło tę istotę o porywczym temperamencie do utraty głowy. A jako że nie należę do ludzi, którzy każą się długo prosić, z pewnością wkrótce nastąpiłyby sceny, których opis oczarowałby dorosłego czytelnika, gdyby natarczywy dzwonek domofonu nie zmusił mnie do odroczenia momentu Spełnienia mych pragnień (oraz ukoronowania wysiłków) i do włożenia koszulki.

- Przepraszam. Zapytam, kto to.

Podniosłem słuchawkę, zadałem stosowne pytanie, na które męski głos odpowiedział:

- Jestem Arderiu, mąż Reinony. Mogę wejść?

Przysłoniłem słuchawkę dłonią i przekazałem informację zainteresowanej, która okazała oznaki niezadowolenia.

- Zawsze musi popsuć zabawę - syknęła, wkładając szlafrok. - jeśli mu nie otworzysz, zaczniesz podejrzewać, że tu jestem. Może wynajął detektywa, który mnie śledzi. Przyjmij go i powiedz, co ci ślina na język przyniesie. Wszystko kupi, jest głupi jak but. Mogę się schować w szafie?

- Nie. W szafie, nie. Zamek jest zepsuty. Proszę wejść pod łóżko.

Zrobiła to z takim pośpiechem, że zapomniała o papuciach, którymi minutę wcześniej, w porywie namiętności, strzeliła o sufit. Ponieważ gość już stukał do drzwi, szybko ubrałem papucie i poszedłem otworzyć. Mąż Reinony wkroczył do pokoju, mówiąc:

- Dobry wieczór. Pamięta mnie pan? Poznaliśmy się kilka godzin temu. Jestem Arderiu. Abelardo Arderiu. Może pan mówić do mnie Arderiu albo Alberdo Arderiu, ale nie Abelardo.

- Cholera, Arderiu, jakże miałbym cię nie pamiętać, skoro nie zmieniłeś się ani o jotę. Dla ciebie czas w ogóle nie płynie - powiedziałem lekko zdenerwowany, bo miałem wrażenie, że nie kontroluję w pełni całej sytuacji.

Uprzejmy mąż podniósł rękę, ucinając gestem moje kurtuazyjne powitanie, i powiedział:

- Będę z panem rozmawiał bez ogródek. Jak pan wie, jestem głupi, a my, głupcy, nie możemy mówić z ogródkami, bo się gubimy. Moja żona wyszła dzisiaj potajemnie z domu i mam powody, by sądzić, że zna pan miejsce jej pobytu. Będę mówił bez ogródek: Reinona jest w niebezpieczeństwie. Wszystkie kobiety są w niebezpieczeństwie, biorąc pod uwagę aktualny poziom przemocy wobec kobiet. Ale w przypadku Reinony do powszechnej przemocy dochodzi inna, właściwa jej samej. Będę mówił bez ogródek. Mam powody, by przypuszczać, że Reinona należy do pewnego spiski Samo to w niczym mi nie przeszkadza. Nie należę do mężczyzn, którzy uważają, że miejsce kobiety jest w kuchni. W moim domu zawsze była w kuchni jakaś kobieta, a umieszczanie tam wszystkie pozostałych nie wydaje mi się konieczne. Reinonie zawsze pozwalałem robić to, na co miała ochotę. Wychodzi drogo, ale przy moim majątku i rentach mogę sobie na to pozwolić. Gdyby na przykład chciała poświęcić się sztuce, nie stawiałbym oporu. Akwarela, pastele, olej, gwasz czy rytownictwo - byłoby mi wszystko jedno. To tylko przykład ilustrujący mój liberalizm. A jeśli czuje się potrzebna, biorąc udział w jakimś spisku, niech sobie bierze. Rozumie mnie pan?

Powiedziałem, że tak, a on skorzystał z tej oznaki zrozumienia i opuścił rękę. Następnie mówił dalej:

- Teraz jednak sprawy się skomplikowały. Mogę mówić bez ogródek? Nasze miasto najwyraźniej przechodzi trudne chwile. Nie wiem na czym to polega, tak więc musi pan przyjąć moje słowo honoru rzeczywiście trudne chwile. W czym dotyczy to mnie samego? Nie wiem, ale nie należę do ludzi, którzy czekają z założonymi rękami Poproszono mnie, żebym przystąpił do pewnego spisku, a ja, nit zastanawiając się ani minuty ani nie zadając żadnych pytań, zrobiłem krok do przodu. Obiema nogami naraz. Ja nie chodzę ogródkami. Teraz jednak znalazłem się w trudnej sytuacji, której nie zawahałbym się nazwać prawdziwą

tessiturą, gdybym wiedział, co znaczy to słowo. Należę do spisku i moja żona należy do spisku, lecz mam powody, by podejrzewać, że mój spisek i spisek mojej żony to dwa różne spiski. Mówiąc bez ogródek, dwa antytetyczne spiski. Gdyby chodziło wyłącznie o płacenie dwóch składek, nie przejmowałbym się. Ale mam powody, by podejrzewać, że należymy do dwóch konkurencyjnych band. Band, których nie zawaham się nazwać antytetycznymi. Pozwoli pan, że przerwę na moment mój dyskurs i zdejmę moherowy płaszcz - przy tym upale zaraz zacznę się pocić. Wczoraj jadłem indyka i uznałem, że to Boże Narodzenie. Czy ma pan wieszak?

Odparłem, że nie, ale że chętnie powieszę mu płaszcz na gwoździu.

- Dobrze - powiedział, gdy zakończyliśmy manewr z płaszczem. - W takim razie będę mówić bez ogródek. Mam powody, by podejrzewać, że ktoś planuje zabicie kogoś. Być może mojej żony. Mam nawet powody, by podejrzewać, że to mnie zostanie powierzony ten zadanie. Oczywiście, gdyby ktoś zaproponował mi zabicie mojej żony, odmówiłbym. Stanowczo, gdyby było trzeba. Ale to nie rozwiązałoby problemu. Ktoś inny zająłby się „wystawieniem jej paszportu”. Tak się mówi w konspiracji na wypadek, gdyby ściany miały uszy. Tak czy owak, jestem w dramatycznie antytetycznej sytuacji. Względem mojej żony i względem wszystkiego. Moja żona nazywa się Reinona. Mówię o tym na wypadek, gdyby pan zapomniał. Ja jestem mężem Reinony. Ja i pan poznaliśmy się dzisiaj wieczorem. Znamy się zatem od niedawna, ale to wystarczy, by mówić bez ogródek. Nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek zabił moją żonę. Stosunki małżeńskie bywają skomplikowane, zwłaszcza między mężem a żoną, ale mężczyzna musi rozwiązywać je sam, za zamkniętymi drzwiami, bez pomocy osób trzecich. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? Nie wiem. Reinona wymknęła się z domu i mam powody, by podejrzewać, że zna pan miejsce jej pobytu.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Jak?

- Ze mam coś wspólnego ze zniknięciem pańskiej żony.

- Proszę nie udawać. W salonie widziałem, jak wkładała rękę do kieszeni spodni. Pańskich spodni. Robi to ze wszystkimi, ale zawsze ucieka z ostatnim. Proszę się nie bać. Nie jestem Arabem. Powiedziałem już, że nie mam nic przeciwko temu, by moja żona uprawiała sztuki piękne. Ale ten przypadek jest inny, ze względu na niebezpieczeństwo, o którym nadmieniałem wcześniej. Pan także jest inny, teraz zwróciłem na to uwagę. To pana garsoniera?

- Moje mieszkanie.

- Och. Wygląda na wygodne. Wszystko pod ręką.

- Wróćmy do tematu Reinony. Dlaczego mówi pan, że ktoś chce ją zabić? Kto chce ją zabić? Jaki jest motyw planowanej zbrodni?

- Co to jest „motyw”?

- Proszę odpowiedzieć tylko na pierwsze pytanie. Skąd pan wie, że ktoś próbuje zabić Reinonę?

- Słyszał pan o historii z Pardalotem?

- O tak: jestem głównym podejrzanym. Ale ja go nie zabiłem.

- Oczywiście, oczywiście. Nie dlatego o tym mówię. Nie oczekiwałem, że się pan przyzna, jesteśmy dżentelmenami. Wspomniałem o tym, ponieważ jedno ma związek z drugim. Między moją żoną a Pardalotem istniał bardzo specyficzny związek. Reinona była o krok od wyjścia za niego za męża. W końcu nie wyszła za niego, tylko za mnie. Nazywam się Arderiu. Kochała Pardalota, a Pardalot kochał ją, ale w ostatecznym rozrachunku dobrze zrobiła, że wyszła za mnie, bo gdyby była wyszła za Pardalota, byłaby teraz wdową. Wdową po Pardalocie.

- Dlaczego nie za Pardalota?

- Co dlaczego? Dlaczego nie wyszedłem za Pardalota?

- Nie pan, Reinona. Dlaczego Reinona nie wyszła za Pardalota?

- Ach. Proszę mówić całymi zdaniami, bo się zgubię. Dlaczego Reinona i Pardalot nie pobrali się, pyta pan? Nie wiem. Pewnie mieli swoje powody. Być może powody antytetyczne. Niech pan zapyta Reinony, gdy ją pan zobaczy.

- Panu nigdy nie powiedziała?

- Nigdy jej nie pytałem. Zna pan tę maksymę: chcesz się żenić, nie zadawaj pytań.

- Jak na człowieka, który nie zadaje pytań, wie pan bardzo dużo.

- Wiedzieć nie wiem. Dochodzą mnie słuchy, to wszystko. I to nie zawsze w porządku chronologicznym. Tak czy owak, sprawy potoczyły się tak, jak panu opowiedziałem. Mieli się pobrać, lecz nagle coś się zagmatwało. Pardalot ożenił się z wdową po Pardalocie, a ja z Reinoną. Pardalot miał córkę: Ivet Pardalot. Reinona i ja nie mieliśmy dzieci, chociaż próbowaliśmy. Ale nie robiliśmy tego jak trzeba, a może był inny powód. Wreszcie udaliśmy się do najlepszego ginekologa w Barcelonie - doktora Sugrañesa, syna słynnego psychiatry o tym samym nazwisku. Badania wykazały, że Reinona jest bezpłodna. Pech. Planowaliśmy adoptować małe Hawajątko, ale schodził dzień za dniem, mijały lata i nic nie zrobiliśmy. Czy jest jakiś związek między tym, co panu opowiadam, a tym, co panu opowiadam?

- To zależy. Czy Pardalot i Reinona widywali się po ślubach?

- Tak, oczywiście. W tym mieście trudno jest nie wpadać ciągle na siebie, skoro mieszka tu tylko pół tuzina rodzin. Poza tym widywali się na osobności. Po kryjomu.

- Skąd pan wie?

- Od detektywów.

- Kazał pan śledzić Reinonę?

- Nie, nie. Powiedziałem już panu, że nie ingeruję w prywatne życie mojej żony. Wyznaję zasady liberalne, żeby nie powiedzieć, liberyjne. Ale czasem wynajmuję detektywów do śledzenia moich współników. Każdy ma kiedyś dość bycia wiecznie oszukiwanym, wie pan? A w ich raportach pojawiała się Reinona. Wchodząca lub schodząca z hotelu lub z portu lotniczego, gdzieś po drodze. Mnie mówiła, że poleciała z przyjaciółkami na festiwal do Salzburga albo coś w tym stylu. Klasyka. Oczywiście detektywi nie wiedzieli, że Reinona jest moją żoną, albo pomijali jej imię przez delikatność, tak sądzę.

- Panie Arderiu albo przyjacielu Arderiu, proszę mi odpowiedzieć szczerze. Czy sądzi pan, że Reinona mogła zabić Pardalota?

Upłynęła chwila, zanim zrozumiał sens mojego pytania. Westchnął ciężko i stwierdził:

- To bardzo trudne pytanie.

- Niech pan powie tylko: tak albo nie. Czy Reinona zabiła Pardalota?

- Powiem panu, co myślę na ten temat. Ale musi mi pan przyrzec, że moje słowa pozostaną w tych czterech, jeśli dobrze liczę, ścianach.

- Proszę mówić z pełnym zaufaniem - powiedziałem.

-Więc...

Ale w tym momencie jego wyznanie zostało przerwane przez dzwonek domofonu.

- Kto tam? - zapytałem.

- To ja, Magnolio - powiedział głos w domofonie. - Właśnie skończyłem pracę i przychodzę zdać panu relację, tak jak się umówiliśmy.

- Czy trochę nie za późno, Magnolio? !

- Przykro mi, ale bardzo długo szukałem miejsca do zaparkowania w tej dzielnicy.

- Dobrze, niech pan wejdzie.

Wcisnąłem przycisk otwierający bramę i odpowiedziałem na nieme zapytanie męża Reinony, wyjaśniając, że nowo przybyły jest moim pomocnikiem, którego umieściłem w jego własnym domu (jego i Reinony), aby dowiedzieć się czegoś w sprawie zabójstwa Pardalota.

- Nie podoba mi się, że wszyscy wtykają nos w moje życie prywatne - powiedział gderliwie.

- Chodzi tylko o prywatne życie pańskiej żony - powiedziałem, żeby go uspokoić. ,

-A to nie upokarzające? - zapytał.

- Ależ skądże, chłopie - odrzekłem.

- Tak czy owak - stwierdził - wolałbym, żeby ów osobnik nie zobaczył mnie tutaj. Nie mam zwyczaju mieszania się z pospólstwem, wie pan? Proszę szybko się go pozbyć, a ja tymczasem schowam się do łazienki. Nie? Dobrze, to do szafy. Też nie? To wejść pod łóżko.

- Proszę wejść za zasłonę, przycisnąć się do ściany, nie ruszać się i nie robić hałasu - poleciłem mu, pokazując moje wspaniałe story (z perkalu).

Arderiu schował się, a do pokoju wszedł Magnolio. Nie miał już na sobie stroju kelnera, lecz swój zwykły garnitur szofera.

- Przepraszam za spóźnienie - zaczął - ale kiedy poszedł ostatni pijak, musieliśmy posprzątać ze stołu, opróżnić popielniczki, odkurzyć dywany, umyć kieliszki, wyrzucić śmieci i sam już nie wiem, co jeszcze. Wiem za to, że nie zostawili ani jednej przekłętej kanapki.

- Niedługo otworzą bary i będzie pan mógł zjeść śniadanie - pocieszyłem go. - Do tego czasu proszę mi opowiedzieć, co pan jeszcze zobaczył i usłyszał.

Usiadł na łóżku, tłumacząc, że musi zdjąć buty, bo ma zmiażdżone stopy. Pod jego ciężarem stelaż ugiął się aż do podłogi, a Reinona wydała żalosny jęk.

- Powinien pan naoliwić sprężyny - zauważył Magnolio. Następnie, w odpowiedzi na moją prośbę, powiedział: - Z rozmowy ze służbą nie wyniosłem zbyt wiele poza tym, co już panu opowiedziałem. Zazwyczaj służba niezbyt chętnie komentuje sprawy prywatne swych państwa w obecności nieznanego, co w gruncie rzeczy jest bardzo przyzwoite. Służba składa się z kamerdynera, kucharki, dwóch dziewcząt do wszystkiego i ogrodnika. Kamerdyner jest Asturyjczykiem, podobnie jak kucharka, chociaż nie poza tym nie łączy tych dwojga. Dziewczęta pochodzą z Dominikany, mieszkają w Hiszpanii od dziesięciu lat, obie mają pozwolenie na pracę i starają się o obywatelstwo hiszpańskie. Ogrodnik jest Pakistańczykiem, od dwóch lat w Barcelonie, to jedyna osoba mówiąca po katalońsku. Kamerdyner sporadycznie służy za kierowcę, chociaż tak pan Arderiu, jak i jego żona, pani Reinona, wolą sami prowadzić swoje samochody, to jest srebrne porsche carrera z silnikiem 3600 centymetrów sześciennych i saab ts coupe 2,05 koni, granat metalik. Notabene przed pańskim domem stoją teraz, bardzo źle zaparkowane, identyczne porsche i saab, czyż to nie przedziwne zbiegi okoliczności? Ogrodnik, jak zacząłem mówić, zajmuje się ogrodem, a także systemem ogrzewania, klimatyzacji, nawadniania oraz utrzymaniem i czyszczeniem basenu i pozostałego sprzętu. Kucharka i dziewczęta do wszystkiego dbają o resztę. Tak czy owak, pan i pani rzadko bywają w domu. W południe jedzą poza domem i wychodzą prawie co wieczór, co wynika z ich zamiłowania do intensywnego życia towarzyskiego. Często jeżdżą za granicę. Z tej przyczyny służba spędza większą część dnia na oglądaniu telewizji, rozmawianiu przez telefon i paplaniu, z wyjątkiem nielicznych sytuacji, gdy w domu odbywa się przyjęcie, tak jak dzisiejszej nocy, kiedy to zatrudnia się dodatkowy personel. Przy tych warunkach pracy i niezłym wynagrodzeniu nie można oczekiwać zbyt wielu krytyk i plotek. Jedynie kucharka żywi odrobinę niechęci do swych państwa z powodu niemiłego incydentu, mającego miejsce pięć czy sześć lat temu. Z kasetki z biżuterią pani Reinony, jak opowiedziała mi sama kucharka, znikła cenna kolia. Policja przesłuchała służbę, a podejrzenie padło na biedną kucharkę, która kupiła sobie właśnie renault clio 1.2 rt, trzydrzwiowe, ze wspomaganiami kierownicy, hamulcami tarczowymi itd. Policja połączyła fakt zakupu clio 1.2 rt z kradzieżą, ale kucharka udowodniła uczciwe pochodzenie oszczędności i sprawa została zamknięta. Jednakże, jak twierdzi sama kucharka, tego, co przeżyła, nikt jej nie zrekompensuje. Ponadto poczuła niechęć do swojego samochodu, na który, skądinąd, nie ma powodów narzekać.

- Czy kolia się znalazła? - zapytałem.

- Nie wiem - odrzekł Magnolio. - Opowieść kucharki skupiała się raczej na wątku

psychologicznym i mechanicznym.

- A czy od tamtej pory powtórzyło się jakieś podobne zdarzenie?

- Nie, proszę pana.

- Dziwne - stwierdziłem. - Powinien był zniknąć co najmniej pierścionek z brylantem.

Co jeszcze udało się panu ustalić?

Kierowca rozłożył ramiona i ponownie opadł na łóżko.

- Nic — zawołał. — Nie było czasu na pogawędki. Gdyby pan wiedział, jak wszyscy zapieprzaliśmy... A poza tym nie nadaję się na szpiega. Niedowidzę, jestem czarny i wielki. Szczęście chociaż, że dobrze mi zapłacono.

- Kto panu zapłacił? - zapytałem.

- Kamerdyner.

- Czy odniósł pan wrażenie, że to kamerdyner zarządza finansami domu?

- Ustalił wysokość wynagrodzenia i wypłacił je z dużą pewnością siebie i znanstwem.

Pomyślałem chwilę, po czym powiedziałem:

- Zaczynam wiązać nici, ale jeszcze wiele pozostaje luźnych. A nie możemy czekać do następnego przyjęcia, żeby wśliznąć się do domu. Magnolio, czy czuje się pan na siłach, by nawiązać przyjaźń z kimś ze służby? Już pan ich zna, a oni znają pana. A przy pańskim sympatycznym charakterze i talentach towarzyskich nie powinno to być trudne.

Kierowca uśmiechnął się, mile połączony, i powiedział:

- Nie wiem. Mógłbym spróbować z jedną z dziewcząt. Prawdę mówiąc, chętnie bym ją nadal widywał. Więcej, mam zamiar zaproponować jej małżeństwo. Nazywa się Raimundita i jest słodka jak czekoladka. Nie mówię tego ze względu na kolor skóry. Nie jestem rasistą. Tak bardzo interesuje pana ten dom?

- Tak, przyjacielu mój - odrzekłem. - Tam spoczywa klucz do tej tajemnicy. Ale trzeba działać w jedwabnych rękawiczkach. Ten, kto pociąga za sznurki w tej sprawie, jest sprytny i nie cofnie się przed niczym.

Kierowca otwierał usta, by coś powiedzieć, już to *à propos* mojego stwierdzenia, już to a propos Raimundity, gdy w pokoju rozległ się władczy dźwięk domofonu. Na rytualne pytanie odpowiedział eski głos:

- Otwieraj pan, to ja, Santi.

- Nie znam żadnego Santiiego - powiedziałem.

- Tego znasz - odrzekł głos przez domofon. - Poznaliśmy się w domu Reinony.

- I czym mogę służyć?

- Chcę z panem porozmawiać.

Po krótkim wahaniu postanowiłem otworzyć. W owym momencie każda dodatkowa informacja mogła okazać się użyteczna. Nacisnąłem przycisk otwierający bramę i pokazałem Magnoliowi, by ukrył się za lewą zasłoną, mając w pamięci, że miejsce za prawą zajął Arderiu, i prosząc go, by miał oczy otwarte, na wypadek, gdyby intencje Santiiego okazały się mało pokojowe. Obiecał czuwać nade mną i zniknął za perkalem w momencie, gdy Santi walił w drzwi knykciami (tak sądzę). Otworzyłem i znalazłem się przed obliczem młodego portiera z domu Reinony, dawnego strażnika firmy Pardalota, w jednym i w drugim przypadku mojego zawziętego prześladowcy.

- Gdybym wiedział - powiedziałem - nie otworzyłbym panu.

Młody portier wybuchnął młodym i sarkastycznym śmiechem, po czym wszedł, wpychając mnie i drzwi do środka pokoju.

- Trzeba było wcześniej pomyśleć - powiedział. - Już kilka razy uciekł mi pan, gdy zamierzałem rzucić rękawicę, albo wykorzystał obecność obcych, uniemożliwiając mi zastosowanie zwykłych metod. Ale teraz, mój panie, sprawy przybrały inny obrót. Wreszcie jesteśmy sami, pan i ja.

Kątem oka spojrziałem na zasłonę skrywającą Magnolia i, widząc, że porusza się

miarowo w rytm oddechu, zrozumiałem, że zasnął.

- Zatem witam pana, panie Santi. Proszę czuć się jak u siebie i powiedzieć, jak mogę panu pomóc.

- Po pierwsze, odpowiadając na moje pytanie - powiedział Santi. - Czy zabił pan Pardalota? .

- Nie, człowieku.

- Cała Barcelona mówi, że tak.

- To nic nie znaczy - spróbowałem go przekonać. - W tym mieście nawet politycy i ich najbliżsi bywają ofiarami bezpodstawnych oszczerstw.

- To prawda - przyznał. - Ale w tym przypadku oszczerstwa pokrywają się z prawdą. Proszę nie zaprzeczać: w noc zbrodni, podczas gdy ja trwałem na posterunku w holu, dostał się pan do siedziby Hiszpańskiego Szachraja, najpewniej przez bramę garażową. Rozbroił pan alarm i przeszedł przez biura w poszukiwaniu gotówki lub innego łupu. W jednym ze wspomnianych biur zaskoczył pana pan Pardalot, przebywający tam poza godzinami pracy, do którego oddał pan siedem strzałów. Jako że ściany, podłoga i sufit gabinetu wspomnianego pana Pardalota są wyłożone ołowiem, aby zapobiec podsłuchowi, nikt nie usłyszał wystrzałów. Następnie opuścił pan budynek tą samą drogą, którą pan wszedł.

- Przyjacielu Santi, gdyby było tak, jak pan mówi, już dawno zostałbym aresztowany i osądzony - powiedziałem. - Ale tak się nie stało.

- Z braku dowodów obciążających i niebudzących wątpliwości - odparł. - Co prowadzi nas dokładnie do celu mojej wizyty.

Z kieszeni kurtki wyjął kartkę papieru złożoną na cztery i podał mi ją.

- To oświadczenie, w którym przyznaje się pan do winy - powiedział. - Proszę przeczytać i zobaczyć, jak punkt po punkcie pasuje do wydarzeń tamtej nocy. Brakuje tylko podpisu złooczyńcy, to jest pana.

Podszedłem do stolika, na którym stała lampa, usiadłem na krze-'e. rozłożyłem kartkę, podniosłem ją do światła i przeczytałem:

Szanowny Sędzio:

Niniejszym przyznaję się, ostatecznie i nieodwołalnie, do własnoręcznego zamordowania pana Manuela Pardalota, niech spoczywa w chwale Pańskiej, z pistoletu, w napadzie psychoterapii. Okoliczności zbrodni są już znane: brama garażowa i cała reszta, którą pomijam, żeby nie przedłużać. Odczuwam skruchę, ale gdybym musiał zrobić to jeszcze raz, bez wątpliwości uczyniłbym to samo i tak samo.

Z uszanowaniem.

- Chyba nie sądzi pan - powiedziałem, zakończywszy lekturę - że podpiszę te bujdy. .

W ramach odpowiedzi Santi stanął przy mnie, wyjął z drugiej kieszeni berettę 89 gold standard kaliber 22 (którą już znałem), odbezpieczył ją i wycelował we mnie.

- Zaraz zmieni pan zdanie - wycedził.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Nie dyskutujmy. Proszę mi tylko powiedzieć: dlaczego panu tak bardzo zależy, żeby wykazać moją winę?

- Ma jeszcze pan czelność o to pytać? - powiedział Santi. — Z pańskiej winy moja kariera ochroniarza poszła w diabły. Nie dość, że pozwoliłem, żeby jakiś nędzny złodziejasek przechadzał się spokojnie po gmachu powierzonym mojej opiece, to jeszcze dopuściłem, by zamordowano dyrektora w jego własnym gabinecie. To wszystko w pierwszym tygodniu mojej pracy i przy umowie na czas określony. Niech pan zobaczy, gdzie wylądowałem: jako młody portier na przyjęciach dla bufonów. Cud, że nie muszę wyprowadzać pekińczyka na spacer.

Podczas gdy wylewał swoje żale, mierzyłem odległości, ryzyko i szansę. Chociaż doskonale rozumiałem jego uczucia, osobnik ten nie wzbudzał we mnie sympatii, jak zawsze

w przypadku typów celujących do mnie z pistoletu. Ale nie widziałem sposobu, by się od niego uwolnić. Z panującej w pokoju ciszy, przerywanej zaledwie dyskretnym chrapaniem, wydedukowałem, że wszyscy, oprócz nas dwóch, śpią jak zabici. Byłem ostatnią osobą, która mogłaby mieć im to za złe. Noc była długa i obfitująca w emocje. Zresztą wzywaniem pomocy nie zdałoby się na nic. Nawet gdyby ktoś mnie usłyszał i chciał pomóc, Santi mógłby podskoczyć lub zdenerwować się, a to mogłoby okazać się fatalne w skutkach. I tak już drżała mu ręka.

- Santi, przyjacielu — powiedziałem tonem tak uspokajającym i stanowczym, na jaki tylko było mnie stać - wyznaję, że w innych okolicznościach odrzuciłbym twoją propozycję. Mogę ci mówić na ty? To, że starliśmy się kiedyś bezwiednie, nie oznacza, że nie możemy być przyjaciółmi. Ty też możesz mi mówić na ty...

- Proszę milczeć. Nie chcę być pańskim przyjacielem. Ani być z panem na ty. Chcę tylko, żeby podpisał pan ten papier i poszedł do diabła. I proszę nie próbować zyskać na czasie. Ze mną ten numer nie przejdzie.

- Dobrze, Santi, duszyczko, nie denerwuj się tak. Już podpisuję, tylko że nie mam pod ręką nic do pisania. Czy możesz mi pożyczyć długopis?

Wyjął pióro marki Montblanc i podał mi. Sytuacja wyglądała poważnie: jeśli będę dalej odwlekał podpisanie oświadczenia, ten egzaltowany młodzieniec może mi strzelić w łeb, ale z drugiej strony, jeśli podpiszę, jest jeszcze bardziej prawdopodobne, że po osiągnięciu celu zlikwiduje mnie. Myślałem pośpiesznie.

Lampa oświetlająca rozgrywającą się w tym momencie scenę pochodziła, jak spora część moich mebli i wyposażenia, z lokalnych kontenerów na śmieci, i tak jej zewnętrzny wygląd, jak wewnętrzna konstrukcja zdradzały pewne niedoskonałości. Postanowiłem zagrać tą kartą. Pochyliłem się nad kartką i, zasłaniając ramieniem ruch dłoni, wsunąłem stalówkę między nagie druty kabla, z nadzieją, że będzie z metalu, a nie z plastiku. Rozległ się cichy wybuch i w pokoju zapanowały ciemności. Poczułem mocniejszy nacisk lufy na mojej czaszce, usłyszałem cichy syk i zobaczyłem nikły płomień zapalniczki.

- Nie ruszać się! - warknął Santi. - Co się stało?

- Nic, nic - wyjąkałem. - Pewnie wysadziło korki, może sieć jest zbyt obciążona. Bez światła nie mogę podpisać. Podniosę roletę. Jest już późno i słoneczny blask z pewnością zaleje pokój.

- Nie ma mowy. Przy pierwszym ruchu dostanie pan kulkę w łeb.

- Dobrze, dobrze, nie ruszam się - zapewniłem pośpiesznie. - Ale jeśli ja się nie ruszę i pan też nie, nikt nie podniesie rolety, zaraz zrobi się południe, a w dodatku skończy się panu gaz w zapalniczce.

- Niech pan podpisze po omacku - zaproponował.

- Nie mogę. Jestem półanalfabeta, nawet w dobrym świetle podpisuję się z najwyższym trudem, a co dopiero w takich warunkach. Zresztą kartka upadła na ziemię i nie mogę jej znaleźć.

Santi medytował przez chwilę w milczeniu.

- Dobrze. Ja podniosę roletę. Pan niech zostanie na miejscu i nie robi głupstw. Przy najmniejszym ruchu strzelam i na pewno nie spudłuję. Przy tym płomyku bez problemu trafiam w środek tarczy.

Zimny dotyk pistoletu ustał, a płomyk oddalił się powoli.

- Bardzo proszę - powiedziałem. - Niech pan uważa na telewizor.

- Proszę milczeć i nie ruszać się.

- Ja się nie ruszam - powiedziałem. - To pan się rusza i dlatego zdaje się panu, że się oddalam. Znalazł pan sznurek do rolety? Proszę nie ciągnąć zbyt mocno, jest zbutwiały, a drewno rolety też.

- Świetnie sobie radzę z otwieraniem rolet - stwierdził Santi.

Aby to udowodnić, pociągnął delikatnie za sznurek, raz i drugi, a roleta podnosiła się do góry w takt jego ruchów. Światło poranka zalało mieszkanie. W tym samym momencie rozległ się wystrzał i Santi runął, nie zdążywszy nawet pisnąć.

Ja też padłem na ziemię. Odczekałem chwilę, po czym, jako że nie padł kolejny strzał, z najwyższą ostrożnością popęzłem w stronę ciała Santiiego, starając się nie wejść w pole widzenia snajpera i nie potrącić telewizora.

- Santi - szepnąłem - żyje pan?

- Oczywiście - odpowiedział dziarsko. - To tylko draśnięcie. Alej zdaje mi się, że jestem poważnie ranny. To pan?

- Nie. Ktoś strzelił z dachu domu naprzeciwko, sądząc, że sylwetka w oknie to ja.

- Co za pech - skomentował. - Niech pan wyjrzy i sprawdzi, czy łajdak jeszcze tam jest.

Wychyliłem się przez okno, starając się wystawić tylko tyle ciała, ile było absolutnie niezbędne, i obejrzałem wspomniany budynek tak dokładnie, że rozjuszony sąsiad krzyknął do mnie:

- Jeśli nie przestaniesz podglądać mojej żony pod prysznicem, rozwalę ci łeb, zbroczeniście!

Zrozumiałem, że miasto obudziło się i rozpoczynało swą codzienną epicką krzątaninę, w związku z czym snajper najpewniej uciekł zaraz po zamachu. Pochyliłem się nad Santim, żeby zakomunikować mu tę szczęsną wieść. Był nieprzytomny, a na wykładzinie tworzyła się kałuża krwi. Zdenerwowałem się. Ze wszystkich osób, które tej nocy umówiły się w moim apartamencie, Santi uczynił najmniej, żeby zaskarbić sobie moją sympatię, ale i tak widok jego zwłok i świadomość, że muszę się ich pozbyć, nie budziły we mnie najmniejszego entuzjazmu.

Myślałem o tym wszystkim, kiedy odezwał się dzwonek domofonu.

- A teraz kto? - zapytałem z nutą irytacji w głosie. Znajomy głos odparł:

- To ja, Cándida. Przeszkadzam?

Otworzyłem jej, nie odpowiadając na tak głupie pytanie. Po krótkiej chwili Cándida wlała do mieszkania swoje reprezentacyjne cielsko. W ręce niosła coś zawiniętego w gazę. Ubiegłego wieczoru, powiedziała, Viriato upiekł ciasto i wyszło mu tak smaczne, że koniecznie chciała, żebym skosztował. W szmatce z gazy przyniosła mi kawałek.

- Można zjeść od razu, ale będzie lepsze, jeśli włożysz je do wody na pół godziny albo trzy kwadransy, żeby zmięknę... ..

Urwała w pół słowa na widok nieruchomego ciała Santiiego pod oknem, krwi i beretty 89 gold standard kaliber 22. Jej oczy wypełniły się wielkimi łzami.

- Och, nie, tylko nie to, nie znowu - powiedziała urywanym głosem. - Obiecałeś mi...

-Tylko bez patosu, Cándida - przerwałem jej. - Sprawa jest bardzo prosta. I bardzo zabawna. Uśmiejesz się, jak ci opowiem. Ale najpierw pomóż mi pozbyć się tego typu.

Cándida złożyła swoje zawiniątko na stole i podeszła ostrożnie do przedmiotu rozmowy.

- Ty go zabiłeś? - zapytała.

- Jak mogłaś pomyśleć coś takiego? - oburzyłem się. - Jakiś bezczelny łajdak strzelił do niego z dachu domu naprzeciwko. Nawet nie wiemy, czy faktycznie nie żyje.

- Szkoda by było - skomentowała Cándida. - Jest młody i przystojny. I jeszcze oddycha. Ale powoli i jakby bez wielkiej chęci. Trzeba by go natychmiast zawieźć do szpitala.

- Odpada - powiedziałem. - Zażądaliby wyjaśnień, których, choć jak nadmieniałem, są proste, wolałbym sobie teraz oszczędzić. Zawieziemy go do dyżurnej apteki, a tam się nim zaopiekują. Posiadasz jakiś pojazd?

- Wózek na zakupy. Nie wiem, czy się przyda: ten młody człowiek jest dość korpulentny. A jeśli go poniesiemy na plecach, zwrócimy na siebie uwagę.

Zamiast słuchać paplaniny siostry, intensywnie myślałem. Wreszcie uciszyłem ją i

zapytałem, czy spotkała kogoś na schodach. Powiedziała, że nie.

- To rozbieraj się - nakazałem. – I nie zadawaj pytań. Czas nagli.

Biedna Cándida pozbyła się ubrania i została tylko w halce, podczas gdy ja rozbierałem Santiago. Następnie ubraliśmy Santiago w ciuchy Cándidy, a Cándidę w ciuchy Santiago. Z butami nie było szans, więc zgodziłem się, by każde zostało w swoich. Z gazy, w którą zawinięte było ciasto, zrobiliśmy woalkę zasłaniającą twarz portiera. Posadziliśmy go na krześle, z najwyższym wysiłkiem znieśliśmy do holu i zostawiliśmy w ciemnym kącie. Z daleka mógł uchodzić za dozorczynię. Powiedziałem Cándidzie, żeby odczekała pół godziny, a potem wstąpiła do apteki i powiedziała, że do bramy weszła kobieta, która wygląda na chorą.

- Nie wiem, czy mi uwierzą w tym męskim ubraniu - zastrzegła się.

- Ojej, Cándida, czemu ty zawsze musisz komplikować mi życie? - zarzuciłem jej. .

- No dobrze, zrobię, jak mówisz - powiedziała, wzdychając z rezygnacją. — Tylko pamiętaj: lepiej namoczyć ciasto, żeby nie połamać sobie zębów. Viriato trochę przesadził z glutenem.

Wyszła na ulicę i odpłynęła, wzbudzając wokół siebie rozbawienie nie większe niż zazwyczaj, ja zaś biegiem wróciłem do siebie. Schowałem w lodówce pistolet, pióro i ciasto (wyglądało obrzydliwie) i na tysiąc kawałków podarłem oświadczenie, które podsunął mi do podpisania Santi.

W toalecie spała Purines, siedząc na bidecie, z głową pana prezydenta spoczywającą na jej łonie. Obudziłem ich delikatnie i zachęciłem, by sobie poszli. Wymienili karteczki z numerami telefonów, a pan prezydent obiecał przysłać jej dwa zaproszenia na Festiwal Muzyki Papuaskiej. Gdy wyszli, wypuściłem z szafy pułkownika i Ivet. Ivet oddała mu bluzę mundurową, szarfę i trójgraniasty kapelusz, a pułkownik pożegnał się lakonicznie, po wojskowemu, i wyszedł. Ivet włożyła sukienkę i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym zmęczenie mieszało się z melancholią.

- Sprawy nie zawsze toczą się tak, jakby się chciało - powiedziałem jej. - Ale wszystko się jakoś ułoży. Wracaj do domu i czekaj na mnie. Nie wychodź, nie przyjmuj nikogo. Nie odbieraj telefonu i nie dzwoń. Jak wiesz, w ciągu dnia jestem zajęty, ale jak tylko zamknę salon, przyniosę coś do jedzenia i opowiem ci, co nowego.

Mąż Reinony był w stanie katalepsji. Ubrałem go w płaszcz i wypchnąłem na korytarz.

- Proszę zejść w dół po schodach, wyjść na ulicę i zatrzymać taksówkę. Jeśli będzie wolna, tym lepiej. Nie musi pan pozdrawiać dozorczyń - jest bardzo oziębła.

- Dziękuję za wszystko - powiedział. - Bardzo przyjemny wieczór. Ogromnie przyjemny.

Reinona wypełzła spod łóżka także nieco zeszytywniała.

- Mam wrażenie, że usiadł na mnie słoń — stwierdziła.

Oddałem jej pantofle, nie bez żalu, gdyż były bardzo wygodne i niezmiernie by mi się przydały do chodzenia po domu. Następnie pokazałem jej pierścionek z brylantami.

- To - powiedziałem - należy do pani. Nie wiem jak, ale znalazło się w mojej kieszeni.

- Ja go tam włożyłam - przyznała. - Schowaj go w bezpiecznym miejscu i nie pozwól, żeby wpadł w obce ręce. Kiedy będę go potrzebować, przyślę kogoś. Ten pierścionek ma dla mnie ogromne znaczenie.

Wyszła, stukając obcasami, zmęczona, z podniesioną głową i z miną osoby, która przy swoim wieku, urodzie, inteligencji, pozycji oraz klasie czuje się zmuszona do tego, by zaufać typowi takiemu jak ja.

Został tylko Magnolio. Potrząsnąłem nim, aż przypomniał sobie, gdzie jest i jak się nazywa. Zapytałem go, jakie ma plany na dzień, którego początku byliśmy właśnie świadkami; powiedział, że spróbuje wrócić do swego regularnego trybu życia, uczciwej i godnej posady kierowcy do wynajęcia.

- To może zaczekać - powiedziałem mu. - Potrzebuję jeszcze pańskiej pomocy.
- Za żadne skarby - zaprotestował. - Od kilku dni zajmuję się głupotami, nie pracuję i nie zarabiam.

- Niech pan nie przesadza. Zarobił pan niezłą kasę w domu Reinony, sam pan mówił. A od tego, co teraz zrobimy, może zależeć życie panienci Ivet.

- Ach, w takim razie... proszę powiedzieć mi, co mam zrobić.

- To bardzo proste: obserwować dom panienci Ivet. Proszę znaleźć sobie miejsce przed budynkiem i notować, kto wchodzi i kto wychodzi, a także każdy incydent, epizod lub okoliczność, choćby wydawały się najbłahsze. Jeśli panienka Ivet, wbrew moim zaleceniom, wyjdzie z domu, proszę iść za nią tak, by tego nie zauważyła. I od czasu do czasu proszę patrzeć za siebie - istnieje prawdopodobieństwo, że nie będzie pan jedynym, który ją śledzi. Zastąpię pana, jak tylko zamknę salon.

- Może pan być spokojny - odrzekł kierowca. Gdy wychodziliśmy, naprzeciwko bramy stała karetka, a dwóch sanitariuszy wchodziło do bramy z noszami. Magnolio i ja odsunęliśmy się na bok, by ich przepuścić, pożegnaliśmy się na chodniku i rozeszliśmy w przeciwne strony.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy do salonu wpadł rozjuszony Viriato. Cándida opowiedziała mu o swojej wizycie u mnie i żądał wyjaśnień. Starając się zbagatelizować całą sprawę, zreferowałem mu pokrótce wydarzenia poranka, zamach i moje cudowne ocalenie raz sposób, w jaki pozbyliśmy się zwłok, ale Viriato przerwał mi, mówiąc, że ma to gdzieś i że chodzi mu o opinię na temat ciasta.

- Och, wyborne - zełgałem. - Musisz dać mi przepis.

-No wiesz, my, kucharze... zazwyczaj trochę improwizujemy... W sztuce liczy się bardziej intuicja niż nauka. Dwa dodać dwa nie zawsze równa się pięć.

Wyraziłem moją całkowitą aprobatę dla jego słów oraz niezmierny podziw dla jego talentów, a gdy był już mile polechtany, ponosiłem go o przysługę. Nie wypadało mu odmówić i popędził wywiązać się z powierzonego zadania.

5

Przez cały poranek zajmowałem się dwiema sprawami: myciem i rozplątaniem włosów dwóch braci syjamskich, starając się ich rozłączyć, by mogli żyć oddzielnie, oraz polowaniem na mysz, którą zaskoczyłem na chleptaniu mleczka do ciała o odczynie pH5 (przywraca właściwą kwasotę skóry, nadaje jej elastyczność i gładkość; myszy je uwielbiają) i którą wyprosiłem z salonu za pomocą szczotki. Na tym oraz na rozmyślaniach o wydarzeniach ostatniej nocy zeszło mi aż do pory lunchu.

Chętnie byłbym poszedł do pizzerii, ponieważ poprzedniego wieczoru nie jadłem kolacji i uważałem, że powinienem zrekompensować to, zjadając dziś dwa porządne posiłki, lecz nie wydało mi się ostrożnym zbyt oddalenie się od salonu, wobec czego udałem się do pobliskiego baru, usiadłem przy oknie, przez które, po zeszkrobaniu warstwy tłuszczu, mogłem obserwować drzwi do salonu, i zamówiłem kanapkę z kalmarami w cebulce. Oczekując na nią, zauważyłem na ulicy Viriata, zawołałem go i dołączył do mnie. Kelner wrócił z informacją, że kalmarów w cebulce już nie ma, więc musiałem zadowolić się kanapką (równie pyszną) z dorszem marynowanym w sosie pomidorowym. Viriato poprosił o burgera z małżami.

- Uprzedzam, że każdy płaci za siebie - ostrzegłem.

Mruknął coś niezrozumiałego, po czym podniósł głos i anulował zamówienie.

- Przez całe rano pracowałem dla ciebie i dla twoich zbrodniczych planów - powiedział gderliwie. - Mógłbyś zdobyć się na gest, do licha!

*

Faktycznie, na moją prośbę Viriato przeprowadził śledztwo na temat firmy zmarłego Pardalota, a wynik owego śledztwa sprowadzał się do tego, co następuje:

Firma nosząca nazwę Hiszpański Szachraj SA figurowała w rejestrze handlowym (pod numerem, który nie ma nic do rzeczy) zaledwie od pięciu lat. Jednakże wcześniej Pardalot we własnej osobie założył, wpisał do rejestru i rozwiązał sześć innych firm o podobnym profilu. Wspólnicy byli zawsze ci sami, to jest: Manuel Pardalot, obecnie świętej pamięci, niejaki Horacio Miscosillas oraz niejaki Agustin Taberner alias Gauczo, obaj zamieszkali w Barcelonie. Ponadto Viriato ustalił, że Horacio Miscosillas jest adwokatem cieszącym się pewną renomą, z kancelarią przy alei Diagonal, czyli prawdopodobnie owym dojrzałym i siwowłosym dżentelmenem, który ubiegłej nocy w domu Reinony przedstawił się jako adwokat Pardalota, chociaż rejestr handlowy nie zawierał żadnej wzmianki na temat jego dojrzałości czy koloru włosów ani też na temat jego poczynań tamtej nocy i w ogóle nie zawierał nic ciekawego, z którego to powodu, nawiasem mówiąc, poczyność rejestru handlowego jest i pozostanie niezwykle niska. Drugi wspólnik, czyli Agustin Taberner, o przydomku Gauczo, o którym Viriato nie dowiedział się niczego, przestał nim być (wspólnikiem) w ostatniej z serii firm wpisanych do rejestru, to jest w Hiszpańskim Szachraju SA, a jego miejsce zajęła Ivet Pardalot, córka zmarłego Pardalota, której nie należy mylić z fałszywą Ivet Pardalot, z którą to omal nie nawiązałem bliższego kontaktu (choć, niestety, skończyło się na niczym).

Co do przedmiotu działalności wspomnianych firm, nadal, wedle rejestru handlowego - ciągnął Viriato - pozostawał on niezmienny i, zdaniem Viriata, cokolwiek niejasny: działalność handlowo-usługowa mająca na celu osiągnięcie dochodu. W rzeczywistości nikt, ani w rejestrze handlowym, ani poza nim, nie wiedział, skąd pochodzą dochody firm Pardalota, choć w powszechnym mniemaniu były one znaczne. Nie znano także powodów ciągłych zmian wpisu do rejestru, jako że firma uzyskiwała niezłe wyniki, a wszystko wydawało się wskazywać na pragnienie niepozostawiania jednej firmy zbyt długo na scenie. Oszustwa podatkowe, pralnia pieniędzy, przemyt osób bądź rzeczy albo mieszanka tego wszystkiego, zdaniem Viriata.

Który zakończył swój raport, oznajmiając, że siedziba firmy była za każdym razem

inna, a ostatnia z firm nabyła znany mi pięciopiętrowy budynek z garażem, o powierzchni całkowitej, jak wynikało z wpisu w rejestrze nieruchomości (innej ogromnie ważnej księdze), wynoszącej tysiąc osiemset trzydzieści metrów kwadratowych, co licząc po aktualnej cenie rynkowej dwustu pięćdziesięciu za metr kwadratowy z tej dzielnicy, dawało mniej więcej (raczej mniej) niebagatelną sumkę czterystu pięćdziesięciu siedmiu milionów pięciuset tysięcy peset majątku trwałego naszej (by tak rzec) firmy.

- Hm. I co o tym sądzisz, Viriato? - zapytałem.

Otworzył usta, ukazując zarazem zakłopotanie oraz zapas pokarmu przeżutego i oczekującego na połknięcie, i powiedział:

- Nic, a ty?

- Też nic - odrzekłem. - Ale nie powinniśmy się pozwolić zbić z tropu tym informacjom. Kiedy zakończymy śledztwo, nabiorą sensu. Na razie bardzo ci dziękuję. Byłeś uprzejmy i skuteczny. Gdybym miał pieniądze, zaprosiłbym cię na obiad, ale wiesz, jak ostatnio idą interesy. Naprawdę nie uważasz, że dobrze by było rozszerzyć zakres usług?

- Usuwanie ciąży?

- Nie, myślałem o czymś bardziej nowoczesnym: liposukcja, amniopunkcja... A przynajmniej suszarka elektryczna.

- Nie komplikuj mi życia - odpowiedział. - Już mam dość kłopotów z twoją siostrą, moją matką i moim traktatusem. Wracaj do pracy i nie przeginaj, bo wystarczy, że pozwalam ci zarabiać na życie moim kosztem.

Wróciłem do salonu i skorzystałem z nikłego ruchu klientów, by uciąć sobie drzemkę. Obudziłem się z zaschniętym gardłem i poczuciem, że moja nieobecność trwała przez długi czas. Za oknem już się ściemniło. Wszedłem, by zapytać przechodnia o godzinę, odkryłem, że spałem zaledwie kilkadziesiąt minut. Było wcześniej, a mrok wynikał stąd, że podczas gdy spałem, niebo zasłoniły wielkie, ciężkie chmury. Przypomniałem sobie Magnolia, który w tym momencie pewnie trzymał straż pod gołym niebem, i wyraziłem w duchu życzenie, by nie zaczęło lać, a gdyby jednak lunęło, by Magnoliowi nie przyszło do głowy opuścić posterunek.

Gdzieś około szóstej weszła klientka. Była to młoda kobieta, ubrana niepozornie, raczej brzydka. Posłałem jej najlepszy uśmiech, na jaki pozwoliło mi zaschnięte gardło, zarzuciłem pelerynkę na fotel zaprosiłem ją gestem, zginając kark w pochlebczym ukłonie. Usiadła i wpatrzyła się we mnie, jakby zapomniała o celu swojej wizyty.

- Modelowanie? - zaproponowałem.

- Cokolwiek - odpowiedziała bez entuzjazmu.

- Proszę oddać głowę w moje ręce, a za niewygórowaną opłatą sprawię, że gdy pani stąd wyjdzie, nawet rodzony ojciec pani nie pozna.

- Nie mam ojca - odrzekła - i nikt mnie nie poznaje na ulicy, Poczynając od ciebie. Jestem Ivet Pardalot, prawdziwa córka zmarłego Pardalota. Zaczepiłeś mnie w środku mszy i nagadałeś impertynencji.

- Proszę mi wybaczyć tę niewybaczalną pomyłkę - przeprosiłem. - Całą moją uwagę przykuły pani wspaniałe włosy, którym jednakowoż przydałaby się krótka kuracja kosmetyczna.

- To nic nie da - ucięła. — Aż za dobrze wiem, że jestem do niczego. To znaczy fizycznie. Z innych punktów widzenia panorama przedstawia się zupełnie inaczej. Jestem multimilionerką, ale to nie jedyna moja zaleta: posiadam wybitną inteligencję i solidne wykształcenie akademickie. Ojciec mój przygotował mnie, jako jedynaczkę, do poprowadzenia interesów, gdy on się od nich odsunie, co nastąpiło przedwcześnie i bez jego udziału. Studiowałam na wielu uniwersytetach, tak w kraju, jak i za granicą, władam sześcioma językami, mogę iść przez świat sama i nic mnie nie dziwi ani nie przeraża, z wyjątkiem tej obrzydliwej myszy, która przyssała się do butelki z mleczkiem do ciała.

Podczas gdy wyganiałem mysz szczotką, westchnęła, po czym podjęła wątek:

- Jednakże na cóż mi owe wszystkie zalety? Mężczyźni nie zwracają na mnie uwagi albo zwracają, a potem tego żałują. Tylko mój ojciec uważał mnie za najpiękniejszą z kobiet. Ale jego już nie ma i zostałam sama. Z moimi milionami, dyplomami i językami.

- Och, proszę tak nie mówić.

- To, co mówię, nie ma najmniejszego znaczenia - stwierdziła. - Liczy się to, co mówią inni, albo to, co myślą, choć nie mówią na głos. Spójrz na siebie. Fałszywa Ivet jest fałszywa, jak wskazuje jej imię, oszukała cię, wciągnęła w tarapaty i wciąga w kolejne. Ale kiedy patrzy ci w oczy, rozplywasz się i zrobiłbyś dla niej wszystko. Za to dla mnie nie kiwniesz nawet palcem, choćbym wykonała przed tobą taniec Castelltersola przeznaczony wyłącznie dla ciebie.

- Panno Pardalot - powiedziałem, gdy zakończyła swoją filipikę i zanim zdążyła wprowadzić w czyn zawołaną groźbę - nie wiem, czy pani problemy (które rozumiem) pozwoliły pani przyjrzeć mi się uważniej. Jeśli tak, z pewnością zauważyła pani, że nie jestem zbyt podobny do Toma Cruise'a, by przywołać choć jeden przykład powabu. Poza tym żyję w biedzie. Zawsze byłem biedny i wszystko wskazuje na to, że takim już pozostanę. Tak więc, jeśli przyszła tu pani w poszukiwaniu współczucia, pomyliła się pani zarówno co do lokalu, jak i osoby. W Powierniku Pań myje się włosy, podcina, strzyże, robi się pasemka i masaż, jednym słowem, bez fochów i dąsów wydobywa się maksimum z ludzkiego owłosienia, gdziekolwiek by ono wyrosło i jakkolwiek by wyglądało. To wszystko z pewnością guzik panią obchodzi, ponieważ nie przyszła tu pani, żeby powierzyć mi swoją grzywę. Pani chadza niewątpliwie do najdroższych i najbardziej eleganckich salonów de kłafiuur w Barcelonie, a być może nawet lata do Paryża, Mediolanu lub Londynu po modelowanie, trwała czy pazurki. Otóż, panno Pardalot, proszę mi pozwolić powiedzieć sobie jedną rzecz: w tych salonach nie zrobią tego lepiej niż tu. A teraz, jeśli chce pani porozmawiać na inny temat, rozmawiajmy.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby przełknięcie tego alegatu przychodziło jej ze sporym trudem, po czym stwierdziła: .

- Jako domniemany morderca mojego ojca mógłbyś traktować mnie z większym szacunkiem.

- Nie zabiłem go. A pani o tym wie. Dlatego pani przyszła.

- Nie - odpowiedziała. - Przyszłam, bo dzisiejszego ranka bardzo dziwny typ, o imieniu Viriato, najprawdopodobniej ożeniony z twoją bombową siostrą, wtykał nos w rejestr handlowy, rejestr nieruchomości, rejestr patentów i marek, rejestr twórców oraz inne rejestry i spisy z nieukrywanym zamiarem węszenia po dawnych firmach mojego ojca, a obecnie moich. Oczywiście, urzędnicy poinformowali mnie o tym bezzwłocznie na wypadek, gdybym chciała zawiadomić o tym policję lub, wręcz przeciwnie, na wypadek, gdybym wolała nie zawiadamiać o tym policji - w zależności od tego, co uznam za stosowne.

- Ach - powiedziałem.

- Nie wiem - ciągnęła - czy naprawdę zabiłeś mojego ojca, czy nie. Do momentu uzyskania niezaprzeczalnych dowodów postanowiłam nie wydawać pochopnych sądów, prowadzących donikąd. Z zabiegów twojego szwagra wnoszę, że prowadzisz własne śledztwo, co pozwala mi przypuszczać, że nie jesteś zabójcą, chociaż oczywiście twoje poczynania mogą mieć zupełnie inny cel. Ze względów praktycznych oraz przez wzgląd na okres przejściowy przyjmę jednak, że nie jesteś winny i że równie mocno jak mnie zależy ci na wykryciu prawdziwego winnego. Dlatego przyszłam.

- Żeby mi to powiedzieć?

- Żeby zaproponować ci umowę.

- Wyobrażam ją sobie - odparłem. - Ja opowiem pani, co ustaliłem, a pani opowie mi, co wie, i tym sposobem oboje uczynimy gigantyczny krok naprzód na drodze do prawdy. Otóż nie, panno Pardalot, nie będzie żadnej umowy. A nie będzie jej, ponieważ - jeśli się

zgodzę - opowiem pani to, co wiem, ale pani nie piśnie pary z ust o tym, co sama wie. Wyciągnie pani ze mnie informacje, w najlepszym wypadku powie mi byle co, a w najgorszym - naśle pani na mnie Santiago, żeby mnie zlikwidował. Tego albo innego, jeśli oryginalny Santi dalej przebywa na intensywnej terapii.

- Nie doceniasz mnie - powiedziała. - Nie przyszedłam, żeby z tobą paktować. Przyszedłam zaproponować ci pieniądze w zamian za informacje. I nie wiem, kim jest Santi ani co robi na intensywnej terapii, chociaż mogę się domyślić.

Zastanawiałem się przez kilka sekund, oparty na kiju od szczotki. Potem powiedziałem:

- Niech pani zatrzyma sobie swoje pieniądze. Informacje, które posiadam, nie są ich warte.

- O tym ja zdecyduję - stwierdziła. - Poza tym jeszcze nie powiedziałam, jakiego typu informacji szukam.

- Och, a nie na temat zabójstwa ojca?

- To też. Ale teraz interesuje mnie to, co możesz mi powiedzieć o Ivet. Nie o mnie, lecz o tej drugiej Ivet.

- Skąd pani ją zna? - zapytałem.

- To ja zadaję pytania - odpowiedziała.

- Tylko jeśli dojdziemy do porozumienia. Skąd zna pani Ivet?

- Chodziłyśmy razem do szkoły. Byłyśmy przyjaciółkami. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Ja chciałam być modelką, a ona porucznikiem Oddziałów Szturmowych Legii. Jak widzisz, byłyśmy dziećmi. Marzyłam, żeby być podobną do modelki zwanej Lauren Hutton, pamiętasz ją? Co dwa tygodnie pojawiała się na okładce „Vogue”, „Cosmopolitan” i „Vanity Fair”.

- Tam gdzie ja mieszkałam w owych szczęśliwych latach, docierał tylko „Paragraf i Kluczyk”, czasopismo dla grzecznych więźniów. Gdzie chodziłyście do szkoły?

- Do szkoły z internatem. U siostr. To ci się może wydawać najdziwniejsze.

- Owszem, ale nie aż tak, jak pani sądzi. Proszę opowiedzieć mi coś więcej o Ivet. Jak brzmi jej prawdziwe imię?

- Imię Ivet?

- Tak.

- Ivet.

- Proszę mówić dalej i wspomnieć też coś o sobie.

- Ivet była ode mnie starsza o rok. Bardzo ją podziwiałam. W głębi ducha przeczuwałam, że to ona zostanie modelką, a nie ja. Miała propozycje, ale wybieg nigdy naprawdę jej nie interesował. To dziwne, bo nie brakowało jej talentu, a pieniądze z pewnością by się jej przydały. Jak mówiono w internacie (co było też widać), jej rodzina była biedna, przynajmniej według standardów internatu. Pewnego roku już nie przyjechała.

- Ale widywałyście się jeszcze.

- Rzadko i wyłącznie przypadkiem. Ja nie wiedziałam, gdzie jej szukać, a ona, nawet jeśli wiedziała, nigdy tego nie robiła. I tak spotkałyśmy się ledwie kilka razy na ulicy, w sklepie, w kinie czy na imprezie. Przy takich okazjach zachowywała daleko posuniętą dyskrecję co do życia prywatnego. Nigdy mi nie powiedziała, czym się zajmuje, czy ma narzeczonego, czy cokolwiek. Wreszcie wyjechałam na studia za granicę i przestałyśmy się widywać.

- Aż do...

Ivet Pardalot uśmiechnęła się sympatycznie po raz pierwszy i pokręciła głową.

- Już wystarczająco dużo powiedziałam. Jeśli opowiem ci o wszystkim, nie zawrzemy umowy.

- I tak jej nie zawrzemy. Proszę się nie obrażać. Ja też nie chcę wydawać pochopnych sądów. Jeszcze nie wiem, czy mogę pani ufać, czy nie. Kilka dni temu podłożono mi bombę,

czego efekty są jeszcze wyraźnie widoczne, a dzisiaj rano ktoś strzelał do mnie w moim własnym mieszkaniu. Widzi pani, że mam aż nadto powodów, by nie ufać pierwszej osobie, która składa mi jakąś propozycję. Jeśli zależy pani na współpracy ze mną, musi pani udowodnić, że jest po mojej stronie.

Myślałem, że się rozgniewa, ale nie rozgniewała się.

- Rozumiem twoją postawę - powiedziała - ale popełniasz błąd. Jeśli zmienisz zdanie, zawiadom mnie. Nie mówię ci, gdzie i jak - nie brakuje ci środków, jeśli chcesz się z kimś spotkać. Ile się należy?

- Nic. Nawet nie dotknąłem pani włosów.

- Wszyscy tak robią. Ale i tak przeze mnie straciłeś sporo czasu. Od normalnej klientki wzięłbyś pieniądze.

- Gdyby była zadowolona - tak. Jeśli nie - nie.

Odeszła. W drzwiach zatrzymała się, odwróciła się, by spojrzeć mi prosto w twarz, i powiedziała:

- Interesy mojego ojca nie były całkiem czyste, ale to nie wyjaśnia, dlaczego go zabito. Gdyby ktoś chciał mu zaszkodzić, mógł donieść na niego albo przekazać jakąś informację gazetom. Wiele osób mogłoby mieć kłopoty, ale nie takie jak po morderstwie. Jeśli szukasz motywu, nie szukaj w rejestrze handlowym. Potraktuj tę informację jako zapłatę w naturze. I jeszcze jedno: wszyscy potrzebujemy miłości i opieki.

- Nie wiem, do czego się odnosi ta ostatnia uwaga - powiedziałem.

- Do niczego - stwierdziła. - To napiwek.

Kiedy wyszedłem z salonu, niebo było czarne, a z prawej strony w kierunku portu błyskało się i grzmiało. Musiałem przebiec kilka placówek handlowych (wypożyczalnię kaset wideo pana Boldo, kiosk pana Mariano, pasmanterię pani Eulalii, biuro podróży Bizon, aptekę magistra Vermichelego), zanim znalazłem kogoś, kto pożyczył mi parasol (wszyscy twierdzili, że jest im potrzebny), z którym pomaszerowałem na przystanek autobusowy, skąd po dwóch przesiadkach dotarłem do miejsca, gdzie Magnolio pełnił zleconą mu straż. Przecinane błyskawicami niebo stanowiło tło naszego spotkania.

- Jestem panu ogromnie wdzięczny, że przyszedł mnie pan zmienić - powiedział Magnolio. - Miałem już żołądek w gardle.

- Boi się pan burzy i tych wszystkich efektów? - zapytałem.

- Nie, proszę pana. Ale zaparkowałem samochód przy ulicy Bruc i strumień wody mógłby go porwać.

Uspokoilem go, zapewniając, że ulica Bruc jest wyposażona w sprawny system odwadniający, który wielokrotnie zdał już egzamin w czasie ulewy, i poprosiłem, żeby opowiedział mi o wydarzeniach minionego dnia.

Wczesnym rankiem - zaczął - zajął stanowisko za grubym pniem sędziwego platana (który w jego kraju przez pomyłkę nazywają bananowcem) naprzeciwko domu pani Ivet, osłonięty przed ciekawością przechodniów pniem, a przed promieniami słonecznymi rozłożystą koroną (sędziwego platana), i stamtąd godzinami obserwował bramę domu pani Ivet. W trakcie tych godzin - dodał - tajemnicza, groźna i bez wątpienia zmyślona postać w płaszczu przeciwdeszczowym, która śledziła Ivet, nie dała znaków życia i w ogóle nie zaszło nic godnego wzmianki. Dopiero o godzinie siedemnastej dwadzieścia dwie - ciągnął Magnolio - zobaczył (Magnolio), że pani Ivet we własnej osobie wychodzi z domu i idzie ulicą Mallorca w stronę Paseo de Gracia, a potem wzdłuż Paseo de Gracia w dół, w stronę Plaza de Cataluña. Jako że nie mógł nawiązać ze mną kontaktu - ciągnął Magnolio - postanowił (Magnolio) pójść za nią, oczywiście z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności, żeby nie zostać przez nią zauważonym. Jednakże ze względu na stratę czasu spowodowaną koniecznością przemyślenia sytuacji oraz z powodu obecności w tym centralnie położonym rejonie licznych przechodniów i sędziwych drzew, które należało

omijać, prawie stracił z oczu panienkę Ivet. Wreszcie - powiedział Magnolio - ujrzał (Magnolio) ją (panienkę Ivet) ponownie, gdy schodziła do podziemnej stacji kolejowej Plaza de Cataluña, mieszczącej się pod Plaza de Catalua, od którego brała swoją nazwę. Tam (na stacji kolejowej Plaza de Cataluña pod Plaza de Cataluña) panienska Ivet skierowała się do okienka informacji (kolejowej) i przez krótką chwilę rozmawiała z pracownikiem (kolei). Następnie obejrzała tablicę elektroniczną z godzinami odjazdu, stacjami docelowymi i innymi informacjami typowymi dla podróżujących (koleją). Na koniec panienska Ivet podeszła do automatu sprzedającego bilety (kolejowe) i uważnie przeczytała cennik. Zaspokoiwszy ciekawość, udała się w drogę powrotną do domu (czyli z powrotem), dokąd wróciła mniej więcej o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt sześć (z Magnoliem, deptającym jej po piętach), zaopatrzwszy się uprzednio w wiktuały w sklepie z wędlinami. Po tej wycieczce na Plaza de Cataluña nie wydarzyło się nic więcej poza tym, że zaczęło lać i że lało także pod rozłożystą koroną sędziwego płatanu - zakończył Magnolio. .

Otworzyłem parasol, a jako że pod jego niedużą czaszą nie zmieścilibyśmy się obaj bez przyjęcia nieprzyzwoitej pozycji, powiedziałem mu, żeby wracał do domu, nie omieszkawszy pogratulować rozsądnego postępowania i precyzji raportu oraz ubłagać go, by następnego dnia przyszedł do salonu w godzinie otwarcia na wypadek, gdyby trzeba było zrobić coś jeszcze. Obiecał stawić się punktualnie i wybiegł na deszcz.

Nieliczni przechodnie przebywający w okolicy poszli w jego ślady i wkrótce pozostałem wyłącznie w towarzystwie samochodów. W przewidywaniu długiego czekania w deszczu podniosłem z ziemi foliową torbę (było ich tam wiele), rozerwałem szwy i rozciągnąłem na chodniku, by ochronić tyłek od wilgoci. Usiadłem na tej prymitywnej, lecz skutecznej macie, oparłem plecy o pień sędziwego drzewa, podciągnąłem nogi, żeby zmieścić się pod parasolem, i skupiłem uwagę na oknie mieszkania Ivet. Po chwili zaszło słońce i niebo pociemniało jeszcze bardziej, z powodu zachodu słońca, co spowodowało włączenie oświetlenia ulicznego, witryn sklepowych oraz neonów. W wielu oknach i na wielu balkonach zapaliły się światła. Nieco później sklepy zamknęły podwoje. Ruch samochodowy znacznie zmalął, a deszcz przeszedł w mżawkę. Z tęsknotą i wilczym apetytem pomyślałem o pizzerii. Chętnie wszedłbym teraz do dowolnej placówki usługowej jakże powszechnej w przedsiębiorczej panoramie naszego miasta i nabył kanapkę z kalmarami w cebulce lub inny smakołyk, ale nie dysponowałem znacznymi funduszami, a śledztwo mogło potrwać jeszcze całe dni, jeśli nie miesiące, powodując coraz to nowe wydatki, niezmiernie trudne do pokrycia, zwłaszcza gdy kapitał początkowy jest prawie równy zeru.

O jedenastej lub coś koło tego deszcz przestał siąpić, chmury rozsunały się, a na firmamencie zajaśniał księżyc. W oknie mieszkania Ivet dostrzegłem, jak mi się zdawało, zarys górnej połowy jej sylwetki. Następnie zarys ten zniknął, a jego miejsce zajął zarys dolnej połowy Ivet. Przez chwilę myślałem, że pewnie postanowiła udowodnić postronnemu obserwatorowi, że jest cała i zdrowa, ale szybko odrzuciłem tę absurdalną myśl i stwierdziłem, że pewnie się gimnastykuje. Podczas gdy usiłowałem rozwikłać zagadkę jej uzupełniających się połów, obie zniknęły, światło zgasło, a w oknie zapanowała ciemność. Z innymi oknami stało się podobnie. Po północy w całym budynku nie paliło się ani jedno światło. Była to noc odpoczynku. Nawet bary zamknięto wcześniej. Spokój, jaki zapanował w dzielnicy, sprawił, że ogarnęła mnie nieprzewyciężona senność. Zasnąłem.

Obudził mnie huk i wstrząs, od którego fiknąłem kilka koziołków na chodniku. Było to kichnięcie, którym mój organizm oznajmiał zamiar przeziębienia się w wyniku deszczu, chłodu nocy oraz tego, że kiedy spałem, rąbnięto mi torbę foliową. Równie smutnego losu uniknął na szczęście parasol, który przezornie zawiesiłem za rączkę na wysokim i sędziwym konarze. Świtało, a ulicą przemykały pierwsze autobusy. Jednym z nich udałem się w drogę powrotną do mego mieszkania.

Przed wejściem zapukałem do sąsiednich drzwi. Otworzyła Purines. Zapytałem, czy

podczas mej nieobecności wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć.

- Nic takiego - odrzekła. - Za to ty wyglądasz jak Łazarz. Przemoknięty, z podkrążonymi oczami, blady i szcękający zębami. Kapałeś się w morzu?

- To drobiazg, Purines - chciałem powiedzieć, ale kolejne kichnięcie, które rzuciło mną o ścianę korytarza, zaprzeczyło mojej diagnozie.

Purines wciągnęła mnie do mieszkania, wepchnęła do wanny, z której całkiem niedawno wyszedł klient (woda była więc jeszcze letnia i pachnąca), a po profilaktycznej, relaksacyjnej kąpieli w pianie dała mi czyste, suche ubranie i zaparzyła herbatę. Opuściłem wannę odświeżony i wypoczęty, ale ubrawszy się i przejrzawszy w lustrze, stropiłem się nieco.

- Purines, co to za strój? - zapytałem.

- Edity Gruberowej z *La filie du régiment!* - odkrzyknęła z kuchni.

- A cóż to takiego?

- Nieważne! Twoje ubranie się suszy, a jest tak mokro, że wyschnie dopiero za kilka godzin! A w tym przynajmniej nie narobisz dziadostwa!

Jako że za nic w świecie nie chciałem obrazić Purines (ani nadużywać wykrzykników, których nie cierpię), pomyślałem, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i że owo przebranie znakomicie pasuje do moich planów. Wypiłem zatem trzy filiżanki herbaty (nie znoszę herbaty), która rozgrzała mi żołądek, ale nie oszukała głodu, a następnie, po wyrażeniu Purines wdzięczności i starciu kurzów w mieszkaniu, poszedłem do salonu, do którego z podziwu godną punktualnością przybył także Magnolio.

- Cóż za piękna sukienka! — zawołał na mój widok. - Nic nie wiedziałem o pańskich upodobaniach tego rodzaju.

- Proszę nie myśleć nic złego - powiedziałem. - To tylko kostium. Jadł pan śniadanie?

- Tak, drogi panie. Kopiaste.

- Ach, to dlatego jest pan taki wesoły.

- Dlatego i jeszcze z jednego powodu, nie mniej ważnego - powiedział Magnolio.

Po czym, nie zwlekając, konfidencjonalnym tonem opowiedział, że tego ranka wstał wcześniej, umył samochód i zaparkował go przy samiotkwej bramie rezydencji państwa Arderiu z nadzieją, że nawiąże kontakt z jedną z dwóch Dominikanek, służących u wspomnianych państwa, ponieważ podczas swej przelotnej wizyty w ich domu dowiedział się, że na zakupy po chleb i rogaliki na śniadanie dla państwa chodzi właśnie Raimundita, do której Magnolio żywił, jak sam mi wcześniej wyznał, głębokie uczucie, co było zresztą zbieżne z naszymi planami. Szczęście sprzyjało Magnoliowi i mniej więcej o szóstej czterdzieści osiem Raimundita we własnej osobie wyszła na ulicę z chwilowo pustą płócienną torbą, do której, wedle pewnych później potwierdzonych oznak, zamierzała włożyć chleb i rogaliki. Wówczas Magnolio wysiadł z samochodu, po czym, zostawiając otwarte drzwi i maskę, aby mogła podziwiać go w całej okazałości, pozdrowił ją łagodnie i zapytał, dokąd idzie. Ona (a przypadkiem miała na główce czerwony kapturek dla ochrony przed chłodem poranka) odrzekła, że jak co dzień idzie do piekarni po chleb i rogaliki dla swoich państwa (państwa Arderiu). I nie boi się tak sama chodzić pustymi ulicami? Nie, boi się tylko wtedy, gdy zaczepiają ją wielgachni Murzyni Bambo, z łapami jak łopaty, nogami jak tyczki i udający grube ryby. Na co on: nie bój się, córuchno, ja tylko pomyślałem, że podwiozę cię samochodem na wypadek, gdyby padało, żebyś nie zmokła.

- Czy mógłby pan zostawić te scenki obyczajowe na lepszą okazję i powiedzieć, czy odkrył coś związanego z naszym śledztwem? — przerwałem mu.

— Prawdę mówiąc, nic - przyznał, nieco rozżalony. — Nie mogłem też oświadczyć się od razu przy pierwszym spotkaniu. Gdy gawędziliśmy o tym i owym, Raimundita opowiedziała mi, że państwo Arderiu nie wyszli tej nocy i że przyjęli pana mecenasa Miscosillasa, dojrzałego i siwowłosego dżentelmena, którego знаła, bo widywała go w domu

już wcześniej. Pan Arderiu i pan mecenas Miscosillas rozmawiali przez długą chwilę sam na sam. Tego dnia otrzymali też od pana prezydenta zaproszenie na wiec przedwyborczy, chociaż ta informacja nie jest chyba zbyt ważna, jako że my wszyscy, mieszkańcy Barcelony, otrzymaliśmy to samo zaproszenie na ten sam wiec.

- Rzeczywiście, niewiele - przyznałem. - Ale i tak nieźle. Najważniejsze, że mamy dostęp do domu przez Raimunditę.

- O, przepraszam, to ja mam dostęp - uściślił Magnolio. - Moja Raimundita to nie klucz. Fakt, że w tym stroju nie jest pan groźnym rywalem. Jak pan powiedział, po co się pan przebrał?

- Jeszcze nie powiedziałem - odparłem - i na razie nie powiem. Ale mój plan wymaga, bym opuścił salon na kilka godzin, i pomyślałem sobie, że mnie pan zastąpi.

- Ja, zastąpić pana? - zawołał Magnolio. - Oszalał pan? Pojęcia nie mam o fryzjerstwie. Poza tym klienci mnie nie znają i na pewno mi nie zaufają, bo mam w sobie coś z kanibala.

- Nie docenia pan swojego seksapilu. Widzi pan, jak świetnie poszło panu z Raimunditą.

Protestował przez chwilę, po czym jak zawsze uległ. Był cudownym człowiekiem. Pomyślałem, że na miejscu Raimundity nie wahałbym się ani chwili i wyszedłbym za niego za mąż, wszystko jedno, czy by mi to zaproponował, czy nie. Ale czas płynął, a miałem jeszcze dużo do zrobienia, więc odłożyłem na później te rozważania i ograniczyłem się do wtajemniczenia Magnolia w sekrety strzyżenia oraz podkreśniania włosów z myślą, że bardziej skomplikowane czynności zademonstruję mu innym razem.

- Uwaga na uszy - powiedziałem na zakończenie. - Zawsze wyrastają tam, gdzie się ich człowiek najmniej spodziewa. I niech pan nie próbuje nic innego: jeśli ktoś zamówi farbę, proszę zamydląć mu oczy i powiedzieć, żeby wrócił jutro. Na ścianie wisi cennik, ale ma charakter orientacyjny. Niech pan postara się wyłudzić podwójną cenę i nie przyjmuje mniej niż pół ceny. Napiwki dla pana.

- I sześćdziesiąt procent utargu.

- Oszalał pan? Trzydzieści, niech stracę.

- Fifty-fifty i kończymy dyskusję.

- Dobrze.

*

Na wszelki wypadek postanowiłem nie zwracać od razu parasola (niebo nadal było zachmurzone) i dzierżąc go w ręce (za to z pustym żołądkiem), skierowałem się ku Plaza de Cataluña i ustawiłem naprzeciwko wejścia do podziemnej stacji kolejowej Plaza de Cataluña, którym, według relacji Magnolia, poprzedniego wieczoru zeszła Ivet. Aby nie zostać przez nią zauważonym, udałem, że z przyjemnością i uwagą oglądam wystawę domu towarowego El Corte Ingles, której wypolerowana szyba pozwalała mi śledzić wejście na stację (oraz wystawione towary) bez zwracania uwagi podróżnych zbiegających w dół. Na placu panował spory ruch; również do domu towarowego wchodziła i wychodziła cizba rozgorączkowanych nabywców.

Oczekiwanie stało się wkrótce nużące. Herbata ma właściwości moczopędne, a ja, nieświadomy tego, w mieszkaniu Purines wypilem trzy pełne filiżanki. Problem ów, sam już w sobie krepujący, potęgowało jeszcze moje dziwaczne ubranie, a także mnogość turystów, którzy pod pretekstem sfotografowania takiego czy owakiego budynku, za każdym razem, gdy chciałem sobie ulżyć, zamierzali uwiecznić właśnie ten moment i w ten sposób ożywić nieznośną jałowość swych wakacyjnych albumów. Podczas kolejnej przepychanki dostrzegłem Ivet przecinającą rondo San Pedro, zmierzającą w kierunku stacji i mnie. Końcem parasola utorowałem sobie przejście w tłumie i zszedłem tuż za nią po schodach, starając się jej nie zgubić i licząc na to, że - nawet jeśli mnie zobaczy - nie rozpozna w przebraniu, gdyż jestem głęboko przekonany, że kobiety (choć temu przeczą) u mężczyzn

zwracają uwagę głównie na ubranie oraz włosy. Ivet zresztą szła szybko i pewnie. Od czasu do czasu rzucała okiem na zegarek i przyśpieszała kroku. Przechodząc obok kiosku, kupiła gazetę. Podążałem tuż za nią, nie zwracając uwagi na zmiany, jakie zaszły w tym szlachetnym przybytku, niegdysiejszym muzeum syfa, obecnie lśniącym centrum rozrywki, kultury i komunikacji, ze zróżnicowaną, ociekającą tłuszczem ofertą gastronomiczną. Dreptałem tak blisko niej, że o mało się nie zderzyliśmy, gdy przystanąła przed automatem, aby kupić bilet powrotny do Mataró. Moje finanse wystarczyły mi jedynie na bilet w jedną stronę, z którym to w rękę, ciągle deptając Ivet po piętach, dotarłem na peron, a następnie do podmiejskiego pociągu. Ledwie wsiedliśmy, drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Gdybym nie chwycił się poręczy, byłbym rymnął jak długi.

O tej porze pociąg nie był zatłoczony, ale w wagonie, do którego wsiadłem, nie było wolnego miejsca. Nikt też nie ustąpił mi swego, mimo woni, jaką roztaczałem po kąpieli w pachnących solach, a także stroju i skromnej postawy. Szczegół ów oraz to, że przez cały dzień żaden mężczyzna nie powiedział mi nic miłego, dowiodły, że gdybym nagle, przez jakiś genetyczny kaprys losu, zmienił się w kobietę, wcale nie powodziłoby mi się lepiej, bo życie nie daje nikomu drugiej szansy, a gdyby nawet dawało, takim, jacy jesteśmy, na nic by się nam zdało.

I tak, ukołysany filozoficznymi rozważaniami, zasnąłem oparty o drzwi, podczas gdy pociąg mknął pod miastem. Obudziło mnie dzienne światło, gdy wyjechaliśmy z tunelu. Ivet siedziała w głębi wagonu, pogrążona w lekturze gazety. W szybie widziałem pejzaż przesuwany się po odbiciu mojej smętnej twarzy. Pociąg jechał wzdłuż muru o wysokości może dwóch metrów, całkowicie pokrytego kolorowym graffiti. Zza muru wystawały składy z czerwonej cegły, puste i niszczące. Ich ściany także pokrywało graffiti. Nie dostrzegłem ani skrawka wolnej przestrzeni. Pochyliłem głowę przed pracowitością i wytrwałością pokolenia poświęcającego czas i energię na malowanie murów na trasie od Gibraltaru do granicy. Na łagodnych pagórkach bloki mieszkalne, siedziba biedoty, zadawały gwałt horyzontowi. We wszystkich oknach wisiało suszące się pranie. Po chwili ujrzeliśmy morze. Niebo nadal pokrywały chmury, na plaży nie było nikogo. Odwróciłem wzrok, bo widok morza mnie przygnębia. Widok gór też. Ogólnie zbyt wiele otwartej przestrzeni mnie przygnębia. Wszystko, co znajduje się dalej niż dziesięć metrów ode mnie, budzi mój niepokój. Na szczęście, po drugiej stronie torów biegła droga, a za nią autostrada. To mnie nieco ożywiło. Puste składy ustąpiły miejsca karczowiskom i rumowiskom. Następnie pokazały się domy i centra handlowe otoczone parkami. Raz były to wielkie bloki mieszkalne, wszystkie identyczne, innym razem małe, także identyczne domki, ustawione w szeregu lub porzrzucone nieregularnie, według kaprysu jakiegoś architekta, jakby przestrzeń została zaplanowana na podstawie kilku zupełnie różnych projektów, wszystkich równie złych, porzuconych w połowie. Na terenie niezabudowanym, gdzie dawniej rozciągały się małe ogrody warzywne obsadzone figowcami oraz migdałowcami i przecięte krętą drogą wspinającą się do wieży strażniczej czy też pustelni, zieleniły się teraz trawnik, palmy, alabastrowe studnie i zraszacze, próbujące przekształcić ten niegdyś solidny podmiejski pejzaż w Kalifornię z drugiej ręki.

Z apatycznej kontemplacji wyrwała mnie Ivet, która wstała, podeszła do drzwi i wysiadła z wagonu, gdy pociąg zatrzymał się przed Mataró, na stacji Vilassar. Musiałem wykonać szybki i długi skok, niczym żaba, aby drzwi nie zamknęły się przede mną i pociąg nie uwiózł mnie w dal, zostawiając Ivet samotną i bezbronną.

Na stacji, wychodzącej na plażę, której piaski deptałem, wiał wiatr (o mało nie porwał mi koronkowego czepka). Zawiązałem mocniej tasiemki i podążyłem za Ivet, która przeszła pod torami podziemnym przejściem wysłanym piaskiem i saletrą. Wyszliśmy na drugi peron. Jeszcze jedno przejście o analogicznej charakterystyce pozwoliło nam dotrzeć na drugą stronę drogi bez wstrzymywania ruchu, z zachowaniem życia.

Ivet szła chodnikiem, zatrzymując się tu i tam, jak gdyby wiedziała, dokąd idzie, lecz nie była pewna którędy i wypatrywała punktów orientacyjnych. Gdy skręciliśmy w pierwszą przecznicę, przed nami wyłonił się niegościnnie placyk, niczym nieosłonięty od wilgotnego wiatru od morza. Na skraju placyku stał rząd taksówek z otwartymi drzwiami i rząd gawędzących taksówkarzy. Ivet wsiadła do pierwszej taksówki, która natychmiast ruszyła ulicą prostopadłą do drogi prowadzącej w górę. Jako że nie miałem pieniędzy, by pojechać za ową taksówką drugą taksówką (ze mną w środku), mogłem tylko zapamiętać numer rejestracyjny, numer boczny oraz cechy charakterystyczne pojazdu, którym odjechała Ivet, i czekać, aż pojazd ów wróci na postój z nią lub bez niej.

Czekając, obszedłem placyk i jego okolice. Domy nowe i wysokie sąsiadowały ze starymi i parterowymi. W tych ostatnich, gdzie (sądząc po pewnych oznakach) urzędowali dawniej kowal, szewc i stolarz, dziś mieściło się biuro nieruchomości, sklep z pamiątkami i knajpa o wdzięcznej nazwie Jowialna Kawusia. Jako że życie gospodarze miejscowości kwitło jedynie w miesiącach letnich, obiekty te wydawały się owocem jakiegoś poważnego nieporozumienia.

W knajpie zapytałem, co mogę dostać za dwieście peset stanowiących mój jedyny fundusz. Dali mi torbę wiórów ze styropianu o smaku flaczków, które wydały mi się pokarmem bogów. Wróciłem na placyk. Taksówka Ivet jeszcze nie przyjechała. Arab podlewający rośliny pozwolił mi ugasić pragnienie wodą z węża. Usiadłem w cieniu drzewa, by osłonić się nieco od wiatru, wilgotnego, a chwilami chłozującego piaskiem. Gdy taksówka wróciła, podszedłem do kierowcy i zapytałem, skąd wraca, a on odpowiedział, że z rezydencji. Nie zadałem więcej pytań, by nie wzbudzić podejrzeń.

Wszedłem w ulicę prostopadłą do tej, którą odjechała, a potem przyjechała taksówka, i zapytałem pierwszego przechodnia, jak dojść do rezydencji. Okazał się obcy i zagubiony, podobnie jak ja. Następni dwaj także. Wreszcie pewna kobieta powiedziała mi, żebym szedł dalej ową boczną ulicą czy drogą, którą już szedłem.

- Na pierwszym zakręcie zobaczy pan szkołę zawodową. Pójdzie pan dalej. Potem zobaczy pan osiedle El Garrofer. Pójdzie pan dalej. Potem zobaczy pan ośrodek zdrowia. Pójdzie pan dalej. Kilka kilometrów w górę zobaczy pan basen miejski i ośrodek sportowy. Pójdzie pan jeszcze kilometr w górę i zobaczy pan rezydencję.

Podniesiony na duchu ową perspektywą, podziękowałem kobiecie za uprzejmość oraz precyzję i szybkim krokiem ruszyłem w górę.

*

Nazwa, której wszyscy używali (rezydencja), oraz położenie budynku w pięknym miejscu, na szczycie wzgórza, w otoczeniu świerków, sprawiły, że spodziewałem się dojść do luksusowego hotelu. Jednakże gdy po trzech kwadransach marszu, spocony i obolały, zatrzymałem się przed bramą, stwierdziłem, że pod eleganckim określeniem kryje się smutny dom starców.

Zanim jeszcze moje oczy przywykły do mroku panującego w holu, poczułem jakże znajome zapachy - gotowanej kapusty, hojnie dozowanego środka odkażającego i ekskrementów. Następnie zobaczyłem pustą ladę, postument z polichromowanym wizerunkiem Songoku i zapomniany fajansowy nocnik w kącie. Przez zbyt wiele lat kontemplowałem identyczną scenografię, żeby być przygotowanym na dobrowolny powrót do niej, toteż obróciłem się na pięcie i skierowałem do drzwi, z zamiarem opuszczenia gmachu. Odwiódł mnie od tego głos dochodzący z najmroczniejszego zakątka holu, na wpół rubaszny, na wpół onieśmielający, który zapytał:

- Szukasz kogoś, kochanie?

Spróbowałem zaimprovizować wymijającą odpowiedź, ale z moich ust dobyło się jedynie coś w rodzaju świergotu. Osoba, która mnie zagadnęła, wyszła z mroku: była to pielęgniarka w białym fartuchu, ze słuchawkami na szyi i pałką w ręce. Z jej wieku, zach-

wania i bicepsów wywnioskowałem, że mam do czynienia z oddziałową. Do oblewającego mnie ze zmęczenia potu dołączył drugi, zimny i równie cuchnący.

- Nie bój się, kochanie - ciągnęła, widząc moje zmieszanie. - To naturalne, że czujemy pewną obawę, przekraczając ten próg po raz pierwszy i ktoś wie, czy nie po raz ostatni, prawda? Ale niesłusznie, niesłusznie. Tyle rzeczy ludzie opowiadają o naszych domach starców... och, kochanie, a wszystkie zmyślane, wierz mi, wszystkie zmyślane... O, w jaką ładną sukienkę ubrała cię rodzina, przyprawiając cię tutaj. Nie wiesz, czy byli już w kasie?

Pogłaskała mnie pod brodą i zauważyłem, że jej kły są nieproporcjonalnie długie, choć być może było to złudzenie optyczne spowodowane marnym światłem i spożyciem przeze mnie wiórów ze styropianu. Na wszelki wypadek cofnąłem się o krok. Pielęgniarka nie przestawała się uśmiechać.

- Nie masz chyba dopuszczalnego wymaganego wieku - zauważyła. - Ale, oczywiście, w drodze wyjątku...

- Nie jestem tu w mojej sprawie - udało mi się wykrztusić.

- Och, przepraszam, kochanie - zaśmiała się pielęgniarka. - Moja pomyłka jest zrozumiała: ubiór, hipochondryczne zachowanie, rysy twarzy, wszystko to wskazuje na przedwczesną demencję starczą... Dobrze, zostawmy ten temat i przejdźmy do rzeczy. Chodzi o kogoś z rodziny? Ukochaną osobę, której pragniesz zapewnić długie lata przyjemnego życia w wesołym towarzystwie? Tak, kochanie, tak. Wszystkiego wydaje się zbyt mało, gdy ktoś naprawdę kocha i ma dość tego, że mu wszyscy robią na głowę, prawda? Stary człowiek to siedlisko bóleści. Twój mąż? Wyobrażam sobie. Nie musisz mi nic mówić. Bidulka, jakże musiałaś cierpieć przez te ostatnie lata. A może cierpiałaś już od dawna, może od nocy poślubnej. Mężczyźni to zwierzęta, kochanie. Zwierzęta, a w dodatku nierozumne. Gdyby nie chuj, do czego by się nadawali? Profesor zawsze to mówił. Nie wychodź za mąż, Maricruz, mówił mi, a jeśli już wyjdiesz za mąż, to nigdy za faceta. Profesor był dżentelmenem i wielkim lekarzem, z wielkim chujem. Doktor Sugrañes, wybitny psychiatra, specjalista od rehabilitacji psychopatów ze skłonnościami kryminalnymi, obecnie już na zasłużonej emeryturze, dożyłotni przewodniczący Fundacji im. Sugranesa, której miałam szczęście być stypendystką. Być może słyszałaś o nim.

Dygnąłem z szacunkiem, po czym, zmieniając głos i starając się nadać mu kobiece brzmienie i akcent osoby pochodzącej z Pipidówki, powiedziałem:

- Wybaczcie nieucznej wiejskiej babie. Ja nie z kimś, ino do kogoś. Bidnemu pomieszało się w głowie, ale co ma wiedzieć, to wie. Pozwólcie zaglądnąć do niego. Niesę mu w galotach Kinder-niespodziankę, ale coś mi się widzi, że się rozmyśliła w ten gorąc.

Oddziałowa zmarszczyła nos i odwróciła ode mnie wzrok z wyraźnym niesmakiem.

— To nie musiałaś zawracać mi głowy — powiedziała, pokazując na drzwi w głębi holu. - Poszukaj go sama. O tej porze wszyscy wypelzają do ogrodu.

Schody i biegnąca wzdłuż nich rampa prowadziły do ogrodu pozbawionego drzew i trawy, wyłożonego trzciniową matą, gdzie dwudziestu obszarpańców płci obojga śliniło się i dokazywało - jedni na stojąco, inni w pozycji siedzącej, wszyscy zmizerowani, pokrzywieni i ogłupiali. W kącie, na uboczu ujrzałem Ivet w towarzystwie jakiegoś inwalidy. By móc obserwować ją bez przeszkód, nie wzbudzając podejrzeń, skierowałem się w stronę biedaka śpiącego na leżaku przywiązany do muru, ubranego w piżamę w paski i z papierowym kapeluszem nasuniętym na oczy. Sztywna od brudu piżama i stalaktyty smarków wskazywały na to, że nikt nie tracił na niego czasu, pieniędzy i czułości. Przywlokłem do jego leżaka żelazne, obłuszczone i obszczone krzesło, usiadłem i zastygłem w dość wiarygodnej pozycji oddanej córki. Nie warto mówić, że przezorność ta była całkowicie zbędna, ponieważ nikt nie zwracał tu uwagi na nikogo i na nic; ani jedna pielęgniarka nie czuwała nad pacjentami, a Ivet ani na chwilę nie oderwała wzroku od mizeraka, do którego przyszła. Przyjrzałem mu się i stwierdziłem, że nie był to staruszek, lecz mężczyzna w średnim wieku, poważnie chory. W

niezbyt odległej przeszłości musiał być przystojny i niezłe zbudowany, ale dziś miał wychudzoną twarz, błyszczące od gorączki oczy, pożółkłą skórę i połamane ciało. Siedział na wózku inwalidzkim. Wyraz twarzy miał bystry, chwilami wydawał się odprężony, innym razem zaniepokojony. W milczeniu słuchał opowieści Ivet, a potem mówił coś krótkimi zdaniami. Po chwili spuścił głowę na pierś i zaczął jęczeć czy też wzdychać. Ivet zbesztala go. Zdawała się mówić: nie trać ducha. Albo może: jeszcze nie trać ducha. Ale i w jej oczach dostrzegałem błysk łez. Na koniec pochyłili się do siebie i szeptali przez kilka minut, po czym Ivet pożegnała się z inwalidą i szybkim krokiem skierowała się do wyjścia. Inwalida wiódł za nią wzrokiem, a gdy odwróciła się na szczycie schodów, by mu pomachać, zawołał:

- Pamiętaj, co mi obiecałaś. W żadnym wypadku, jasne? W żadnym wypadku.

Potaknęła, uśmiechnęła się i pomachała mu raz jeszcze, ale on udał, że tego nie dostrzega, jakby nie czuł się na siłach, by żegnać się raz jeszcze. Cała scena była równie wzruszająca, co nie posuwająca mojego śledztwa ani o krok.

Ja też powstrzymałem łzy i podniosłem się, by pójść za Ivet. Ale gdy zamierzałem odejść, obudził się staruch w piżamie, którego korpulentną figurą posłużyłem się do szpiegowania rozmowy Ivet z inwalidą, chwycił mnie za fałdę spódnicy, szarpnął z niespodziewaną siłą i burknął:

- Czy można wiedzieć, co u jasnej cholery robisz koło mnie? Ty świnió. I to jaka wstrętna.

Poznałbym ten głos w każdym zakątku świata, ale nie uwierzyłem własnym uszom. Utkwiłem wzrok w jego twarzy, a on w mojej i jednocześnie rozdziawiliśmy usta. Staruch w piżamie w paski pierwszy odzyskał mowę i stwierdził:

- Niech skonom. Tym razem naprawdę mam halucynacje.

Na co ja, otrząsnąwszy się częściowo z osłupienia, odrzekłem pokornie:

- Nie wie pan, jak się cieszę, że znowu go widzę, panie komisarzy. Szczególnie w okolicznościach tak dla pana przyjemnych.

Mój związek z komisarzem Floresem sięgał czasów tak odległych, że mógłbym bez obawy zaliczyć go do historii Hiszpanii, gdyby historia Hiszpanii obejmowała podobne drobiazgi i nędze, co być może kiedyś nadejdzie. W najmroczniejszych zakamarkach mojej pamięci giną powody, czas i miejsce naszego pierwszego spotkania, ale nie jego rezultaty. Byłem wówczas początkującym złodziejaskiem, a on rozpoczął coś, co miało się okazać błyskotliwą karierą w służbie prawa i ładu. Los połączył nas, bez najmniejszej zachęty z mojej strony, i uczynił z nas nierozłączną parę. Z braku lepszego nauczyciela, od niego odebrałem całe wykształcenie: poznałem znaczenie pracy (nie popłaca), wagę uczciwości (dla kretynów), transcendencję prawdy (nigdy jej nie ujawniać), odrażający charakter zdrady (i płynące z niej korzyści), prawdziwą wartość rzeczy (cudzych), a także, przez indukcję, zalety stosowania jodyny na rany, draśnięcia, krwiaki, zadrapania i otarcia naskórka. W cieniu jego osoby zacząłem precyzyjnie planować własne czyny, ostrożnie je realizować, sumiennie zacierać ślady. Na próżno: na nic mi się zdała przemyślność skonfrontowana z jego mądrością, wprawą, wiedzą i przewagą osiągniętą dzięki dysponowaniu rozległymi środkami oraz brakowi kontroli i skrupułów. Zawsze mnie oszukał, a sam nigdy nie pozwolił dać się oszukać, posuwając się sporadycznie nawet do tego, by mieć mnie fałszywymi obietnicami, posługiwać się moją osobą dla własnych celów, a w końcu porzucać. Często kroczyłem zapytywałem sam siebie, czy taka zawziętość i okrucieństwo w gruncie rzeczy nie skrywały jakiegoś niewłaściwie okazywanego uczucia, ale po starannym przestudiowaniu wszystkich oznak w świetle najbardziej wiarygodnych teorii dotyczących niespełnionych ambicji oraz projekcji własnych marzeń i lęków na innych doszedłem do wniosku, że nie. Nawet teraz, gdy wróciłem do owczarni i zacząłem wieść przykładowe życie, nie potrafiłem podążać ciemną, cichą ulicą bez strachu, że za plecami usłyszę jego kroki.

- Po coś przyszedł? Kto cię przysłał? Tylko nie łżyj, bo ci rozwalę łeb - ostrzegł.

Bezwiednie uchyliłem się przed ciosem. W swych młodzięczych latach, przekonany o słuszności zasady „w zdrowym ciele, zdrowy duch”, komisarz Flores uprawiał pewną odmianę boksu opartą na bierności przeciwnika, trenując na mnie niezliczoną ilość razy. Dziś jeszcze, mimo jego podeszłego wieku i faktu, że był przywiązany do leżaka skórzanym pasem, wspomnienia z dawnych lat nadal budziły we mnie lęk.

- Jeden gość - ciągnął. - Jeden jedyny gość w ciągu tylu lat... i to musiałeś być ty.

- Proszę nie robić sobie złudzeń - odrzekłem. - Nie przyszedłem tu, by pana odwiedzić. Nie wiedziałem, że dożywa pan tu swoich dni. Gdybym wiedział, nie przyszedłbym.

Komisarz Flores wzruszył wychudzonymi ramionami i splunął na kolano.

- Ja też nie chciałem tu przyjść, chłopcze - powiedział. - Oszukali mnie. Opowiem ci: siedziałem pewnego dnia w moim biurze, gdy weszło czterech typów z Madrytu. Mówili, że niby koledzy. Kumple. Mówili, jakby się znali na wszystkim. Słuchałem ich i myślałem: kurde, ci to codziennie rzną ministra, a minister ich. Wiesz, jak to się robi w Madrycie. Nie znaliśmy się, ale oni od razu do mnie na ty. Nie dam się wrobić, powiedziałem sobie. Nieraz to już widziałem, najpierw tak było z Carrero Blanco, potem z Ariasem Navarro, a wreszcie z królem. Niby wielka kariera, a potem kopa w dupę. Nic z tego. Pokazali mi Dziennik Ustaw, zacytowali jakieś przepisy wymyślone przez pedałów dla pedałów. Powiedzieli: znaleźliśmy dla ciebie idealne miejsce na emeryturę, facet. Będzie ci bosko. Za chuja - pomyślałem. Ale oni dalej: w sam raz dla ciebie, kurde. Okolica, ludzie, wsio. Czyste powietrze, ptaszki, a ty spoko, gościu, zrelaksowany. Połączony z całym światem przez satelitę, a prostata, zapomnij. Obsługa zajebista, stale dyżurny lekarz z jajami, a siostry, kurde, chodzą w kostiumach. Nie rajcuje cię? Podaj no mi ten kamień.

- Po co?

- Bądźże dobrym chłopczykiem i podaj mi go.

- Jeśli mi pan nie powie, po co, nie podam.

- Chcę walnąć w leb tamtego dziadka. No dalej, facet, pośmiejemy się trochę. Słuchaj, nie masz przypadkiem jakiej fajki?

- Niech pan opowiada dalej.

Długim, brudnym i złamanym paznokciem podrapał się po suchych i zapadłych policzkach, które w połączeniu z rzadką, zaniedbaną brodą nadawały mu odrażający wygląd, po czym kontynuował:

- Powiedzieli mi: przyjacielu Flores, nadszedł moment pożegnania ze służbą czynną. Ale to nie znaczy, że masz wegetować, kurde. Nie masz rodziny ani nikogo, kto by się tobą zaopiekował. Jedź do tego hotelu, który ci znaleźliśmy, i zajmij się, kurde, pisaniem pamiętników. Tyle widziałeś i słyszałeś, że wyjdzie ci zajebisty bestseller. A ja na to: kurde, nie wiem, czy będę umiał, a oni: bez jaj, facet, trzydzieści tomów, co ci tylko przyjdzie do głowy, a potem jakieś głodomory wstawią przecinki tam, gdzie trzeba, i załatwimy ci nagrodę Planeta. Pięćset baniek i dodatki. No, dajże mi ten kamień. Nie masz przypadkiem fajki? W końcu dali mi jakieś papiery do podpisania i podpisałem. W moment później porwali mnie we czterech i przywieźli tutaj. I tak zostało, kurde. Nie chcą mnie wypuścić. Nie chcą mi dać ołówka i papieru. Bo lęk przed białą kartką może mi źle wpłynąć na zwieracze, mówią. Ukradli mi tożsamość - zabrali broń, dokumenty i ubranie. A te babsztyłe wiedzą, że nie mogę się bronić, i mówią do mnie po katalońsku. Nawet jak chcę iść do sracza, muszę pytać. *Que puc anar a l'excusat?* Ale nie, mój panie! Gwardia nie poddaje się. Robię wszystko pod siebie: szczam i sram. A pierwszego kwietnia i tak idę. I nawet nie wiem, ile lat już tu siedzę. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, po co przyszedłeś.

- Prowadzę małe śledztwo, panie komisarzu, i przydałaby mi się pańska pomoc.

Westchnął, spuścił głowę, przewrócił zaczerwienionymi oczami, a nos, długi, cienki i haczykowaty, opadł mu w dół jak żądło komara.

- O, ja biedny - zajęczał. - Ja już nie mogę pomóc nikomu.

- Mnie, tak - powiedziałem. - Widzi pan tego mężczyznę?

Pokazałem na inwalidę, którego odwiedziła Ivet. Komisarz Flores kiwnął twierdząco głową.

- Chciałbym wiedzieć, kim jest, jak długo tu przebywa, czym się zajmował przedtem i co go łączy z dziewczyną, która była z nim kilka minut temu. Na pewno pan zauważył. Jedna z tych, które podobały się panu, kiedy jeszcze do czegoś się pan nadawał.

- Człowieku, wzrok to jeszcze mam, a jakże. Jak tylko która coś pokaże, już zjadam ją oczami. Ale o innych rzeczach nic nie wiem. Nie zadaję się z tym motłochem, a oni ze mną. Jasne, że mógłbym się dowiedzieć. W tym nikt mnie nie przebije - byłem najlepszy. Jeszcze dziś jestem najlepszy, nie licząc jaj.

- To niech pan to udowodni, komisarzu - zasugerowałem mu. - Ale z wycuciem. Nikt nie może się dowiedzieć, że ten gość mnie interesuje. To podstawa, rozumie pan?

Utkwił we mnie spojrzenie wodnistych oczu, w którym przebiegłość mieszała się z przebłykami zidiocenia.

- Jasne - wybełkotał. - A co ja będę z tego miał?

- Znam różnych ludzi. Wpływowych ludzi. Prezydent Barcelony, żeby nie szukać daleko, i ja jesteśmy nierozłączni - powiedziałem. - Mogę pociągnąć za sznurki, żeby pański przypadek został rozpatrzony ponownie.

- Nie wierzę ci - odparł.

- Niech pan zrobi, jak pan uważa - powiedziałem. - Zostawię panu numer telefonu. Do pewnego baru. Zapyta pan o fryzjera i zawołają mnie. To na wypadek, gdyby dowiedział się pan czegoś i chciał mi opowiedzieć. A jeśli niczego pan się nie dowie albo nie ufa mi pan, nie zadzwoni pan i w porządku. Gdy ja w tym czasie coś uzyskam, zadzwonię do pana.

Jedno oko zwięzło mu się w szparkę.

- Naprawdę mógłbyś mnie stąd wyciągnąć? - zapytał, podczas gdy zapisywałem numer telefonu na jego piżamie - Ba, nie wierzę. Ty nic nie możesz, a gdybyś mógł, nie zrobiłbyś tego. Mnie nie oszukasz.

- Pana nikt nie oszuka, panie komisarzu - odpowiedziałem, wstając, i zostawiłem go z rozdziawionymi, bezzębnymi ustami.

Wychodząc, odszukałem oddziałową i oznajmiłem jej, że może wrócić, a może nie.

- Mój krewniak jest bardzo rozpuszczony i opasły - dorzuciłem. - Proszę wziąć go na dietę, a jakby protestował, nie patyczkować się.

Kiedy opuściłem rezydencję, niebo rozchmurzyło się, słońce w zenicie rzucało każdemu cień pod jego własne stopy. Wróciłem na stację, idąc tym razem przez cały czas w dół. Na plaży usadowiło się kilku wędkarzy. Przed wiatrem chroniły ich sztormiaki. Każdy wbił w piasek po trzy lub cztery wędkę, na wypadek, gdyby kilka ryb zechciało brać jednocześnie. Gdy czekałem na pociąg, żaden nie złowił ani jednej. .

Wsiadłem bez biletu do ostatniego wagonu i stanąłem niedaleko tylnych drzwi, żeby móc wyskoczyć, kiedy przyjdzie konduktor. W sąsiednim wagonie jechał Cygan z kręconymi włosami i wielkimi baczkami, który grał na akordeonie, przeszkadzając podróżnym w czytaniu. Na pierwszym przystanku przeszedł do mojego wagonu i zaczął grać, przebierając z zapalem palcami po klawiszach. Musiał być cudzoziemcem, bo zamiast paso dobie grał nieznaną melancholijną melodię. A może grał właśnie paso dobie, tylko mu nie wychodziło. Zaproponowałem mu, że przejdę po wagonie z czapką, jeśli zapłaci za mój bilet, gdyby przyszedł konduktor. Przystał na to, a jako że konduktor nie pojawił się przez całą drogę, a ludzie okazali się hojni, zrobił niezły interes. Gdy zegnaliśmy się na Plaza de Cataluña, zaproponował mi stałą współpracę.

- Ja gram, a ty chodzisz z czapką i wróżysz. Co zarobisz z wróżenia, jest dla ciebie. Co wpadnie do czapki, dla mnie - powiedział. Mówił, przeciągając „s” i „r”, jak mu się podobało.

- A co ja na tym zyskam? - zapytałem.

- Męską ochronę - odrzekł.

Powiedziałem mu, że mam inne plany. I dzieci. Pożegnaliśmy się i pobiegłem do autobusu, bo zrobiło się strasznie późno.

W salonie zastałem Magnolia - całkowicie spokojnego i panującego nad sytuacją. Przy pierwszych klientkach, powiedział, denerwował się nieco i popełnił, jak sam określił, kilka drobnych błędów. Później jednak szło mu coraz lepiej, nabierał wprawy i przy klientce numer dwanaście czuł się profesjonalistą pełną gębą.

- Klientce numer dwanaście? - powtórzyłem - To ile przyszło?

- Dwadzieścia dwie.

- Niech pan nie bredzi - upomniałem go. - Tyle nie przychodzi tu przez cały rok.

- Przyszły dwadzieścia dwie klientki. Niech pan zajrzy do kasy, a przekona się pan.

Otworzyłem kasę fiskalną, a z niej wyfrunęły banknoty. Policzyliśmy je i podzieliliśmy wedle umowy. Następnie powiedziałem Magnoliowi, że już go nie potrzebuję i że może sobie iść. Magnolio ociągał się.

- Widzi pan - powiedział wreszcie, chrząkając. - Otóż kiedy pana nie było, tak sobie myślałem... Z włosami właściwie idzie mi całkiem nieźle... za to z parkowaniem i światłami...

- Dobrze - uciąłem. - Mam pańskie dane. Jeśli będę potrzebował pomocnika, skontaktuję się z panem.

- Nie, proszę posłuchać - nalegał. - Pomyślałem sobie, że... Mam dryg do modelowania i umiem rozmawiać z paniami. Oczywiście, dopasowalibyśmy procent do wydajności każdego z nas. Ale gdyby zdecydował się pan na pełną zalet wcześniejszą emeryturę...

- To szczyt wszystkiego - wykrzyknąłem. - Pozwalam panu spędzić w salonie dwie godziny jako uczniowi, a pan uważa, że pozjadał wszystkie rozumy. Jak pan śmie? Jest pan chłystkiem i nikim.

- Mój ojciec miał jedno zębu.

- Mówię ogólnie.

- Dobrze, niech się pan nie gniewa, już sobie idę. Ale jeśli zmieni pan zdanie, proszę zadzwonić. Ze mną interes nabrałby rozmachu, a Raimundita mogłaby pomagać.

- I w dodatku chce pan tu przywlec narzeczoną. Precz. A jeśli zobaczę pana w okolicy, zadenuncjuję za brak papierów.

*

Jak można przypuszczać, pretensje Magnolia rozeźliły mnie niepomierne, nie na tyle jednak, by pozbawić apetytu, więc wypisałem dowód kasowy na wypłatę tysiąca peset, pobrałem tę kwotę w brzęczącej monecie i zasiadłem w barze na rogu zamiarem pochłonięcia kanapki z kalmarami w cebulce. Gdy jednak zatopiłem w niej zęby, musiałem pędem wrócić do salonu, gdyż przez szybę zobaczyłem, że zebrała się przed nim grupka klientek i że oczekują w kolejce. Widząc mnie nadbiegającego w uśmiechach i ukłonach, zapytały, czy może je obsłużyć Magnolio, a gdy odpowiedziałem, że nie, że był on jedynie epizodycznym zastępcą, którego więcej nie zobaczą, ale że za to ja jestem do usług, wszystkie sobie poszły. Pozwoliło mi to dokończyć kanapkę w świętym spokoju, aczkolwiek pogrążyło w wątpliwościach.

O wpół do siódmej przyszła Cándida. Powodowana naturalną dobrocią (i beztróską), obeszła wszystkie szpitale Barcelony, pytając o perfidnego portiera Santiago. Znalazła go w szpitalu Can Ruti, a lekarz uspokoił ją co do jego stanu - nie był poważny, za dwa lub trzy dni Santi mógł opuścić hotel i wrócić do swojej przestępczej aktywności. Rana od kuli, wyjaśnił lekarz, to pestka w porównaniu z salmonellą, która przysparzała im ogromnej pracy. Gdyby przed spożyciem podejrzanego majonezu ludzie strzelali do siebie, byłoby znacznie zdrowsi, zakończył poczciwy doktor. Zbeształem Candidę za nieostrożność, ale nie mogłem jej przynajmniej nie podziękować za zainteresowanie moimi sprawami. Odpowiedziała, że moje oprawy ma głęboko w nosie, lecz że los tego przystojnego i nieszczęśliwego chłopca obudził

jej instynkty macierzyńskie.

Gawędziliśmy (nienagabywani przez klientki) do godziny zamknięcia, po czym Cándida udała się do domu, a ja do pizzerii, gdzie powitano mnie ze słuszną mieszanką szacunku i niezadowolenia. Przeprosiłem, tłumacząc się niespodziewanymi obowiązkami, i obiecałem nigdy więcej nie uchybić moim zwyczajom, rozkładowi dnia oraz diecie.

- Zobaczmy, jak to będzie - powiedziała pani Margherita. - Od czasu, kiedy zacząłeś chodzić z tą lalą, jesteś nie do poznania.

- Jeśli ma pani na myśli mój ubiór, to jest to kamuflaż - odrzekłem z godnością.

6

Ponownie zastałem zdemolowane mieszkanie. Purińes, którą o to zagadnąłem, powiedziała, że wczesnym przedpołudniem słyszała jakieś hałasy, ale na wszelki wypadek nie dociekała, kto zacz. Oddałem jej sukienkę, a ona mnie suchy i wyprasowany garnitur (był ze sztucznego włókna), po czym każde z nas powróciło do swego domostwa. W wyposażeniu mojego mieszkania brakowało jedynie beretty 89 gold standard, kaliber 22 Santiago. Pożałowałem, że nie schowałem jej lepiej, nie żebym pragnął mieć pistolet (boję się pistoletów), lecz ze względu na odciski palców czy inne ślady, które mogły zostać odkryte podczas szczegółowych oględzin. Nie znaleźli za to pierścionka Reinony z brylantami, który winkrustowałem w cyklopową masę ciasta Viriata. Wydobyłem go zeń, wsunąłem do kieszeni i wyszedłem z domu.

W pracowni zegarmistrzowskiej pana Pancracio jeszcze się świeciło. Zastukałem knykciami w witrynę. Pan Pancracio podszedł do szyby, rozpoznał mnie, odsunął zasuwę i zaprosił do środka.

Pan Pancracio był skromnym i ubogim staruszkim. Miał małą, bardzo schludną i uporządkowaną pracownię, pełną zegarów z kukułką, które o każdej pełnej godzinie i pół godzinie zmuszały go do wychodzenia na zewnątrz. Pan Pancracio poświęcił życie zegarmistrzostwu, ale przez ostatnie dwadzieścia lat, od czasu pojawienia się zegarków kwarcowych, jego aktywność znacznie osłabła. W przeszłość odeszły części zamienne, mechanizmy wymagające nastawiania i oliwienia, by działać z najwyższą precyzją. Teraz jego praca polegała na wymienianiu zużytych baterii i zniszczonych pasków oraz na przestawianiu kretynom godziny dwa razy do roku, gdy przypadała zmiana czasu. Jako że owdowiał, jego dzieci wyjechały do Ameryki, a wymagania miał bardzo niewygórowane, niewielki zarobek z pracowni wystarczał mu do skromnego życia. Na zakłady w walkach psów dorabiał zaś jako paser.

- Pewna dama, której nazwisko powinno pozostać w tajemnicy, poprosiła mnie, bym wystawił na sprzedaż ten pierścień z brylantami niezrównanej wielkości, perfekcji i woltażu.

Pan Pancracio ustawił szkło powiększające i szybko obejrzał pierścionek Reinony.

- Denka butelek - osądził, rzucając klejnot na ladę i wbijając we mnie oko, które przez szkło powiększające wydawało się bardzo małe i odległe, jak gdyby osoba, naprzeciw której stałem, zostawiła swoje prawdziwe oko w domu.

- Niemożliwe - odparłem. - Dama, o której mowa, należy do naszych najświetniejszych i najdawniejszych rodów. Ponadto zdaje mi się, że potrzebuje pieniędzy bardzo pilnie.

- I to nawet nie szkło, synu - stwierdził łagodnie pan Pancracio. - Denka plastikowych butelek. Napis jest wyraźny: naturalna woda mineralna, butelka do powtórnego wykorzystania. Co do mnie, z wielką chęcią pomógłbym twojej przyjaciółce, ale Żydzi, z którymi handluję, nie mają za grosz poczucia humoru. Zabierasz go czy sam mam wyrzucić go do śmieci?

Wróciłem ze świecidełkiem do mieszkania, zaserwowałem sobie szklanekę wody z kranu, w ubraniu wyciągnąłem się na łóżku i pozostałem tak przez kilka godzin, wpatrując się w rysy na suficie i usiłując uporządkować wydarzenia dnia. Z owej ekstazy wyrwał mnie dzwonek domofonu. Odezwałem się niechętnie - zaskoczony, nie oczekiwałem żadnych wizyt tego wieczoru. Dźwięczny głos powiedział, że to Raimundita, służąca państwa Arderiu, obiekt westchnień niezrównanego Magnolia. Wpuściłem ją i po upływie minuty poddałem surowej inspekcji wzrokowej, z której wyniosłem całkiem przyjemne wrażenie. Miała wdzięczne rysy, figurę i ruchy, przy tym skromność właściwą jej kondycji służącej (w dobrym domu) i wydawała się mieć wesoły charakter. Otwierając usta, pokazywała rząd białych zębów, a zamykając je, robiła sympatyczną minę. Wobec mnie (nie zauważając, że przez cały czas jest obserwowana) prezentowała na przemian obie pozycje ust (otwarte i zamknięte), co zazwyczaj czynią ludzie podczas mówienia. W jej przypadku były to

przeprosiny za nachodzenie mnie o tak później porze, ale chodziło o ważną sprawę.

- Już powiedziałem Magnoliowi, że w salonie nie trzeba ani jednego człowieka mniej, ani więcej - uciałem.

- Och, nie, proszę pana, nie o to chodzi - powiedziała pośpiesznie Raimundita. - Przychodzę w imieniu mojej pani, pani Reinony, poprosić o zwrot pierścionka z brylantami, który zostawiła u pana w depozycie. Pani Reinona powiedziała panu, że przyśle kogoś po pierścionek, gdy będzie go potrzebować. Teraz pani Reinona potrzebuje go i ten ktoś to ja.

- Ach, pierścionek - szepnąłem, jak gdybym z trudem przypominał sobie istnienie klejnotu, który niedawno zaniósłem do wyceny i który jeszcze spoczywał w mojej kieszeni. - A nie powiedziała, po co jest jej potrzebny właśnie teraz?

- Pani Reinona powiedziała mi, że bym poprosiła pana o pierścionek, a nie że bym udzielała wyjaśnień - stwierdziła Raimundita.

- Rzeczywiście, nie powinienem o to pytać - przyznałem. - Zrobiłem to tylko dlatego, że, o ile wiem, kilka lat temu wydarzyła się w domu państwa Arderiu pewna historia związana z kradzieżą innego klejnotu. Podejrzenia padły wówczas na kucharkę, lecz w końcu sprawa została wyjaśniona.

- Tak - potwierdziła Raimundita. - Znam tę historię, ale tylko ze słyszenia. Kiedy wydarzyło się owo wydarzenie, nie służyłam jeszcze w domu państwa Arderiu.

- No dobrze - zakończyłem. - Nas to w każdym razie nie dotyczy.

Wręczyłem jej pierścionek i zapytałem, jak zamierza wrócić do domu państwa Arderiu z tak cenną rzeczą przy sobie. Zaczerwieniła się lekko i przyznała, że Magnolio czeka na nią na ulicy, by odwieźć ją samochodem.

- Nie chciał wchodzić, bo mówi, że żywi pan do niego urazę -dodała Raimundita. - On za to bardzo pana lubi i bardzo szanuje. A także trochę pana żałuje, bo widzi, że jest pan bardzo samotny i biedny. Niech mu pan nie mówi, że powiedziałam panu o tym.

- Proszę się nie martwić - wymamrotałem, po czym, czując, że moja stanowczość zmiękła pod wpływem tego wyznania, dodałem:

- I proszę powiedzieć Magnoliowi, że jeśli ma ochotę, oczekuję go jutro rano w salonie. Niech przyjdzie punktualnie, bo klientki pytają o niego. O podziale zarobku porozmawiamy później.

Gdy Raimundita wyszła, wróciłem do poprzedniej pozycji i zajęcia (leżenie na łóżku i patrzenie w sufit). Nadal się nie rozbierałem, co wyszło mi na dobre, bo po chwili ponownie zadzwonił domofon. Byli to - jak się przedstawili - dwaj policjanci (jeden z krajowej, drugi z autonomicznej), którzy już raz, przedwczoraj, mnie odwiedzili, z zamiarem aresztowania pod zarzutem kradzieży pierścionka Reinony znalezionej w moim ubraniu. Weszli i pokazali nakaz aresztowania, opatrzony stosownymi podpisami i pieczęciami.

- Będziemy przeszukiwać pańską norę tak długo, aż znajdziemy pierścionek - powiedział autonomiczny, którego jego towarzysz w czasie pierwszej wizyty nazwał Baldiri. - Jeśli powie nam pan, gdzie go schował, oszczędzimy sobie fatygi i zaznaczymy to w raporcie.

- Na pana korzyść - dodał drugi.

- Proszę sobie zaoszczędzić szukania i gadania - powiedziałem.

- Nie mam już pierścionka.

- W takim razie i tak pana aresztujemy, za ukrywanie dowodów - powiedział Baldiri.

- Zgodnie z obowiązującym prawem - uściślił drugi.

Ponownie zakuli mnie w kajdanki i zabrali na komisariat. Potem Baldiri wycofał się, a drugi policjant wszedł ze mną i przekazał mnie funkcjonariuszowi w cywilu. Ów kilkakrotnie odczytał nakaz aresztowania i zapytał, czy zostałem poinformowany o moich prawach obywatela i przestępcy. Policjant stwierdził, że pokazał mi stosowne ustępy kodeksu karnego oraz kodeksu postępowania karnego, po czym wrócił na służbę. Funkcjonariusz w cywilu założył mi akta, pobrał odciski palców i polaroidem zrobił zdjęcie en face i z profilu.

- Zanim trafi pan do celi - powiedział - może pan odbyć jedną rozmowę telefoniczną. Jeśli to będzie międzymiastowa albo numer erotyczny, poproszę kartę VISA.

Podziękowałem mu i oznajmiłem, że nie skorzystam z oferty - nie chciałem wciągać w tę sprawę kogoś, kto nie miał z nią nic wspólnego, a jeszcze mniej kogoś, kto był z nią bezpośrednio związany. Zawsze miałem skłonność do brania odpowiedzialności na siebie. Zaś interwencja policji - nawiasem mówiąc, nieśmiała i spóźniona - otwierała nowe perspektywy, do eksploracji których aż się paliłem.

Areszt komisariatu, miejsce niegdyś często przeze mnie odwiedzane, odzwierciedlał rozwój kraju: był przestronny, czysty, przewiewny, dobrze oświetlony i zaopatrzony w ergonomiczny siennik. Przespałem się trochę. Obudził mnie delikatnie policjant. Zapytałem, która jest godzina; było pięć po trzeciej.

- Przyszedł pański adwokat, zapłacił kaucję i właśnie robi awanturę komisarzowi - poinformował mnie policjant.

Nie odezwałem się ani słowem. W holu komisariatu czekał dojrzały, siwowłosy dżentelmen, którego miałem przyjemność poznać w domu państwa Arderiu. Mimo późnej pory był nienagannie ubrany. W lewej ręce trzymał dyrektorską teczkę z krokodylej skóry. W jego spojrzeniu nie dostrzegłem miłości.

- Idziemy - powiedział.

- Od kiedy jest pan moim adwokatem, panie Miscosillas? - zapytałem.

- Od czasu, gdy ktoś mi za to płaci - odparł - i do czasu, gdy będzie płacił.

Nie oczekiwałem od niego wyjaśnień ani uprzejmości. Tak naprawdę chciałem się tylko upewnić, czy nazywa się Miscosillas.

Po pożegnaniu się z komisarzem i jego ludźmi wyszliśmy na ulicę, pan mecenas Miscosillas i ja. Pan mecenas Miscosillas wskazał na ciemny samochód (bmw z3) zaparkowany kilka metrów od komisariatu.

- Czeka na pana - powiedział.

- Pan nie jedzie?

- Jadę motorem.

Oddalił się, nie mówiąc nic więcej (nawet „dobranoc”), a ja, zgodnie z jego poleceniem, ruszyłem w stronę samochodu. Gdy stanąłem przy nim, zobaczyłem, że jest jasny, nie ciemny, a wydał mi się ciemny, bo dokoła panował jeszcze mrok. Za kierownicą siedziała kobieta, której twarz nie była mi nieznaną. Oprócz niej w samochodzie nie było nikogo, na ulicy zresztą też. Kobieta zapaliła silnik, wykonała ręką nakazujący gest i krzyknęła:

- Jestem Ivet Pardalot. Przestań się na mnie gapić jak idiota.

- Ach tak, oczywiście. Rozpoznałem panią natychmiast.

- Nie opowiadaj bzdur. Wsiadaj.

Wsiadłem. Była ubrana w rybaczki i zwykły sweterek z krótkim rękawkiem.

- Za co cię aresztowali? - zapytała.

- Skoro dowiedziała się pani, że mnie aresztowali, z pewnością wie pani, za co - odrzekłem.

- Nie sil się przede mną na dowcipy — powiedziała. — Pewien kontakt poinformował Miscosillasa, że cię zatrzymano, a on poinformował mnie. Ze względu na twój związek z całą sprawą, cokolwiek ci się przydarzy, wiąże się też ze mną. Ale jeśli nie chcesz wyjawić powodu aresztowania, nie musisz. Jest mi to obojętne.

-To dlaczego...?

- Dlaczego postarałam się, by cię zwolnili?

- Tak.

- Nie oczekuj, że odpowiem na twoje pytania, jeśli ty nie odpowiadasz na moje. Możesz najwyżej podziękować mi i zapiąć pas — prowadzę po wariacku.

Była to prawda. Przemknęliśmy przez miasto z szybkością dźwięku, nie zwracając

uwagi na światła i znaki drogowe. Na szczęście, samochód był solidny, a Ivet prowadziła jak osoba, którą za moich młodych lat nazywano asem kierownicy. Zatrzymała się przy ulicy Ganduxer, szerokiej i obsadzonej drzewami, zza których wyłaniały się eleganckie wille. Pilotem otworzyła bramę garażową, wjechaliśmy do środka, wyłączyła silnik, wysiedliśmy. Windą ze złoczonego mosiądzu, z czarnym dywanem, lustrzanym sufitem i rytmiczną muzyką wjechaliśmy do holu o surowym wystroju, ozdobionego kolekcją broni i rogami jeleni. Zapytałem, gdzie jesteśmy.

- W moim domu - powiedziała. - Boisz się?

- Ja zawsze się boję - odparłem.

- Służby nie ma - oznajmiła. - Dzisiaj rano odprawiłam wszystkich albo dałam im wychodne, nie pamiętam. Jutro znowu ich przyjmę. Dziś w nocy chciałam być sama.

- W takim razie idę sobie - powiedziałem.

- Sama z tobą - uściśliła. - Chodź.

Ruszyła, nie odwracając się za siebie, a ja zostałem w korytarzu, zdjęty wątpliwościami.

- Czy mogę wiedzieć, dokąd mnie pani zabiera? - zapytałem.

- Do łóżka - odparła, nie racząc nawet przekrzywić głowy, by na mnie spojrzeć. - Po to zapłaciłam kaucję i wyciągnęłam cię z pudła.

Miała słuszość. Poszedłem za nią szerokim i olśniewającym korytarzem. Przed podwójnymi, zamkniętymi drzwiami zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i otworzyła je. Nie zapaliła światła. W blasku płynącym z korytarza dostrzegłem zabytkowe, wielkie, nieco przeładowane ozdobami łóżko, z balaskami i orlimi szponami zamiast nóg. Szpetne dziwactwo. Grymas na twarzy Ukrzyżowanego wiszącego u jego wezglowia zdawał się wyrażać tę samą opinię. Wchodząc, zauważyłem, że powietrze w tym pokoju jest przesiąknięte mdlącym zapachem, jakby wyssanego cukierka. Cisza stała się napięta. Aby ją przerwać, zapytałem:

-To pani pokój?

- To jego pokój - wyjaśniła. - Mego zmarłego ojca.

- Pardalota?

- Tak. Moja sypialnia znajduje się w drugim skrzydle. Dom jest duży. Mieszkaliśmy razem, ale niezależnie. To jego pokój i jego łóżko. To o tym łóżku wspomniałam przed chwilą. Chyba nie sądziłeś, że zaproszę cię do mojego?

-Ależ absolutnie. A pani matka?

- Moja matka i mój ojciec rozstali się wiele lat temu. Matka wyjechała z Barcelony. Ja mieszkałam wówczas w internacie, a miasto nie miało jej nic ciekawego do zaoferowania. Przyjaciele zachwalali mojej matce wygodne wygnanie w Paryżu lub Londynie, ale ona wolała zamieszkać w Jaen. Mój ojciec żenił się jeszcze kilka razy, ale wszystkie małżeństwa skończyły się niepowodzeniem.

Odsłaniając tajniki historii rodzinnej, weszła do posępnej alkowy i zapaliła lichtarz. W migotliwym blasku świec nabrała wdzięku, lecz w jej oczach nadal błyskały iskry szaleństwa. Usiadła na brzegu łóżka i zachęciła mnie gestem, bym usiadł obok.

- Chyba nie powinienem - przeprosiłem. - W areszcie mogły być wszy.

Ivet Pardalot wzruszyła ramionami i utkwiała wzrok w ścianie pokrytej szkarłatnym jedwabiem.

- Mój ojciec - powiedziała - był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Dlatego unieszczęśliwił moją matkę, a oboje unieszczęśliwili mnie. Cała katalońska rodzina pogrążona w nieszczęściu z winy jednej osoby. Ta osoba jeszcze żyje. I chociaż zapłaciła za część wyrządzonego nam zła, pozostaje jej jeszcze do spłacenia ogromny dług.

- Proszę posłuchać - powiedziałem, korzystając z chwili przerwy w jej perorze - jestem fryzjerem, nie psychiatrą. Moim zdaniem, żywienie urazy nie ma sensu, gdy jest za późno, by cokolwiek naprawić. Wystarczy, że trzeba zarabiać na chleb powszedni, walczyć z własnymi

wadami i umieć zafundować sobie jakąś rozrywkę, gdy pojawi się okazja. Pani jest młoda, inteligentna, bogata, a w blasku świec nawet wydaje się ładna. Gdyby pani zechciała, mogłaby zorganizować sobie cokolwiek: męża, kochanka albo jakiegoś innego typu. Nawet kilku, gdyby przyszła pani ochota. Satysfakcjonujące życie uczuciowe nie musi oznaczać tylko seryjnego strzelania goli. Nie widziała pani w filmach dokumentalnych, jak dobierają się w pary ślimaki i inne przedpotopowe zwierzaki? Człowiek patrzy na nie i myśli: ja bym z taką tego nie zrobił. Ale one wyglądają na szczęśliwe. To tylko się liczy, a cała reszta jest stratą czasu. Wiem dobrze, że moje rady są prostackie. W pewnym stopniu pokrywają wysokość zaliczki i honorarium mecenasa. Gdybym wiedział, jak spłacić resztę długu, uczyniłbym to chętnie i bezzwłocznie, ale nie mam nic i nie sędzę, bym na krótszą, średnią czy dłuższą metę miał mieć coś więcej. Powiedziałem już, że uważam panią za atrakcyjną, a uważałbym za jeszcze atrakcyjniejszą, gdyby zamiast psuć sobie krew, rozjaśniła pani twarz uśmiechem. Nie pogardziłbym nawet jakimś fiku-miku, byle nie w tej ponurej scenerii. Ale jeśli zamierza pani zrobić ze mnie instrument zemsty, odpowiedź brzmi: nie. Proszę sobie poszukać kogoś innego.

Gdy wyłożyłem te rozsądne racje, zapadło długie milczenie. W spokoju nocy słyszeliśmy dalekie tykanie zegara, skrzypienie drewna, szum wiatru i pojękiwanie dusz pokutujących w czyśćcu.

- Myślałam - odezwała się Ivet zachrypniętym głosem, ledwie słyszalnym wśród tych wszystkich odgłosów - że interesuje cię rozwiązanie tej sprawy.

- Tej sprawy, nie - odparłem - wyłącznie mojej sprawy. Ja nie należę do żadnej warstwy społecznej. To, że nie jestem bogaty, rzuca się w oczy, ale nie jestem też nędzarzem ani proletariuszem, ani stoickim członkiem mazgajowatej klasy średniej. Z racji urodzenia przynależę do czegoś, co zwykło się nazywać hołotą. Jesteśmy grupą liczną, dyskretną, o niezwykle silnym braku przekonania. Naszą pracą, milczącą i nieustanną, przyczyniamy się do stagnacji społecznej, wielkie historyczne zmiany prześlizgują się po nas, nie chcemy zajmować stanowisk, nie aspirujemy do uznania ani szacunku naszych przełożonych, ani nawet nam równych. Nie posiadamy cech dystynktywnych, jesteśmy ekspertami w sztuce rutyny i partactwa. I chociaż nie cofamy się przed podejmowaniem ryzyka i wysiłku, by zaspokoić nasze nędzne potrzeby i podążać za głosem naszych instynktów, jesteśmy całkiem odporni na pokusy ze strony szatana, świata i logiki. Podsumowując, chcemy, by zostawiono nas w spokoju. A jako że nie sędzę, by po moim wykładzie nastąpiła dyskusja, wracam do domu i kładę się spać. Jeśli aresztują mnie po raz kolejny, nie musi pani posyłać mi adwokata. Nie musi też pani odprowadzać mnie do drzwi, sam trafię.

Podąłem jej rękę, by pokazać, że ją lubię. Pewnie z tego samego powodu wyciągnęła swoją ,

- Widzę - stwierdziła - że się co od ciebie pomyliłam. Nie myślałam, że zinterpretujesz gest przyjaźni w kategoriach czysto monetarnych. To ja ponoszę winę za tę pomyłkę: mam zbyt dużo pieniędzy, więc nie cenię tego, co daję, i źle obliczam efekt, jaki moja hojność wywiera na cudzym skąpstwie. Ale jeszcze się tego nauczę. Co do reszty, nie przejmuj się: nie zamierzam wystawiać ci rachunku za moją interwencję i nie potrzebuję twoich usług ani żeby zrealizować moje plany, ani żeby sobie ulżyć. Mogliśmy bardziej przypaść sobie do gustu, ale przynajmniej się zrozumieliśmy. Jeśli chcesz, zadzwonię po taksówkę.

- Dziękuję - odrzekłem. - Sieć autobusowa w naszym mieście jest niedościgniona.

Wróciłem korytarzem, gasząc za sobą światła i pozostawiając dom pogrążony w mroku, nie licząc dalekiego, pomarańczowego blasku lichtarza w sypialni oraz delikatnej poświaty dobiegającej z windy, która podjechała na mój rozkaz i grzecznie otworzyła podwoje. Oczekałem, aż się zamkną. Światło windy zmniejszyło się do pionowej kreski, która pomknęła w dół i znikła pod podłogą.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Jeśli - sądząc, że sobie poszedłem - Ivet robiła

cokolwiek, nie było to coś, co mógłbym usłyszeć, biorąc pod uwagę odległość między ponurą alkową a mrocznym przedpokojem. Zdenerwowałem się. Wreszcie blask świec poruszył się, na ścianach korytarza zatańczył cień i pokazała się podobna do zjawy Ivet ze świecznikiem w dłoni. Skończyłoby się dla mnie fatalnie, gdyby skierowała się w stronę windy, ale na szczęście poszła w przeciwnym kierunku. Aby iść za nią, nie będąc słyszany, zdjąłem buty i postawiłem je obok szybu windy, z zamiarem zabrania ich przy wyjściu, ponieważ miałem (i nadal mam) tylko tę jedną parę. Ivet dotarła do wylotu długiego korytarza, weszła do jakiegoś pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając mnie w ciemnościach. Przytuliłem się do prawej ściany, żeby nie wejść na lewą, i rozpaczliwie powoli sunąłem do przodu. Przez szparę w dolnej części drzwi, za którymi znikła Ivet, wydostawała się smużka światła elektrycznego. Przyłożyłem do niej ucho i usłyszałem szmer. Pomyślałem, że Ivet robi to, co, jak wiem, robią kobiety, kiedy są zbyt podniecone, by zasnąć, i nikt nie widzi, że jedzą, ale myliłem się, bo zaraz dobiegł do mnie jej jasny, stanowczy głos:

-To ja. Spałeś? Przepraszam... Tak, gamoń sobie poszedł... Nie, gamoń odmawia współpracy. Zresztą nie nalegałam. Próbowałam go tylko wymacać... Wymacać werbalnie, głuptasku. Tak, dureń skończony, jak mówiłeś... Nieważne: to tylko kwestia czasu, będzie współpracował, i to za friko... Nie, pieniądze nie, ale insynuowałam, że prześpię się z nim, jeśli się zgodzi... Tak, z gamoniem. Nie, głuptasku, żartowałam tylko... Ależ nie, głuptasku... A dlaczego ci zależy...? Och... och... och... Nie, głuptasku, jestem ubrana... w koszulę bez rękawów, zebraną u góry, od Soni Rykiel... Jutro? Nie wiem. Muszę zajrzeć do kalendarza.... Nie, nie zmuszaj mnie, żebym podejmowała decyzję teraz. Zasypiam na stojąco, głuptasku. Zadzwoń, jeśli chcesz. Jeśli nie zadzwonisz, ja zadzwonię. Dobranoc. Śpij smacznie, głuptasku.

Odłożyła słuchawkę (tak przypuszczam), a ja wycofałem się na czworakach (co zawsze jest trudne, a tym bardziej po ciemku - proszę spróbować, jeśli mi państwo nie wierzą) na wypadek, gdyby wychodziła tędy, ale musiała odejść innym korytarzem albo zostać tam, gdzie była, bo światło zgasło i nie wydarzyło się nic więcej. Zostałem jeszcze w korytarzu, w oczekiwaniu na coś nowego, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że ja też śpię smacznie jak głuptasek. Wróciłem do miejsca, gdzie czekały na mnie buty, ściągnąłem windę, bez problemu zjechałem do holu, wyszedłem na ulicę. Nad miastem wstał już świt i ruch był spory. Poczłapałem na przystanek autobusowy. To, co powiedziałem Ivet na temat naszego transportu publicznego, było blefem. Wreszcie nadjechał autobus. Wsiadłem, znalazłem miejsce siedzące i zorientowałem się, że nadal trzymam w ręce buty. Nie można myśleć o wszystkim naraz.

Magnolio znalazł mnie na chodniku przed salonem, gdzie zasnąłem nieoczekiwanie w trakcie otwierania drzwi. Zaniepokojony o to, co powiedzą ludzie, wciągnął mnie do środka i włożył głowę pod kran umywalki.

- Wczoraj w nocy zostałem aresztowany - wyjaśniłem po przebudzeniu, nie chcąc, by Magnolio wyrobił sobie o mnie złą opinię - i prawie nie zmrużyłem oka. Przedwczoraj też nie. Prawdę mówiąc, cieszę się, że przyjąłem pana na okres próbny, ponieważ w czasie pańskiej praktyki chętnie udam się na zasłużony odpoczynek w kąciku.

- Niestety, drogi panie - przeprosił Magnolio. - Przyszedłem właśnie powiedzieć, żeby dzisiejszego przedpołudnia nie liczył pan na mnie. Dostałem zlecenie jako kierowca i nie mogłem odmówić. Przyjdę po południu.

- Jak to! Drugi dzień i pan już się wymiguje! - krzyknąłem w słusznym gniewie.

Obiecał, że to się nie powtórzy, i poszedł sobie. Ponownie wsadziłem głowę pod kran. Kiedy się obudziłem, woda, która wpływała uchem, wypływała przez usta. Zakręciłem kran, wytarłem podłogę i odstawiłem miednicę, żeby wyschła. Dochodziło wpół do dziesiątej, a zakład nadal był zamknięty dla klientów. Wstyd. Pobiegłem do drzwi, odwróciłem tabliczkę z napisem „Chwilowo zamknięte” na drugą stronę z napisem „Zawsze otwarte”. Podniosłem

także zasłonkę uszytą z resztek fartucha podarowanego mi przez panią Pascualę ze sklepu rybnego (kiedy jeszcze miała złudzenia co do naszej przyszłości), który ozdobiłem lambrekinem (wykonanym za pomocą klamerek), i powiesiłem na trzcinie, na przeszklonych drzwiach w celu ochrony wyposażenia salonu przed promieniami słońca, będąc świadomym, że wejście jest zwrócone na północ, ale też przewidując rychłe zmiany klimatyczne, jakże często zapowiadane przez organizacje ekologiczne. Następnie usiadłem w oczekiwaniu na klientów.

W całkowitym spokoju upłynęły dwie godziny. I nagle, bez słowa powitania, wpadło do salonu czterech policjantów i zaczęło przewracać go do góry nogami. Biegałem od jednego do drugiego z grzebieniem w rękę na wypadek, gdyby któryś miał ochotę na strzyżenie, golenie albo nabłyszczenie, ale ustami kaprała wyrazili brak zainteresowania dla moich propozycji.

- Rutynowa inspekcja. Za krótką chwilę odwiedzi pana ktoś ważny. Proszę oddać wszystkie przedmioty tnące i kłujące.

Skonfiskowali mi nożyczki oraz grzebień i wyszli, robiąc miejsce ekipie telewizyjnej. Mam wrażenie, że opisałem już układ i wymiary salonu, ale nie od rzeczy będzie przypomnieć zapominalskiemu czytelnikowi, że osoba o normalnym wzroście - gdyby miała taką zachciankę - mogłaby stać pośrodku salonu, rozłożyć ręce i złamać sobie paznokcie o ściany (to metafora mająca uzmysłwić, że nie był on zbyt przestronny). Ale oczywiście nie miałem też zamiaru robić trudności ludziom, którzy być może przyszli tu kręcić bożonarodzeniową superreklamę Freixeneta albo szukać wewnątrz do filmu pełnometrażowego, szybko więc powynosiłem na chodnik meble i sprzęt, mijając się w drzwiach z ludźmi wnoszącymi kamery, jupitery, podnośniki oraz z nieokreśloną liczbą innych, których funkcja polegała na sporządzaniu protokołu ze wszelkich trudności.

- Choinka, tak nie da się pracować, choinka. I to jeszcze na gwałt. Ale dajecie popalić.

Kobiecie, która przetarła mi twarz wilgotną gąbką, żebym się nie błyszczał, wyjaśniłem, że podkowy pod oczami zawdzięczam nieprzespanej nocy, która nastąpiła po innej nieprzespanej nocy, oraz spowodowanej siłą wyższą nieobecności pomocnika. Charakteryzatorka odpowiedziała, że ona tu nie jest po to, żeby z kimkolwiek rozmawiać i że jeśli chcę coś powiedzieć, powinienem powiedzieć to reżyserowi. Reżyser zaś powiedział, żebym zapiął wszystkie guziki, nie odzywał się, dopóki mi wyraźnie nie rozkaże, i pod żadnym pozorem nie patrzył w kamerę. Obiecałem mu, że postaram się jak najlepiej wywiązać z mojej roli, i zapytałem, czy może podrzucić mi scenariusz, bo poprzedniej nocy zostałem aresztowany i prawie nie zmrzyłem oka. Wymierzył mi siarczysty policzek, postawił tam, gdzie uznał za stosowne (ze względu na kadr), a potem polecił włączyć jupitery, co spowodowało moją chwilową ślepotę. Próbowałem ukryć oszołomienie głupawym śmiechem, jaki podpatrzyłem u naszych najlepszych prezenterów, gdy usłyszałem głos stanowczy, aczkolwiek niepozbawiony pewnej czułości, który zapytał:

- I co słyhać?

- Nic dobrego - odparłem. - W nocy aresztowali mnie i prawie nie zmrzyłem oka, a poprzedniej nocy też nie spałem.

— Cóż — powiedział stanowczy i czuły głos. — Mam to gdzieś. Jestem prezydentem Barcelony i prowadzę kampanię wyborczą. Wie pan: trzeba śmiać się jak krety z przekupkami, inaugurować rozbiórkę i udawać, że się je jakąś ohydą paellę. Dzisiaj mam w planie tę główną dzielnicę. Czy jesteśmy na wizji? Tak? Trzeba było mnie uprzedzić.

- Ale pan daje popalić, panie prezydencie — powiedział reżyser.

- Nie jestem zarejestrowany w żadnym punkcie wyborczym — uprzedziłem.

- Tym lepiej, tym lepiej - stwierdził pan prezydent. - Moją partię i mnie interesują głosy niezależne.

Z nieoświetlonego obszaru dobiegł do nas władczy głos reżysera:

- Miałeś nie patrzeć w kamerę, choinka! I nie odzywać się! Panie prezydencie, niech pan mówi swoją kwestię, jesteśmy już bardzo spóźnieni.

Pan prezydent odchrząknął i powiedział, patrząc mi w twarz, jakby ze mną rozmawiał:

- Cześć, współobywatele i współobywatelki. Jestem kandydatem na tego, kim jestem, czyli na prezydenta. Po czterech latach urzędowania zamierzam szczęśliwie doprowadzić do końca mój program, który polega na pozostaniu prezydentem przez kolejne cztery lata. W tym celu proszę o twój głos. Czy to sklep z warzywami?

- Nie, panie prezydencie, to salon fryzjerski. Droga pani, drogi panie, jeśli macie ochotę na fryzurę nieformalną, a przy tym elegancką, na co czekacie? Biegnijcie do...

- Słuchaj no, to mój spot reklamowy, nie twój - przerwał mi prezydent. Po czym, przyglądając mi się badawczo, wykrzyknął:

- Poznaję pana! Jest pan podejrzany o zabójstwo Pardalota.

- Tak, panie prezydencie, i chciałbym skorzystać z obecności telewizji, by stanowczo zaprzeczyć...

- Nie wplątuj mnie w nic, człowieku, jestem w samym środku kampanii - powiedział prezydent. - Nie można mieć głowy w dwóch miejscach naraz. Ja osobiście nie jestem w stanie mieć jej nawet w jednym. Gdzie ta paella?

Zanim jednak otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, zgasły nagle wszystkie jupitery. Stwierdziłem, że moja chwilowa ślepotą stała się chroniczna. Pan prezydent zapytał, czy skończyliśmy.

- Jeszcze nie, panie prezydencie - odpowiedział reżyser. - Nawet nie zaczęliśmy. Nie ma prądu.

- Ach. A czy to dobrze, czy źle dla miasta? - zapytał pan prezydent.

- Ja tylko wiem, że mamy cholerne opóźnienie - powiedział reżyser. - Niech ktoś pójdzie zapytać, czy tak samo jest w całej dzielnicy.

Poszli operator, inżynier dźwięku, szef produkcji, dwóch elektryków i biedak od klapsów. Wrócili z informacją, że niczego się nie dowiedzieli, ale że w całej dzielnicy nie ma światła. Ani gazu. Pan prezydent wziął mnie za ramię i zaprowadził do kąta.

- Prawdę mówiąc, nieźle się bawiliśmy tamtej nocy u pana w domu, pamięta pan? Kiedy przyszła Reinona i schowałem się w toalecie z pana sąsiadką. Kurcze, ale babka. Nasza rozmowa została wówczas przerwana. To znaczy rozmowa pana ze mną. O ile dobrze pamiętam, pytałem pana, kto zabił Pardalota, a pan mi nie odpowiedział. Z braku czasu lub zainteresowania. Ale teraz nadarzyła się nam wyśmienita okazja, by podjąć wątek. Naprzeciwko salonu jest bar. Zapraszam pana na cappuccino.

Zgodziłem się zachwycony. Pan prezydent i ja poszliśmy do baru i usiedliśmy przy stoliku w głębi, by móc rozmawiać spokojnie, poza zasięgiem wzroku przechodniów, podczas gdy pracowita ekipa telewizyjna i prezydencki orszak trwonili fundusze publiczne w paszczach jednorękiach bandytów. Pan prezydent zamówił dla siebie cappuccino, a dla mnie nic i powiedział:

- Kampania wyborcza, zbyt ciężka, by o tym mówić, rozwija się wyśmienicie: jak podają sondaże, jeśli uda mi się nieco zwiększyć absencję, zostanę wybrany głosem własnym i mojej żony. Ale pewna chmura mąci ten piękny obraz. Wybacz mi pan ten górnołotny język wieców - chcę powiedzieć, że sprawa Pardalota może negatywnie wpłynąć na mój wizerunek.

- Czyżby miał pan z nią coś wspólnego? - zapytałem.

- Człowieku, trochę tak. Nie jesteśmy już na wizji, więc mogę to panu powiedzieć - odparł pan prezydent. - Otóż lata temu, zanim jeszcze oddałem się całym ciałem polityce, Pardalot i ja prowadziliśmy pewne bardzo owocne interesy. Wolałbym, żeby nie wyszły teraz na światło dzienne. Po owych interesach pozostały dokumenty, których nie nazwałbym kompromitującymi, lecz... nieco kłopotliwymi. Wspomniane dokumenty znajdowały się w rękach Pardalota, który, trzeba mu to przyznać, nigdy nie uczynił z nich, ani nie zagroził, że

uczyni, złego użytku, za życia ani po śmierci. Rozumie pan? A teraz kolej na najsmakowitszą część opowieści. Kilka dni temu, około północy, pracowałem nad sprawami miasta w urzędzie miasta, kiedy zadzwonił tajemniczy telefon. Telefonistka połączyła go z moim sekretarzem, ten ze mną, a wówczas usłyszałem dziwny głos, zapewne zniekształcony przez chusteczkę, który mówił: przepraszam, panie prezydencie, ale zepsuł się ekspres do kawy.

- Nie, człowieku, to powiedział panu właśnie kelner - zauważyłem.

- Rzeczywiście. Często mieszają mi się różne rzeczy. To znane zjawisko parapsychologiczne. Na czym to stanęliśmy?

- Na telefonie, na głosie i na chusteczce.

- Więc tak: usłyszałem głos zniekształcony przez chusteczkę. Następnie, kiedy osoba, która dzwoniła, wysiąkała sobie nos, rozpoznałem głos Pardalota, który powiedział: cześć, prezydencie, to ja, Pardalot. Rozumie pan?

- Tak.

- To ja, Pardalot, powiedział Pardalot - ciągnął pan prezydent - i dzwonię do ciebie z mojego gabinetu w Hiszpańskim Szachraju, który jest nazwą handlową, jak pan zapewne pamięta, firmy Pardalota, żeby ci przekazać złą nowinę, powiedział Pardalot. Pamiętasz te papiery, o których przed chwilą wspominałem? Otóż zniknęły, powiedział Pardalot. Pardalot miał na myśli - na wypadek, gdyby pan się nie domyślał - kompromitujące dokumenty pozostające w jego rękach, ale Pardalot nazywał je zawsze po prostu „tymi papierami”, na wypadek podsłuchu. Ja, naturalnie, wydałem z siebie okrzyk i zapytałem, jak to się stało, że zniknęły „te papiery”, które kompromitowały osobiście moją osobę, kto je zabrał i w jakim celu, na co Pardalot odpowiedział, że nie może tego powiedzieć przez telefon na wypadek podsłuchu. Wydaje mi się, że o podsłuchu już mówiłem. Tak czy owak, jak już mówiłem, Pardalot nie chciał powiedzieć tego przez telefon i z tego powodu zapraszał mnie jak najszybciej do swojego gabinetu w Hiszpańskim Szachraju, żebyśmy mogli po rozmawiać, nie będąc podsłuchiwanymi, a w każdym razie nie będąc podsłuchiwanymi przez telefon. Aby nie został rozpoznany jako prezydent tego miasta przez strażnika przy drzwiach, Pardalot zaproponował mi wejście przez garaż. Z garażu można wejść do biur Hiszpańskiego Szachraja schodami przeciwpożarowymi, nie będąc zauważonym przez strażnika, o czym pan dobrze wie. Pardalot osobiście, jak sam powiedział, zajmie się wyłączeniem alarmu i zatrzymaniem nagrania telewizji przemysłowej. Powiedziałem mu, że mam jeszcze do załatwienia kilka spraw dotyczących miasta, nie cierpiących zwłoki, ale że będę u niego koło drugiej, a Pardalot od parł, że dobrze, że na mnie poczeka. Następnie odłożyliśmy słuchawki, na wypadek podsłuchu. To poproszę actimel.

Kelner odszedł, a pan prezydent mówił dalej następującymi słowami

- Moje obliczenia okazały się zbyt optymistyczne i dotarłem do biur Hiszpańskiego Szachraja dopiero za kwadrans trzecia. Brama garażowa była zamknięta, ale zamek musiał się zepsuć, bo otworzyła się, kiedy popchnąłem bramę, nie pamiętam już czy tą, czy tamtą ręką. Wszedłem do garażu, pośliznąłem się na kałuży smaru, wyświniłem sobie garnitur, znalazłem schody i wszedłem na górę. Alarm nie włączył się, tak jak zapowiedział Pardalot. Doszedłem do jego gabinetu. Światło było zapalone. Cichym głosem zawołałem Pardalota: Pardalocie, jesteś tu? Nikt mi nie odpowiedział, nawet Pardalot. Działo się coś dziwnego.

- Aj, aj, aj - powiedział kelner, niezdolny do powstrzymania emocji.

- To niech pan posłucha, co się stało potem - powiedział pan prezydent. Zamilkł, żeby wychłptać buteleczkę actimela przyniesioną przez kelnera, papierową serwetką wytarł wargi i brodę, schował ją (serwetkę) do kieszeni jako surowiec wtórny i ciągnął swą opowieść: - Wszedłem do gabinetu Pardalota i zobaczyłem go, siedzącego na krześle, bladego, nieruchomego, przeszytego kilkoma kulami. Chciałem udzielić mu pierwszej pomocy, ale nie byłem w stanie - nie miałem przy sobie nawet termometru. Zapytałem go: Pardalocie, dobrze się czujesz? Zero reakcji. To uparte milczenie i niezmienna, posągowa pozycja potwierdziły

moje podejrzenia: był martwy, a biorąc pod uwagę jego stan i zniknięcie broni, z której go zabito, należało wykluczyć samobójstwo. Zginął z czyjejś ręki. Sam to wydedukowałem. Nie tracąc ani chwili, wyszedłem tą samą drogą, którą wszedłem. Nikt mnie nie widział. Wróciłem do domu i jednym haustem wypilem całą buteleczkę actimela. A może mylił mi się z tym, który wypilem przed momentem. Nieważne. Ważne jest to, że w pomieszczeniu zapomniałem usunąć ślady linii papilarnych, które zostawiłem na klamkach i innych elementach wyposażenia biura znajdujących się w biurze. Na razie policja nie przyszła po mnie. Sądzę, że czekają na wyniki wyborów. Jestem przekonany, że jeśli zostanę wybrany ponownie, nagłośnią sprawę. Chyba że...

- Chyba że do tej pory zostanie wykryty prawdziwy zabójca -podpowiedziałem.

- Właśnie - powiedział pan prezydent.

Chętnie zadałbym panu prezydentowi kilka stosownych pytań, ale przeszkodziło mi w tym wtargnięcie reżysera z jego ekipą, który przyszedł oznajmić przywrócenie dostawy fluidu elektrycznego, a co za tym idzie, możliwość wznowienia kampanii wyborczej. Wstaliśmy, pan prezydent złożył w księdze gości swój podpis obok podpisów zapaśników, którzy przychodzili tu w latach pięćdziesiątych, i wyszedł, pozostawiając mi zaszczyt zapłacenia za jego actimel. Gdy dogoniłem ekipę, filmowcy wchodzili do wypożyczalni kaset wideo pana Boldo, w której policjant właśnie skonfiskował wszystkie filmy pornograficzne. Zagadnięty przeze mnie reżyser poinformował mnie, że w końcu postanowili nie kręcić spotu w moim salonie, bo jest zbyt nędzny - nawet jak na wybory do władz miejskich - a tym bardziej teraz, po szkodach poczynionych przez ekipę telewizyjną i jej sprzęt. Chcąc odzyskać nożyczki i grzebień, zacząłem szukać patrolu policyjnego, ale powiedziano mi, że policjanci udali się na targ św. Antoniego, by odsprzedać filmy skonfiskowane w wypożyczalni pana Boldo. Spróbowałem zatem dostać się w pobliże pana prezydenta, ale ów wcielił się już w swoją rolę skąpany w blasku reflektorów, i stojąc na ladzie wypożyczalni pana Boldo, zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z jakimkolwiek morderstwem, oraz prosił o głosy mieszkańców.

Wróciłem do salonu, chwyciłem za szcztokę i łopatkę i aż do pory lunchu zabawiałem się walką z dywanem popiołu, niedopałków, plastikowych kubków oraz innych śladów, pozostawionych przez ekipę telewizyjną jako jedyne wspomnienie jej wizyty. Następnie zamknąłem drzwi i udałem się do baru z zamiarem spożycia kanapki z kalmarami w cebulce i wykorzystania przerwy obiadowej na przemyślenie tego, czego dowiedziałem się od pana prezydenta. Bóg jednak zrządził, że i tym razem nie było mi dane spełnienie mego zamiaru. Zaledwie zająłem stałe miejsce przy oknie i zawałem kelnera, kątem oka ujrzałem, że na ulicy jakaś postać ludzka wzywa mnie rozpaczliwymi gestami. Nawet przez warstwę brudu rozpoznałem Ivet. Nie Ivet Pardalot, w której domu spędziłem część poprzedniej nocy, lecz Ivet fałszywą (ale zarazem autentyczną), którą - aby oszczędzić czytelnikowi pomyłek - postanowiłem przez moment nazywać jakimś pieszczotliwym imieniem (na przykład „Laleczka”), lecz - biorąc pod uwagę zaawansowany etap opowieści - natychmiast odrzuciłem tę myśl. Wstałem, szybko wyszedłem na ulicę i zapytałem Ivet o przyczynę jej obecności oraz rozpaczliwych sygnałów. Odpowiedziała:

- Wydarzyło się coś okropnego. Musisz mi pomóc.

Zaproponowałem, żebyśmy weszli do baru. Wahała się przez kilka sekund, po czym pozwoliła się zaprowadzić do środka, do mojego stolika. Kelner nadbiegł bezzwłocznie (nie po pół godzinie, jak zwykle). Poprosiłem go o kanapkę z kalmarami w cebulce dla siebie . drugą taką samą dla Ivet z myślą, że coś smacznego i pożywnego podniesie ją na duchu. Oczekując na kanapkę, wybuchnęła niepoohamowanym płaczem. Nigdy jeszcze nie widziałem jej w takiej rozpacz. Chętnie bym wstał, obszedł stolik, otoczył ją ramionami . wyszeptał do ucha słowa czułości oraz pociechy, gdybym nie obawiał się, że mój postępek zostanie niewłaściwie zinterpretowany przez kelnera, przez innych bywalców baru, przez gapiów, którzy zgromadzili się po drugiej stronie szyby i przyglądali niezwyklej scenie, a w

szczegółności przez samą Ivet. Zatem zmieniłem taktykę, wyprostowałem się na krześle, położyłem ręce na obrusie i poprosiłem o wyjaśnienia, próbując przywołać na twarz wyrozumiały, cyniczny uśmiech osoby, która, choć wiele w życiu widziała, nie pogardzi niesieniem pomocy słabszemu i walką w słusznej sprawie. Czy udało mi się przekazać Ivet tę wizualną informację, czy też pomyślała, że ruchy moich mięśni wywołał skurcz, tego mi nie powiedziała.

- Zabrali go - powiedziała za to.

Zapytałem, kto kogo zabrał i skąd, na co odrzekła:

- Mojego ukochanego i niepełnosprawnego ojca. Nie wiem, kto ani dlaczego. Z domu starców, w którym przebywał od czasu, gdy kilka lat temu choroba nerek zrobiła z niego inwalidę. Jako że mój ojciec miał na tym świecie tylko mnie, a ja nie mogłam mu zapewnić właściwej opieki, poszukałam przyjemnego domu starców i umieściłam go tam.

Zapytałem, dlaczego ktoś mógł być zainteresowany porywaniem inwalidy, a ona odpowiedziała, że nie wie, ale że podczas swojej ostatniej wizyty w rezydencji, mieszczącej się w niedalekim przybrzeżnym miasteczku Vilassar, zdawało się jej, że kątem oka zauważyła we wspomnianej rezydencji nowe, dziwnie ubrane, odrażające babsko, którego rysy wydały się jej nie całkiem obce, a na co jednak w tamtym momencie nie zwróciła baczniejszej uwagi, lecz któremu później (to znaczy teraz), w świetle zaistniałych wydarzeń, przypisuje autorstwo porwania lub przynajmniej współudział, jako że wszystko w owym babsztyle wzbudziło w niej nieufność, niechęć i odrazę.

Przerwałem jej wyjaśnienia, oznajmiając, że tą tajemniczą postacią był nie kto inny jak ja sam, że stosuje bardzo specyficzną metodę pochlebiania próżności mężczyzn i że nie dziwi mnie, iż mimo niekwestionowanego wdzięku osobistego jej życie uczuciowe nie okazało się dotychczas satysfakcjonujące. Gdy ochłonęła z początkowego zdumienia spowodowanego wyjawieniem mojej prawdziwej kobiecej tożsamości, zapytała, po co ją śledziłem. Wyjaśniłem, że chciałem ją ochronić.

- Więc popełniłeś głupotę - powiedziała - bo ktoś musiał śledzić ciebie do Vilassar i przez Vilassar. Tylko tak można wyjaśnić to, że schronienie mego ojca - dotychczas utrzymywane w najgłębszej tajemnicy - zostało odkryte przez porywaczy.

Rzecz taka nie była możliwa, odparłem. Nikt mnie nie śledził, nie tylko dlatego, że przebrałem się z takim mistrzostwem, że nawet ona sama mnie nie rozpoznała (mimo naszej znajomości), lecz również dlatego, że drogę ze stacji do rezydencji odbyłem w upalnym słońcu, na piechotę, a ostatni odcinek nawet na czworakach, a metoda ta, bardziej niż jakakolwiek próba ukrycia się, była wyjątkowo skuteczna, gdy chodziło o pozbycie się najbardziej zajadłego prześladowcy.

- Pozwól mi to udowodnić - powiedziałem i po raz kolejny poprosiłem o pozwolenie (i otrzymałem je) na odpłatne skorzystanie z telefonu w barze.

Ivet podała mi numer telefonu do rezydencji i zadzwoniłem tam.

Zlokalizowanie komisarza Floresa nie wymagało najmniejszego wysiłku, gdyż tegoż ranka, jak opowiedziała mi sama telefonistka z rezydencji, komisarz Flores trafił do tamtejszego szpitala z głową rozłupaną kijem.

- Przez ciebie, przeklęty skurwysynu - ryknął komisarz Flores we własnej osobie, gdy nawiązaliśmy kontakt telefoniczny.

Pozwoliłem mu przez chwilę mówić, jeśli tak można określić chaotyczny i powtarzający się od czasu do czasu repertuar wulgaryzmów, obelg, wyzwisk, bluźnierstw, przekleństw i gróźb, który - na przemian z fragmentami hymnu Falangi - uznał za stosowne mi przedstawić, po czym przerwałem mu, wyjaśniając, że dzwonię z aparatu publicznego i że jeśli chce sobie ulżyć, niech to robi na własny koszt. Przyznał mi rację i wysłuchał mojego pytania.

- Niech cię diabli - powiedział. - Właśnie dlatego, że próbowałem ustalić to, o co mnie

prosiłeś, jestem w stanie, w jakim jestem. Męczennik przyjaźni.

Zachęciłem go, by opowiedział, co się stało. Poprzedniego dnia, powiedział, przyłączył się do grupki starszków grających w remika i ze zręcznością oraz ze znanstwem osoby, która spędziła pół życia na przesłuchiwanie ludzi o bardzo zróżnicowanej psychice, próbował dowiedzieć się czegoś o niepełnosprawnym przedmiocie mego zainteresowania. Na razie ustalił tylko, że przedmiot (niepełnosprawny) nazywa się Luis albo Lluís Biosca i że najprawdopodobniej nie jest to jego prawdziwe nazwisko, ponieważ jeden ze starszków stwierdził, że widział (w ustępie) inicjały A. T. wyhaftowane na batystowych chusteczkach domniemanego Bioski, jego lnianych koszulach i skarpetkach. Nikt nie znał natury dręczącej go choroby, choć był to temat częstych rozmów między pensjonariuszami, jako że ów domniemany Biosca (lub A. T.) w ciągu czterech lat, które spędził w rezydencji w Vilassar, okazywał zawsze aż do przesady posuniętą dyskrekcję. A był przy tym elegancki i szanowany przez kolegów, w odróżnieniu od komisarza Floresa, któremu starszkwowie wytknęli, że aby o coś zapytać, nie musi grozić rozmówcy, że mu przywali, ani kopać go po jajach. Być może dlatego, dodali starszkwowie, inwalidę odwiedzała często superlaska, a komisarza Floresa nikt. Tylko ta superlaska?, zapytał komisarz Flores. Tak, odpowiedzieli mu starszkwowie, przez te wszystkie lata tylko ta jedna superlaska odwiedzała inwalidę, dbała o niego i troszczyła się, nie mówiąc już o tym, że sama jej obecność była prawdziwym balsamem dla zmęczonych oczu starszków - zdaniem samych starszków. I na razie, zakończył komisarz Flores, to było wszystko i pewnie będzie wszystko już raz na zawsze, bo inwalida został porwany tego samego ranka.

- Być może w wyniku pańskiego chybionego śledztwa - zasugerowałem.

- Nie, durniu - odrzekł komisarz Flores. - Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Po upływie minuty ci starszkwowie nawet nie pamiętali, że ze mną rozmawiali. A zresztą takiego porwania nie przygotowuje się w kilka godzin.

- Jak się to odbyło? - zapytałem.

- Pierwszorządna robota - odpowiedział komisarz Flores. - Ja tego nie widziałem, bo byłem tu, w sali chorych, na obserwacji, ale chory, który przyszedł późnym rankiem z kolką, wszystko mi opowiedział. Potem, podczas nieobecności pielęgniarki, przejrzałem kartotekę pacjentów. Nie ma żadnej karty na nazwisko Biosca ani nikogo o inicjałach A. T. A przecież jest niemożliwe, żeby przez te wszystkie lata Biosca chociaż raz nie trafił do lekarza. Jego karta niewątpliwie została usunięta i z pewnością zniknęła także z centralnego archiwum. Aha, jak mi powiedziano, jego pokój od kilku godzin zajmuje wariat, który przysięga, że mieszka tam od października ubiegłego roku. Ktoś postanowił zatrzeć wszelkie ślady po twoim inwalidzie, chłopcze, i robi to całkiem niezłe.

- Po co? - zapytałem. - Po co tyle zachodu, żeby zatrzeć ślady po tym domniemanym Biosce?

- Żeby żaden żółtodziób taki jak ty nie mógł podążyć za porywaczami i ratować go. To nie jest robota amatorów. Na szczęście, nie wiedzieli o mojej obecności.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytałem, wyczuwając podstęp w jego tonie.

- Chcę powiedzieć, że twojemu staremu przyjacielowi komisarzowi Floresowi nic nie umknie.

- Panie komisarzu, jest jeszcze coś, o czym pan mi nie powiedział?

Komisarz Flores wydal z siebie makiaweliczno-bronchityczny kaszel.

- Być może - powiedział. - Być może jest coś, co ci pomoże znaleźć twoją inwalidę.

A propos, jak tam moja sprawa?

- Dobrze, panie komisarzu. W toku.

- To nie wystarczy, chłopcze. Rozmawiałeś z panem prezydentem?

- Tak, oczywiście. Powiedział, że mogę to uznać za załatwione. Tak właśnie powiedział: uważaj to za załatwione, chłopcze, powiedział. Ale dopiero po wyborach.

-A jak przegra?

- Nie przegra, panie komisarzu. Wyniki będą sfałszowane.

- To mnie uspokaja - westchnął komisarz Flores. - Brak wolności trzeba zdobywać każdego dnia, chłopcze.

- Zapamiętam, panie komisarzu, ale proszę mi powiedzieć to, co ma mi pan do powiedzenia.

- O, nie. Bez gwarancji nie daję niczego.

- Panie komisarzu - odparłem - znamy się od dawna. Wie pan, że może mi ufać tak, jak ja panu. Obietnica jest nadal ważna: jeśli pomoże mi pan w śledztwie, ja pomogę panu wyjść z domu starców. Ale żadnej gwarancji dać nie mogę. Tak że najlepiej będzie, jeśli zachowa pan swój sekret dla siebie, o ile faktycznie jest jakiś sekret, i zgnije w rezydencji. Bo też niby dlaczego miałbym kiwnąć palcem w pańskiej sprawie? Pan nie jest już wart złamanego grosza, panie komisarzu. Nawet nie jest już pan komisarzem. Jest pan tylko starym śmierzdem, który o niczym nic nie wie. Żegnam.

- Poczekaj!

- Kończą mi się monety, panie komisarzu.

- Jeden z porywaczy był czarny. Czy to ci się do czegoś przyda?

- Co pan powiedział?

- Czarny, bardzo wysoki facet, w stroju kierowcy. Było jeszcze dwóch mężczyzn, jeden z nich w masce. Ja ich nie widziałem, ale opowiedziano mi o tym. Na polecenie siostry oddziałowej zamknęli wszystkich w pokojach, ale jednemu udało się podejrzeć całą scenę przez żaluzje. Co ty na to? W dobrych czasach za coś takiego bym awansował.

- Teraz też, ale tylko w moich oczach. A czy pańska rana ma związek z tą sprawą?

- Nie. Przyłapali mnie na oszukiwaniu w remika i jeden ze starszków przygrzmocił mi łaską. Dziewięć szwów i zastrzyk przeciwko tężcowi. Wyobrażasz sobie? Uderzyć mnie całkowicie bezkarnie! A pomyśleć, że kiedyś przewodniczyłem walkom młodych byków! Jesteśmy niczym, chłopcze.

- Pan jest niczym - powiedziałem, odkładając słuchawkę na widełki.

Wróciłem do Ivet, na wpół z ciekawością, na wpół ze znudzeniem oczekującej wyników mego śledztwa, i oznajmiłem jej:

- Gotowe. Ja nie ponoszę winy za nic. Porwanie zostało drobiazgowo zaplanowane i sumiennie przeprowadzone, zupełnie niezależnie od mojej wycieczki. Ale nie bawmy się teraz w szukanie winnych, tylko spróbujmy rozwiązać tę zagadkę, a do tego potrzebuję kilku informacji. Na przykład, jak nazywa się twój ojciec?

- Luis albo Lluís Biosca — powiedziała Ivet.

- Ani tak, ani tak - powiedziałem ja. - Biosca to pseudonim, pod którym umieściłaś go w rezydencji w Vilassar. Ale jego prawdziwe imię i nazwisko zaczyna się na A i T, które to inicjały są wyhaftowane na jego chusteczkach, koszulach i skarpetkach.

-To prawda - przyznała Ivet z westchnieniem. - Mój ojciec miał zwyczaj, notabene godny subiekta, zamawiać wyszycie swoich inicjałów na bieliźnie osobistej. Powinniśmy byli pozbyć się jej, kiedy zamieszkał w rezydencji, ale nie mieliśmy pieniędzy, żeby odtworzyć cały zapas, więc pozwoliłam mu używać starej bielizny w przekonaniu, że nikt nie zwróci uwagi na tak nieznaczną szczegół. Teraz rozumiem mój błąd, bo to nieznaczące szczegóły najbardziej przyciągają uwagę głupców.

- Rezydencja z dala od miasta, fałszywe nazwisko - powiedziałem. - W imię czego? Kim jest, w końcu, A. T.?

- Agustin Taberner — odrzekła Ivet.

To nazwisko coś mi mówiło. Wykonałem gigantyczny wysiłek umysłowy, po czym plasnęłam się w czoło otwartą dłonią. Na ten dźwięk przybiegł kelner, pytając, czym może służyć. Wyjaśniłam mu, że wykonałam konwencjonalny (i niemodny) gest kogoś, kto po

wielu usiłowaniach nagle przypomina sobie zapomnianą informację i skorzystałem z okazji, by zainteresować się losem dwóch kanapek z kalmarami w cebulce, które zamówiłem ponad pół godziny temu. Odszedł, gderając i naganiając na mnie muchy serwetką, a ja podjąłem przerwany wątek, wykrzykując:

- Załapałem! Agustin Taberner alias Gauczo, trzeci wspólnik Pardalota i Miscosillasa, zgodnie z danymi uzyskanymi przez mojego szwagra Viriata w rejestrze handlowym Barcelony kilka dni temu.

- Aha - potwierdziła Ivet.

- To cóż z nim się dzieje? - nalegałem. - Co robi, niepełnosprawny, zamknięty w domu niepełnosprawnych starców, bez kontaktu ze światem zewnętrznym, nie licząc sporadycznych wizyt córki? Dlaczego w ostatniej firmie, zwanej Hiszpańskim Szachrajem, dokładnie tej, której biuro odwiedziłem z zamiarem kradzieży, twój ojciec, to jest Agustin Taberner alias Gauczo, już nie figuruje między akcjonariuszami?

- Mój biedny ojciec - powiedziała Ivet - zachorował na krótko przed założeniem Hiszpańskiego Szachraja.

- Ta okoliczność nie powinna była przeszkodzić mu uczestniczyć w zarządzaniu firmą - zaproponowałem. - W naszej gospodarce wolnorynkowej wielu przedsiębiorców to kaleki. Jak jest w gospodarce centralnie sterowanej, nie wiem.

Ivet popatrzyła na mnie szklanym wzrokiem, jakby jej myśl zabłąkała się w labiryncie moich pytań lub jej smutków. Było oczywiste, że rozmowa o ojcu sprawia jej ból, jak wszystkim osobom, które go znały (nie był to mój przypadek), w związku z czym zachowałem pełne szacunku milczenie.

- Przepraszam - powiedziała po długiej przerwie - od tego płaczu wyschły mi usta, mózg, a w dodatku rozmasał się makijaż. Muszę wyjść na moment do łazienki.

Określenie błotniste, miazmatycznego wychodka baru mianem łazienki pokazało mi, do jakiego stopnia ostatnie wydarzenia wpłynęły na Ivet, i załała mnie fala współczucia. Otarłem łezkę wierzchem dłoni, wytarłem nos w obrus, aby ukryć oznakę słabości i towarzyszące jej nieprzyjemne humory, po czym przyjąłem hieratyczną pozycję z początku rozmowy. Takim zastała mnie Ivet po powrocie do stolika. Powiedziała:

- Już się trochę uspokoiłam. A uspokajając się, myślałam i postanowiłam opowiedzieć ci prawdę, choć jest bolesna. Ojciec mój pochodził z dobrej barcelońskiej rodziny. Studiował prawo, a kiedy zakończył studia, nie uzyskawszy ani jednego zaliczenia, poświęcił się interesom. Z kumplami z tej samej warstwy społecznej i moralnej oraz dzięki pieniądзом swojej i ich rodzin założył spółkę. Hiszpania przechodziła wówczas okres, który nazwano później „przejściowym”, mając na myśli przejście od jednego systemu politycznego do drugiego, bardziej demokratycznego, lecz trudniejszego dla obywateli. Przeszłość była ciężka, teraźniejszość niespokojna, przyszłość niepewna. W tym zamieszaniu niejeden nieszczęśnik wyleciał z rynku, a inni zdobyli fortuny. Tak stało się w przypadku mego ojca i jego wspólników. Później nadeszły cykliczne dekonjunktury i interes na tym ucierpiał. Aby uniknąć problemów, trzeba było rozwiązać spółkę i założyć następną, a potem jeszcze jedną. Jak to zwykle bywa w czasie sztormu, między wspólnikami wystąpiły niesnaski. Ktoś oskarżył mego ojca o nielojalność lub defraudację. Oba zarzuty były słuszne. Ojciec został zmuszony do odsprzedania spółce swoich akcji po cenie nominalnej i do wycofania się z interesów. Niesmak połączony z częściową utratą majątku stał się zapewne przyczyną jego choroby.

-A później?

- Pozostali wspólnicy założyli nową spółkę, Hiszpański Szachraj, a gdy wróciła koniunktura, zaczęli znowu dobrze prosperować - ciągnęła Ivet - ale ojciec już w tym nie uczestniczył. Zrujnowany, chory, na łasce dawnych wspólników, którzy zachowali kompromitujące dokumenty, nie miał innego wyjścia, jak ostatecznie zniknąć ze sceny. Stąd

zmiana nazwiska i rezydencja w Vilassar. Przez jakiś czas układ działał. Mój ojciec był spokojny i bezpieczny. Teraz jednak wszystko się skończyło.

- Ale nie z mojej winy, tylko z twojej. Kaleka to rupieć. Nikt nie porywa inwalidy dla pieniędzy, skoro może porwać osobę mniej kłopotliwą. A ty w dodatku jesteś biedna jak mysz kościelna. Skoro porwali twojego ojca, to znaczy, że chodzi im o jakiś okup, a może nim być tylko niebieska teczka, którą ukradłaś. Musisz tylko poczekać, aż się z tobą skontaktują. Wtedy wręczysz im niebieską teczkę, a oni zaraz oddadzą ci ojca z wózkiem i całą resztą.

- Nie bądź naiwny - odpowiedziała Ivet. - Jeśli oddam im niebieską teczkę, nigdy więcej nie zobaczę ojca żywego. Porywacze to ci sami ludzie, którzy zabili Pardalota i wielokrotnie dybali na twoje życie i twój salon. Nie, nie. Jedyne rozwiązanie to znaleźć mojego ojca i uratować go. Bez oddawania niebieskiej teczki. Do tego cię potrzebuję. Tylko ty możesz mi pomóc. Mam tylko ciebie.

- Dobrze - przerwałem. - Przestań mi już pochlebiać. Spróbuję ci pomóc. W końcu ja też jestem wplątany w tę historię.

- Och, dziękuję, kochanie - wykrzyknęła Ivet, klaszcząc w dłonie z radości. - Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz. Jeśli wszystko dobrze się skończy, obiecuję ci, że tym razem...

- Nie wysilaj się, Ivet - powiedziałem. - Przez całe życie obiecywano mi wiele rzeczy albo tę samą rzecz wiele razy, ale później, w godzinie prawdy, albo okazywało się, że obietnica była oszustwem, albo los robił mnie w balona. Na jedno wychodzi. Straciłem już wiarę, nadzieję i entuzjazm. Pomogę ci, ale nie z powodu, który masz na myśli. A teraz słuchaj uważnie: kiedy porywacze skontaktują się z tobą, udaj, że akceptujesz wszystkie warunki, i umów się na spotkanie w jakimś publicznym lokalu, ale nie idź tam. Zadzwoń do tego lokalu, przeproś, powiedz, że nie mogłaś przyjść, i umów się później w innym miejscu. Zrób, co ci przyjdzie do głowy, byle zyskać na czasie. I zawsze miej świadków. Unikaj miejsc ciemnych i bezludnych. Jeśli do świtu nie otrzymasz żadnych wieści o mnie ani o ojcu, zadzwoń na policję i opowiedz im o wszystkim. A teraz powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Magnolia.

Odpowiedziała, że dokładnie nie wie, ale że ma numer telefonu, na który dzwoni, gdy potrzebuje jego usług. Zanotowała rzeczoną numer na serwetce i wyszła w pośpiechu, na wypadek gdyby dzwonił porywacze. Dopiero wtedy nadszedł kelner, niosąc dwie kanapki z kalmarami w cebulce.

- Kto wcześniej wychodzi, ten sam sobie szkodzi - zawołałem, mając na myśli osobę, która nie zjadła swojej części, gdyż posiłek nadszedł zbyt późno.

- Wszystko, co dobre, przychodzi w swojej porze - odpowiedział kelner, wskazując zarazem drzwi, za którymi zniknęła właśnie Ivet, i wyśmienite kanapki, kołyszące się, każda w swoim talerzu, na falach zjełczalej oliwy.

- To jeśli już muszę zapłacić za obie, jak się obawiam, niech pan mi zapakuje jedną, w czasie gdy będę rozmawiał przez telefon i pożerał drugą.

Szarpiąc wściekle zębami kanapkę, wykręciłem numer Magnolia, otrzymany przed chwilą od Ivet. Głęboki głos z silnym cudzoziemskim akcentem powiedział:

- Słucham.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Jestem przyjacielem, a niekiedy także pracodawcą kierowcy do wynajęcia zwanego Magnoliem i chciałbym zostawić dla niego wiadomość. Czy zobaczy pan go dzisiaj?

- Pewnie - odpowiedział głos. - Magnolio wpada tu codziennie około wpół do ósmej, dowiedzieć się, czy były do niego telefony albo poczta.

- W takim razie wolę przekazać mu tę informację osobiście, gdyby był pan tak uprzejmy i podał mi swój adres.

Trzymając między zębami resztki kanapki, zanotowałem na serwetce adres podany

przez mojego rozmówcę. Potem odłożyłem słuchawkę, dokończyłem kanapkę, wrzuciłem drugą do kieszeni i zapłaciłem. Następnie poprosiłem kelnera o zapas papierowych serwetek i długopis, tłumacząc, że muszę coś zanotować:

- Długopis ci oddam. Serwetek nie.

- Dobra - powiedział. - Daję ci je, boś facet z jajami: najpierw załatwiasz prezydenta, a po chwili doprowadzasz do łez tę laskę. A ja cię miałem za niedorozwiniętego!

Wykorzystałem bezczynne godziny popołudnia (wszystkie) na wypisanie na każdej serwetce znanych mi informacji związanych ze sprawą Pardalota, grupując je tematycznie i podtematycznie: kradzież dokumentów, morderstwo, pierścionek Reinony, niepowodzenia Santiago, kłopoty Ivet, kłopoty Ivet (ten sam nagłówek, inna Ivet), porwanie kaleki i tak dalej, i tak dalej. Byłbym zapełnił więcej serwetek, ale kelner dał mi tylko siedem. Około szóstej (godziny) zadzwoniłem z baru do Ivet. Porywacze dzwoniли już do niej i umówiła się z nimi o dziewiątej u Josego Luisa, w lokalu położonym w centrum miasta i uczęszczanym przez porządnych ludzi. Powtórzyłem jej instrukcje oraz rady, odłożyłem słuchawkę i wróciłem do salonu. Tam ponownie odczytałem notatki, złożyłem serwetki na pół, skleiliśmy ich brzegi kroplą lakieru, ponumerowałem je od jeden do siedem i włożyłem do kieszeni. Punktualnie o ósmej zamknąłem salon i wyszedłem.

W wypożyczalni kaset wideo pana Boldo zastałem pana Boldo wrywającego sobie cztery ostatnie włoski z czaszki i okazującego inne oznaki rozpacz. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku wywołanego konfiskatą filmów (świńskich), których wypożyczanie dostarczało mu dziewięćdziesiąt pięć procent dochodów brutto i netto (nie zgłaszał ich), a których odzyskanie drogą sądową wydawało mu się niemożliwe, gdyż połowę z nich stanowiły kopie pirackie, a połowę nakręcone własnoręcznie. Złożyłem mu zwięzłe wyrazy współczucia i wyłuszczyłem powód mej wizyty.

- Czynie pana depozytariuszem dokumentu w postaci złożonej serwetki. Zawiera on informację o charakterze ściśle tajnym, ponieważ mógłby nieodwracalnie zaszkodzić pewnym znanym osobom. W związku z powyższym informacja umieszczona w nim jest fragmentaryczna. Tylko łącząc ją z informacjami umieszczonymi na innych serwetkach, można uzyskać obraz całościowy i dopiero wówczas każda pojedyncza informacja nabierze sensu. W żadnym wypadku informacja umieszczona na tej serwetce nie może przedostać się do wiadomości publicznej ani nawet do pańskiej, chyba że przydarzy mi się coś złego. Coś naprawdę złego, nie jakies duperele. Jeśli więc dowie się pan, że przydarzyło mi się coś złego, proszę bezzwłocznie przekazać tę serwetkę mojemu szwagrowi Viriato i opowiedzieć mu to, co panu powiedziałem. Rozumie pan?

- Mniej więcej.

Wręczyłem mu dokument opatrzony numerem trzy i wyruszyłem rozdać pozostałe sześć. Aptekarzowi przypadł numer pięć. Pani Pinol (jej mąż, pan Mahmud, był nieobecny) ze sklepu papierniczo-księgarskiego Sowa numer jeden i tak dalej. Każdemu odbiorcy powtarzałem tę samą instrukcję. Ostatni dokument (numer dwa) byłem zmuszony przekazać pani Pascuali ze sklepu rybnego, ponieważ o tej godzinie inne zaufane lokale były nieczynne. Wysłuchała mnie w milczeniu, wytarła ręce w fartuch i schowała serwetkę za dekollet.

- Nie powinnam tego robić - powiedziała. - Ale zrobię, bo mam serce wielkie jak balon.

Dwadzieścia po ósmej zakończyłem dystrybucję serwetek. Następnie udałem się do klubu seniora z nadzieją, że spotkam Viriato grającego w domino. Miałem szczęście, był tam. Opowiedziałem mu o dokumentach i wyjaśniłem, co ma z nimi zrobić, gdyby trafiły w jego ręce.

- Pan prezydent przyjmie cię, jeśli mu powiesz, że przychodzisz ode mnie. Jeśli przegra wybory, oddaj mu te dokumenty. Salon jest w porządku, księgowość jasna. Jeśli mnie zabraknie, znam chłopca, który ma talent oraz chęci i nie żąda gwiazdki z nieba. Nazywa się Magnolio. I pamiętaj, co ci mówiłem o suszarce elektrycznej: bez niej nie wytrzymamy ani dnia dłużej.

Viriato zgodził się na wszystko, nie zwracając na moje słowa najmniejszej uwagi, po czym powrócił do przerwanej partii. Ja zaś wyruszyłem na przystanek autobusowy.

*

Do miejsca, gdzie - jak mi powiedziano przez telefon - można było zastać Magnolia, dotarłem raczej późnawo, gdyż owej nocy autobusy nie kursowały z typową dla siebie regularnością, a cel mojej wyprawy mieścił się w dzielnicy położonej niezbyt centralnie i pod względem komunikacyjnym niezbyt dogodnie. Po wielu przesiadkach stanąłem pod wskazanym adresem, to jest pod barem, na którego drzwiach widniał filigranowy napis wykonany sprayem:

GOSPODA MANDANGA
PRZEKAŃSKI BUSZMEŃSKIE

Nic nie różniło go od innych barów podobnego (koszmarnego) autoramentu, z wyjątkiem owej reklamy oraz klienteli, złożonej wyłącznie z Murzynów. Żaden z nich nie był jednak Magnoliem. Z każdego z wielu głośników płynęła inna muzyka, a w telewizorze umieszczonym na konsoli przypadkiem nadawano właśnie wywiad z panem prezydentem, który nie zdawał się budzić zainteresowania nielicznych mieszkańców dzielnicy. Na ścianach wisiały wimpe, wielki plakat z Whitney Houston oraz półka z glinianymi garnkami w paski i inne wzory geometryczne, podobne do tych z La Bisbal lub innej osady. Oparłem się o kontuar, na którym stała tablica z napisem kredą:

DANIE DNIA:
kotlety z zebry

- Naprawdę są z zebry? - zapytałem osoby, która przybyła mnie obsłużyć. Był to postawny mężczyzna w zaawansowanym wieku i z zaawansowanym brzuchem. Miał czarną, lśniąca, a zarazem matową jak bakelit skórę, a włosy, brwi i brodę - rzadkie i kędzierzawe, białe jak śnieg. Dzięki owej szczególnej cesze, a także emanujących z niego dobroduszości i szelmostwa, wyglądał jak amalgamat Trzech Króli.

- Z zebry? - odpowiedział. - Nie, człowieku. Z jakiejś starej chabety. Ale bez skóry nie znać różnicy. Niech pan spróbuje. Mamy też jądra samców małpopodobnych. Co do picia?

- Co pasuje do kotletów?

- Pepsi-cola - odrzekł i, nie czekając na odpowiedź, podniósł głowę do góry i krzyknął: - Loli, kotlety i pepsi luzem raz! Tylko szybko!

- Słuchaj pan - powiedziałem. - Podoba mi się to miejsce.

Człowiek zza kontuaru uśmiechnął się, zadowolony, i powiedział:

- Spodoba się panu jeszcze bardziej, kiedy je pan lepiej pozna. Oprócz konsumpcji proponujemy także klub filmowy oraz inne formy działalności kulturalnej: konferencje, seminaria, prezentacje książek. Na przyszłą sobotę zaplanowaliśmy okrągły stół na temat postawy misjonarza, mitu i rzeczywistości. A po dyskusji tańce. Wstęp wolny. Zapraszam.

- Dziękuję - powiedziałem. - Ale z miejsca, gdzie mieszkam i pracuję, to straszny kawał drogi. Naprawdę przyszedłem tu w poszukiwaniu znajomego. Nazywa się Magnolio. Dziś po południu dzwoniłem i pytałem o niego.

- Ach tak, to ja odebrałem telefon - powiedział człowiek zza kontuaru, wycierając rękę w fartuch i podając mi ją. - Jestem tu szefem. Juan Sebastian Mandanga, do usług.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ja jestem fryzjerem.

- Dobry zawód. Ja, jak pan widzi, obsługuję szanownych klientów. A moja żona w kuchni, po bożemu - oznajmił z dobrodusznym uśmiechem. Następnie, wracając do celu

mojej wizyty, dodał: - Magnolio jeszcze nie przyszedł. Wpada tu codziennie, jak panu powiedziałem, między wpół do ósmej a ósmą, pogawędzić z resztą bandy. Ale od czasu, gdy zaczął chodzić z Raimunditą, widuję go rzadziej. Najwyraźniej tym razem dopadło go na poważnie. Tak czy owak, kiedyś przyjdzie. Bar służy też do zawierania różnych transakcji. Słuchaj pan, a nie jest pan przypadkiem jakimś inspektorem?

- Nie.

Człowiek zza kontuaru zniknął za zasłoną z parcianego płótna i wrócił po chwili otoczony gęstym obłokiem dymu. W jednej ręce dzierżył talerz z czymś w rodzaju otoczków, a w drugiej plastikowy kubek z ciemnym płynem i kostką lodu. Postawił oba te przedmioty przede mną i powiedział:

- Nie pytam o tak sobie. Nie jesteśmy zbyt dobrze sytuowani, włącznie ze mną. Czasem człowiek nie ma wyboru, rozumie mnie pan. My wszyscy z baru, w mniejszym czy większym stopniu, robiliśmy rzeczy, których próżno szukać w podręczniku etyki. Z czystej konieczności, rozumie mnie pan. Jak mawiamy w naszym kraju, nikt nie wkłada nóg w łajno, jeśli nie musi. Magnolio to dobry chłopak. Nie wiem, co zrobił, ale to dobry chłopak.

Przytaknąłem ruchem głowy dokładnie w chwili, kiedy niezgrabna postać Magnolia wchodziła do lokalu. Nawet jego marny wzrok nie przeszkodził mi zauważyć mnie (jedyne białego), zanim jeszcze na dobre przekroczył próg. Stał jak wryty, zrobił minę wyraźnie wskazującą na niezadowolenie, podniósł nogę, jakby zamierzał wycofać się i uciec, a wreszcie, widząc, że znalazł się w centrum uwagi bywalców, których jego wejście wyrwało ze zblazowanej beczynności, wzruszył ramionami i podszedł do kontuaru i do mnie.

- Ten dżentelmen - powiedział człowiek zza kontuaru, wskazując na mnie czubkiem brody - twierdzi, że jest twoim znajomym.

Magnolio poruszył głową na znak niechętnego potwierdzenia.

- Jak pan mnie znalazł? - zapytał.

Wyjaśniłem mu, a on wybuchnął:

- Nie jestem panu winien żadnego wyjaśnienia. Ani panu, ani nikomu innemu.

- Och, och, *excusatio non petita, accusatio manifesta* - stwierdził człowiek zza kontuaru, mierząc w Magnolia palcem. - W co się wplątałeś, synu?

- Nie zrobiłem nic złego, panie Mandanga - powiedział Magnolio.

- Zdrada, donos i zмова - powiedziałem. - Pana zdaniem to mało?

- Do licha, oskarżenia są poważne - szepnął pan Mandanga.

Zwracając się do mnie, zapytał:

- Może je pan udowodnić?

- To tylko hipotezy - odparłem - ale oparte na solidnych podstawach. Sprawia pan wrażenie człowieka obiektywnego. Proszę mnie wysłuchać, a następnie osądzić samemu.

- Niech pan zaczeka - powiedział pan Mandanga. - Zawołam żonę. Loli!

Zza zasłony z parcianego płótna wyszła pulchna Murzynka ubrana w podomkę i fartuch, z kolorową chustką na głowie. Pan Mandanga przedstawił nas sobie, a ona podała mi szeroką, silną i wilgotną rękę.

- Jak smakowały panu kotlety? - zapytała. Powiedziałem, że były wyśmienite (była to szczerą prawdą), po czym, nie zwlekając, rozpocząłem opowieść:

- Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, cofnę się do wieczoru po przyjęciu w domu państwa Arderiu wydanym na cześć pana prezydenta naszego miasta i początku jego kampanii wyborczej, którego celem było zebranie środków na rzeczoną kampanię. Owego wieczoru, to jest wieczoru po przyjęciu, dojrzały i siwowłosy dżentelmen zwany Micosillas, renomowany adwokat z kancelarią przy alei Diagonal, ponownie odwiedził państwa Arderiu. Opowiedział mi o tym sam Magnolio, a jemu opowiedziała Raimundita, zatrudniona jako pomoc domowa w domu rzeczonych państwa Arderiu, z którą Magnolio spotkał się wspomnianego wieczoru w celach galanteryjno-szpiegowskich. Ale Magnolio nie

opowiedział mi wszystkiego, co mu opowiedziała Raimundita. A Raimundita, dziewczę bynajmniej niegłupie, podsłuchiwała rozmowę między panem mecenasem Miscosillasem a państwem Arderiu i zdała z niej sprawę Magnoliowi.

- Niech pan nie miesza w to Raimundity - powiedział Magnolio.

- To pan ją wmieszał, czyniąc z niej nieświadomą współniczkę nikczemnego postępu. Otóż Raimundita z rozmowy w domu państwa Arderiu dowiedziała się, a następnie opowiedziała Magnoliowi, że w wyniku zabójstwa Pardalota pewni ludzie byli bardzo zainteresowani odkryciem miejsca pobytu kalekiego mężczyzny zwanego Agustin Taberner *alias* Gauczo, oraz jego córki, byłej modelki specjalizującej się w reklamach bielizny, zwanej Ivet. Magnolio wysłuchał relacji Raimundity, po czym powziął zamiar, który miał przysporzyć mu krociowego zarobku. Tej samej nocy lub też dnia następnego udał się do pana mecenasa Miscosillasa i powiedział mu, że zna miejsce pobytu człowieka, którego szukają, o czym wiedział z dobrze poinformowanego źródła. A znał rzeczony miejsce, ponieważ Ivet, osóbką niezmiernie dystygowana, kiedy tylko miała pieniądze, wynajmowała Magnolia, by zawoził ją do domu starców w Vilassar - gdzie od wielu lat ukrywała swego niepełnosprawnego ojca - pragnąc w ten sposób uniknąć kpín hiszpańskich kolei oraz kontaktu z pospólstwem, uciążliwego zawsze, a szczególnie w miesiącach letnich. Ivet sądziła, że korzystając z usług Magnolia, nie ryzykuje, iż sekret się wyda, ponieważ między biednym murzyńskim kierowcą a dystygowanym towarzystwem rodów Arderiu, Pardalot i Miscosillas nie istniał, i można było wierzyć, że nigdy nie zaistnieje, żaden związek. I rzeczywiście, związek taki nie zaistniałby, gdyby zabójstwo Pardalota i zrzęcznie poprowadzone przeze mnie śledztwo nie rzuciły jednych w ramiona drugich, mówiąc przenośnie, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Czy tak to się odbyło, czy nie tak, Magnolio?

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam - odparł oskarżony. - Ale nawet gdyby sprawy potoczyły się w ten sposób, to co? Wszyscy staramy się skubnąć coś ukradkiem, na boku, jak antylopy gnu. A sprzedaż informacji nie jest mniej legalna niż sprzedaż przeterminowanej żywności, jak robi pan Mandanga, czy przypalanie ługiem włosów klientek, jak robi pan.

- Zanim zaczniemy debatę - powiedział pan Mandanga - wyjaśnijmy kilka punktów kluczowych dla zrozumienia historii. Na przykład: kim są Agustin Taberner *alias* Gauczo i owa Ivet, przez których zrobiło się całe zamieszanie?

- Para wartogłówów - odrzekłem. - Agustin Taberner *alias* Gauczo, wspólnie z Pardalotem oraz Miscosillasem, był członkiem-założycielem wielu firm o wątpliwej uczciwości i niewątpliwych zyskach. W triumwiracie zastąpiła go później Ivet Pardalot, której nie powinni państwo mylić z córką Agustina Tabenera *alias* Gauczo, także o imieniu Ivet.

- Pewnie jestem przygłupia - powiedziała pani Loli - ponieważ nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Po co Miscosillas i inni chcieli poznać miejsce pobytu Agustina Tabenera *alias* Gauczo?

- Nie wiem dokładnie - powiedziałem. - Wysunąłem na razie kilka hipotez. W tej sprawie dawne historie mieszają się ze świeżymi. Ale jakakolwiek by była przyczyna porwania Agustina Tabenera *alias* Gauczo, jedno jest pewne: jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. I jeszcze jedno: za to, co się wydarzy, Magnolio będzie w sporej mierze odpowiedzialny moralnie.

Spojrzeliśmy wszyscy na Magnolia, oczekując na stanowczą refutację moich oskarżeń, ale ówże, postawiony wobec obiektywnego opisu wydarzeń (i swoich win), milczał ze wzrokiem utkwionym w czubki butów. Gdy wreszcie podniósł głowę, zobaczyliśmy, że po policzkach płyną mu dwie łzy wielkie jak krople rosy.

- Wszystko, co powiedział ten człowiek - oznajmił urywaniem głosem - to prawda. Jest mi wstyd. Zawsze starałem się działać zgodnie z prawem dżungli, ale przy tej sposobności dałem się ponieść ambicji. Potrzebowałem pieniędzy. Proszę mnie nie zmuszać, bym powiedział, na co. Potrzebowałem ich na zbożny cel, ale środki, jakimi je uzyskałem, były

zbrodnicze. Rozumiem to, kajam się i uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby naprawić skutki mych błędów.

- Skrucha jest dobra, jeśli słuszna i jeśli idzie za nią postanowienie naprawy szkód - stwierdził pan Mandanga - ale Agustinowi Tabernerowi *alias* Gauczo nie na wiele się ona przyda.

Słyszając te słowa, Magnolio wyprostował całą swą okazałą sylwetkę, zdjął czapkę kierowcy, przyłożył ją do piersi, jakby chciał zagłuszyć bicie swego szlachetnego serca, i wykrzyknął:

- Możemy spróbować go uwolnić.

- To prawie niemożliwe - osądziłem. - Z pewnością dobrze go pilnują. A na dodatek nie wiemy, dokąd go wywieźli.

- Och - odrzekł Magnolio. - Ja wiem.

Popatrzyliśmy na niego ze zdumieniem, a Magnolio, zadowolony z uwagi, jaką obdarzyliśmy jego osobę, opowiedział nam, że w ranek, który nastąpił po nieszczęsnej nocy zdrady, Magnolio i pan mecenas Miscosillas pojechali samochodem Magnolia po trzeciego osobnika w masce, a następnie we trójkę udali się do rezydencji w Vilassar, porwali ojca Ivet i zawieźli go w bezpieczne miejsce. Tam pan mecenas Miscosillas uścił obiecaną zapłatę, nakazując zarazem Magnoliowi, by nie opowiadał nikomu o tym, co się wydarzyło, bo jeśli to zrobi, policja uzna go za współnika porwania, a jako że jest Murzynem, przypisze mu najgorsze intencje.

- Ale teraz - zakończył Magnolio - jestem gotów do poniesienia wszelkiego ryzyka, aby zrehabilitować się w pańskich oczach, w oczach pana Mandanga i jego małżonki, którzy byli dla mnie niczym rodzice, oraz w oczach pani Ivet, która tyle razy znalazła mi pracę i obdarzyła zaufaniem, a przede wszystkim w oczach moich przodków, jako że jestem animistą. W tym celu, jeśli pan zechce, zawiozę pana moim samochodem za darmo do kryjówki, gdzie trzymają Agustina Tabnera *alias* Gauczo, ale tylko pod drzwiami. Muszę pana jednak uprzedzić, że jest to miejsce niebezpieczne i ponure, a nazywa się Castelldefels.

Zgodziłem się na podjęcie ryzyka, pan Mandanga i jego małżonka, pani Loli, pogratulowali Magnoliowi zmiany postawy na prawą i godną pochwały, a mnie odwagi, po czym wyszli zza kontuaru, uściskali nas, przypomnieli, że w przyszłym tygodniu zaczyna się przegląd filmów Truffaut'a, i odmówili przyjęcia ode mnie zapłaty za kotlety i pepsy-colę, oświadczając, że był to prezent od firmy.

Minęła północ, gdy Magnolio i ja wyruszyliśmy w drogę, a ponieważ na rondzie Dalt (opus magnum poprzednich władz Barcelony) ruch był niewielki, przejechaliśmy długi odcinek w krótkim czasie, aczkolwiek nie na tyle krótkim, by Magnolio nie zdążył zreferować mi przebiegu dzisiejszego poranka. Jak nadmieniał już w barze, o świcie zabrał z rogu alei Diagonal i ulicy Muntaner pana mecenasa Miscosillasa oraz drugiego osobnika o niedużym wzroście i korpulentnej posturze, którego, jak stwierdził, rozpoznał natychmiast, ponieważ miał on twarz zasłoniętą maską i mówił (kiedy mówił) głosem zdeformowanym przez jakieś urządzenie, które upodabniając ów głos do głosu kaczora Donalda, sprawiało, że zyskiwał on na tajemniczości to, co tracił na godności. Nawiasem mówiąc, obaj porywacze w drodze prawie ze sobą nie rozmawiali, bez wątpienia po to, by nie zdradzić kierowcy (Magnoliowi) swych niecnych zamiarów. I tak, z przeszkodami typowymi dla ruchu ulicznego o tej godzinie, które Magnolio opisał mi nader wyczerpująco, a które pomijam, wszyscy trzej dotarli przed ogrodzenie rezydencji Vilassar, znanej już uważnemu czytelnikowi. On, Magnolio, wolał zostać w samochodzie, ciągnął Magnolio, i poinformował o tym swych towarzyszy, lecz człowiek w masce rozkazał mu, by szedł z nimi na wypadek, gdyby trzeba było dźwigać jakiś pakunek. Tak właśnie brutalnie się wyraził, powiedział Magnolio. W holu rezydencji powitał ich babsztyl zajmujący stanowisko pielęgniarki oddziałowej. Musiała być uprzedzona i przekupiona, gdyż powiedziała, że wszystko jest przygotowane, tak jak sobie życzyli, schowała do kieszonki fartucha czek, który jej wręczyli, i poprowadziła ich korytarzem do pokoju, w którym spał inwalida na wózku. Obok wózka stała zamknięta walizka, zawierająca, jak oznajmiła oddziałowa, ubranie inwalidy oraz jego rzeczy osobiste. Inwalida, dodała oddziałowa, został przygotowany do podróży, co mogło oznaczać, wywnioskował Magnolio, że podano mu jakiś środek odurzający lub nasenny. Po tej wymianie zdań spiskowcy wywieźli inwalidę i jego bagaż z rezydencji, zapakowali tego pierwszego do samochodu, a ten drugi do bagażnika i odjechali. Po przejechaniu trasy, którą znowu ze szczegółami opisał Magnolio, zatrzymali się u wrót domku w dzielnicy willowej Castelldefels, do której zajechaliśmy i my w tym momencie opowieści.

Zjechaliśmy z drogi na wysokości parkingu dla przyczep kempingowych, różna, stacji benzynowej i salonu mebli ogrodowych „U Pirata Pedala”, objechaliśmy dwa lub trzy rondka, a po wielu nieudanych próbach zorientowania się w terenie Magnolio wjechał między domy, których nie zawahałbym się nazwać „domami z marzeń”, choć wiele z nich było właśnie w trakcie rozbiórki i ustępowało miejsca postępowi, czyli blokom apartamentów, większym i bardziej odpowiadającym współczesnej modzie do zbierania się w kupę. Teraz jednak w okolicy nie uświadczylbyś ani żywego, ani martwego ducha. Nawet łagodny szept morskich fal na piasku pobliskiej plaży czy daleki pomruk pociągu towarowego nie zakłóciły ciszy, jaka zapanowała, gdy Magnolio zgasił silnik, zatrzymawszy uprzednio samochód na rogu ulicy,

- To ten - powiedział, wskazując dwupiętrowy domek w kształcie nieregularnego trójkąta o białych ścianach, zielonych okiennicach i dachu o spłowiałych dachówkach, otoczony ogródkiem, a ów z kolei murkiem pobielonym wapnem i zaledwie półtorametrowym. - Chętnie poszedłbym z panem, ale jak pan widzi, nie mam gdzie zaparkować.

- Proszę nie mieć wyrzutów sumienia, Magnolio - powiedziałem. - Ta sprawa pana nie dotyczy, a zrobił pan już to, co zrobiłby każdy uczciwy człowiek w podobnych okolicznościach. Tak naprawdę ta sprawa dotyczy tylko garstki ludzi, z którymi ani pan, ani ja nie mamy nic, ale to zupełnie nic wspólnego. My staramy się po prostu przeżyć, a robimy to z dala od Castelldefels. A jeśli zastanawia się pan, dlaczego myśląc w ten sposób, pakuję się w te tarapaty, odpowiem panu, że nie wiem. Pewnie jest jakiś powód, może to instynkt. Podejrzewam, że nie mały jest tu wpływ panienki Ivet. A teraz proszę pozwolić, że zadam

pytanie o kapitalnym znaczeniu: mają psa?

- Nie wyczułem żadnego dziś rano - odpowiedział Magnolio. Odszedłem, nie dodając ani słowa więcej, a Magnolio włączył silnik i odjechał. Kiedy łoskot samochodu ucichł w oddali, ostrożnie zbliżyłem się do domku. Furtka nie była wyższa niż ogrodzenie i zamknięta na zwykły skobel - domek został zbudowany w odległej epoce, gdy przestępstwami przeciw własności zajmowali się tylko my, garstka rzemieślników. Od furtki do domu biegła ścieżka z tłuczonego kamienia; ogród był wysłany trawnikiem nakrapianym klombami. Migdałowiec, drzewko cytrynowe i palma wąsata uzupełniały botaniczny aspekt okolicy. Z prawej strony domu, patrząc z miejsca, gdzie się znajdowałem, wyczuwałem początek lub koniec pustego i popękanego basenu, od dawna nieużywanego; po przeciwnej stronie pewnie znajdował się garaż. Tył budynku wychodził na inny domek, identyczny jak opisany wyżej. Ten drugi był ciemny, w pierwszym zaś spomiędzy uchylonych okiennic na parterze wydobywała się smuga światła. Na wypadek, gdyby w oknie tym czuwał strażnik, postanowiłem wejść przez ogród drugiego domku, sądząc, że jest pusty. Nie był. Ledwie przekroczyłem furtkę i na czworakach przeszedłem kilka metrów po trawniku, na wysokości oczu zobaczyłem kły straszliwego brytana, po którego opis odsyłam do hasła poświęconego tej rasie w słowniku Królewskiej Akademii Hiszpańskiej: „Pies duży, silny, o okrągłej głowie, uszach małych i opadających, oczach nabiegłych krwią, wielkim pysku, mocnych zębach, krótkiej, grubej szyi, szerokiej i krzepkiej klatce piersiowej, grubych, silnych łapach, długiej, dość wełnistej sierści. Bardzo odważny i wierny, idealny do pilnowania stad bydła”. Ociekający śliną jezor zwisający z jednej strony pyska oraz obroża z wypisanym imieniem (Churchill) potęgowały jego straszliwy wygląd. Uznałem się za zjedzonego. Jednakże po kilku sekundach, podczas gdy okrutna bestia rozkoszowała się, przedłużając moją agonię, przypomniałem sobie, że w kieszeni kurtki mam jeszcze kanapkę z kalmarami w cebulce, której Ivet nie zdążyła zjeść w południe. Powoli włożyłem rękę do kieszeni, wyjąłem paczuszkę, odwinąłem gazetę, w którą była zawinięta kanapka, i odważnie wrzuciłem ją (kanapkę) w otwartą paszczę bestii. Ona zaś zamknęła pysk, poruszyła szczękami, przełknęła, utkwiała we mnie wzrok raczej smutny niż groźny i ponownie otworzyła paszczkę. Zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem, brytan czekał grzecznie z otwartym pyskiem. Po kilku sekundach wydał z siebie oszczędne beknięcie, zamknął pysk, odwrócił się i odszedł.

Po owej rozstrajającej nerwy przygodzie już bez przeszkód dotarłem do tylnych drzwi pierwszego domku, celu mojego wypadu, domniemanego miejsca pobytu porwanego Agustina Taberera *alias* Gauczo, który to domek będę od tego momentu, dla ścisłości i zwięzłości, nazywał po prostu „domkiem”. Tyłne drzwi (domku) były drewniane, z oknem w górnej połowie, przez które dojrzałem w mroku kuchnię. Drzwi były zamknięte, ale każde dziecko otworzyłoby je lizakiem. Po kilku sekundach byłem w środku. Zamknąłem drzwi, wyprostowałem się, bo chodzenie na czworakach ma wiele wad i ani jednej zalety, a potem przystąpiłem do drobiazgowego rozpoznania terenu. W spiżarce znalazłem wiele butelek whisky, ginu i rumu, puszki prażonych orzeszków, paczkę kawy liofilizowanej, pudełko herbaty w saszetkach, sól i cukier; w lodówce - tonik, piwo, sok pomidorowy; w zamrażarce - kostki lodu i butelkę wódki pokrytą szronem. W szafkach były kubki, kieliszki, talerze, łyżeczki i wykałaczki; na półce - lichtarz z wypaloną do połowy świecą, pudełko zapalek i stos pudełek z prezerwatywami. Najwyraźniej nie mieszkała tu zwykła rodzina. Palniki na kuchence były zimne. Dotykając mebli i innych przedmiotów, zauważyłem, że na jednych i drugich zgromadziła się pokaźna warstwa kurzu. Zjadłem garść orzeszków, wziąłem do ręki łyżeczkę i lichtarz, zapaliłem świecę zapalną i wyszedłem drzwiami prowadzącymi w głąb domku.

Ciemności tu panujące nie były całkowite, ponieważ z niedomkniętych drzwi pokoju dochodziło słabe światło, ukazujące rozległą i nieumeblowaną przestrzeń. Uznałem, że oświetlony pokój i światło były tymi samymi, które dostrzegłem przez okno z ulicy. Z owego

pokoju, oprócz wspomnianego już światła, dochodziły łagodne dźwięki klasycznego utworu, który rozpoznałem w mgnieniu ucha: *Only you*, jeden z największych przebojów Plattersów. Po mojej lewej ręce znajdowały się drzwi. Otworzyłem je i wsunąłem przez szparę głowę i lichtarz. Gest ów pozwolił mi przyjrzeć się pomieszczeniu pozbawionemu wentylacji i zastawionemu przedmiotami przeznaczonymi niegdyś do odpoczynku i rozrywki, a obecnie skazanymi na zapomnienie: rowerami, parasolami, leżakami, raketkami, stołem do ping-ponga. Wszystkie te rupiecie były połamane i brudne, a pomieszczenie cuchnęło pleśnią i zbutwiałą gumą. Za kolejnymi drzwiami kryła się umywalka, lustro oraz sedes. W głębi pustego pomieszczenia zauważyłem główne drzwi wejściowe. Były zamknięte na zawrotkę; odsunąłem ją, aby w razie potrzeby zostawić sobie wolną drogę.

Następnie zajrzałem za uchylone drzwi do oświetlonego pokoju. Dostrzegłem tam tylko wielką sofę przykrytą białym pokrowcem oraz krawędź innego mebla, także zasłoniętego. Skończyła się ostatnia piosenka i przez chwilę słychać było tylko tarcie szafirowej igły o złobkowaną powierzchnię płyty. Potem podniesiona brutalnie igła adapteru zgrzytnęła, a płyta poleciała w górę i rozbiła się o ścianę nad sofą. Najwyraźniej muzyka nie spodobała się słuchaczowi. Aby nie zdradzić mej obecności w ciszy, jaka zapadła po brzęku tłuczonego winylu, znieruchomiałem do czasu, gdy igła ponownie zazgrzytała, a w powietrzu rozległ się wytworny głos Jose Guardioli intonującego utwór *Stary frak*. Skorzystałem z hałasu, by wrócić do moich spraw.

To, czego szukałem (to jest schody na piętro), znajdowało się w głębi holu, po prawej stronie. Wszedłem po nich na paluszkach i wyszedłem na korytarz, w którym było kilkoro drzwi. Postąłem, nadśluchując, przed pierwszymi, drugimi i trzecimi, aż usłyszałem cichy kaszel. Spróbowałem przekreślić gałkę, ale nie ustąpiła. Wywnioskowałem, że to tu przetrzymywano Agustina Taberera *alias* Gauczo. Postawiłem lichtarz na podłodze, wyjąłem z kieszeni zabraną z kuchni łyżeczkę i otworzyłem drzwi. Podniosłem z podłogi lichtarz, wszedłem i, zamykając za sobą drzwi, szepnąłem:

- Niech pan nie mówi głośno.
- Sylwetka człowieka na wózku inwalidzkim poruszyła się.
- Kim pan jest? - zapytał szeptem.
- Fryzjerem.
- Aha. A co pan robi z tym lichtarzem w ręku?
- Przyszedłem pana ratować.
- Nie widzę związku.
- Ja też nie — przyznałem.

Przy jednej z bocznych ścian pokoju stało wąskie, niepościelone łóżko. Z rozdartego materaca wystawały kłaki brudnej i lichej gąbki. Z drugiej strony pokoju spoglądał na mnie jakiś łajza z lichtarzem w ręku; to byłem ja, odbity w lustrze szafy. Ze szpary między okiennicami lufcika płynęła smuga światła z ulicy. Na próżno siliłem się, żeby otworzyć okiennice, zasklepienie przez upływ czasu. Wróciłem do inwalidy.

- Dlaczego pan to robi? - zapytał.
- Dla pańskiej córki - odrzekłem, optując za skróconą wersją moich pobudek.
- Ech, niech pan nie miesza do tego mojej córki - powiedział.
- A pan niech nie będzie naiwny: Ivet już pana w to wmieszała, panie Gauczo. Jest pan Argentyńczykiem?
- Nie. Nazywali mnie Gauczo, bo tańczyłem tango jak nikt inny.
- Lepiej by pan zrobił, gdyby tańczył mniej i nie został kaleką. Ale opowie mi pan o tym, kiedy stąd wyjdziemy.
- Odrobina szacunku. Jestem kaleką, bo mi złamano obie nogi. Nie licząc choroby nerek. Inwalida pierwszej grupy.
- Kto panu złamał nogi? Pardalot?

- Jasne.
- Tak bardzo ich pan przeszył?
- Dosyć. .
- A Miscosillas?

- Nie. To biedny adwokacina, przydupas pana prezydenta. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy pogawędzili o tym przy piwie?

- Łatwo powiedzieć - stwierdziłem. - Ale jeśli zaczniemy schodzić po schodach z panem na wózku, złamie pan sobie nogi po raz kolejny, a przy okazji ręce. Nie mówiąc o hałasie.

- Ma pan rację — przyznał. — Niech pan mnie poniesie. Ważę niewiele, a pan wygląda na silnego.

- To watowane ramiona. I nie będę niósł pana na barana z Castelldefels do Barcelony. Inwalida pomedytował przez moment i powiedział:

- Wiem. Niech pan zniesie najpierw mnie, a potem wózek.

- Niezły pomysł - przyznałem.

- Otworzyłem drzwi. Do naszych uszu dobiegły akordy smutnej melodii (*Tombe la neige* albo innej piosenki Adamo, którą zawsze myślę z *Tombe la neige*). Zostawiłem drzwi otwarte i z wielkim wysiłkiem po długiej chwili zdołałem podnieść inwalidę z wózka i umieścić go na moich wątych plecach. Chwycił mnie mocno za szyję. Żeby nie dać się udusić i mieć wolne ręce, powiedziałem mu, by trzymał lichterz. Tak szepieni, wyszliśmy z pokoju. Przeszedłem kilka kroków, po czym ugięły się podę mną kolana i obaj grzmotnęliśmy na ziemię. Na szczęście, głos natchnionego piosenkarza zagłuszył hałas naszego upadku.

- Dalej nie dam rady - szepnąłem, ciężko dysząc. - Zawsze byłem cherlakiem. A w dodatku od kilku nocy prawie nie sypiam.

- Wolę być porwany niż obtłuczony - zaprotestował Gauczo.

- Niech pan będzie cicho i nie rusza się. Zaraz wracam - oznajmiłem.

Po omacku odnalazłem świecę, która wysunęła się z lichterza i zgasła. Zapaliłem ją zapalką. Na dole znowu nastała cisza, przzerwana po chwili brzękiem płyty roztrzaskującej się w drobny mak o ścianę. Następnie Aznavour zaczął śpiewać po hiszpańsku *Mama umiera*. Wróciłem do pokoju i otworzyłem szafę z lustrem. Zgodnie z przewidywaniami, znalazłem tam pościel oraz koce. Wyciągnąłem jeden z nich i wróciłem do inwalidy, którego zastałem wyciągniętego na podłodze i zalanego łzami.

- Co panu jest? - szepnąłem. - Złamał pan coś sobie?

- Nie. To piosenka - odszepnął.

Wykorzystując melancholijne rozluźnienie, w jakie popadł Agustin Taberner *alias* Gauczo na wspomnienie szczęśliwszych czasów, przetoczyłem go na koc i zawlokłem do schodów. Poszło mi całkiem gładko; sam zresztą widziałem, jak ową prostą metodą, działającą w oparciu o Bóg wie jakie prawa mechaniki, słabeusze przeciągali pianina i lodówki. Oczywiście, stopnie stanowiły dodatkową trudność.

Dając popis zręczności i odwagi oraz padając od czasu do czasu na schody, pokonał pierwszy odcinek, gdy nagle dało się słyszeć stukanie do drzwi domku. Osoba, dla której uszu było ono przeznaczone, nie usłyszała go jednak z powodu muzyki. Nowo przybyły spróbował wówczas otworzyć drzwi od zewnątrz i udało mu się to po pierwszej próbie, gdyż jakiś czas temu sam odsunąłem zasuwę. We framudze drzwi zarysowała się postać mężczyzny. Aby nas nie odkrył, rzuciłem się na podłogę i przykryłem kocem inwalidę oraz siebie, tworząc pakunek dość pokaźnych rozmiarów, lecz - jak sądziłem - w panującym półmroku mało widoczny. W tym samym momencie zamilkł śpiewak (Aznavour), a w zapadłej ciszy wyraźnie zaskrzypiały drzwi zamykane przez nowo przybyłego. Z oświetlonego pokoju dobiegł dziwny głos:

- Kto tam?

- To ja - odpowiedział przybysz.

Jego głos brzmiał mi znajomo, lecz w tym momencie nie wiedziałem, komu go przypisać. Drugi głos był nierozpoznawalny, gdyż zniekształcony urządzeniem stosowanym już wcześniej przez człowieka w masce.

- Jak wszedłeś? - zapytał ów.

- Drzwi były otwarte - odparł.

- Hmm - zastanowił się drugi głos. - Przysięgłbym, że zamknąłem zasuwę.

- Ale była odsunięta - odpowiedział przybysz. - Nieważne, zamknę na klucz.

Jak powiedział, tak uczynił, zamykając drzwi kluczem wyjętym z kieszeni, a następnie schowanym do niej. Potem ruszył w stronę oświetlonego pokoju, a tam zatrzymał się w progu, oparty o framugę, kontemplując porozrzucane na ziemi szczątki płyt. Światło dochodzące z oświetlonego pokoju tworzyło poświatę wokół siwowłosej czupryny przybysza. Po tym szczególnie rozpoznałem pana mecenasa Miscosillasa, który zapytał:

- Co robisz? Słuchasz zlej muzyki - starej, nowej i wiecznej?

- Tak, a potem tłukę te bezwstydnne płyty - odrzekł zniekształcony głos. - Spotkałeś się z nią?

- Nie - odpowiedział nowo przybyły, pan mecenas Miscosillas. - Czekałem na nią u Josego Luisa, gdzie byliśmy umówieni, ale nie przyszła. Zadzwoiła i umówiła się ze mną w innym barze, a potem w następnym. Po czwartym barze miałem dość i przyjechałem tutaj.

- Uff, jesteś idiotą - powiedział zniekształcony (i zirytowany) głos.

- Dlaczego? - zapytał pan mecenas Miscosillas zupełnie nie zbity z tropu.

- Wyjaśnię ci później. A teraz, pst! Ktoś puka do drzwi.

- Nie bój się. To Santi. Przyjechał ze mną, ale zostawiliśmy samochód dość daleko stąd, a biedak ledwie chodzi od czasu, gdy wyszedł z intensywnej terapii.

- Nie powinieneś być go tu przywozić - powiedział głos. —Z każdym dniem stajesz się głupszy. Fizycznie i umysłowo zniedołężniały. Na przemiał, jak te płyty. Idźże mu otworzyć, na co czekasz?

Pan mecenas Miscosillas usłuchał i wpuścił poruszającego się chwiejnie o kulach Santiago, byłego strażnika, a obecnie także inwalidę w rezultacie postrzału otrzymanego w moim mieszkaniu. Pan mecenas Miscosillas ponownie zamknął drzwi na klucz i włożył go do kieszeni kurtki.

- Mamy przerypane, che - szepnął mi do ucha Agustin Taberner *alias* Gauczo. - Teraz jest ich trzech, jeden bardziej niebezpieczny od drugiego.

- Niech pan nie traci ducha - odszepnąłem. - Może zaczną się kłócić i niczego nie zauważą.

Pozostaliśmy na swoim miejscu, bez ruchu i bez słowa. Z oświetlonego pokoju dobiegał niezrozumiały szmer rozmowy przerywanej długimi pauzami. Z najwyższą ostrożnością wyszliśmy spod koca i podjęliśmy podróż w dół schodów metodą opisaną powyżej. Gdy dotarliśmy do holu, światło dochodzące z oświetlonego pokoju rzuciło cień. Ktoś wychodził. Zdażyłem zawlec koc i inwalidę do kąta, paść obok niego (inwalidy) i przykryć nas ponownie (kocem). Podnosząc jego rąbek, zobaczyliśmy, że to pan mecenas Miscosillas wychodzi do holu, przechodzi obok nas, idzie do kuchni i zapala światło. Usłyszeliśmy odgłosy krzątania, po czym światło zgasło, a pan mecenas Miscosillas wrócił do oświetlonego pokoju, niosąc na tacy butelkę whisky, cztery szklanki i kubek z lodem.

- Drzwi do kuchni były otwarte - zauważył - podobnie jak wejściowe.

- A też przysięgłbym, że zamknąłem zasuwę - powiedział głos.

- No dobrze - powiedział pan mecenas Miscosillas. - To nieważne. Tak czy owak, zamknąłem je na klucz i schowałem go do kieszeni, razem z tym pierwszym. Teraz mam w kieszeni oba.

- Wygląda na to - szepnąłem - że czekają jeszcze na kogoś. Stukanie do drzwi

wejściowych potwierdziło moją hipotezę. Pan mecenas Miscosillas wyszedł otworzyć, gderając, że musi wszystkim usługiwać, jakby był pokojówką. Cytuję dokładnie jego słowa. Ledwie otworzył drzwi (stosownym kluczem), do holu wparował mężczyzna.

- Zamykaj, Horacio - nakazał. - Nikt mnie nie śledził, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

Pan mecenas Miscosillas zamknął drzwi na klucz, a nowo przybyłego, który wszedł do oświetlonego pokoju, przywitał zniekształcony głos mężczyzny w masce:

- Przychodzisz strasznie późno.

- Tak, przepraszam, wiecie, jak to jest w telewizji: mówią ci dziesięć minut, a robią się z tego trzy godziny. A to makijaż, a to reklama, a to to, a to tamto. A w dodatku musieliśmy powtarzać kilka razy, bo prowadzący program dostał ataku śmiechu. Jak wygram wybory, popamięta mnie. Ale w sumie wypadłem bardzo dobrze. Tak powiedzieli mi doradcy do spraw wizerunku, którzy w kawiarni oglądali program z dużym zainteresowaniem.

- Mam nadzieję, że nie przyjechałeś służbowym samochodem z eskortą. • ..

- Nie, nie, wzięłem furgonetkę z megafonem. Wiadomo coś o dziewczynie?

- Nie przyszła na spotkanie - powiedział pan mecenas Miscosillas.

- A temu idiocie, kiedy zorientował się, że robi go w balona, nie przyszło do głowy nic lepszego jak przyjazd tu - powiedział głos.

- Mnie się wydaje, że to dobry pomysł - powiedział pan prezydent. - Komu podać szkocką z lodem?

Podczas gdy stukał lód wkładany do szklanek, dokonałem oceny sytuacji. Nie była najlepsza. Jedne i drugie drzwi wejściowe (i wyjściowe) były zamknięte na klucz, a klucz to nie to samo, co zasuwa - otwarcie zamka łyżeczką zajęłoby mi co najmniej pół godziny, przy czym istniało ryzyko, że zostanę przyłapany *in flagranti*. Jednakże ze wszystkich możliwych projektów tylko ten był wykonalny, gdyż z inwalidą na wózku ani okno, ani szyb komina nie wchodziły w grę. Z dwojga drzwi kuchenne wydawały się łatwiejsze do otwarcia, chociaż wyjście przez nie wiązało się z możliwością ponownego spotkania z brytanem, a tym razem nie miałem już czym zaskarbić sobie jego względów, chyba że lubił prażone orzeszki i sok pomidorowy. Wcześniej jednak należało wrócić na górę po wózek inwalidzki, tak jak uprzednio uzgodniliśmy.

Z owych drobiazgowych, lecz niezbędnych rozważań wyrwał mnie nagle podejrzany swąd spalonej wełny. Inwalida i ja zaklęliśmy, każdy z osobna i jednogłośnie. Przez nieuwagę zapomnieliśmy zgasić świecę i koc zajął się ogniem.

Jako że mój altruizm ma pewne granice, powiedziałem inwalidzie, żeby radził sobie sam, i wyprułem jak z procy, lecz tak niefortunnie, że koc wplątał mi się w ubranie i pofrunął za mną. Taki rumor nie mógł pozostać niezauważony. W oświetlonym pokoju rozbrzmiały głosy i pytanie:

- Co, u diabła, dzieje się w holu?

Pan prezydent wychylił głowę i powiedział:

- Nie wiem. Jakiś płonący koc biega po domu.

- Santi, do jasnej, zrób coś - zawołał pan mecenas Miscosillas. - Płacimy ci za to.

- Jestem na zwolnieniu - odparł były strażnik.

- To daj mi pistolet, próżniaku - zażądał pan mecenas Miscosillas. Po czym, dokładnie w momencie gdy udało mi się pozbyć koca, wyszedł z pokoju, ściskając w dłoni berettę 89 gold standard, kaliber 22. Na wszelki wypadek pozbyłem się także kurtki i spodni, podniosłem ręce do góry i krzyknąłem:

_ Poddaję się!

- Niech pan opuści ręce i ugasi ten pożar, zanim spali się dom, tępaku - rozkazał pan mecenas Miscosillas.

Równie zainteresowany jak on opanowaniem żywiołu, pobiegłem do kuchni i wróciłem

z dwoma kubkami wody. Moja interwencja oraz silne tupanie nas obu zmieniły koc w dym i popiół. Następnie pan mecenas Miscosillas wprowadził mnie do oświetlonego pokoju i pokazał zgromadzonemu. Pierwszy zareagował pan prezydent:

- *Caramba*, to pan - powiedział. - Myślałem, że już skończyliśmy kręcić ten spot.

*

Kazali mi włożyć ubranie, nieco tylko osmalone, i posadzili mnie na starym pufie z wytłaczanej skóry, która wpiła mi się w pośladki. Kaleki rewolwerowiec Santi, odzyskał swą berettę 89 gold standard, kaliber 22 i celował we mnie; pan prezydent oraz pan mecenas Miscosillas siedzieli na sofie z poważnymi minami, a zamaskowany osobnik wielkimi krokami chodził po pokoju jak lew w klatce i w kapturze. Tak upłynęła długa chwila, a widząc, że nic się nie dzieje, i uznając, że w tych okolicznościach czas nie gra na moją korzyść, postanowiłem przejąć inicjatywę i zabrać głos:

- Panowie, z waszych strapionych oblicz i ukradkowych spojrzeń, jakie wymieniacie, wnioskuję, że zaistniała sytuacja was denerwuje, a ponieważ to samo mogę powiedzieć o sobie, proponuję rozładować ją jedynym środkiem, jaki działa w takich przypadkach, to jest odslaniając lub też kładąc wszystkie karty na stół; oba frazeologizmy są poprawne i pasują do sytuacji.

Zrobiłem przerwę, by zbadać efekt mej propozycji, po czym, nie widząc żadnej reakcji ani za, ani przeciw i uznając, że dobrze będzie otworzyć sesję czymś efektywnym, zwróciłem się do zakapturzonego mężczyzny i powiedziałem:

- Pora zakończyć farsę kaptura i tłumika. Za pierwszym razem oszukała mnie pani, panno Ivet, ale później już nie. Nie ma sensu dłużej udawać. Poza tym zasłanianie głowy przez tyle czasu wysusza skórę, stymuluje wydzielanie sebum i sprawia, że włosy stają się tłuste i przygniecione.

Zainteresowana wzruszyła ramionami, zdjęła kaptur z przymocowanym na wysokości otworu gębowego elektronicznym zniekształczaczem dźwięku i rzuciła go na podłogę. Następnie pozbyła się kurtki, spodni i poduszek, które, włożone pod ubranie, maskowały jej kobiece kształty i nadawały wygląd tłuściocha. Pod tym odzieniem kryły się obcisłe spodnie z jasnopopielatej lycry i zwykła biała koszulka bez rękawów. Całość, wygodna, modna i bezpretensjonalna, odmładzała ją; wyglądała w tym naprawdę dobrze. Do tego stopnia, że pan prezydent zerwał się z sofy, z wyciągniętą ręką podbiegł do niej i powiedział:

- Ogromnie mi miło. Jestem prezydentem Barcelony i kandyduję na następną kadencję.

Ivet rzuciła mu spojrzenie pełne wściekłości i pogardy, skrzyżowała ramiona na piersi i odpaliła:

- Ja jestem Ivet Pardalot, kretynie, i znasz mnie od urodzenia.

- Ach tak, to prawda. Nie załapałem. W moich to ramionach przyjąłś wodę święconą... a może podskórna, nie pamiętam - przyznał pan prezydent, wracając na swoje miejsce nieco zmieszany. - Któżby podejrzewał... Horacio, a ciebie nie zdziwiła ta metamorfoza?

- Nie, panie prezydencie - powiedziałem, zanim zapytany zdążył otworzyć usta. - Pan mecenas Miscosillas jest od początku wtajemniczony w sekret podwójnej osobowości panny Ivet. A ściśle mówiąc, w część sekretu, ponieważ są rzeczy, o których nie wie i o których wolałby nie wiedzieć, gdy mu o nich opowiem.

- Dosyć - powiedziała Ivet Pardalot, przerywając mi w tym miejscu. - Nie mamy najmniejszego obowiązku wysłuchiwać tego eksperta od lakieru i słowa. Jest tu intruzem i jako taki to nie on ma się nami zajmować, lecz my nim. I zrobimy to bez długich przemówień. Obecność tego gówna z muchami komplikuje nieco nasze plany, ale jeśli będziemy umieli je wykorzystać, także je upraszcza.

Bo to gówno z muchami, nie zadowolając się swą rolą głównego podejrzanego o morderstwo mojego ojca, wtargnęło do tego domu nocą z włamaniem. Biorąc to pod uwagę, nie będzie nic dziwnego, jeśli wreszcie dostanie to, na co zasługuje. Na przykład jedną celną

kulę. W ten sposób policja będzie mogła stwierdzić, że morderca Pardalota został zastrzelony w obronie własnej w momencie próby popełnienia kolejnej zbrodni, a tym samym zakończyć śledztwo, które nikomu z nas nie przyniesie nic oprócz kłopotów. Czy ktoś ma coś do dodania?

Pan mecenas Miscosillas poderwał się jak na sprężynie (sofy) i zapytał drżącym głosem:

- Czy propozycja polega na zamordowaniu tego gówna z muchami z zimną krwią?

- Na Boga, Horacio - zawołał pan prezydent. - Dobieraj słowa starannie: to nie są rzeczy, których powinienem słuchać.

- To tylko fryzjer bez dokumentów, który zbyt dużo wie - odrzekła Ivet Pardalot. - Jego zniknięcie nie uczyni nikomu krzywdy. Żywy za to stanowi nieustanne zagrożenie. Kilka nocy temu, w moim własnym domu, próbował się ze mną przespać.

Pan mecenas Miscosillas zaczerwienił się po cebulki siwych włosów i spuścił głowę.

- A nie moglibyśmy zaoferować temu gównu z muchami jakichś pieniędzy w zamian za milczenie? - zaproponował pan prezydent. - Albo stanowiska w Urzędzie Miasta. Rada Miasta to gniazdo satyrów.

- Nie - ucieła Ivet Pardalot. - Za daleko zaszliśmy, żeby przyjmować rozwiązania prowizoryczne. Santi, zabierz to gówno z muchami w dyskretne miejsce, zrób, co trzeba, i pogrzeb jego szczątki w ogrodzie sąsiada.

- Santi, przyjacielu - powiedziałem pośpiesznie. - Nie pozwól się omamić tej hipokrytce. Jeśli mnie zlikwidujesz, oni zlikwidują ciebie. Tym chętniej, że wiesz o nich więcej niż ja i wiesz rzeczy bardziej kompromitujące.

- Tak, ale ja należę do bandy - odparł Santi.

- Tak ci się tylko zdaje, Santi - odrzekłem. - W tym klubie, jak we wszystkich klubach, tak naprawdę liczą się tylko członkowie założyciele. Ty jesteś pionkiem, kozim bobkiem na szachownicy. Posłuchaj: kula, którą dostałeś w moim mieszkaniu, nie trafiła tam przez pomyłkę. Ktoś wiedział, że przyjdiesz do mnie i wynajął snajpera, który miał cię odstrzelić z domu naprzeciwko. Pomysł podsunięcia mi do podpisania wyznania winy nie powstał w twojej głowie. Ktoś ci to podpowiedział i ktoś pożyczył ci wieczne pióro. Ochroniarz nie kupuje sobie montblanca. Kto to był, Santi?

Santi zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

- To niczego nie dowodzi. Dlaczego...?

- Dlaczego chcieliby cię zabić? - dokończyłem. - To bardzo proste: żeby podsunąć policji całkowite rozwiązanie sprawy. Mnie nie są w stanie udowodnić winy w sposób ostateczny. Za to, jeśli wplączą ciebie, wszystko staje się banalnie proste. W noc zbrodni Pardalot i ty byliście sami w gmachu Hiszpańskiego Szachraja.

- Tak - przyznał Santi. - Ale ja go nie zabiłem.

- Być może nie - stwierdziłem. - Ale jeśli zamierzają mnie zlikwidować, żeby zapewnić sobie moje milczenie, dlaczego nie mieliby zabić także i ciebie?

- Chwileczkę - wtrącił się pan prezydent, spoglądając z troską na jednych i na drugich. - Jeśli Santi nie zabił Pardalota i pan też nie, to kto go zabił? Nie mówcie, że ja. To prawda, że wszedłem do budynku ukradkiem, przez garaż, żeby nie zostać zauważonym. Ale kiedy dotarłem do jego gabinetu, Pardalot już nie żył. Przynajmniej, o ile sobie przypominam. Problem polega na tym, że z moją głową nie jest za dobrze, wie pan? Do sprawowania mojej funkcji wystarcza, ale ci z opozycji wiedzą o tym i wykorzystują moją słabość. Raz tu, raz tam, robią mi dowcipy, żeby mnie zbić z pantaląku. Wszystko mi wiruje przed oczami, szczególnie Sala Stu w ratuszu. Ale nie jestem wariatem.

Wstał z sofy, wyjął z kieszeni ulotkę wyborczą, na której widniał jego uśmiechnięty wizerunek na niebieskim tle oraz zachęcający slogan w języku katalońskim („Z nami jak u teściów”), i obszedł obecnych, pokazując każdemu swoje zdjęcie i pytając:

- Czy to jest twarz szaleńca? Powiedzcie mi, czy to są rysy obłąkanego?

Litościwie powstrzymaliśmy się od odpowiedzi, uspokoiłem go co do autorstwa zbrodni, a prośbami i pochlebstwami sprawiliśmy, że wrócił na sofę. Następnie, gdy zamknęliśmy ten emocjonujący nawias, Ivet Pardalot ponownie przejęła ster i zabrała głos, nalegając, by Santi wypełnił wydane przez nią rozkazy. Ten wymówił się jednak, tłumacząc, że obiema rękami musi trzymać kule, a w tych warunkach nie może zmusić mnie, bym wyszedł z nim z domu i dał się zabić. Słyszając tę wymówkę, Ivet Pardalot zaśmiała się z sarkazmem.

- Rozumiem - powiedziała. - Dałeś posłuch insynuacjom tego bałamutnika. Nieważne. Horacio, weź pistolet Santiago, wyprowadź tego typa do ogrodu i wykończ go. Pan prezydent pomoże ci wykopać grób.

- Duszko - odrzekł pan mecenas Miscosillas - ja jestem tylko biednym adwokacina. Specjalistą od prawa handlowego, a to najłagodniejszy gatunek.

- A ja, nie żebym się wymigiwał od pracy fizycznej - powiedział pan prezydent - ale też wolałbym w tym nie uczestniczyć.

Ivet Pardalot z furją kopnęła adapter.

- Jasne - krzyknęła. - Po tych łzawych piosenkach skąd mielibyście wziąć siłę, żeby wyjść? Wy, mężczyźni, staliście się kwokami, więc my, kobiety, musimy robić za koguty, i za kwoki też. Wszyscyśmy na tym stracili, oprócz księży. Dobrze. Nie kłóćmy się. Ja to zrobię.

I dopowiadając te słowa, otworzyła szufladę komody i wyjęła z niej stary rewolwer marki Remington, kaliber 44, który wymierzyła kolejno we wszystkich obecnych, przymykając raz jedno, raz drugie oko, aby lepiej wycelować.

- Odnoszę wrażenie - skomentował pan prezydent - że nie tylko ja mam nierówno pod sufitem.

Pan mecenas Miscosillas zrobił krok w stronę Ivet Pardalot, ale ta wykonała tak ekspresyjny gest pistoletem, że pan mecenas Miscosillas dał krok w przeciwną stronę i wrócił w miejsce, gdzie stał, zanim zrobił pierwszy krok. Jego twarz wyrażała konsternację.

- Ivet, złotko - szepnął. - Co pomyślą ci ludzie? Odłóż rewolwer na miejsce. Może być nabyty. Zabawa bronią często prowadzi do wypadków. Nie tak często jak jazda motocyklem, ale częściej niż sobie wyobrażamy. Skąd go wzięłaś?

- Przeszukując dom - odpowiedziała - znalazłam płyty, stertę przedpotopowych „Playboyów” i ten stary rewolwer marki Remington, kaliber 44, zardzewiały i zakurzony, ale nabyty i nadający się do użytku. Rewolwer - dodała, zwracając się do mnie - należał do mego dziadka. Dziadek Pardalot zbił fortunę po idiotycznej wojnie domowej metodami właściwymi tamtej, jakże nudnej, epoce. Gdy się wzbogacił, kupił dom w S'Agaró i drugi w Camprodón, żeby wyjeżdżać na lato z rodziną, a w Castelldefels postawił ten domek, żeby przywozić tu dziewczynki. Kiedy dziadek zmęczył się przywożeniem i odwożeniem dziewczynek, jego syn, to jest mój zmarły ojciec, zaczął korzystać z domku, za zgodą lub bez zgody dziadka, i przyjeżdżać tu z kumplami oraz biednymi panienkami, które uwierzyły w brednie o wyzwoleniu płci. Tymi bredniami i płytami omotali niejedną, a potem oczywiście nie poznawali ich na ulicy. Było tak czy nie było, panie prezydencie?

- Tak naprawdę - westchnął pan prezydent - nie wiem, jak inni, ale ja robiłem sobie dobrze sam.

- Mój dziadek był fetyszystą - ciągnęła swą opowieść Ivet Pardalot - i dlatego miał pistolet.

- Falangistą, złotko - poprawił pan mecenas Miscosillas. - Po wojnie jedni mieli pistolety, a inni dziewczynki. Pistolety i dziewczynki mieli tylko falangiści. Próbowałem ci to wytłumaczyć tysiące razy, ale nie słuchasz uważnie, złotko.

- Grupę mojego ojca - ciągnęła Ivet Pardalot, nie zwracając uwagi na glosy pana

mecenasa - tworzyło trzech przyjaciół, to jest mój ojciec, tu obecny pan prezydent oraz trzeci mężczyzna, zwany Agustin Taberner *alias* Gauczo. Oczywiście było ich więcej, ale ci tworzyli pień.

- Trzon, złotko - poprawił pan mecenas Miscosillas. A odwracając się do pozostałych, oznajmił: - Ja nigdy nie należałem do tej grupy. Byłem nieco młodszy i nie pochodziłem z dobrej rodziny. Na studiach pobierałem stypendium socjalne. Jediną rozrywką były dla mnie niedzielne wyjścia do kina w mojej dzielnicy. Obejrzałem jedenaście razy *Siedem narzeczonych dla siedmiu braci*. Ten film przedstawiał w moich oczach, i do tej pory przedstawia, ideał, o którym zawsze marzyłem dla Katalonii.

- Ja za to trzy razy widziałem *Siódmą pieczęć* i nic z tego nie rozumiałem: ani kim był główny bohater, ani w ogóle nic - powiedział pan prezydent. - Ach, szczęśliwe czasy, które nigdy już nie wrócą! Byliśmy młodzi, niespokojni, żądni wiedzy, nienasycony, bardzo głupi, nierozłączni: twój ojciec, ja i ten goguś, który tak świetnie tańczył tango milonga. Bóg wie, gdzie on teraz chadza!

- Nigdzie - odparł pan mecenas Miscosillas. - Jest kaleką, porwaliśmy go i siedzi zamknięty na piętze.

- Porwaliśmy go? Uff, to nie są rzeczy, których powinienem słuchać.

- Przez całe lata żył w ukryciu w domu starców w Vilassar - ciągnął pan mecenas Miscosillas. - Dowiedziałem się o tym przez czysty przypadek, od stukniętego Murzynakierowcy, który od czasu do czasu zawoził tam i przywoził tamtą Ivet. Pomyśleliśmy, że mając Agustina Tabenera *alias* Gauczo za zakładnika, wydobędziemy od tamtej Ivet dokumenty, które ten tłuć ukradł z biur Hiszpańskiego Szachraja. Ta Ivet, to znaczy Ivet Pardalot, skontaktowała się z tamtą Ivet i umówiły się na spotkanie u Josego Luisa. Tamta Ivet miała przynieść dokumenty, a ja miałem jej oddać ojca.

- Aj, Horacio, jak nieskładnie to tłumaczysz - powiedział pan prezydent. - Jakie spotkanie? U jakiego Josego Luisa? Jakiego ojca?

- Jej ojca - uściślił pan mecenas Miscosillas. - Agustin Taberner *alias* Gauczo jest ojcem Ivet. Nie tej Ivet, tylko tamtej Ivet. Ojcem tej Ivet jest Pardalot.

- Już rozumiem - powiedział pan prezydent. - Rozumiem też, że tamta Ivet nie przyszła na spotkanie i nie przyniosła dokumentów. Skąd mogła mieć pewność, że kiedy odda ci dokumenty, ty oddasz jej ojca?

- To logiczne - wyjaśnił pan mecenas Miscosillas. - Po cóż mielibyśmy przetrzymywać kalekę po odzyskaniu dokumentów? Papiery za ojca i wszystko zakończyłoby się szczęśliwie dla wszystkich.

-1 tu pan się myli, panie mecenasie - wtrąciłem. - W rzeczywistości te dokumenty nie interesują nikogo, a rabunek, którego dokonałem, był tylko przykrywką dla prawdziwych zamiarów pomysłodawcy i dyrygenta zawikłanych wydarzeń stanowiących treść tej opowieści, w których pan oraz wszyscy pozostali uczestnicy byliśmy tylko bezwolnymi marionetkami.

- *Caramba* - powiedzieli chórem pan prezydent i Ivet Pardalot. — Czy ktoś wreszcie mógłby to wszystko wyjaśnić?

- Ja sam we własnej osobie - odrzekłem. - Ale nie teraz, bo jeśli słuch mnie nie myli, ktoś dobija się do drzwi, waląc w nie pięściami i wydając głośnie okrzyki.

Tak właśnie było: podczas gdy wymawiałem moje ostatnie słowa, w całym domu rozbrzmiało bębnienie do drzwi i wołanie, niemal je zagłuszając. Nie okazując zdziwienia, jakby oczekiwała tej wizyty, Ivet Pardalot pokazała ruchem głowy panu mecenasowi Miscosillasowi, żeby otworzył, co uczynił z wyraźnym ociąganiem. Ja na jego miejscu skorzystałbym z okazji (i kluczy), żeby uciec z tego domu, gdzie tyle pistoletów znajdowało się w niepowołanych rękach, i wrócić do Barcelony taksówką, gdybym taką znalazł, a w przeciwnym wypadku pieszo. Lecz ów (pan mecenas Miscosillas), już to powodowany

pragnieniem poznania rozwiązania tej historii, już to z innych przyczyn, na przykład tych, które niebawem miał nam przedstawić, zdecydował się wrócić do oświetlonego pokoju (który będę dalej nazywał „salonem”) w towarzystwie osoby, która wywołała taką wrzawę, a która okazała się ni mniej, ni więcej tylko Ivet, zwaną także bezpodstawnie fałszywą Ivet, a przeze mnie moją Ivet, która to Ivet rzuciła na stół teczkę i krzyknęła:

- Gdzie jest mój tatuś?

Na owo wzruszające pytanie tamta Ivet odrzekła sarkastycznie:

- Nie śpiesz się tak, Ivet. Nikt nas nie popędza. A jak wchodzi się do czyjegoś domu, najpierw należy się przywitać. Nie pamiętasz, czego uczyły nas zakonnice w internacie?

Ivet popatrzyła na Ivet ze zdumieniem i uwagą, a rozpoznając w niej dawną koleżankę szkolną, mimo smutnego położenia, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz na wspomnienie jakiejś niewinnej dziecinnej psoty.

- Ivet! - wykrzyknęła z radością, otrząsnąwszy się ze zdumienia. - Tyle lat nie miałam od ciebie żadnych wieści! Zupełnie się nie zmieniłaś. Jakby czas w ogóle dla ciebie nie płynął. A w każdym razie na darmo.

Zrobiła gest, jakby chciała paść w jej ramiona, ale Ivet Pardalot powstrzymała ją groźnym ruchem.

- Zostawmy uczucia na lepszą okazję - stwierdziła.

- Było mi bardzo przykro z powodu twojego ojca - powiedziała Ivet. - Byłabym poszła na pogrzeb, ale tego dnia miałam mnóstwo pracy.

- Nieważne - skwitowała Ivet Pardalot. - Mnie też jest przykro z powodu twojego ojca.

- Z powodu mojego ojca? Co masz wspólnego z moim ojcem? Wiesz może, gdzie jest? Czy może być, że tutaj, w tym szkaradnym domku?

- Może być - odparła sucho Ivet Pardalot. - Porozmawiamy o tym później, kiedy rozstrzygniemy kilka innych pilnych spraw. To nie zajmie nam dużo czasu, pracuję bardzo sprawnie. *Time is money*, jak mnie nauczyli w Amherst, stan Massachusetts. Tych panów już znasz: pan prezydent i mecenas Horacio Miscosillas. Ten przystojny młody kaleka z beretą 89 gold standard, kaliber 22, czyli z pistoletem, to Santi, były ochroniarz w Hiszpańskim Szachraju, obecnie pracujący dla mnie, choć nie jestem zadowolona z jego wyników. A ten, na koniec, to twój fryzjer.

- On nie jest moim fryzjerem - zaprotestowała Ivet.

- Kandyduję na następną kadencję - powiedział pan prezydent. - Mogę zapytać, czy jest pani córką zmarłego Pardalota, panienko? W takim razie zapewniam panią, że jej zmarły ojciec i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Moje najszczerze kondolencje. Czy powiedziałem już pani, że kandyduję na następną kadencję?

- Tak, panie prezydencie - odparła Ivet. - I nie jestem córką zmarłego Pardalota. Ale nazywam się Ivet, jak córka zmarłego Pardalota. Tak naprawdę moim ojcem jest Agustin Taberner *alias* Gauczo. On też był pańskim przyjacielem i przyszedł tu po to, by wymienić go za te dokumenty, jak uzgodniłam dziś po południu z człowiekiem w kapturze. Nazywam go tak, bo podczas rozmowy sam określił się jako człowiek w kapturze, ale, jako że rozmawialiśmy przez telefon, nie mogę zapewnić, czy rzeczywiście był w kapturze, czy nie. Tak czy owak, umówiliśmy się o dziewiątej u Jose Luisa. Powiedział mi, że jeśli przyniosę dokumenty, mój ojciec wróci do mnie cały i zdrowy. Oczywiście, nie mogłam pisać policji ani słówka.

- Ale nie przyszła pani na spotkanie - wtrącił pan mecenas Miscosillas. - Ja za to, i owszem. Zgodnie z rozkazami mojego mocodawcy, stawiałem się osobiście i punktualnie w uzgodnionym lokalu, zająłem miejsce w strategicznej części baru, z którego mogłem obserwować drzwi do wspomnianego lokalu, i oczekiwałem, popijając whisky. Dwadzieścia po dziewiątej kelner zapytał mnie, czy czekam na niejaką Ivet w związku z porwaniem, a gdy odpowiedziałem twierdząco, poinformował mnie, że niejaka Ivet zadzwoniła przed chwilą,

mówiąc, że nie udało się jej przyjść na czas, że w tym momencie jest na drugim końcu miasta, a wie pan, co się dzieje na drogach o tej godzinie, o każdej godzinie, w najmniej nieoczekiwanym momencie miasto zakorkuje się nieodwracalnie, i tak dalej, i tak dalej. Nie wiedziałem, czy słowa te stanowią część wiadomości, czy kelner wyrażał swoją własną opinię. Jedyne, co wiem, to to, że Ivet proponowała mi przełożenie spotkania na za pięć dziesiątą, w lokalu zwanym Dry Martini. Jako że znajdował się on niedaleko, poszedłem tam spacerkiem i kontynuowałem oczekiwanie, wypijając kilka wyśmienitych drinków. Dziesięć po dziesiątej historia z kelnerem i wiadomością powtórzyła się. Tym razem miałem się stawić w barze przy ulicy Santaló. Trzy drinki później umówiliśmy się na kolejne spotkanie w czwartym barze w dzielnicy Ribera, nieopodal kościoła Santa Maria del Mar. Tam wybiło wpół do dwunastej, lecz nikt nie zadzwonił. A może zadzwonił, ale lokal był pełen ludzi, muzyka głośna, a ja wypilem więcej, niż powinienem. Zapłaciłem, wyszedłem, zwymiotowałem i przyjechałem tu. Być może zwymiotowałem przed wyjściem z baru, nie pamiętam.

- Widzisz, jaki jesteś głupi? - powiedziała Ivet Pardalot, gdy mecenas zakończył relację.
- Głupia gąska taka jak ta biedna Ivet, z pewnością namówiona przez tę eminencję od grzebienia, ciągała cię po całej Barcelonie, żeby zyskać na czasie i umożliwić współnikowi nieudaną próbę uratowania Agustina Tabernera *alias* Gauczo.

- Tak, i to używając zupełnie niewiarygodnego argumentu - zauważył pan prezydent - ponieważ w Barcelonie ruch jest płynny przez całą dobę i w całej sieci drogowej.

- A podczas gdy ty się upijałeś - ciągnęła Ivet Pardalot, wskazując pogardliwie na pana mecenasa Miscosillasa - Ivet deptała ci po piętach i śmiała się z ciebie.

Ivet przyznała, że tak właśnie postąpiła, ze śmiechem włącznie, i tym sposobem, tropem pana mecenasa Miscosillasa, dotarła do Castelldefels. Ale teraz, dotarłszy tu (do Castelldefels), zrozumiała swój błąd, bo w domku (w Castelldefels) byli tylko ludzie dobrzy i uczciwi, przyjaciele jej ojca.

- Bardzo mi przykro, ale muszę wyprowadzić panią z błędu, panienko Ivet - wtrącił w tym miejscu Santi. - Z tego, co wiem, nie wszyscy tu obecni są przyjaciółmi pani ojca i pani. Niektórzy są nimi naprawdę. Inni natomiast tylko udają. Problem polega na tym, żeby ustalić, kto należy do której grupy i kto, deklarując swoje sympatie, mówi prawdę, a kto kłamie. Jeśli to panią pocieszy, ja mam ten sam problem. Ale przynajmniej trzymam w ręce berettę 89 gold standard, kaliber 22.

- Ja mogę ci wyjaśnić wszystko albo prawie wszystko - zaproponowałem - jeśli osoby tu obecne pozwolą mi, a ty mi zaufasz. Zrobię to najlepiej, jak umiem, ale nie ręczę za jasność ani za zwięzłość.

Ivet zgodziła się, nikt nie zaproponował, a ja streściłem pokrótce to, co zostało powiedziane do tej pory, i ciągnąłem:

- Trzej przyjaciele, bohaterowie tej opowieści, założyli spółkę. Jeden z nich zamierzał zająć się polityką i uznał za roztropne, by jego nazwisko nie figurowało w dokumentach. Zamiast niego został podstawiony młody absolwent prawa. Sprawy potoczyły się dobrze. Wszyscy mieli się nieźle. Ale na początku musiało dojść do jakiegoś przecieku i nazwisko tego, kto miał nie figurować w dokumentach, pojawiło się w związku z jakąś niezbyt jasną transakcją. Fakt ten do dziś nie uzyskałby zbytnej wagi, gdyby wspomniana osoba nie odniosła sukcesu także na arenie politycznej.

- Co? - wykrzyknął pan prezydent. - Znany polityk zamieszany w ciemne interesy? Znakomicie. Wykorzystam to w kampanii wyborczej. O kogo chodzi?

- O pana, panie prezydencie.

- Och - powiedział pan prezydent. - To nie są rzeczy, których powinienem słuchać.

- To niech pan nie słucha, bo jest ich więcej - powiedziałem. - Ale wcześniej pozwólcie mi państwo poprzez krótkie interludium wprowadzić na scenę nową postać sentymentalną.

Odchrząknąłem kilkakrotnie, próbując oczyścić gardło, i mówiłem dalej:

- Była sobie pewnego razu kobieta młoda, piękna, inteligentna, krótko mówiąc, atrakcyjna pod wszelkimi względami. Kobiety takie zazwyczaj pochodzą z rodzin podupadłych lub po prostu biednych. Pardalot poznał ją i zakochał się. Zareczyli się. Kiedy już mieli się pobrać, kobieta zerwała zaręczyny i zniknęła. Pardalot nigdy się nie otrząsnął z tej porażki. Ożenił się z inną, miał z nią córkę. Rozwiódł się a potem ożenił jeszcze kilka razy. Być może nadal by się żenił i rozwodził, gdyby go nie zamordowano. Ale nie zabito go z tego powodu.

- Kobieta, która złamała mu serce - ciągnąłem - wróciła do Barcelony po kilku latach i wyszła za mąż za Arderiu, bogatego i nieco próżnego typu. Pardalot i ona musieli się spotkać ponownie w wirze życia towarzyskiego oraz kulturalnego naszego miasta, równie intensywnego co różnorodnego. Czas załagodził dawne urazy i między nimi ponownie zadzierzgnęła się więź.

- A dlaczego nie rozwiedli się i nie pobrali? - przerwał pan mecenas Miscosillas. - Załatwiłbym im to błyskawicznie, bez skandalu albo ze skandalem, w zależności od ceny.

- Nie opowiadaj bzdur - ucięła Ivet Pardalot. - Na tym drugim etapie ich związku nie czuli do siebie tego, co myślisz. Przedtem zresztą też nie. Reinona jest i zawsze była kobietą zimną, wyrachowaną, nawykłą do wykorzystywania swoich wdzięków, jeśli jakieś posiada, aby poskramiać mężczyzn, nie dając nic w zamian. W zwichrowanej mentalności jej pokolenia coś takiego było możliwe, ponieważ mężczyźni mieli kobiety w tak niskim poważaniu, że zawsze im płacili, zabierając do ogródka, a one tak mało siebie szanowały, że z radością przyjmowały pieniądze, a potem oddawały je żigolakom. Życie było tańcem i zabawą. Na szczęście, dziś wszystko się zmieniło. Ja sama, kiedy kilka razy - rzadko - spróbowałam się posłużyć kobiecym wdziękiem, zostałam uznana za natrętną i nie usłyszałam nawet „dziękuję”. A zresztą, po co Reinona miałby wychodzić za mojego ojca? Nigdy go nie kochała, ani na początku, kiedy byli oficjalnie zaręczeni, ani później. Reinona nigdy nikogo nie kochała.

- To nieprawda - z progu salonu dobiegł chropowaty głos, od którego wszyscy podskoczyliśmy. - Udowodnię wam, że to nieprawda.

8

Pan prezydent był pierwszym, który z reflekssem i zimną krwią doświadczonego polityka zareagował na ową niespodziewaną wizytę.

- Trzeba będzie przynieść więcej krzeseł - powiedział.

Pan mecenas Miscosillas uprzedził, że on nie idzie. Inni też mają nogi, dorzucił, nawet jeśli niektórzy nie są w stanie się nimi posługiwać, jak Santi, lub nie można im zaufać, jak mnie czy Ivet, ze względu na nasz status więźniów. W końcu jednak przekonał sam siebie o irracjonalności swej postawy, wyszedł z salonu zdecydowanym krokiem, wrócił z dość brudnym krzesłem, chusteczką strzepnął z niego kurz i zaoferował je Reinonie, która to (o czym zapomniałem powiedzieć) przerwała swym przybyciem naszą niedelikatną debatę na temat jej charakteru, historii życia, postawy i intencji. Była, jak zawsze, nienagannie uczesana i ubrana: miała na sobie plisowaną spódnicę i bluzkę w paski z długimi rękawami, a na szyi jedwabną apaszkę. Ten starannie dobrany zestaw uzupełniała granatowa skórzana torebka, granatowe buty oraz twarz kobiety szalonej, zadająca kłam wrażeniu elegancji.

- Twój mąż nie przyszedł z tobą? - zapytał pan prezydent, żeby coś powiedzieć, ponieważ ona, choć otwierała i zamykała usta, jakby chciała mówić, nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

- Jej mąż nic o tym nie wie - odpowiedziałem w jej imieniu - i lepiej będzie, jeśli tak pozostanie. Ta sprawa nie dotyczy pana Arderiu, a przynajmniej nie bezpośrednio.

- Czy napije się pani whisky z lodem, pani Arderiu? - zapytał pan mecenas Miscosillas.

- Pani Arderiu... pani Arderiu, pytałem, czy napije się pani whisky z lodem. Może w stanie szoku, w jakim się pani znajduje...

Reinona usiadła na krześle przyniesionym przez troskliwego mecenasa i patrzyła na wszystkich po kolei, najpierw na Ivet Pardalot, następnie na Santiago, później na pana mecenas Miscosillas i pana prezydenta, siedzących grzecznie obok siebie na sofie, a w końcu na Ivet oraz na mnie, ostatnich w kręgu oglądanym przez nią zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Nie czekając na odpowiedź, pan mecenas Miscosillas wstał, poszedł do kuchni, wrócił z czystą szklanką, przygotował whisky z lodem i podał szklankę Reinonie. Ta wypila spory łyk, mlasnęła, a następnie, ochłonawszy nieco z wiru emocji, rozpozgodziła się odrobinę i powiedziała:

- Kochałam go ze ślełą namiętnością, ale było nam pisane, że namiętność ta ma nam przynieść nieszczęście.

- Wydaje mi się, że nie ma na myśli męża, co, Horacio? - zapytał pan prezydent swego towarzysza z sofy.

- Nie, panie prezydencie - odpowiedziała, uprzedzając odpowiedź mecenasa. - Mój mąż jest dobrym człowiekiem, którego szanuję, tak jak na to zasługuje, i proszę nie mrugać do siebie za moimi plecami, bo wszystko widzę. Owego szacunku w niczym nie umniejsza fakt, że wyszłam za niego nie z miłości, lecz dla pieniędzy. Mogę to spokojnie powiedzieć. Z drugiej strony, te pieniądze nie były dla mnie. Nie jestem zachłanna. Potrzebowałam ich, a on je miał. To wszystko.

- Potrzebowała ich pani dla dziewczynki, prawda? - zapytałem, pragnąc jej pomóc w wyjawieniu swych trosk.

- Tak - powiedziała.

- Jakiej dziewczynki? - zapytał pan prezydent.

- Tej ze zdjęcia, które trzyma w szufladzie szafki nocnej - powiedziałem.

-Tej, którą miała z człowiekiem, którego kochała, panie prezydencie - wyjaśnił pan mecenas Miscosillas. - Powinien pan przyjmować mniej oficjalnych wizyt, a częściej chodzić do kina. Reinona miała nieślubną córeczkę wskutek pewnej... wpadki.

- Ze zmarłym Pardalotem? - zapytał pan prezydent.

- Nie, człowieku, z tym drugim. Z mężczyzną, którego potajemnie kochała.

- I to nazywasz wpadką, Horacio?
- Powiedziałem tak, żeby pan zrozumiał, panie prezydencie.
- Ja też byłbym wdzięczny za wyjaśnienie - wtrącił Santi - bo już się w tym wszystkim pogubiłem.

Zabrałem głos i podjąłem wątek opowieści.

- Będąc narzeczoną Pardalota, Reinona zakochała się w Agustinie Tabernerze *alias* Gauczo i utrzymywała z nim związek miłosny za plecami ówczesnego narzeczonego, a obecnie zmarłego Pardalota, podczas gdy zmarły kończył przygotowania do ślubu.

- Cóż za bezczelność! - wykrzyknął Santi.

- Zgadza się z Santim - stwierdził pan prezydent. - Dlaczego nie powiedziałaś prawdy Pardalotowi? Takie rzeczy się zdarzają, rozumiałby. Ja sam bym zrozumiał, gdyby moja żona zakochała się, na przykład, w wiceprezydencie.

- To Agustin Taberner *alias* Gauczo poprosił ją, żeby nic nie mówiła - wtrąciła Ivet Pardalot. - Agustin Taberner *alias* Gauczo od początku oszukiwał i okradał swoich współników, i obawiał się, że wszystko się wyda, jeśli z powodu Reinony Pardalot straci zaufanie, jakie w nim pokładali. Ten oszust nie wypadł sroce spod ogona. Gdyby Pardalot chciał zemścić się za podwójną zdradę Gauczo, mógłby go na długo posłać za kratki.

- Dowody na piśmie? - zapytał Santi.

- Są tylko takie, przystojniaku - odpowiedziała Ivet Pardalot.

- Agustin obiecał mi, że ureguluje wewnętrzne sprawy firmy w tajemnicy przed współnikami - powiedziała Reinona. - Potem, już z czystymi rękami, opowiemy o nas Pardalotowi i pobierzemy się. Posłuchałam go i udawałam dalej.

- Posunęłabyś się do wyjścia za Pardalota, żeby chronić oszusta? - zapytała Ivet.

- Nie wiem. Teraz chcę myśleć, że nie, ale wtedy, w wirze zdarzeń, nie wiem, do czego byłabym zdolna z miłości czy z obłędu. Tak czy owak, przypadek zadecydował za mnie: odkryłam, że jestem w ciąży z Agustinem Tabernerem *alias* Gauczo. Oczywiście, postanowiłam ją usunąć. W owych czasach trzeba to było robić w Londynie, więc wymyśliłam jakiś pretekst, żeby nie wzbudzić podejrzeń Pardalota ani naszych rodzin, i wyruszyłam samiotką do Londynu. Przyjechałam w listopadowy wtorek, deszczowy i zimny. Latarnie paliły się dniem i nocą. Owa ponura aura idealnie pasowała do mojego stanu ducha. Niezdolna usiedzieć w zamkniętym pokoju hotelowym, wyszłam na spacer. Kupiłam sobie płaszcz przeciwdeszczowy w Selfridges i we mgle snułam się bez celu. Nie wiem, jak znalazłam się na moście Waterloo, oparta łokciami o balustradę. Głęboko pod moimi stopami płynęła czarna woda. Nie wiem, czy odważyłabym się skoczyć, ale przez kilka minut, które wydały mi się wiecznością, rozważałam tę możliwość. A wtedy podeszło do mnie dwóch niechlujnych młodzieńców w cuchnących, afgańskich, zimowych panterkach i powiedziało mi, że skończyła się wojna w Wietnamie. Właśnie oznajmiły to rozgłosnie radiowe. Na moście Waterloo wypaliliśmy wspólnie skręta, po czym oni odeszli, zostawiając mnie znowu samą. Zrozumiałam, że to transcendentalne wydarzenie oznaczało koniec mojej młodości, że to był mój ostatni skręt i że począwszy od tego momentu, powinnam patrzeć na życie bez idealizmu i chimeryzmu. Dzięki Ho Chi-Minhowi nagle dojrzałam. Następnego ranka, zamiast udać się do kliniki, zaczęłam szukać taniego mieszkania. Gdy je znalazłam, napisałam do Pardalota list, w którym prosiłam go o wybaczenie, nie podając powodów ucieczki, oraz drugi list, do Agustina Tabenera *alias* Gauczo, oznajmiając mu, że już nigdy się nie zobaczymy. Znajomy nakleił francuskie znaczki i wysłał oba listy z Paryża, aby ukryć miejsce mojego pobytu. Dzięki pomocy Hiszpanów osiadłych w Londynie od czasu do czasu zdobywałam jakąś pracę. Urodziłam córeczkę i nazwałam ją Ivet. Kiedy podrosła, pomyślałam, że zasługuje na życie i wykształcenie lepsze niż to, które mogłabym jej zapewnić z moich skąpych dochodów. W Londynie byłam szczęśliwa, ale uznałam powrót do Barcelony za mój obowiązek. Wróciłam, umieściłam Ivet w internacie prowadzonym przez

zakonnice i wysłałam za mąż za Arderiu, aby zdobyć środki na utrzymanie dziewczynki. Miałam niejasną nadzieję, że po kilku latach, kiedy Ivet przestanie mnie potrzebować, odzyskam niezależność. Poważny błąd. Wszystkie moje decyzje okazały się niewłaściwe i pociągały za sobą kolejne błędy.

- Nigdy niczego ci nie wyrzucałam, mamó - powiedziała Ivet. - Na twoim miejscu zrobiłam tak samo.

- Tak, oczywiście, dwie święte - stwierdziła Ivet Pardalot. - A mój ojciec nieświadomy niczego od początku do końca.

- I ja też - powiedział gderliwie pan prezydent. - Ofiara oszusta przez osobę podstawioną. A ty coś o tym wiedziałeś, Horacio?

- Tak, panie prezydencie - odpowiedział pan mecenas Miscosillas. - Ale kiedy to odkryliśmy, pan objął już prezydenturę i obawialiśmy się, że przykrość tej rangi mogłaby zachwiać powszechny szacunek, jakim pan się cieszy, oraz pańską równowagę umysłową. Ponadto poinformowanie pana nie na wiele by się zdało: Agustin Taberner *alias* Gauczo był zrujnowany i poważnie chory. Ograniczyliśmy się do zlecenia, żeby jako oficjalną nauczkę złamano mu nogi, i oznajmiliśmy, że posiadamy wysoce kompromitujące dla niego dokumenty. Powiedzieliśmy, że gdy zechcemy, uzyskamy dla niego wyrok dożywotni, i chyba zrozumiał, ponieważ zniknął bez śladu.

- Dla Agustina Tabenera *alias* Gauczo, szantażowanego, chorego i pobitego, rozpoczął się okres dekadencji - wyjaśniła Reinona. - W innym momencie, będąc tak atrakcyjnym mężczyzną, Agustin Taberner *alias* Gauczo mógłby wyemigrować, osiąść w innym kraju, przedsięwziąć coś nowego. A ja wyjechałabym z nim. Ale choroba to uniemożliwiła. Wskutek pobicia został sparaliżowany od pasa w dół, on, który tyle osiągnął dzięki tej części ciała! Żal było na niego patrzeć. W owym czasie Ivet ukończyła studia i wyjechała do Nowego Jorku szlifować angielski, poszerzać horyzonty kulturalne i szukać pracy na miarę swych zalet. Ze swoją inteligencją i pyszczkiem szybko otrzymała bardzo interesujące propozycje. Po kilku miesiącach odnosiła już sukcesy jako modelka prezentująca ekskluzywną bieliznę. Największe agencje wrywały ją sobie. Mnie zaś serce krajało się na myśl, że muszę przerwać tak błyskotliwą karierę, ale okoliczności nie pozostawiały mi innego wyjścia. Napisałam do niej długi list, wyjaśniając, kto jest jej prawdziwym ojcem - rzecz, którą do tej pory przed nią ukrywałam, i prosząc, żeby wróciła się nim opiekować. A ona, dziecko o złotym sercu, spakowała walizki i stawiała się w Barcelonie bez słowa skargi, bez jednego wyrzutu.

- Brawo. Modelowa córka, w dodatku modelka bielizny - wykrzyknęła z sarkazmem Ivet Pardalot. - Wzruszająca bajeczka! Szkoda, że nie zawiera ani sylaby prawdy. Posłuchajcie. Kiedy przebywałam w Amherst, w stanie Massachussets, wpadł mi w ręce okropny katalog sprzedaży wysyłkowej. Ktoś musiał go zostawić na ławce w parku. Na wypłowiej reklamie flanelowych majtek dla seniorów rozpoznałam Ivet. Zaintrygowana, przeprowadziłam małe śledztwo. W Nowym Jorku Ivet próbowała szczęścia w świecie reklamy. Na próżno - czym innym jest być ładną w Llavaneras, a czym innym pojawić się na okładce „Vanity Fair”. Jednej się udaje, dziesięć tysięcy ponosi klęskę. Może sto tysięcy. Przypadek Ivet był jednym z wielu, zwykła pozycja w statystyce. Rozczarowana, bez charakteru i środków, wpadła w złe towarzystwo: narkotyki, bulimia, ukryta prostytutka. Powinnam jej współczuć, ale nowina ta raczej mnie rozśmieszyła. W szkole marzyłam o tym, żeby zostać modelką, jednak pospolita uroda sprawiła, że nie połknęłam haczyka, a teraz, bo byłam brzydka, studiowałam w Amherst, w stanie Massachusetts i pisałam doktorat z Business Administration. Za to Ivet, bo była ładna, taplała się w błocie. Czy miałam jej żalować? Może. Nie szukałam zemsty, ale skoro los podał mi ją na tacy, dlaczego miałam się bronić? Postąpiłam źle? Powinnam była pobiec na pomoc koleżance z lat szkolnych? W imię czego? Nie byłam jej nic winna i nie miałam ochoty brać sobie na głowę uzależnionej

panienki. Pewnego dnia powiedziano mi, że wróciła do Barcelony. Rok później, po obronie doktorskiej, ja też wróciłam i objęłam kierownicze stanowisko w firmie mego ojca. Jak cykada i mrówka.

- Może nie musiałaś tak plastycznie przedstawiać pewnych szczegółów, złotko - powiedział pan mecenas Miscosillas. - Biedna Ivet zeszła całkiem na dno.

Miał rację. W miarę jak odsłaniano jej krótką biografię, Ivet spuszczała głowę coraz niżej, aż czołem oparła ją o kolana. Rytmiczny szloch wstrząsał jej ciałem i krzesłem. Gdy zapadła cisza, podniosła twarz i z tej niewygodnej pozycji popatrzyła na nas pustymi oczami.

- Jestem dnem, taka jest prawda - powiedziała ochryplym głosem. Wyprostowała się, otarła łzy wierzchem dłoni i ciągnęła: - List matki stał się okazją, by porzucić to wszystko i wrócić do Barcelony bez zdradzenia światu kłęski moich ambicji. Wróciłam gotowa zmienić się wewnętrznie i rozpocząć nowe życie, ale nie byłam w stanie oderwać się od przeszłości. Udało mi się, a potem znowu upadałam. Teraz jestem w fazie upadku. Kiedy coś mnie smuci albo przeraża, nie potrafię nawet kiwnąć palcem. Z tego powodu nie znalazłam stałej pracy i nie mogłam zająć się ojcem, którego musiałyśmy umieścić w ośrodku dla inwalidów. Wybrałyśmy ośrodek położony poza Barceloną, bo tam, z dala od miejsca jego szwindli, nie groziły mu ewentualne represje Pardalota. Poza tym pod Barceloną takie ośrodki są tańsze. Ale i ten kosztował spore pieniądze, które Reinona musiała dostarczać co miesiąc, nie licząc tego, co bezustannie wyludzałam od niej na swoje utrzymanie i używki. Moja obecność w Barcelonie nie tylko nie odciążała jej, lecz wręcz przeciwnie, pogorszyła sytuację, aż ta stała się nie do wytrzymania.

- Nie mów tak, Ivet - powiedziała Reinona. - Sam fakt, że tu jesteś, jest stałym powodem do radości dla mnie i dla twego biednego ojca. Co do pieniędzy, jakoś sobie radziłam. Początkowo bez zbytnich trudności. Potem sprawy skomplikowały się. Nawet taki ciamajda jak mój mąż nie mógł nie dostrzec tak poważnych nieuzasadnionych wydatków, do których zmuszali mnie mój niepełnosprawny ekskochanek i nieślubna córka. Aby uzyskać dodatkowe kwoty, musiałam stale coś wymyślać. Pewnego dnia przyszło mi do głowy, by sprzedać jeden z moich klejnotów. Miałam nadzieję, że jego zniknięcie przejdzie niezauważone, ale tak się nie stało. Klejnot był ubezpieczony, kradzież zgłoszona, rozpoczęło się śledztwo, a podejrzenia padły na biedną kucharkę, która na szczęście udowodniła swą niewinność i uczciwość. Potem, aby zapobiec powtórzeniu się tego nieprzyjemnego incydentu...

- Podrabiała pani własne klejnoty - powiedziałem. Reinona przytaknęła, a ja ciągnąłem, zwracając się do zebranych: - Za każdym razem, gdy pani Reinona musiała pokryć jakiś poważny lub niespodziewany wydatek, zwracała się do jakiegoś niezbyt drobiazgowego jubilera, który wykonywał kopię klejnotu przeznaczonego na sprzedaż. Być może sam fałszerz kupował autentyczny klejnot. W tym momencie sejf pani Reinony zawiera sporą kolekcję bezwartościowych świecidełek, z których jedno, a konkretnie - pierścionek z brylantami, powierzyła mi na przechowanie. Z pewnością obawiała się nowego śledztwa w związku z zabójstwem Pardalota i nie chciała, by pośród jej biżuterii odkryto dwa identyczne pierścionki, jeden prawdziwy, drugi podrobiony. Ktoś jednak musiał zauważyć jej manewr, bo tej samej nocy przyszła do mnie policja i chciała mnie aresztować za kradzież. Za pierwszym razem udało mi się wyjść z opresji cało, ale za drugim już nie. Zwróciłem pierścionek właścicielce, ale policja mnie aresztowała. Byłbym jeszcze w więzieniu, gdyby nie interwencja pana mecenasa Miscosillasa. Niespowodowana bynajmniej altruizmem, lecz prośbą Ivet Pardalot, która chciała zaskarbić sobie moje zaufanie i być może posłużyć się mną do realizacji swych perfidnych planów. O jakie plany chodzi i dlaczego nazywam je perfidnymi, tego dowiedzą się państwo, jeśli ktoś z was podejdzie do drzwi i zobaczy, kto puka, bo wszystko wskazuje na to, że ktoś jeszcze ma zamiar przyłączyć się do naszego zgromadzenia.

Wszyscy obecni, oprócz zainteresowanego, z trudem powstrzymali śmiech, gdy pan mecenas Miscosillas ponownie musiał wstać z sofy i iść otworzyć drzwi. Wykorzystałem przerwę w rozmowie, by pochylić się do Reinony, której krzesło stało obok mojego, i zapytać ją na ucho, czy posiada klucz do drzwi wejściowych (domku, tego domku), a jeśli nie, to w jaki sposób weszła tak niespostrzeżenie, nie pukając do drzwi, albo raczej któreś weszła, na co ona, ściskając mi ręką kolano, odrzekła szeptem:

- Mam jeszcze klucz do kuchni. Agustin Taberner alias Gauczo i ja widywaliśmy się ukradkiem w tym domku. Nie mów tego nikomu, a przede wszystkim mojemu mężowi, który właśnie wkracza do salonu.

Tak było, w rzeczy samej. Arderiu, mąż Reinony, rozesał uśmiechy na prawo i lewo, po czym otworzył parasol i powiedział:

- Dobry wieczór wszystkim. Przyszedłem zobaczyć, co robi Reinona. Reinona jest moją żoną. Ja jestem Arderiu, mąż Reinony, która tejże nocy, po spożyciu kolacji w domu, w moim towarzystwie, jak to jest w naszym zwyczaju, jeśli nie robimy nic innego, zwróciła się do mnie i oświadczyła, z całkowitą naturalnością i bez ogródek, że wybiera się z przyjaciółką albo kilkoma przyjaciółkami, nie pamiętam dokładnie, na koncert Renato Carosone. Uznałem to za dobry pomysł i dałem jej to do zrozumienia bez ogródek: nigdy nie sprzeciwiam się upodobaniom mojej żony. Potem jednak zacząłem się zastanawiać i uświadomiłem sobie, że Renato Carosone już od dobrych kilku lat nie występuje w Barcelonie. Od czterdziestu czy coś koło tego. Szczegół ten nie przykułby mojej uwagi, gdyby nie to, że od kilku dni Reinona pozostawała najwyraźniej w stanie dużego podniecenia. Mam na myśli podniecenie nerwowe. Spędzała całe godziny w fotelu, opryskliwa, milcząca, niekiedy ze zmarszczkami na czole, a innym razem ze łzami płynącymi po policzkach, niekiedy nawet, wskutek konwulsji, ze łzami na czole. Krótko mówiąc, wyraźny napad paroksyzmu. Pomyślałem więc, że historia z koncertem może być tylko wymówką, a tak naprawdę ktoś tu może knuć coś strasznego, na przykład huczne obchody moich urodzin albo Bóg wie co. Dobrze, lubię mówić bez ogródek, więc bez ogródek postanowiłem zapytać służbę domową, dokąd poszła moja żona. Służba domowa zawsze wie takie rzeczy. Raimundita powiedziała mi, że jej chłopak opowiedział jej tego samego wieczoru coś o jakimś porwaniu jakiegoś paralityka oraz o domku w Castelldefels. Gdy skończyła swoją długą relację, powiązałem nitki. No dobrze, dobrze, dobrze. Na wypadek, gdyby państwo nie wiedzieli, informuję, że Reinona dawno temu miała romans z byłym współnikiem zmarłego Pardalota. Potem sparaliżowało mu nogi i dostał napadu paroksyzmu. Wiążąc jedne nitki z innymi, wydedukowałem, że ten paralytyk oraz porwany paralytyk to jeden i ten sam paralytyk. W tym samym procesie dedukcji wydedukowałem, że domek w Castelldefels to ten domek. Na wypadek, gdyby państwo nie wiedzieli, informuję, że domek ten należał do ojca zmarłego Pardalota, a zmarły Pardalot i jego koledzy korzystali z niego w latach szczenięcych, przywożąc tu panienki i organizując zabawy oraz pijatyki. Ja sam przyjechałem tu kilka razy i spotkałem zmarłego Pardalota oraz pana prezydenta, wówczas jeszcze nie pana prezydenta, w wirze zabawy lub w wirze pijatyki - w zależności od dnia, ale zawsze w stanie autentycznego paroksyzmu. Przyjeżdżał do tego domku także bardzo sympatyczny facet zwany Agustin Taberner *alias* Dupek czy coś w tym stylu, dobry tancerz. Potem dowiedziałem się, że Reinona miała romans z tym Agustinem Tabernerem czy jak on tam się nazywał i że on albo ona, nie pamiętam dokładnie, zostali sparaliżowani. Dlatego przyjechałem.

Co powiedziawszy, zamknął parasol, posłał mi swój najpiękniejszy uśmiech i powiedział:

- Dobry wieczór. Jestem Arderiu, mąż Reinony. Pańska twarz wydaje mi się znajoma, ale nie wiem, czy mam przyjemność znać pana.

Przypomniałem mu nasze poprzednie spotkania, pierwsze w jego własnym domu, na przyjęciu wydanym w celu zebrania funduszy na kampanię wyborczą pana prezydenta, i

drugie w moim skromnym mieszkanku, dokąd przyszedł z własnej woli i gdzie zasnął za zasłoną.

- Ach tak, proszę wybaczyć - powiedział. - Mam bardzo słabą pamięć. Na trzy rzeczy, które robię, pamiętam jedną, a zapominam dwie, i nigdy nie wiem, jak ta, którą pamiętam, ma się do pozostałych. A te dwie przemiłe panienki? - dodał, zwracając się jednocześnie do Ivet i Ivet Pardalot. - Jakie ładne, jakie szykowne i jak dobrze zachowane! Nikt nie powiedziałby, że to matka i córka.

- Nie jesteśmy matką i córką, tępaku - powiedziała Ivet Pardalot. - Tej nie widziałeś nigdy w życiu, a mnie znasz od urodzenia. - Jestem Ivet Pardalot, a w dodatku niedawno spędziliśmy razem weekend w zamku nieopodal Saint-Paul-de-Vence.

- Ach tak, już sobie przypominam, jakżeby nie, jakżeby nie - krzyknął Arderiu, uderzając się w czoło rączką parasola. - Cudowny weekend, zaiste niezapomniany. Czy też spałem za zasłoną?

- Zostawmy te frywolne historie - zaproponowałem - i wróćmy do sedna sprawy. Kto zabił Pardalota?

- Ja nie, proszę pań i panów - odpowiedział pośpiesznie Arderiu.

- Jak może być pan tak pewny? - zapytałem. - Przy swojej słabej pamięci mógł pan go zabić, a następnie o tym zapomnieć.

- Och, to absurdalne - powiedział Arderiu, zwracając się do wszystkich zgromadzonych, a w szczególności do swojego parasola.

- Zmarły Pardalot i ja byliśmy przyjaciółmi. Więcej, ostatnio razem zajmowaliśmy nielegalnym finansowaniem kampanii pana prezydenta.

- Uff, to nie są rzeczy, których powinienem słuchać - wycedził pan prezydent. ..

- Nie zapominajmy jednak - dodałem - że zmarły Pardalot utrzymywał więzy przyjaźni z pańską małżonką, panie Arderiu, o czym sam pan uznał za stosowne poinformować mnie, kiedy zaszczyli pan swoją wizytą moje mieszkanie i zasłonę. I chociaż zapewnia pan o swym liberalizmie w stosunkach małżeńskich, a także okazuje całkowity brak zainteresowania aktywnością żony, za każdym razem gdy pani Reinona wykona jakiś krok, w pięć minut później pojawia się pan w miejscu, do którego się udała, szczególnie w sytuacjach kiedy nie powiedziała panu, dokąd idzie albo próbowała zrobić pana w balona. Ponadto zna pan mnóstwo szczegółów z jej przeszłości których panu nie wyjawiała, o czym wiem od niej samej. Jest nawet możliwe, że wie pan także, kim jest owa panienka, której jakoby nie zna pan z twarzy ani z imienia.

- Ivet? - zapytał Arderiu. - Naprawdę nie znam jej, nigdy jej nie widziałem i nigdy nie słyszałem jej imienia do momentu, kiedy sam je wymówiłem.

- Nie chciałbym wydać się niegrzeczny, panie Arderiu - powiedziałem. - Z pewnością jest pan tak głupi, jak sam mówi. Ale być może nie tak niewinny. Na przykład już od dłuższego czasu wie pan o manewrach z biżuterią. Co więcej, to pan poinformował policję o zniknięciu pierścionka z brylantami podczas przyjęcia i to pan skierował policję na mój ślad, nie tylko raz, lecz dwukrotnie.

- To prawda - przyznał Arderiu. - Lata temu dowiedziałem się o potajemnej sprzedaży przez Reinonę jej klejnotów. Jako że płacąc z własnej kieszeni, to ja je jej podarowałem, doskonale je pamiętałem. Pewnego dnia, w szatni klubu polo, podszedł do mnie jubiler i zaferował mi kolia, którą, jak powiedział, sprzedała mu osoba pragnąca zachować jak najściślej anonimowość. Natychmiast rozpoznałem kolia i kupiłem ją z zamiarem dorzucenia do innych klejnotów, zanim Reinona spostrzeże jej brak, ponieważ nieco wcześniej z kasetki znikły kolczyki i sprawa ta bardzo ją zdenerwowała, zwłaszcza gdy podejrzenia padły na kucharkę, dobrą kobietę i znakomitą kucharkę. No dobrze, poszedłem zatem włożyć kolia do jej kasetki i z ogromnym zdziwieniem spostrzegłem, że nadal tam jest, będąc jednocześnie w moich rękach. Zdumiony faktem, że w Barcelonie znajdują się dwie

identyczne kolie (obie w moim posiadaniu), pokazałem je innemu jubilerowi i dowiedziałem się, że jedna jest prawdziwa, a druga podrobiona. Jako że nic z tego nie rozumiałem, nie powiedziałem nikomu, a przede wszystkim Reinonie. Autentyczną kolie umieściłem w kasetce, a fałszywą schowałem do mojego sejf. Po jakimś czasie ta sama historia powtórzyła się z innym klejnotem, tym razem z brzydkim jak strup modernistycznym wisiorkiem mojej babki. Odkupiłem go bez ogródek. Do tego momentu odkupiłem już całą biżuterię Reinony.

- Ale nigdy, przez te wszystkie lata, niczego mi nie powiedziałaś - odrzekła Reinona.

- Nie chciałem sprawić ci przykrości, która mogłaby doprowadzić cię do paroksyzmu - odpowiedział Arderiu. - Dla mnie najważniejsze jest, żeby nic nie zakłóciło twojego komfortu psychosomatycznego i żebyś mogła wychodzić z domu bez wstydu i bez biżuterii.

Słyszając tę szlachetną deklarację swego stukniętego męża, Reinona nie była w stanie powstrzymać prawdziwego strumienia łez.

- I to wszystko z miłości? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Arderiu. - Kiedy analizuję moje motywy, zwykle popadam w nieścisłość. Kiedyś, gdy byłem młody, miałem dziwny sen. Pamiętam tylko, że działo się to w Torralba de Calatrava, w prowincji Ciudad Real. Udałem się do traumatologa, ale nie doszliśmy do porozumienia. Od tamtego czasu rządzą się kilkoma prostymi zasadami własnego autorstwa. Na przykład, że jeśli nie możemy uczynić szczęśliwymi osób, które powierzył nam los, powinniśmy przynajmniej nie dopuścić do tego, żeby je zamordowano.

Zdesperowana Ivet Pardalot walnęła pięścią w kredens z sosnowego drewna i krzyknęła:

- Dość tych romantycznych bzdur. Gdybym przez pomyłkę przeczytała podobną scenę w jakimś tanim powieścidle, natychmiast wyrzuciłabym je do śmieci, splunąwszy najpierw na nazwisko autora. Zachowajcie dla siebie wasze parszywe uczucia i skoncentrujcie wypowiedzi i oświadczenia na okolicznościach, w jakich doszło do morderstwa Pardalota. Pierwszemu, kto da upust uczuciom, wpakuję kulę w łeb.

- Dobrze - powiedział Arderiu. - Myślałem, że to wszystko ściśle się łączy. Przepraszam. Sprawy wyglądały następująco. Wiedziałem, że moja żona i Pardalot widują się ukradkiem. To, w połączeniu z ciągłą sprzedażą klejnotów, zaczęło mi doskwierać. Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie mam nic przeciwko temu, by moja żona realizowała się w pełni jako istota ludzka, dopóki tylko zdjęcia nie ukażą się w „Interviu”. Ale w tym przypadku wyczułem problem, żeby nie użyć mocniejszego słowa: tessitura. Postanowiłem zatem zebrać informacje za pośrednictwem specjalistycznej agencji. Jako że nie znałem żadnej, poprosiłem o radę pana prezydenta, a on odesłał mnie do sprawdzonej i zaufanej agencji konsultingowej, której sam zlecał wykonywanie sondaży przedwyborczych podczas kampanii. Kupował tam również pirackie oprogramowanie. Zwróciłem się bez ogródek do owej firmy, przyjęli mnie bardzo dobrze i ze względu na moją pozycję do prowadzenia sprawy oddelegowali zasłużonego młodzieńca, niezwykle podobnego do tego chłopca z beretą i o kulach.

- Santi pracuje dla ciebie? - zapytała Reinona.

- Jeśli to jest ten sam i nazywa się Santi, to tak - przyznał Arderiu. - No dobrze, zgodnie z planem, Santi zatrudnił się w biurach Hiszpańskiego Szachraja jako nocny strażnik, aby móc śledzić Pardalota z bliska. Tym sposobem dowiedziałem się, że Reinonie grozi potrójne niebezpieczeństwo: po pierwsze, bo każdej kobiecie grozi niebezpieczeństwo, przy obecnym poziomie przemocy wobec kobiet; po drugie, ze względu na pewne cechy charakterystyczne samej Reinony; a po trzecie, z powodów, które wyluszczyłem wiele stron temu.

- O jakim niebezpieczeństwie mówił Santi? - zapytała Ivet.

- Nie wiem - odrzekł Arderiu. - Jeśli mnie pamięć nie myli, mówił o przesłankach. Widział Reinonę przychodzącą do biura, siedł za nią korytarzami, podsłuchiwał pod drzwiami i wyraźnie słyszał słowa wypowiedziane podniesionym głosem, wyrażenia autentycznie antytetyczne i krzyki.

- Krzyki? - zapytał pan prezydent. - Jakiego rodzaju?

- Takie, jakie się wydaje ustami - odpowiedział Arderiu. - Ach, ach, och, och, jeszcze, jeszcze i tak dalej.

- Dobrze, zmieńmy temat - zaproponowałem, widząc, że Reinona się czerwieni. - Kilka nocy temu przyjął pan w domu pana mecenas Miscosillas, który podczas rozmowy w cztery oczy powiedział panu o konieczności zlokalizowania Agustina Tabernera *alias* Gauczo, i to bezzwłocznie. Rozmowa ta została podsłuchana przez Raimunditę, przekazana przez nią narzeczonemu, murzyńskiemu kierowcy zwanemu Magnolio, a przez niego mnie, przy czym wspomniany Magnolio zdążył wyjawić miejsce pobytu Agustina Tabernera *alias* Gauczo panu mecenasowi Miscosillasowi w zamian za gratyfikację w brzęczącej monecie.

- Przepraszam - powiedział Arderiu. - Nie śledziłem sensu pana wypowiedzi do końca, ale co do wizyty pana mecenas Miscosillas i miejsca pobytu Agustina Tabernera *alias* Gauczo, to prawda. Nie wiedziałem o jego istnieniu, ale pan mecenas Miscosillas sądził coś przeciwnego, z powodów właściwych jemu i jego profesji.

- Myślałem, że Reinona coś mu powiedziała - włączył się pan mecenas Miscosillas - albo że powiedział mu Pardalot, albo sam Santi. Santi także pracuje dla mnie. Miałem powody, by śledzić Pardalota z bliska, i za poradą pana prezydenta skorzystałem z usług agencji, w której był zatrudniony Santi. Gdy przedstawiłem im moją sprawę, powiedzieli mi, że na zlecenie pana Arderiu umieścili właśnie jednego ze swoich najlepszych ludzi w biurach Hiszpańskiego Szachraja i że dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, za dodatkową opłatą, mogą przekazać mi informacje na temat Pardalota i Arderiu. Arderiu nie interesował mnie specjalnie, ponieważ jest głupi jak but, ale przyjąłem propozycję.

- Dlaczego chciał pan śledzić Pardalota? - zapytałem. - Pardalot i pan byliście współnikami, pokładał w panu całkowite zaufanie, powiedziałby panu wszystko. Czy nie?

Pan mecenas Miscosillas zawahał się na moment, po czym odpowiedział:

— Przykro mi, nie jestem upoważniony do odpowiedzi na to pytanie.

Kto, tak jak ja, nie dostąpił przywileju spędzenia większej części życia w domu wariatów, być może nie zna tej wielkiej prawdy: że wszyscy tam zamknięci wyraźnie dostrzegają szaleństwo pozostałych, lecz żaden nie widzi swojego. Biorąc to pod uwagę i korzystając ze zmęczonej ciszy, jaka zaległa, gdy pan mecenas Miscosillas odmówił podania racjonalnej podstawy swoich czynów (szpiegostwa), dokonałem w myśli przeglądu wydarzeń, które poprzedziły zbrodnię i które po niej nastąpiły, oraz udziału w nich każdego z obecnych, po czym, uporządkowawszy tą metodą myśli, postanowiłem przedstawić wszystkim obecnym wnioski, by zajaśniało wreszcie światło prawdy i byśmy mogli pójść do domu.

Przed zabraniem głosu dokonałem też przeglądu aktualnej (wówczas) sytuacji oraz ewentualnych konsekwencji moich słów, gdyż nie jest tym samym oznajmienie prawdy osobie, która może poczuć się nią urażona, co wyznanie jej komuś, kto oprócz tego trzyma w ręce pistolet. W opisywanym momencie na wierzchu były dwa pistolety, to jest beretta 89 Santiago i stary rewolwer marki Remington, kaliber 44 Ivet Pardalot, ale spodziewałem się, że między czterema ścianami naszego salonu powinny znajdować się jeszcze co najmniej dwa. Mając to w pamięci, z zamiarem uspokojenia umysłów, rozpocząłem od oświadczenia, jaką przyjemność sprawia mi towarzystwo wszystkich obecnych, podziękowałem im z góry za cierpliwość i bezstronność. Nic z tego, co powiem, zapewniłem, nie powinno sprawić im przykrości, ponieważ - choć pod koniec mego wystąpienia ktoś mógłby poczuć ciężary na nim i poparty niepodważalnymi dowodami zarzut o morderstwo - moje rozumowanie oraz wnioski mają cel czysto wyjaśniający, dydaktyczny i w gruncie rzeczy towarzyski, w żaden sposób nie zamierzają zakłócać swobodnej i serdecznej atmosfery panującej w salonie. Nie omieszkałem również zaznaczyć, że tejże nocy, wkrótce przed wyruszeniem do Castelldefels, gdzie się aktualnie znajdowaliśmy, spisałem owe wnioski i przekazałem je w bezpieczne ręce z poleceniem oddania ich policji i prasie, w razie gdyby przydarzyło mi się coś złego. Następnie przeszedłem do nakreślenia ogólnego szkicu sytuacji, porządkując wydarzenia chronologicznie i stawiając na swoim miejscu każdą osobę i rzecz, w wyniku czego moja opowieść przybrała mniej więcej następujący tok:

Począwszy od lat siedemdziesiątych (w Hiszpanii), trzecni wspólników: Manuel Pardalot, obecnie zmarły; pan prezydent, obecnie prezydent; oraz Agustin Taberner *alias* Gauczo, zakładało jedną spółkę po drugiej, w rzeczywistości jedną i tę samą. Od samego początku pan prezydent był reprezentowany przez pana mecenas Miscosillasa. Spółki dokonały kilku operacji wątpliwej legalności (być może wszystkie operacje posiadały tę cechę), po których pozostał ślad w dokumentach, nie całkiem nieszkodliwy z prawnego punktu widzenia, a całkowicie szkodliwy z politycznego, zwłaszcza dla pana prezydenta. Jako że tam gdzie jest okazja, pojawi się i złodziej, firma, czy też kolejne firmy, padła ofiarą oszustwa ze strony jednego ze wspólników - Agustina Tabenera *alias* Gauczo. Nie poprzestając na tym, Agustin Taberner *alias* Gauczo związał się z narzeczoną Pardalota, Reinoną, za plecami tegoż. Związek zakończył się ciężą (nie podjęli środków ostrożności) i Reinona wyjechała do Londynu, aby ją usunąć. Nie zrobiła tego jednak, została w Londynie i urodziła córeczkę, którą nazwała Ivet. Wściekły, ale jeszcze nieświadomy podwójnej nielojalności wspólnika, Pardalot ożenił się z inną kobietą i spłodził córeczkę, której także dano na imię Ivet. Obie dziewczynki wdały się w ojców: córka Reinony i Agustina Tabenera *alias* Gauczo była śliczna i płocha; ta druga, inteligentna, pracowita, ambitna i dość brzydka.

Minęły lata. Reinona wróciła do Barcelony, oddała Ivet do szkoły z internatem, a żeby zapewnić utrzymanie córce i sobie, wstąpiła w związek małżeński z Arderiu, przed którym ukryła istnienie dziewczynki i któremu, aby uniknąć nowych komplikacji, powiedziała, że jest bezpłodna. Jako że wybrała dla córki najlepszą szkołę w mieście, nic dziwnego, że wylądowała tam także córka Pardalota. Małżeństwo Pardalota zakończyło się fiaskiem i by

oszczędzić dziewczynce scen lub konieczności wyboru między rodzicami, umieścili ją w internacie. Dziewczęta (niemal rówieśniczki), nie wiedząc, że łączy je przeszłość rodziców, zawarły wielką przyjaźń, którą różnice charakterów i pozycji społecznej miały wkrótce przerwać. Po opuszczeniu internatu, nie umawiając się, niczego o sobie nawzajem nie wiedząc, wyjechały do Stanów Zjednoczonych Ameryki, jedna do Nowego Jorku, druga na uniwersytet w miasteczku o nazwie niemożliwej do wypowiedzenia. Jak już wiemy, jednej się powiodło, drugiej nie.

Po tej stronie oceanu sprawy Agustina Taberera *alias* Gauczo toczyły się źle. Zachorował na nieuleczalną chorobę weneryczną, a jego oszustwa zostały wykryte. Z powodów łatwych do zrozumienia jego wspólnicy nie oddali sprawy do sądu - zadowolili się wykluczeniem go ze spółki i połamali mu nogi. Reinona go przygarnęła. Za środki otrzymane ze sprzedaży jednego z klejnotów wynajęła mieszkanie przy ulicy Bailen i umieściła go tam. Następnie sprowadziła Ivet z Ameryki, by się nim opiekowała. Ojcem, nie mieszkaniem. Ale Ivet nie była w stanie opiekować się kimkolwiek. Sama wymagała opieki. W nieformalnej rodzinie Gaucza działało się bardzo kiepsko.

- O tym wszystkim - powiedziała Ivet Pardalot - już wiemy. Sami to przed chwilą opowiedzieliśmy.

- To trzeba było skorzystać z okazji i iść siusiu, panno Ivet - odrzekłem - bo rzeczy, o których powiem teraz, są nowe i ważne. Otóż - ciągnąłem, zwracając się do wszystkich zgromadzonych - powrót panny Ivet Pardalot ze Stanów Zjednoczonych i objęcie przez nią stanowiska w firmie ojca, zmarłego Pardalota, zaburzyły ów nowy i niepewny status quo. Panna Ivet Pardalot nie była i nie jest osobą skłoną do życia w czyimkolwiek cieniu. Gdy tylko zaaklimatyzowała się w Barcelonie, wprowadziła w życie plan przejęcia firmy. W tym celu przeprowadziła zmianę statutu i zastąpiła swoją osobą Agustina Taberera *alias* Gauczo.

- Przepraszam - wtrąciła zainteresowana. - Ten fragment opowieści jest owocem twojej wyobraźni, by nie powiedzieć, arbitralnego osądu. Nie możesz wiedzieć, jakie były moje intencje.

- Domyślałem się - odpowiedziałem - i nie sądzę, bym się mylił. W przestarzałej firmie, przedpotopowym dinozaurze chciała pani wprowadzić dynamizm, jaki zaszczerpiono w pani za oceanem. Inaczej po cóż zostawałaby pani kochanką takiego zimnochujka jak pan mecenas Miscosillas?

- Proszę mnie nie przezywać, dobry człowieku - podskoczył pan mecenas Miscosillas. - Po pierwsze, nie będę tolerował mieszania się w nasze prywatne sprawy. Po drugie, nigdy pan mnie nie widział w akcji ani podczas strojenia instrumentu, ani podczas wbijania piki.

- Nie miałem okazji - przyznałem. — To, o czym mówię, opowiedziała mi sama panna Ivet Pardalot w noc, kiedy zabrała mnie do siebie po tym, jak wyciągnął mnie pan z pudła. Przy tej okazji, podczas gdy byliśmy w łóżku, sam na sam, czy też, mówiąc ściślej na łóżku, poskarżyła się na pańską małość, wykpiła pańską próżność i przeprowadziła niekorzystne porównanie między panem a pewnym gotowanym warzywem. Następnie pokazała mi film wideo...

Słyszając owe oskarżenia, pan mecenas Miscosillas poblądł, podniósł się nieco z sofy, otworzył usta na oścież i pozwolił, by strumyczek śliny zawisł mu z dolnej wargi jak serce dzwonu. Potem drżącym palcem wskazał Ivet Pardalot i, obracając się do reszty towarzystwa, wybełkotał:

- Nie zwracajcie państwo uwagi na oszczerstwa rozsiewane przez tę markietankę. Zazwyczaj wywiązuję się ze swoich obowiązków z nawiązką i jeśli raz czy dwa nie zasłużyłem na *cum laude*, nie była to wina moja, lecz jej. Jest niezdarą, szorstką, apatyczną, powolną, prymitywną, tępa, bezwstydną, ocieźlała i szczeciniasta. Odbywać z nią stosunek płciowy to, jakby całować Sancho Pansę. Co do filmu, nagraliśmy go dla żartów pewnego deszczowego niedzielного popołudnia, żeby w dalekiej przyszłości mogły się z niego

pośmiać nasze wnuki. *Dixi.*

Wygłosiwszy swą płomienną mowę obrończą, pan mecenas Miscosillas usiadł i poprosił sąsiada z sofy o chusteczkę lub też, w razie jej braku, o ulotkę wyborczą, którą mógłby wytrzeć sobie ślady śliny, jakie na klapach marynarki pozostawiła jego soczysta wymowa. Zupełnie natomiast nie zmieniło się pogodne oblicze panny Ivet Pardalot, ani podczas zeznania kochanka, ani gdy w chwilę później powiedziała mu:

- Możesz być z siebie dumny: dałeś się nabrać jak głupiec nędznemu fryzjerowi. Nigdy nie wymieniłam twojego imienia w jego obecności ani nie opowiadałam mu o nas, ani tym bardziej nie pokazałam filmu. Błefował, a ty z próżności wygadałeś mu o wszystkim. Nieważne. Dziękuję za szczerość, cieszę się, że poznałam twoją opinię na temat moich wdzięków, i zachowuję sobie prawo odpowiedzenia na twoje komplementy, kiedy uznam to za stosowne. A ty mów dalej.

Te ostatnie słowa skierowane były do mnie i nie dałem się prosić.

- Z obcowania z panem mecenasem Miscosillasem panna Ivet Pardalot wyniosła cenną informację, którą natychmiast postanowiła się posłużyć. Ale zostawmy to na chwilę i podejmijmy inny, przerwany wątek. Panna Ivet Pardalot nie zapomniała o drugiej Ivet. Wiedziała o jej powrocie do Barcelony, choć nie znała jego powodu, i bez trudu odkryła jej miejsce zamieszkania oraz kłopoty finansowe. Z drugiej strony (symultanicznie) panna Ivet Pardalot śledziła także losy Reinony, którą nie bez racji obwiniała za chroniczne przygnębienie Pardalota oraz za opuszczenie i zgorzknienie, jakiego zaznała w dzieciństwie. Jak wcześniej pana mecenas Miscosillas, tak teraz uwiodła Arderiu, z którym spotykała się jednak bardziej sporadycznie, a ostatnio, jak usłyszeliśmy przed chwilą, spędziła weekend w dyskretnym zamku po drugiej stronie Pirenejów.

- Jak mogłem się oprzeć? - usprawiedliwił się Arderiu. - Przysięgła mi, że nie interesuje jej ja, tylko mój samochód. Mam porsche carrerę 3600 centymetrów sześciennych. Przy tym wszystkim nasz związek nie wykroczył poza zwykłą tessiturę. Szaleńczą, wyznają, ale tessiturę, nic więcej.

- Tak czy owak - ciągnąłem - panna Ivet Pardalot zaczerpnęła z tego źródła świeże i ważne informacje dotyczące Reinony. Być może dowiedziała się, że jej ojca unieszczęśliwiła zdrada Agustina Taberera *alias* Gauczo. Był może odkryła prawdziwych rodziców Ivet. Podsumowując, między panem mecenasem Miscosillasem, Arderiu, własnym ojcem, który ufał jej całkowicie, oraz Santim, któremu zapłaciła albo też uwiodła go, albo i zapłaciła, i uwiodła, zbudowała własną sieć niecznych planów. A teraz proszę wyteżyć uwagę, gdyż zbliżamy się do nocy, której popełniono zbrodnię.

Zapadła wyczekująca cisza, a pan prezydent, świadom transcendentnego charakteru momentu, wyjął palec z nosa i powiedział:

- Proszę zaczekać. Jeśli zamierza pan wyjawić nam tożsamość mordercy, byłoby sprawiedliwie, gdybyśmy wszyscy, jak wymaga prawo, znajdowali się na równych pozycjach. Wszyscy siedzimy, oprócz Arderiu. Horacio, wiesz, co masz zrobić.

Pozostający jeszcze pod wpływem zamachu na jego męskość pan mecenas Miscosillas odparł, że się nie pozwoli nikomu traktować jak chuj stróża, nawet prezydentowi prawie już wybranemu na następną kadencję, i dodał, że jeśli Arderiu chce usiąść, niech sam sobie pójdzie po krzesło albo niech siada na podłodze. Arderiu przeprosił go, mówiąc, że ze względu na nieznajomość rozmieszczenia pomieszczeń w domku nie odróżni krzesła od innego mebla, a na podłodze usiąść nie może, bo cierpi na lęk wysokości. Na to sam pan prezydent powstał z sofy i powiedział, że on pójdzie po krzesło, zaznaczając wyraźnie, że nie idzie jako prezydent, lecz jako najzwyklejszy obywatel, gdyż, dodał, wszyscy prezydenci w związku ze swoją funkcją mają podwójną osobowość, jak Clark Kent. Gdy wrócił, podjąłem przerwana opowieść:

- Wiedząc o istnieniu dokumentów zgubnych dla błyskotliwej kariery politycznej pana

prezydenta, a także o tym, gdzie się znajdują i jak można się nimi posłużyć, Ivet Pardalot skontaktowała się z drugą Ivet, udając, dzięki akcesoriom, które leżą teraz porzucone na podłodze, grubego mężczyznę z wadą wymowy, i zaproponowała jej zorganizowanie kradzieży w biurach Hiszpańskiego Szachraja. Panna Ivet Pardalot dowiedziała się o moim istnieniu od swoich agentów i uważała, że moja uczciwość oraz brak doświadczenia czynią ze mnie idealne narzędzie jej planów, ale potrzebowała drugiej Ivet, by namówić mnie do popełnienia przestępstwa, a przede wszystkim, by wciągnąć także ją. Ivet zaś potrzebowała pieniędzy i przystała na współpracę. Plan Ivet Pardalot, jeśli państwo go jeszcze nie zrozumieli, był prosty: ja kradłem dokumenty dotyczące pana prezydenta z biur Hiszpańskiego Szachraja i wręczałem je Ivet; Ivet przekazywała je pannie Ivet Pardalot; policja łapała Ivet oraz mnie. Tamtej nocy ktoś (Ivet Pardalot we własnej osobie, pan mecenas Miscosillas lub Santi - na jedno wychodzi) wyłączył alarm i zostawił otwarte drzwi, włącznie z automatyczną bramą do garażu. Nie wyłączył natomiast telewizji przemysłowej, która krok po kroku nagrała, o czym wówczas nie wiedziałem, moje wyczyny. W ten sposób Ivet lub sam Pardalot mogli udowodnić moją winę. Znalazłszy się w rękach sprawiedliwości, nie miałbym innego wyjścia, musiałbym wydać Ivet, a ona mogłaby powiedzieć policji tylko tyle, że działała na zlecenie grubego mężczyzny w kapturze. Plan nie był arcydziełem, lecz na papierze wyglądał nieźle, tyle że, jak to zazwyczaj bywa, przypadek wtrącił coś, czego nikt nie przewidział. Bo oto tejże nocy Pardalot przyszedł do biura Hiszpańskiego Szachraja. Nie było w tym nic nadzwyczajnego — w przygnębieniu, w jakim żył, jedyną pociechę stanowiła praca. Po północy wszedł do gabinetu i natychmiast zauważył, że ktoś tam był. Przejrzał dokumenty i, nie wiedząc, że kradzieży dokonała jego własna córka, poinformował o tym, co się stało, pana prezydenta, który przebywał jeszcze w swoim gabinecie w Urzędzie Miasta. Pan prezydent udał się do biur Hiszpańskiego Szachraja, tak jak, wedle jego słów, polecił mu Pardalot. Wszedł tą samą drogą co ja, nadal wedle jego słów, i dotarł do gabinetu Pardalota. Ale kiedy wszedł do gabinetu, nadal podkreślam, wedle jego słów, Pardalot już nie żył. No dobrze, ale czy owa rozmowa telefoniczna między nimi naprawdę się odbyła?

Przywykły do wysłuchiwanie znacznie poważniejszych oskarżeń na posiedzeniach w Urzędzie Miasta pan prezydent nie stracił spokoju ani godności.

- Rozmowa powinna być odnotowana w rejestrze rozmów Urzędu Miasta - powiedział.
- Każdy obywatel może do niego zajrzeć. Bez opłat.

- Nie trzeba zaglądać do żadnego rejestru - odparłem. - Niewątpliwie rozmowa się odbyła, ale zadzwonił nie Pardalot, tylko Santi. Santi pracuje dla pana, oprócz tego, że pracuje dla wszystkich innych. Nie mógł pan pozwolić na to, by Pardalot swobodnie dysponował dokumentami stanowiącymi zagrożenie dla pańskiej kariery. Dlatego umieścił pan Santiiego w biurach Hiszpańskiego Szachraja. W ten sposób znał pan poczynania Pardalota, a przy okazji pozostałych postaci dramatu. Kiedy Pardalot odkrył brak dokumentów, pierwsze, co uczynił, to było wezwanie Santiiego, na którym spoczywał owej nocy obowiązek pilnowania gmachu. A Santi nie zdążył zawiadomić pana o kradzieży. Wtedy wydał mu pan rozkaz zamordowania Pardalota.

- To absurdalne - powiedział pan prezydent. - Jaki miałem interes, żeby zabijać Pardalota dokładnie wtedy, gdy dokumenty opuściły jego biuro? A gdybym faktycznie rozkazał Santiemu zabić Pardalota, po cóżbym podejmował niepotrzebne ryzyko i przychodził tej samej nocy do Hiszpańskiego Szachraja? Jest prawdopodobne, że sprawy potoczyły się, jak pan mówi, ale zakończenie było inne. Na przykład: Pardalot odkrył brak dokumentów, zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyszedł. Następnie wezwał Santiiego, żeby go opieprzyć, a Santi, wobec perspektywy utraty pracy, zabił go. Co nie brzmi zbyt logicznie, ale mordercy działają według Bóg wie jakiej logiki. Może się pokłócili. W końcu Santi jest jedynym z wielu potencjalnych morderców, który dysponował bronią.

- Panie prezydencie - powiedział Santi - z całym szacunkiem, proszę nie mieszać mnie

do tego bagna. Rzeczywiście, miałem broń i okazję, ale gdzie jest motyw? A nawet jeśli miałbym jakiś powód, żeby zlikwidować Pardalota, dlaczego miałbym wybrać na to noc, kiedy panował tam taki tłok? I proszę nie zapominać, że po zabójstwie ktoś strzelał do mnie (niewątpliwie z zamiarem uciszenia mnie), podczas gdy przebywałem w mieszkaniu tego dzentelmena. Czy nie jest to niekompatybilne z moim autorstwem zbrodni? Nie, najdostojniejszy panie prezydencie, panie i panowie: ja nie zabiłem Pardalota. Natomiast, jeśli pozwolą mi państwo coś zasugerować, czy nie wydaje się wam logiczne, że sama Ivet, która przywłaszczyła sobie niebieską teczkę, aby wyłudzić dodatkowe pieniądze od zakapturzonego mężczyzny, widząc, że zawiera ona dokumenty kompromitujące jej własnego ojca, Agustina Taberera *alias* Gauczo, wzburzona i kipiąca, jak co noc, wróciła do biur Hiszpańskiego Szachraja i zastrzeliła Pardalota?

Ivet miała już zaprotestować przeciwko tej insynuacji, gdy Reinona przeszkodziła jej, wstając i prosząc o głos gestem równie zdecydowanym, co smutnym. Obdarzyliśmy ją uwagą, jakiej żądała, i gdy właśnie otwierała usta, uprzedził ją Arderiu, który wchodząc na krzesło przyniesione przez pana prezydenta, powiedział:

- Nie ma potrzeby oskarżać wszystkich po kolei. Teraz, gdy wszyscy jesteśmy obecni, chcę uczynić wyznanie. Dlatego wszedłem na krzesło, wyzywając zarazem lęk wysokości i prawo ciężkości. Dobrze, uczynię, jak powiedziałem, pewne wyznanie, i zrobię to bez ogródek. Ja zabiłem Pardalota. Jak, kiedy i dlaczego? Już to wyjaśniam bez ogródek. Tamtej nocy pojechałem przejechać się moim samochodem. Mam porsche carrerę 3600 centymetrów sześciennych. W samym środku Vía Augusta zabrakło mi benzyny. Poza tym rozładował mi się akumulator i skończył płyn hamulcowy. Zdarza się. Na szczęście, byłem niedaleko biur Hiszpańskiego Szachraja. Zobaczyłem światło w oknie gabinetu Pardalota. Nie pamiętam, którądy wszedłem, ale wszedłem, poszedłem do gabinetu Pardalota i poprosiłem go, żeby mi pozwolił zadzwonić do warsztatu. Nie chciał, więc go zabiłem. Dobrze, możemy uznać sprawę za rozwiązana.

Zszedł z krzesła i, przyjmując z godnością swój los oskarżonego, zdjął krawat, pasek i wyjął z butów sznurówki. Nie wiedząc, co z nimi zrobić, schował je do kieszeni kurtki. Reinona, która dalej stała, podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu, uśmiechnęła się ze wzruszeniem i powiedziała:

- Kochanie, podciągnij spodnie i załóż pasek. To, co zrobiłeś, jest ogromnie szlachetne. Nie zasłużyłam na taką szczodrość. To ja zabiłam Pardalota.

Arderiu zrobił to, co poleciła mu żona, fucząc i zapewniając nas, że w jego domu rządzi on, i nikt mu nie będzie dyktował, co ma robić. Krótko mówiąc, że skoro mówi, że jest zabójcą, to jest zabójcą i kropka. W tym momencie jednak ustąpił prośbom żony, żeby nie sprawiać jej przykrości, bo widzi, że ta tessitura bardzo ją zdenerwowała. W końcu, jako że nikt nie zwracał na niego uwagi, usiadł i oddał głos Reinonie.

- Owej nocy - zaczęła Reinona - Ivet zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o kradzieży dokumentów. Przejrzała je i była bardzo zdenerwowana tym, co zrobił jej ojciec. Była na haju. Powiedziałam jej, żeby się uspokoiła, że zajmę się tą sprawą i że wszystko załatwię. Zadzwoniłam do Pardalota. Nie było go w domu. Uznałam, że jest w swoim gabinecie w Hiszpańskim Szachraju, gdzie zwykł był urozmaicać nocną samotność, już to grając w gry komputerowe, już to ze mną. Poszłam tam. Santi otworzył mi drzwi, jak wielokrotnie wcześniej. Utrzymywałam ścisły związek z Pardalotem. Był jeszcze we mnie zakochany, a pozwalałam mu się kochać, żeby mieć go pod kontrolą. W ten sposób, myślałam, chroniłam Agustina Taberera *alias* Gauczo od ewentualnych represji ze strony Pardalota czy jego współników. Tak naprawdę wszystko w tym życiu zrobiłam dla Agustina Taberera *alias* Gauczo. Takie już jesteśmy. Ale nie mówmy o mnie. Z pewnością są państwo ciekawi, jak tego dokonałam. Już opowiadam.

Po owym wstępie zrobiła pauzę, z której skorzystała Ivet Pardalot, wygłaszając

następującą przemowę:

- Szanowna pani, pani mąż jest głupi, ale pani jest nie dość, że równie głupia, to jeszcze pretensjonalna. Teraz usiłuje pani oskarżyć samą siebie, żeby ochronić Ivet, tak jakby ktokolwiek oprócz pani mógł poważnie rozważać winę tego modelu smarkaterii, jakim jest pani córka. Naprawdę sądzi pani, że Ivet byłaby w stanie wejść do gmachu Hiszpańskiego Szachraja, znaleźć gabinet mojego ojca, wystrzelić siedem razy i trafić przynajmniej raz, skoro nie potrafi nawet posługiwać się pilotem do telewizora? Ivet żyje na orbicie, niech pani to wreszcie zrozumie. Co do pani zaś, droga Reinono, księżniczko fałszywych klejnotów i uczuć, proszę nie sądzić, że próba ochrony Ivet była aktem odwagi. Pani wyznanie nie jest ani odrobinę wiarygodne. Dlaczegoż mielibyśmy w nie uwierzyć? Dawno temu była pani o krok od wyznania mojemu ojcu swojej zdrady, ale nie wyznała mu jej pani; wyjechała pani do Londynu, żeby usunąć ciążę, ale nie usunęła jej; myślała pani o samobójstwie, ale nie dopełniła go. A teraz chce nam pani wmówić, że kogoś zabiła? Nie, nic z tego, pani, jak wszystkie kobiety z pani pokolenia, jest wiecznie o krok od zrobienia czegoś decydującego, ale w końcu siada pani z założonymi rękami i czeka, aż pojawi się jakiś dureń i zapłaci za rozbite szkło. I to nazywa pani podążaniem za głosem uczucia. Otóż nie, proszę pani, to jest bujanie w obłokach. Pozwoli pani, że powiem jej jeszcze jedno: byłoby uczciwiej z pani strony, gdyby pozwoliła pani, żeby biedny Arderiu wziął na siebie to morderstwo. Skoro przez tyle lat znosił pani kaprysy, niech teraz pójdzie sobie za panią do więzienia. Niech pani poważnie potraktuje swoją rolę i nie próbuje załatwić wszystkiego mężnym czynem w ostatniej chwili. Może wzruszy pani jakieś próchna ze swojego pokolenia, ale dla ludzi współczesnych, dla normalnych ludzi, jest pani dziwacznym straszidłem. Nie mówię ot, tak sobie: pani mąż opowiedział mi o pani mnóstwo rzeczy. Ludzie zawsze opowiadają mnóstwo rzeczy, kiedy myślą, że ktoś ich słucha. Ja słucham. Pozwoliłam mówić Arderiu i zakończyło się to śpiewem Parsifala. Od niego usłyszałam starą historię Reinony i Agustina Taberera *alias* Gauczo. Dowiedziałam się, że nadal tu mieszka i że jest kaleką. Ale Arderiu nie wiedział dokładnie, gdzie. Wówczas postanowiłam odszukać go i skończyć z obojgiem, z kaleką oraz z Reinoną. Zniszczyli życie mojego ojca, a pośrednio także i moje. Ja zniszczę więc ich życie. Ale w tym celu musiałam wywabić go z kryjówki. Związałam się z Miscosillasem. Z nim poszło nawet łatwiej niż z Arderiu. Nawet nie musiałam go wysłuchiwać. W swej nieskończonej pyszałkowatości sądził, że go kocham i podziwiam, i gadał bez przerwy. Nieszczęsny! Jakie uczucia może budzić niedołęzny dureń, który nosi ubrania od Armaniego, ma roleksa i jest tak zacofany, że bawią go komiksy z Mafaldą? Zapytają państwo, jak mogłam mieć takie powodzenie wśród mężczyzn, będąc tak pospolitą. Nie ma w tym mojej zasługi. Mężczyźni są bardzo wymagający, gdy trzeba wydać estetyczny sąd na temat kobiety, ale w godzinie prawdy zadowolają się byle czym. Kiedy to odkryłam, moje życie stało się o wiele bardziej interesujące. Nie wstydzę się przyznać, że ich wykorzystywałam. Stanowi to część mojego zawodu. Przedsiębiorca wykorzystuje wszystko: mężczyzn, kobiety, minerały, kredyty bankowe, wszystko przekształca, ze wszystkiego czerpie pożytek, z wszystkiego ciągnie zysk. Z wyjątkiem firmy takiej jak firma mego ojca. Kiedy zobaczyłam księgi, zdałam sobie sprawę, że tak dalej być nie może. Należało rozwiązać spółkę, zanim by ostatecznie zbankrutowała. Ale w tym celu trzeba było odesłać na emeryturę tych pitekantropów, którzy nadal pragnęli żyć z przywilejów i samochwalstwa. Mam na myśli mojego ojca, prezydenta, Miscosillasa i im podobnych. Nie zamierzałam zrobić im krzywdy. Gdyby zostawili mi wolną rękę, nawet ich interesy ekonomiczne nie doznałyby uszczerbku. Otrzymaliby sowite pensje i raz na trzy miesiące przychodziliby na posiedzenie rady nadzorczej porozmawiać o gastronomii i poopowiadać pieprzne kawały. A tymczasem ja dźmierzyłabym ster. Wspomniałam ojcu o tym projekcie, ale nie zrozumiał go. Od dziecka żył pod skrzydłami sztucznego systemu i nie chciał zauważyć, że czasy się zmieniły. Mój ojciec uważał się za przedsiębiorcę. Katalońskiego przedsiębiorcę. Próbo-

wałam wyjaśnić mu, że to oksymoron, ale nie wiedział nawet, co to jest oksymoron. Zrozumiałam, że próby przekonania go nie mają sensu, i postanowiłam przyspieszyć rozwój wypadków. Miscosillas opowiedział mi o dokumentach dotyczących pana prezydenta. To drobiazg. Kogo może zainteresować oszukańcza przeszłość polityka, kiedy teraźniejszość całkowicie wystarcza, by go skompromitować? Tak czy owak, postanowiłam posłużyć się nimi, żeby wywołać kryzys. Resztę już znacie. Plan się powiódł, ale ostateczny efekt obrócił się przeciwko mnie. Chciałam wszystkich oszukać, a sama zostałam oszukana. To się więcej nie powtórzy.

Ivet Pardalot zakończyła przemowę i zapanowało milczenie, gdyż wszyscy obecni medytowali nad jej słowami. Arderiu nalał sobie whisky, wypił ją jednym haustem i niby starożytny chór przemawiający w imieniu większości powiedział:

- To wszystko bardzo ładnie, ale czy ktoś może mi powiedzieć, kto zabił Pardalota? Intryga coraz bardziej się komplikuje i, jeśli chcecie państwo znać moje zdanie, gmatwa się tak, że już nic nie rozumiem. Albo powie nam pan, kto zabił Pardalota, albo skorzystam z tego, że jesteśmy niedaleko Prat, i pójdę pograć w golfa.

- A ja do kancelarii - powiedział pan mecenas Miscosillas.

- A ja na śniadanie - powiedział Santi.

-A ja na spotkanie przedwyborcze - powiedział pan prezydent.

- A ja do ośrodka dla zbłąkanych pańienek z dobrych domów - powiedziała Ivet.

- A ja do domu, zrobić potrawkę mojemu mężulkowi, który sobie na nią jak najbardziej zasłużył - powiedziała Reinona.

- Dobrze - powiedziałem. - Z najwyższą przyjemnością zaspokoję ciekawość wszystkich obecnych. Mówiąc prawdę, ja też chciałbym skończyć z całą sprawą i nieco odpocząć przed otwarciem Powiernika Pań. Ale w tym celu powinna stanąć przed nami centralna postać dramatu. Proszę was zatem, panowie, byście odszukali Agustina Taberera *alias* Gauczo i przyprowadzili go do salonu, dobrowolnie lub siłą.

Powiedziałem im, że wózek inwalidzki znajdą w pokoju na piętrze, a samego Agustina Taberera *alias* Gauczo w ciemnym kącie pod schodami. Jako że operacja ta wymagała wielu ramion i niemałego wysiłku, powierzono Santiemu pilnowanie trzech kobiet i mojej skromnej osoby, po czym pan prezydent, Arderiu oraz pan mecenas Miscosillas wyszli spełnić narzucony przeze mnie warunek, by w sposób zadowalający rozwiązać problem w ogólności i niektóre jego elementy w szczególności.

Korzystając z chwili wytchnienia, zaproponowałem Santiemu, by odłożył broń albo przynajmniej by przestał we mnie celować, ale odrzucił moją propozycję, twierdząc, że nie zamierza opuścić broni, dopóki Ivet Pardalot trzyma w dłoni swoją, a tym bardziej odłożyć jej, nie mając gwarancji, że nie pojawi się tu w najbliższej przyszłości jeszcze jeden albo więcej pistoletów. Dodał, że do tej pory dowiodłem niewinności wszystkich obecnych oprócz swojej, a wreszcie, że on tylko wykonuje rozkazy. Zaproponowałem wówczas Ivet Pardalot, żeby odłożyła rewolwer tam, gdzie go znalazła, ale odpowiedziała mi zwięźle i wyraźnie pogardliwym gestem i jednosylabowym słowem.

Po chwili wrócił pan mecenas Miscosillas z wózkiem inwalidzkim. W oczekiwaniu na powrót pozostałych panów zreferowałem pokrótce perypetie naszej nieudanej próby ucieczki, a koniec mej opowieści zbiegł się z powrotem pana prezydenta i Arderiu, którzy, niezwykle podekscytowani, oznajmili zgodnym chórem, że Agustina Taberera *alias* Gauczo nie ma w miejscu, w którym go zostawiłem, ani nigdzie indziej.

- Gdybym nie widział tego na własne oczy - wykrzyknął Arderiu - nie uwierzyłbym w to, co widziałem na własne oczy.

- Chodźmy do ogrodu - zaproponował pan mecenas Miscosillas. - Bez wózka inwalidzkiego, który jest tutaj, inwalida nie zajdzie daleko.

- Inwalida może i nie - powiedziałem - ale Agustin Taberner *alias* Gauczo, owszem.

Pobity przez panów, został na jakiś czas sparaliżowany, ale wylizał się z tego. Udawał inwalidę dla wygody. Reinona i Ivet utrzymywały go i opiekowały się nim, a ponadto, uważając go za bezbronny, zazdrośnie strzegły sekretu jego kryjówki. On tymczasem, żyjąc jak król, poza wszelkim podejrzeniem, powrócił do swych oszustw. Wiedząc doskonale, jak funkcjonuje firma, w której założeniu sam uczestniczył, nawiązał kontakt z konkurencją i doprowadził Hiszpańskiego Szachraja na skraj bankructwa, gdzie go znalazła Ivet Pardalot po powrocie ze Stanów. Jednakże nawet jej nie przyszło do głowy powiązanie tych strat z krecią działalnością osobnika uważanego za inwalidę i osobę, która wypadła z gry. Tak anormalna sytuacja nie mogła jednak trwać wiecznie. Kasy firmy były puste i jakiegokolwiek nieprzewidziane wydarzenie mogło ujawnić wszystkie malwersacje oraz ich autora, a także jego sprawność fizyczną. Owym wydarzeniem stała się dokonana przeze mnie kradzież kompromitujących dokumentów z biur Hiszpańskiego Szachraja. Być może Ivet, podczas którejś wizyty w domu starców w Vilassar, przedstawiła ojcu cały plan. Perspektywa ta zaalarmowała Gauczo. Tamtej nocy opuścił dom starców i już to pociągiem, już to innym środkiem transportu dotarł do Barcelony i do biur Hiszpańskiego Szachraja z zamiarem zlikwidowania wszelkich śladów swej działalności. Ale przybył zbyt późno, bo ja odwiedziłem już gabinet i zabrałem niebieską teczkę. W gabinecie Pardalota Pardalot zaskoczył Gaucza, doszło do kłótni i walki, a wreszcie Agustin Taberner *alias* Gauczo zabił Pardalota i wrócił do domu starców w Vilassar, gdzie czuł się bezpiecznie. W chwilę potem do biur Hiszpańskiego Szachraja na prośbę córki przybiegła Reinona, o czym sama opowiedziała nam przed momentem. Być może to, co powiedziała, jest prawdą i rzeczywiście powodowała ją chęć zabicia Pardalota. Z pewnością miała przy sobie walera ppk, kaliber 7,65, który znalazłem w szufladzie jej nocnej szafki i który, o ile się nie mylę, musi mieć teraz w torebce na wypadek, gdyby odważyła się go użyć. W tamtym momencie nie odważyła się - w gabinecie zastała Pardalota podziurawionego jak sito. Jako że nie była w stanie domyślić się, co się stało, wierząc w inwalidztwo inwalidy, pomyślała, że zabójstwa dokonała Ivet. Szybko i sprawnie wytarła odciski palców z miejsc, gdzie mogły pozostać, i wykasowała z taśmy telewizyjnej nagranie mych dokonań. Umiała to zrobić, ponieważ podczas swych częstych spotkań z Pardalotem w tymże gabinecie wyłączali kamerę, gdy podczas rozmowy tęsknota za dawnymi czasami lub inny podobny powód sprawiał, że kładli się na stole konferencyjnym. Dlatego właśnie, to znaczy dlatego że skasowano nagranie, policja nie aresztowała mnie, jak przewidywał pierwotny plan, a mój udział w zbrodni nie wyszedł na jaw, gdy aresztowano mnie za kradzież pierścionka. Proszę mi powiedzieć, czy coś przeczyłem.

- Nie - powiedziała Reinona, do której skierowałem ostatnie zdanie. - Tak to się odbyło, krok po kroku. Poszłam spotkać się z Pardalotem, znalazłam trupa, skasowałam nagranie. Jest także prawdą, że mam w torebce nabitego walera ppk, kaliber 7,65, broń doskonałą, lekką i celną, którą podarowano mi, gdy wychodziłam za mąż, i z której zastrzele cię, jeśli nadal będziesz rzucał oszczerstwa na biednego inwalidę Agustina Taberera *alias* Gauczo.

- Proszę pani - powiedziałem, widząc, że na poparcie swych gróźb wyjmuję z torebki walera ppk, kaliber 7,65, odbezpiecza go i celuje we mnie - Agustin Taberner *alias* Gauczo nabierał panią od samego początku. I nie mówię o etapie kalectwa, lecz o czasach dawniejszych, kiedy oboje byliście młodzi. Mógł się z panią ożenić, ale nie zrobił tego. Pozwolił, żebyście, pani i córka, umierały z głodu w Londynie. Założę się, że nie przysłał wam nawet piernika na Gwiazdkę. A później, sama pani widzi, bez cienia skrupułów pozwolił, żeby sprzedała pani klejnoty i miotłała się w sidłach nieodwzajemnionej miłości. Marny ojciec przypadł w udziale biednej dziewczynie. Trudno się dziwić, że jest w takim stanie. Obie was poświęcił dla swych podłych interesów. Ten człowiek nie zasługuje ani na pani miłość, ani na litość. To przestępca i kanalia. Jeśli to paniom nie przeszkadza, jeśli uważacie, że wszystko jest w porządku, wasza sprawa, ale bardzo proszę nie celować we

mnie z tego pistoletu. Z jednej strony celuje we mnie Santi, z drugiej - pani. Tak nie da się żyć. Ja nie zrobiłem wam nic złego. Próbowałem tylko opowiedzieć, co wydarzyło się owej nocy.

To rozsądne rozumowanie nie wywarło najmniejszego wrażenia na interpelowanych. Celowali we mnie ze zdwojoną energią i siedziałem, jak to się mówi, między młotem a kowadłem. Ciszę przerwała Ivet, zwracając się do matki i do reszty towarzystwa:

- Co zrobimy teraz, kiedy wiemy, co się stało? Jeśli zawiadomimy policję, tatusiowi grozi czapa.

- Z drugiej strony - zastrzegł pan prezydent - nie możemy pozwolić, żeby tak potworna zbrodnia pozostała bezkarna. Bezpieczeństwo obywateli w domu i poza nim to główne hasło mojej kampanii.

- Proszę nie zapominać, panie prezydencie — przypomniał mu pan mecenas Miscosillas - że jeśli dojdzie do procesu Agustina Taberera *alias* Gauczo, mogą wyjść na światło dzienne pewne drobiazgi, które nie przysporzą popularności ani panu, ani pańskiej partii.

- Cholera - powiedział pan prezydent.

- Panowie - powiedziała Ivet Pardalot, waląc pięścią w stół - ta dyskusja nie ma sensu. Ustaliliśmy, kto zabił mojego ojca, i jak panowie rozumieją, nie przejdę do porządku dziennego nad tym szczegółem. Co do problemów firmy, nie musicie się przejmować: wszystko jest pod kontrolą. Moją. Co więcej, firma jako taka przestała istnieć kilka miesięcy temu. Nie powiedziałam wam tego wcześniej, żeby nie martwić mojego ojca, ale jeśli chodzi o panów, jest mi obojętne, czy dostaniecie zawału, czy nie. Wszystkie akcje Hiszpańskiego Szachraja zostały podarowane nieodpłatnie fundacji finansującej pewną organizację pozarządową z siedzibą w banku w Singapurze. Oczywiście, zysk z tej prostej transakcji znajduje się na rachunku wystawionym na moje nazwisko. Z równą przyjemnością informuję panów, że na dzień dzisiejszy kapitał pozostałych wspólników wynosi w pesetach zero przecinek zero. A ten, komu się to nie spodoba, trafi prosto do celi w Can Brians.

- Horacio - powiedział pan prezydent - zdaje mi się, że zostaliśmy nabici w butelkę. Cóż, zróbmy to, czego domaga się Ivet Pardalot, i oddajmy winnego w ręce sprawiedliwości. Ale żądam, żeby aresztowano go w moim obwodzie wyborczym.

- Żadnego aresztu nie będzie - stwierdził ponury głos.

Odwróciliśmy się jednocześnie w stronę drzwi do salonu i zobaczyliśmy Agustina Taberera *alias* Gauczo, stojącego dokładnie tak jak przewidziałem, twardo na obu nogach, z pistoletem maszynowym nieznaney mi marki w rękach, czego nie przewidziałem ani ja, ani nikt inny.

Nieustraszony pan prezydent ponownie dał dowód odwagi, odzywając się pierwszy:

- Człowieku, Agustín, jakże się cieszę, że jesteś zdrowy!

Mówiąc to, podniósł się z sofy i ruszył w kierunku nowo przybyłego z otwartymi ramionami, jakby miał zamiar objąć go braterskim uściskiem, ale postawa Gaucza i lekki ruch lufy sprawiły, że powściągnął swą wylewność. Nie porzucił jednak wesołego i koleżeńkiego tonu:

- Wejdz i usiądź, człowieku, jesteś wśród przyjaciół. I nie przejmuj się tym, co usłyszałeś. Była to dyskusja czysto akademicka. Rzym przeciwko Kartaginie, jak w szkole. Zresztą mnie, jako prezydenta, cała ta historia z morderstwem ani ziębi, ani grzeje. *Ich bin ein Berliner*. Jeśli już, dogadaj się z tym ptaszkiem, który od dłuższego czasu rzuca na ciebie oszczerstwa.

- Wracaj na sofę, siedź spokojnie i nie otwieraj ust - odpowiedział mu Gauczo. Następnie, wymierzając we mnie swój obrzynek, jak gdyby dwa pozostałe nie wystarczały, wykrzywiając przy tym usta w nieprzyjemnym grymasie, dorzucił: - A co do ciebie, pluskwo, sam tego chciałeś. Gdyby nie ty, nikt by nie odkrył mojego sekretu. Powinienem był wyeliminować cię wcześniej. Ale wyszedłeś cało z zamachu bombowego, który

zorganizowałem, a nie wystarczyło mi pieniędzy na nic więcej. Trotyl strasznie poszedł w górę w ostatnim czasie. Trudno. Na jedno wychodzi, czego nie zrobiłem wczoraj, zrobię dziś. Ale nie wystarczy, jeśli zabiję tylko ciebie. Wyśpiewałeś całą historię i teraz wszyscy wiedzą, że to ja zabiłem Pardalota. Zmuszasz mnie do załatwienia wszystkich tu obecnych, włącznie z rodziną. Dzięki Bogu, mam pistolet maszynowy i zrobię to w jedną zdrową albo i szybciej. Z pewnością zastanawiacie się, skąd wzięłem tę broń. I to słownictwo. To proste. Jako że nie jestem kaleką, pomajsterkowałem przy wózku inwalidzkim i ukryłem pistolet oraz pas z nabojami tam, gdzie inni mają nocnik. Wszystko zrobiłem sam, własnymi rękami: tę śmiertcioną broń i kule, jedną po drugiej. Potrzebny był tylko czas i cierpliwość, a to jedyne, czego mi zbywało przez te wszystkie lata. Sam w domu starców, podczas gdy prawdziwi inwalidzi dogorywali, planowałem zemstę i produkowałem jej narzędzia. Najpierw was zrujnowałem, a teraz zabiję, tak jak zabiłem Pardalota.

- Agustin - powiedziała oskarżycielskim tonem Reinona - po tym, co ja i mała zrobiłyśmy dla ciebie, nie będziesz chyba zdolny...

- Spokojna głowa - odrzekł Gauczo. - Jestem zdolny do tego i do wielu innych rzeczy. Zabiję cię tak jak innych, bo mam cię już dość, nie jesteś mi do niczego potrzebna. Ivet powiedziała mi, że skończyła ci się biżuteria.

- To nieprawda - oświadczyła Reinona. - Mój mąż mi ją odkupił. Jeśli zechcesz, a on się zgodzi, możemy zacząć od nowa.

- Zostaw go, mamó - powiedziała Ivet. - Odbiło mu ostatecznie. W domu starców złapał pewnie szpitalnego wirusa.

- Santi - powiedział pan mecenas Miscosillas - niech pan coś zrobi, po to dostaje pan trzy pensje.

- Myli się pan - uściślił Santi. - Cztery. Pan Agustin Taberner *alias* Gauczo też mi płaci.

- Ale okpił cię jak wszystkich pozostałych - poinformowałem go. - To on strzelił do ciebie z dachu domu naprzeciwko mojego mieszkania. Z pewnością chciał pozbyć się niewygodnego współnika, który nie był mu już potrzebny do realizacji diabolicznych planów.

- To prawda - zaśmiał się odrażająco Gauczo. - Wykorzystałem wszystkich. Wszyscy służyli moim zbrodnym zamiarom. Jestem podlejszy niż samo piekło. A teraz już dosyć. Zaraz zacznie świtać, a ja jeszcze muszę zabić tyle ludzi.

Mówiąc to, leciutko podniósł lufę, celując w moją pierś, i nacisnął spust.

Jak zapewne państwo pamiętają, pod koniec poprzedniego rozdziału miałem zostać naszpikowany ołowiem. Być może zastanawiacie się więc, na początku tego rozdziału, w jakim stanie ducha znajdowałem się w tak delikatnej sytuacji, o czym rozmyślałem i czy dokonałem podsumowania mojego burzliwego żywota. Odpowiem, że znajdując się już wcześniej w podobnych okolicznościach (z powodu mego wartogłowa), na własnej skórze doświadczyłem, że rzeczone okoliczności niespecjalnie sprzyjają myśleniu o głupotach i traceniu czasu na bzdury. Jest oczywiste, że jeśli o mnie chodzi, we wszystkich wspomnianych przypadkach końcowy efekt (wykorkuję czy nie?) nigdy nie jest przewidywalny, w związku z czym mój umysł podzielony jest między strach a refleksję natury filozoficznej. Wyjaśniam ten punkt, aby nie wydać się w tej materii niedouczoneym, ponieważ wszyscy wiemy, do jakiego stopnia chwila może się dzielić na krótsze momenty, z których każdy mieści w sobie tysiąc pomysłów, wspomnień i emocji. Jedyne, o czym mogę zapewnić z całkowitą pewnością, to to, że przy żadnej okazji, nawet w najbardziej krytycznych chwilach, nie wyświetliło mi się przed oczami (niby film) całe moje życie, co zawsze stanowi pewną pociechę, bo samo umieranie jest już wystarczająco przykre i nie trzeba dorzucać do tego przykrości umierania z hiszpańskim filmem przed oczami. Z nadzieją, że nikogo nie zirytowałem tą dygresją, wracam do mojej relacji dokładnie w punkcie, w którym ją porzuciłem.

Przewrotny Gauczo nacisnął zatem, jak już powiedziałem, spust pistoletu maszynowego, ów wyrzucił z siebie serię pocisków, z których niejeden dosięgnąłby mnie w locie (ze strasznymi dla mnie konsekwencjami), gdyby dokładnie w tym momencie w domku nie rozległ się donośny okrzyk oraz trzask drewna i szkła i jakaś wielka postać nie rzuciła się na Gaucza, zmieniając trajektorię pocisków, a co za tym idzie, także mego losu.

Nie tracąc czasu na analizę przyczyn niespodziewanego ratunku, rzuciłem się na podłogę. Był to dobry pomysł, ponieważ w tej samej chwili ze swojej beretty wystrzelił Santi. Czy zrobił to z zamiarem przyczynienia się do likwidacji mnie (i zasłużenia na napiwek) czy też raczej w celu unieszkodliwienia Agustina Tabernera *alias* Gauczo planującego, co sam wyznał kilka minut wcześniej, także zabójstwo Santiago, tego nie dowiemy się nigdy, gdyż Reinona, dostrzegając gest Santiago i niebezpieczeństwo grożące Agustinowi Tabernerowi *alias* Gauczo, biorąc uparcie (jak oślica) stronę tego złego człowieka, strzeliła do Santiago ze swego waltera. Oczywiście, nie można też wykluczyć możliwości, że po tylu latach zaślepienia, powodowana nagłą urazą lub zrozumiałą żądzą sprawiedliwości, tak naprawdę chciała zabić Agustina Tabernera *alias* Gauczo, a nie Santiago, do którego nic nie miała. Tak czy owak, kulę zniosło na bok, ponieważ zanim wystrzeliła, Ivet Pardalot strzeliła z remingtona, już to do Gaucza, już to do Santiago, już to do mnie, ale tak niecelnie, że trafiła w Reinonę (w którą być może celowała), w związku z czym pocisk z waltera Reinony trafił w pana mecenasa Miscosillasa, który zwałił się najpierw na pana prezydenta, a kiedy ów zrzucił go z siebie kopniakiem, na mnie, usiłującego się podnieść i wypełznąć z przekłętego salonu przekształconego w pobojuwisko.

Splaszczony pod ciężarem prawnika, zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Arderiu rzuca się na martwe ciało Reinony, ocenia (na oko) powagę jej obrażeń i chwytając z podłogi upuszczonego przez nią waltera, zaglądając do lufy oraz naciskając na spust w celu upewnienia się, że magazynek nie jest pusty, odstrzeliwuje sobie przy tym kawałek ucha, strzela do Ivet Pardalot z taką precyzją, że trafia najpierw w nią, a następnie w pana prezydenta, usiłującego otworzyć okno, by przez nie uciec. W tym samym momencie Santi strzelił do Arderiu i ponownie zaterkotał pistolet maszynowy Gaucza. Arderiu nie pozostał im dłużny i przez jakiś czas w salonie trwała kanonada. Po chwili ogień ustał i domek pograżył się w złowieszczej ciszy.

Pośpiech, niepewna ręka i pech dyskutantów wyrządziły szkody także w wyposażeniu

salonu. Kredens, podobnie jak tapicerka sofy, nadawał się do wyrzucenia. Ściany nosiły niezliczone ślady po pociskach, ale nie było to takie ważne, ponieważ cały domek już od lat domagał się odmalowania. Żyrandol pozostał wprawdzie nietknięty, ale wyłącznik poszedł w drzazgi i światło zgasło. W powietrzu unosił się gęsty obłok prochu o kwaskowatym smaku. Spróbowałem wstać, ale mi się nie udało; usiłowałem zrzucić z siebie pana mecenas Miscosillasa, na próżno. Biedaczysko w przedśmiertnych konwulsjach splótł swoje nogi z moimi i moje ręce ze swoimi, a co jeszcze dziwniejsze, wpiął kilka guzików swojej kurtki w dziurki mojej. Był korpulentnym prawnikiem, przygniatał mnie, unieruchamiał i dusił. Na cały głos (jaki tylko pozwoliły mi wydać płuca) krzyknąłem szeptem:

- Czy ktoś tu żyje?

- Ja - odrzekł spokojnie inny głos u mojego boku. Po czym dodał: - Ale ledwie.

- Magnolio - wykrzyknąłem, rozpoznając go. - Jacyż to diabli przygnali tu pana? Myślałem, że już dawno wrócił pan do Barcelony.

- Nie, proszę pana - wykrztusił. - Udałem, że odjeżdżam, ale nie odjechałem. Chciałem upewnić się, że nic złego się panu nie przydarzy. Przez cały czas byłem w ogrodzie, pod oknem, i słuchałem przez żaluzje o regulowanym nachyleniu. Te żaluzje o regulowanym nachyleniu nigdy nie są całkiem szczelne. Kiedy usłyszałem, jak pan Gauczo wyłuszcza swoje plany, zorientowałem się, że grozi panu poważne niebezpieczeństwo, i postanowiłem wkroczyć do akcji. I wkroczyłem, wyważając tylne drzwi, te od kuchni. Drewno rzeczonych drzwi było toczone przez robaki, a zawiasy - również rzeczonych drzwi, przerdzewiały, w związku z czym ustąpiły przy pierwszej próbie. Na szczęście, bo gdybym spóźnił się o pół sekundy, już by pan nie żył.

Przerwał dla zaczerpnięcia powietrza, wydał z siebie jęk i dorzucił:

- Za to teraz ja nie żyję.

- Jest pan ranny? - zapytałem.

- Ranny, to zbyt optymistyczne określenie — odrzekł Magnolio. - Zaraz zacznę śpiewać pieśń żałobną w moim rodzimym języku.

- Niech pan nie opowiada głupstw - skarciłem go. - Jak tylko pozbędę się pana mecenas Miscosillasa i wyjdę stąd, wezwę karetkę, założą panu ze dwa szwy i pojutrze będzie pan jak nowy.

- Nie - powiedział Magnolio. - Nie trzeba. Nie jestem nigdzie ubezpieczony, a poza tym już za późno. Nie powinienem był nigdy opuszczać mojej wioski. Marzyłem o lepszej przyszłości i widzi pan, co osiągnąłem - wykrwawiam się w domku letnim o dwa tysiące kilometrów od mojej chaty.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytałem. - Mam na myśli, dlaczego naraził pan swoje życie, żeby uratować moje.

- Tak było trzeba - odszepnął ze znużeniem w głosie. - Sam pan zrozumie. Proszę mi nie dziękować. Niech pan tylko powie Raimundicie, że miałem poważne zamiary. Na tym świecie kręci się wielu bezczelnych podrywaczy. Jestem jednym z nich. Ale nie z Raimunditą. Niech pan jej to powie.

Po tym wzruszającym poleceniu nie odezwał się już ani słowem i nie odpowiedział na moje nagoretsze zaklęcia. W końcu byłem zmuszony pogodzić się z rzeczywistością. Byłem sam w opuszczonym domku letnim, unieruchomiony pod ciężarem zwłok adwokata. Nie mogłem liczyć na żadną pomoc do czasu rozpoczęcia sezonu, kiedy to odór dobywający się z domku zwróci uwagę jakiegoś przechodnia. Jasne, że w tym momencie będę już dawno martwy z wycieńczenia, a fetor moich zwłok dołączy do fetoru pozostałych. Perspektywa ta nie budziła mojego zachwyty, lecz ostatnia noc była najburzliwszą w serii burzliwych nocy, więc zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem.

Obudziłem się, czując, że ktoś mnie dotyka, i słysząc głos tuż obok:

- Tu jest jeszcze jeden taki, co oddycha.

Ktoś przysunął pochodnię. W jej blasku dostrzegłem dwie twarze czarne jak smoła, pochylające się nade mną i wymieniające pytające spojrzenia. W jednej z nich rozpoznałem twarz pana Mandanga, właściciela Gospody Mandanga. On także zidentyfikował mnie i powiedział:

- Czy można wiedzieć, co u licha pan tu robi? To prawdziwa jatka.

- Czy wszyscy nie żyją? — zapytałem.

- Nie. Pan żyje i najwyraźniej nie odniósł pan żadnych obrażeń - odpowiedział pan Mandanga. - Pan prezydent także uratował skórę. Kula weszła mu przez tyłek i wyszła przez usta. Zdaje się, że chwyciło go w skrócie. Ale najważniejsze organy raczej nie zostały uszkodzone. Pozostali przeszli do lepszego świata, choć prawdę mówiąc, żaden z nich nie mógł się uskarżać na to, jak mu się wiodło na tym, nie licząc biednego Magnolia.

Gdy mówił, zauważyłem, że nie tylko salon był pełen Murzynów, lecz że inni Murzyni wchodzili i wychodzili, rozpełzając się po całym domku. Niektórzy przyświecali sobie pochodniami. Inni trzymali maczety, gracie i grabie. Na piętrze rozbrzmiewały ich kroki. Jakby czytając w moich myślach, pan Mandanga opowiedział mi, co się stało.

Widząc, że mijają godziny, a Magnolio nie wraca, zgodnie z niewzruszoną zasadą niesienia sobie wzajemnej pomocy w potrzebie, jego koledzy z Gospody Mandanga postanowili udać się na poszukiwanie, a gdyby było trzeba, na pomoc towarzyszowi. W tym celu zaopatrzyli się w narzędzia pracy, którymi teraz potrzęsali. Chociaż wychodząc z baru, Magnolio nie powiedział im, dokąd idzie, pan Mandanga lub jego małżonka przypomnieli sobie, że podczas rozmowy ze mną napomknął coś o Castelldefels, miejscowości pogranicznej, nigdy przedtem nieeksplorowanej przez bywalców baru. Wyruszyli więc w tym kierunku ciężarówką do transportu warzyw należąca do jednego z nich, a ten, jako kierowca, znał drogę do Mercabarny jak wnętrze własnej dłoni, które jest białe, jak wnętrze dłoni każdego Murzyna, nawet najciemniejszego, choć do dziś nikt nigdy nie potrafił wyjaśnić mi tej zagadki, bo od niepamiętnych czasów (dziesięciu milionów lat albo i więcej) Murzyni wystawiają na słońce ową część ciała, w odróżnieniu od innych, które wstydliwie zasłaniają, a które przez to nie przestały być czarne jak smoła. W owym momencie jednak nie poruszyliśmy tego interesującego tematu, jako że inne, pilniejsze, angażowały naszą uwagę, jak na przykład moja chęć, aby pozwolić panu Mandandze dokończyć opowieść. Wedle jego słów, po przyjeździe do Castelldefels wszyscy wysiedli z ciężarówki i, przyświecając sobie pochodniami oraz potrzęsając narzędziami ogrodniczymi, zaczęli przeczesywać teren ulica po ulicy i domek po domku.

- Na szczęście - zauważył przytomnie pan Mandanga - nie spotkaliśmy żadnego białego, bo gdyby nas zauważył, chyba narobiłby w portki.

Już od dłuższej chwili przetrząsali okolicę w poszukiwaniu Magnolia i mieli zamiar przerwać poszukiwania, uznając je za bezowocne, kiedy z dala dobiegł ich odgłos strzałów. Zdwoili wysiłki i pod przewodnictwem Pigmeja Facundo, człowieka o niedużym wzroście, lecz o niezwykle czułym węchu (poza tym doskonałego poety), szybko dotarli do naszego domku i ujrzeni opisaną wyżej scenę.

Gdy pan Mandanga zakończył swą opowieść, ja zaspokoilem jego ciekawość. Do tego czasu zdjęto ze mnie pana mecenasa Miscosillasa (aktualnie w stanie spoczynku), dzięki czemu udało mi się wstać i dokonać przeglądu ofiar własnego oraz cudzego szaleństwa. Następnie zapytałem pana Mandangę, co zamierza zrobić, przekonany, że poinformuje policję o tym makabrycznym odkryciu, lecz on wzruszył bicepsami, aż dotknęły pyzaty choliczków, i powiedział:

- Pan niech postąpi, jak uważa za stosowne, a my zrobimy to, co uważamy za dobre i słuszne.

Po czym wyjął z kieszeni kawałek trzciny o długości półtorej dłoni, z otworami na obu końcach, a także w górnej części, podniósł go do ust i, poruszając nozdrzami, zagrał na nim

jak na flecie, zwołując tym samym swoją drużynę do salonu.

- Wszystko gotowe? - zapytał.

- Tak, szefie - odpowiedział jeden. - Ja zabieram poduszkę, kołdrę, materac i łóżko.

- A ja - powiedział inny - serwis dla sześciu osób, złożony z sześciu płytkich talerzy, sześciu głębokich, sześciu miseczek, sześciu kieliszków i koszyka na chleb.

- A ja - dodał trzeci - zmywarę, która idealnie mi pasuje.

- A ja wózek inwalidzki - zakończył czwarty - dla teściowej.

Pan Mandanga zapisał to wszystko w papierowym bloczku, schował go do kieszeni i powiedział:

- No to jedziemy.

- Chwileczkę, szefie - zagadnął z szacunkiem jeden z członków bandy. - A czy nie moglibyśmy zostawić sobie domku? Prawowita właścicielka zmarła, nie pozostawiając potomstwa, nikt tu nie mieszka, a my moglibyśmy otworzyć tu ośrodek kultury.

- Albo przedszkole dla naszych dzidziusiów - zaproponował inny.

- Nic z tego - uciął pan Mandanga stanowczym tonem. - Byłby źródłem sporów i kosztów, a poza tym, po co nam okradziony domek? Załadujcie ciężarówkę i przynieście ropę.

Zrobili, jak polecił pan Mandanga, a gdy ciężarówka wypełniła się po brzegi meblami oraz innymi rupieciami, zaprosili mnie, bym wspiał się na pakę i usadowił między lupami. U mojego boku umieścili pana prezydenta. W tym czasie pan Mandanga przebiegał domek, polewając podłogę i ściany ropą. Następnie przez drzwi i okna wrzucili pochodnie, a potem wskoczyli do ciężarówki, która wystartowała tak szybko, jak tylko pozwolił jej ładunek. Gdy wjeżdżaliśmy na drogę szybkiego ruchu, spojrzałem do tyłu i zobaczyłem silny blask i gęstą kolumnę dymu unoszącą się nad konturem sosen i dachów. Pan Mandanga, który siedział obok w kucki, poklepał mnie po plecach i szepnął:

- Proszę mi wierzyć, to było najlepsze rozwiązanie, w każdym razie najprostsze.

O stałej porze otworzyłem podwoje salonu, bardziej z poczucia obowiązku niż dla przyjemności, ponieważ po wydarzeniach ostatnich godzin pozostało mi uczucie wzburzenia i niedyspozycji, którego nie mogłem złożyć wyłącznie na karb nieprzespanej nocy. Nawet poczucie odpowiedzialności, duma z bycia porządnym obywatelem, ożywienie i lekkie zdenerwowanie, jakie zawsze odczuwałem, rozpoczynając dzień pracy, ubierając biały kitel i szykując się na przyjęcie licznych klientów, nie podniosły mnie na duchu.

W południe, po długich i cierpliwych negocjacjach z kelnerem z baru naprzeciwko, by raczył powierzyć mi kanapkę z kalmarami w cebulce, poszedłem (z pustym żołądkiem) przejrzeć prasę do kiosku pana Mariano. W zwięzłej notatce w jednej z gazet opisywano pożar, który dzisiejszego ranka strawił stary, niezamieszkały domek w dzielnicy willowej Castelldefels. Jako ciekawostkę dorzucano, że w zgłiszczach strażacy znaleźli zwęglone szczątki sześciu osób, których identyfikacja jest całkowicie niemożliwa. Najprawdopodobniej - kończył autor notatki - sprawcami i ofiarami pożaru byli kolejni czarnoskórzy nielegalni imigranci, których ktoś z sąsiadów zauważył krótko przed pożarem, wałęsających się po okolicy z pochodniami, niebezpieczną bronią oraz innymi atrybutami dzikusów. I

Po południu obsłużyłem parę starszków, którzy od ponad trzydziestu lat używali jednego tupecika, a nagle, bez wyraźnej przyczyny, postanowili podzielić go na dwie równe części i nie odzywać się do siebie. Zajęcie to, które w normalnych okolicznościach z pewnością by mnie ożywiło, teraz pograżyło mnie w niewytłumaczalnej melancholii.

Na krótko przed godziną zamknięcia przed salonem zatrzymała się furgonetka. Kierowca wysiadł, z samochodu wydobył ogromne kartonowe pudło i wciągnął je do środka. Następnie, nie zwracając uwagi na moje uprzejme pozdrowienia i grzeczne pytania, zaczął otwierać pudło, z którego po chwili wyłoniła się wspaniała stojąca suszarka elektryczna, z regulowanym kaskiem, w prześlicznym kolorze czerwony metalik. Zamierzał podłączyć ją i

wytłumaczyć podstawowe zasady obsługi, gdy powstrzymałem go, dziękując za przyjazd i dobre intencje, wyjaśniając przy tym, że choć rozpaczliwie potrzebuję nowej suszarki, nie jestem w stanie zapłacić gotówką za ten cudowny sprzęt i nawet w najsmielszych prognozach nie przewiduję, bym był w stanie nabyć go na raty. Osobnik przerwał mi, mówiąc, że nie przywiózł suszarki, by mi ją oferować na sprzedaż, lecz aby mi ją zostawić, ponieważ została zakupiona i opłacona w całości, włącznie z kosztami transportu, instalacji i serwisu, ubezpieczeniem i VAT-em. Widząc moje zakłopotanie i słysząc błagalne pytania, opowiedział, że poprzedniego dnia pojawił się w jego sklepie dżentelmen o słusznym wzroście i ciemnej cerze, który zasięgnąwszy wyczerpujących wyjaśnień, wybrał ów właśnie model, podał adres salonu fryzjerskiego, do którego należało dostarczyć sprzęt, i uiścił należność w gotówce, w brzęczącej monecie, bez targów. Sprzedawca, ciągnął osobnik (który przypadkiem okazał się także sprzedawcą), zainteresował się dyskretnie powodem i okolicznościami kupna-sprzedaży, nie żeby nie ufał Murzynowi w stroju szofera, lecz ponieważ z zasady nie ufa nikomu, szczególnie przedstawicielom innych ras, a wówczas, kontynuował sprzedawca, nabywca opowiedział mu, że po wielu latach bujania się na falach postanowił uporządkować swoje życie, ożenić się poznaną niedawno dziewczyną i wejść w spółkę z poznanym niedawno fryzjerem. Najwyraźniej, powiedział sprzedawca, przodkowie nabywcy, gdzieś w afrykańskiej równikowej głuszy, byli nie tylko walecznymi wojownikami, lecz także fryzjerami, ponieważ poznawszy mnie, poczuł w najgłębszym zakamarku swego jestestwa wezwanie przodków do powrotu do tego szlachetnego zawodu. I właśnie po to, by zostać przyjętym jako wspólnik do interesu, wyjaśnił nabywca sprzedawcy, zakupił niniejszą suszarkę, którą zamierzał wnieść jako swój wkład w kapitał stały firmy. Aport ten, kontynuował nabywca, nie byłby możliwy, gdyby okoliczności nie pozwoliły mu pozyskać za jednym zamachem większej kwoty, chociaż musiał w tym celu wziąć udział w porwaniu pewnego inwalidy z domu starców w Vilassar.

Po udzieleniu mi powyższych wyjaśnień i podsunięciu do podpisania stosownego pokwitowania osobnik ów odjechał, zostawiając w salonie podłączoną suszarkę oraz mnie, zakłopotanego i oniemiałego z podziwu.

Następnego dnia późnym rankiem przed salonem zatrzymała się limuzyna. Wysiadł z niej pan prezydent i pozdrowił mnie ze swoją zwykłą serdecznością.

- Skorzystałem z wolnego dnia - powiedział - by wpaść do pana z kurtuazyjną wizytą. Zrobiłbym to już wczoraj, ale musiałem wziąć udział w spotkaniu zamykającym kampanię wyborczą. Byłem genialny, przyjacielu, naprawdę genialny. Szkoda, że nie przyszedł pan mnie posłuchać. Szkoda, że nikt nie przyszedł mnie posłuchać. Zresztą, nieważne. Jutro wybory, a dziś dzień na refleksję, na przemyślenia. Jako że nigdy nie myślę, dla mnie jest to dzień wolny. Po południu zabierają mnie do cyrku. Ale wcześniej chciałem pana zobaczyć. Zapyta pan z pewnością, po co. Już mówię. Nie wiem, czy pamięta pan, że przedwczoraj, w pewnym domku w Castelldefels, doszło do niegroźnego sporu. Nic nadzwyczajnego: wymiana strzałów jest zarazem wymianą poglądów, tylko innymi środkami - jak mawiał Platon. Chodzi mi jednak o to, że przez jakąś fatalną pomyłkę ja też byłem tam obecny. Nie w dialogach Platona, lecz w domku w Castelldefels. Ale zapomniałem, co dokładnie się wydarzyło. A pan?

- Ja także, panie prezydencie - odrzekłem bezzwłocznie.

- Proszę mnie tak nie nazywać. Wszystko zależy od jutrzejszych wyników. Głos ma społeczeństwo. Do chwili, aż się wypowie, jestem zaledwie skromnym kandydatem, zwykłym, pokornym, śmiesznym i odrażającym obywatelem, takim jak inni. Co do pana, o ile pamięć mnie nie myli, nigdy pana wcześniej nie widziałem. Ani pan mnie. Ma pan bardzo ładny salon. Bardzo ładny *indeed*. Oczywiście, że wszystko można uczynić jeszcze lepszym. Może przydałaby się panu suszarka elektryczna? Ta tutaj wygląda na bardzo starą.

- Jest nowiutka, panie prezydencie. I nie potrzebuję nic więcej.

- Dobrze, dobrze - wykrzyknął pan prezydent. - To mi się podoba. Jak mówi przysłowie, Katalończycy wydobywają chleb nawet z kamieni. Zresztą twardy jak kamienie. Dobra, dobra. Mam nadzieję, że nie zalega pan z podatkami i opłatami. Ale gdyby ktoś kiedyś pana nachodził w tej sprawie, zadzwoń pan do mnie. Ratusz stoi przy Plažz Sant Jaume przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

*

Wieczorem w bramie domu czekała na mnie znajoma para. Zaprosiłem ich, by weszli. Powiedzieli, że nie mają sądowego nakazu rewizji, ale że gdybym skorzystał z przysługujących mi konstytucyjnie praw, przyznając się tym samym do winy, jak głupiec, to mój problem. W mieszkaniu jeden z nich wyjaśnił, że zamierzają mnie tylko przesłuchać.

- Kuźwa, Baldiri, coś ty takie chamidło - poprawił drugi. - Przyszlimy tylko pogawędzić z kolegą.

- Dobra - przyznał Baldiri z katalońskim akcentem - ale jeśli dziubasek się sypnie, przypudłujemy go.

Gdy przyjąłem owe warunki, pokazali mi zdjęcie Ivet w majteczkach i staniczku. Faktycznie, była to strona z reklamą wydarta z czasopisma kobiecego. Jako że tekst towarzyszący zdjęciu był po angielsku, wydedukowałem, że pochodziło ono z epoki, gdy Ivet pracowała w Nowym Jorku jako modelka. Zapytali mnie, czy rozpoznaję dziewczynę ze zdjęcia; odpowiedziałem, że tak. Zapytali mnie, czy znam jej obecne miejsce zamieszkania. Zanim odpowiedziałem, zapytałem, po co im ta informacja; powiedzieli, że wczorajszej nocy, korzystając z nieobecności państwa Arderiu, którzy wyjechali w długą podróż, ktoś wszedł do rezydencji rzeczonych państwa (pana Arderiu i pani Arderiu) i wyniósł klejnoty pani Arderiu, powszechnie znanej w kręgach towarzyskich pod przydomkiem Reinona.

- Nie rozumiem jednak - powiedziałem - jaki może być związek między kradzieżą, o której panowie opowiadają, a dziewczyną ze zdjęcia.

- O tym zadecyduje pan sędzia, kiedy mu dostarczymy dziewczynę - powiedział Baldiri z katalońskim akcentem.

- Sskutą, zzwiazaną i zzastrzeloną — dodał jego kolega.

- Obawiam się, panowie, że do niczego podobnego nie dojdzie - powiedziałem. - Wasze podejrzenia są bezpodstawne. Wspomniana panienska zginęła dwie noce temu w pożarze w Castelldefels. Ja sam byłem naocznym świadkiem tego wydarzenia i nie tylko jestem skłonny potwierdzić moje słowa przed panem sędzią, lecz poproszę, by jako świadka powołano także pana prezydenta, który owej nocy także znajdował się...

Policjanci przerwali mi, zgodnym chórem stwierdzając, że moja współpraca okazała się bardzo cenna, że dają całkowitą wiarę moim słowom i nie chcą przysparzać mi więcej kłopotów. Poza tym, dodali, bardzo im się śpieszy. Poprosiłem ich o zdjęcie, wręczyli mi je, zapewniając, że mają wiele kopii, i zmyli się.

*

Od owego spotkania upłynęło wiele dni, podczas których żaden incydent nie zakłócił dynamicznej monotonii mojej spokojnej pracy. Następnie, w czwartek po południu, gdy byłem pogrążony w lekturze instrukcji obsługi suszarki elektrycznej, do salonu weszła dziewczyna. W skąym świetle zauważyłem tylko jej zgrabną sylwetkę. Zamknąłem instrukcję obsługi, schowałem ją do szuflady i zacząłem ściągać plastikowy pokrowiec, chroniący suszarkę przed kurzem, wilgocią, roztocami oraz wszelkimi innymi czynnikami mogącymi uszkodzić ją przed pierwszym użyciem, ale dziewczyna przerwała mi:

- Przyszłam tylko porozmawiać z panem. Jestem Raimundita, pamięta mnie pan?

- Och, Raimundita, przepraszam - powiedziałem. - Nie rozpoznałem cię od razu. Co cię sprowadza?

Pytanie było niepotrzebne, bo aż za dobrze wiedziałem, o co mnie zapyta. Tym niemniej pozwoliłem jej, by sformułowała pytanie, i odrzekłem, że ja też nie widziałem

Magnolia od jakiegoś czasu i nie spodziewam się go więcej zobaczyć, bo pewni wspólni przyjaciele poinformowali mnie, że wrócił do swojego kraju z pieniędzmi wyłudzonymi od pana mecenasa Miscosillasa. Za rzeczony pieniądze, powiedzieli mi, zamierzał osiedlić się w rodzinnej wiosce i ożenić z narzeczoną z lat dziecińczych. Na te słowa przez ładną buzię Raimundity przebiegł cień, a jej oczy zamglily się. Przewidując atak płaczu, dodałem szybko:

- Na pewno się nie dziwisz, że wyjechał, jak to się mówi, *a la française*. Wiadomo, jacy ci goście są. Przyjeżdżają, żeby trochę zarobić i zaszaleć, ale się nie integrują, nie adaptują, nie czytają Josepa Pla, nic z tych rzeczy. Niewdzięczność, brak kultury, w końcu nawet cię nie poznają na ulicy.

Raimundita wytarła oczy wierzchem dłoni, wzruszyła ramionami i powiedziała, że w gruncie rzeczy cieszy się, że tak się skończył ten kłopotliwy związek, który zaczęła bez krzty zainteresowania, dla zabawy, żeby wzbudzić zazdrość kamerdynera, który naprawdę się jej podoba i za którego wyjdzie prędzej czy później. Pogratulowałem jej rozsądku i rozstaliśmy się, robiąc sporo hałasu i obiecując, że zadzwonimy kiedyś do siebie, umówimy się na wspólne wyjście do baru i pośmiejemy się z kolorowych rybek.

Oczywiście, nigdy więcej nie ujrzałem Raimundity ani żadnej innej osoby związanej z tą interesującą i niezwykłą historią, do której zakończenia dojrzałem. Dopiero w połowie grudnia, wracając po pracy do mieszkania, zobaczyłem kopertę przyklepioną do moich drzwi, Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób. Był to zaadresowany do mnie list, którego listonosz nie odważył się wyrzucić do śmieci, jak to robi (wyjątkowo złośliwie) z całą moją pocztą, z pewnością z powodu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia i w nadziei (płonnej) otrzymania prezentu. Wszedłem do mieszkania, zapaliłem światło i uważnie obejrzałem znaczek oraz kopertę. Nie było adresu nadawcy, ale pieczętka na znaczku wskazywała na to, że list został wysłany z Nowego Jorku, zwanego także miastem drapaczy chmur ze względu na wysokość domów. Rozerwałem kopertę drżącymi palcami i przeczytałem, co następuje:

Już dawno temu powinnam była napisać do Ciebie i podziękować za uprzejmość, a zwłaszcza za to, że powiedziałaś policji, że tamtej nocy spłonęłam w domku w Castelldefels, chociaż wiedziałaś, że to nieprawda, bo widziałaś, że wycofałam się na czworakach z salonu, kiedy tylko zaczęła się strzelanina. Mam nadzieję, że nie miałeś przez to problemów ani z policją, ani z nikim innym.

Ale piszę do Ciebie nie tylko po to, żeby podziękować. Chciałam także coś jeszcze Ci powiedzieć. Tamtej nocy, w domku, sprawiałam wrażenie, że przyjmuję oskarżenia, jakie moja dawna koleżanka szkolna Ivet Pardalot miała chęć wylać czy rzucić na moją osobę, moje zachowanie i przeszłość. Jeśli nie odpowiedziałam jej w sposób, na jaki zasługiwała, to po części dlatego, że nagle nie byłam pewna, czy faktycznie nie popełniłam tego całego zła, które mi zarzucano, a po części dlatego, że nie miałam ochoty dyskutować z nią w sytuacji, gdy w grę wchodziło życie mojego ojca, mojej matki, moje własne i innych ludzi. Ale chcę, żebyś wiedział, że to, co o mnie powiedziała, to nieprawda. A przynajmniej nie całkiem prawda, chyba że będziemy się trzymać wyłącznie faktów. W Nowym Jorku nie poszło mi źle. Ani dobrze. Jako modelka zarabiałam tyle, że wystarczało mi na przeżycie. Czasem bywało gorzej, ale nie na tyle, żeby od czasu do czasu nie zbywało mi kilka dolarów na jakiś kaprys, na przykład drogi ciuch, wycieczkę na Karaiby czy narkotyki. Nigdy nie parałam się prostytutką, w tym sensie, że nigdy nie wzięłam pieniędzy za moje względy od żadnej osoby fizycznej ani prawnej, choć zawsze dbałam o to, żeby owa rozrywka nie wyszła całkiem gratis. Co do tego, czy byłam albo jestem uzależniona od prochów, to sprawa, która dotyczy tylko mnie, moich bliskich, i co najwyżej społeczeństwa, ale z pewnością nie takiej stonki jak Ivet Pardalot, która nic o mnie nie wie i która próbuje tylko usprawiedliwić swoje głupie życie stonki, malując moje według swego uznania. Przykro mi, ślicznotko: może nie odniosłam sukcesu tak jak inne, ale nie jestem symbolem porażki, i niech każdy zajmuje się swoimi sprawami. Mówię ci to wszystko, ponieważ nie chcę, żebyś wyrobił sobie o mnie mylną opinię - ani w jedną, ani

w drugą stronę. Oczywiście, możesz wyrobić sobie taką opinię, jaka Ci się spodoba. Ale zależało mi na tym, żeby wyjaśnić Ci to, co właśnie wyjaśniłam. Wiem, że nigdy mi nie ufałeś i miałeś po temu aż nadto powodów. To prawda, że wmieszałam Cię w kradzież z włamaniem, świadomie i dla pieniędzy. Ale potem zmieniłam postawę. Ty jednak tego nie zauważyłeś. Kiedy przyszedłam do Ciebie w nocy, opowiadając, że ktoś mnie śledzi, kłamałam: nikt mnie nie śledził. Przyszedłam, żeby się z Tobą przespać. Być może doszłoby do czegoś między nami, gdybyś nie uparł się, żeby wyjaśnić tę sprawę. Z pewnością zrobiłeś dobrze. Masz swoje zorganizowane życie, a ja jestem śmieciem.

Jak widzisz, wróciłam do Nowego Jorku, skąd nigdy nie powinnam była wyjeżdżać i gdzie mam nadzieję, że znajdę pracę - niebawem, a przynajmniej do czasu, zanim skończy się bizuteria mojej zmarłej matki, dzięki której przeżyłam do tej pory bez wysiłku. Prowadzę życie uporządkowane i spokojne. Kiedyś zaczęłam brać, bo czułam się bardzo samotna. Teraz też jestem, ale inaczej. To, że w ciągu jednej nocy zostałam podwójną sierotą, przyniosło mi wielką ulgę. Po raz pierwszy jestem panią moich czynów, a nie tylko kimś odpowiedzialnym za ich skutki. Mam nadzieję, że ty także wyniosłeś pożytek z tego, co przeżyliśmy wspólnie, i że idzie ci świetnie w salonie. Nowy Jork jest coraz ładniejszy, zwłaszcza o tej porze roku. Wystawy Sacsy na pewno by cię zachwyciły. Serdeczności, Ivet.

Za plecami usłyszałem jakiś hałas i o mało nie dostałem zawału. Nie wiem, co sobie wyobraziłem. Była to moja sąsiadka Purines. Rzuciłem się na list z takim pośpiechem, że zostawiłem drzwi otwarte na oścież i Purines zaskoczyła mnie pogrążonego w lekturze. Wracając z supermarketu przebrana za Świętego Mikołaja. Święta Bożego Narodzenia były tuż-tuż i jej klienci pozostawali pod przemożnym wpływem ich bliskości. Ona, osobiście, wolałaby się przebrać za pastuszkę albo za owieczkę i przedstawiać narodzenie albo jakiś inny epizod z naszej tradycyjnej szopki, ale ten, kto płaci, rządzi - tu, w Betlejem i gdzie indziej, a skoro klienci uwielbiali przebierać się za renifery i ciągnąć sanie załadowane zabawkami, to ich sprawa, stwierdziła. Postawiła następnie torby na podłodze, zdjęła czerwoną czapkę i powiedziała:

- Kiedy wychodziłam, widziałam wetkniętą w twoje drzwi kopertę. List z USA. Dobre wieści?

- O tak, bardzo dobre - odpowiedziałem, składając list i chowając go do kieszeni.

Purines patrzyła na mnie przez chwilę, po czym podniosła torby i powiedziała:

- Słuchaj, te święta to mordega: klientów mało, na ulicę nie da się wyjść. Pomyślałam sobie, że wyjadę na kilka dni do hoteliku, który mi polecono, czystego, taniego i tak dalej. A gdybyś miał ochotę, moglibyśmy pojechać razem. Znasz Benidorm? Na pewno ci się spodoba. Zmiana powietrza cholernie ci się przyda... a ja mało mówię i nie mam dużych wymagań.

A w moment później, nie dając mi czasu na odpowiedź, dodała:

- Ona nie wróci. A jeśli wróci, nie zadzwoni.

- Wiem, Purines - powiedziałem. - Ale i tak...

- No to - westchnęła Purines - nie bądź głupi i jedź za nią.

- Do Nowego Jorku? Nie pleć głupstw. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. A nawet jakbym pojechał, co bym tam robił?

- Pracował. Przyjaciółka, która była tam przez tydzień, *all inclusive*, powiedziała, że w Ameryce docenia się i wynagradza prywatną inicjatywę, inaczej niż tutaj. Uwierz mi, jeśli tego nie zrobisz, będziesz idiotą. A jeśli przyjmiesz moją propozycję i pojedziesz ze mną, będziesz ciężkim idiotą.

Purines miała rację: mimo że dzięki nowej suszarce elektrycznej salon prosperował lepiej (niż dawniej), a święta mogły przynieść większy lub przynajmniej słaby (sezonowy) wzrost pracy, mój dawny entuzjazm poszedł w niepamięć. Postanowiłem dać sobie czas na przemyślenie wszystkiego i nie podejmować żadnej decyzji do końca roku.

*

Pewnego popołudnia, niedługo po scenie opisanej w poprzednim akapicie, do salonu wszedł dziwny osobnik. SkoŹtuniona czupryna i gęsta broda czyniłyby z niego doskonałego klienta, gdyby nie łachmany, w które był odziany, i fakt, że chodził po ulicach, prosząc o jałmużnę, co wskazywało na jego skromne możliwości finansowe. Był to dzień niewiniątek, a w ślad za żebrakiem włókł się warkocz plwocin. Powiedziałem mu, że nie mogę mu nic dać, a nawet gdybym mógł, to i tak bym nie dał, żeby nie zachęcać do żebrania. Odrzekł z godnością:

- Nie jestem żebrakiem, drogi panie. Proszę o jałmużnę z konieczności. Mój prawdziwy zawód to gwiazdor filmowy. Nazywam się Robert Taylor. Niestety, pewien szaleniec o imieniu Cañuto, przekonany, że jest mną, podaje się za mnie w Hollywood i udało mu się nabrać największe wytwórnie filmowe.

Gdy wypowiadał te słowa, przeciąg odgarnął mu splątane włosy z twarzy, a wtedy rozpoznałem go w mgnieniu oka.

- Cañuto, od tak dawna nie wiem, co się z tobą dzieje! - wykrzyknąłem, zarzucając mu ramiona na szyję i cofając je natychmiast. - Ostatni raz widzieliśmy się przy autostradzie, w dniu, kiedy wyrzucili nas z domu wariatów, pamiętasz? Myślałem, że zostałeś wprasowany w asfalt. Co u ciebie?

- Jak widzisz - odpowiedział Cañuto, wzruszając ramionami. - Jako Robert Taylor nie mam powodów do narzekania. Ale jako Cañuto mieszkam się raczej kiepsko. A ty?

- Pracuję jako fryzjer - powiedziałem. - Firma należy do mojego szwagra, ale ja ją prowadzę.

- Kucia - powiedział Cañuto. - To się nazywa prosperować.

- Dokładnie. Już nie napadasz na banki?

- Nie, chłopcze - westchnął Cañuto. - Z postępem techniki sprawy bardzo się skomplikowały. Czujniki takie i owakie, alarmy, szyby pancerne, kamery... Niedługo wykończą nasz zawód.

- Ba, nie przejmuj się - powiedziałem. - Ta cała technika to tylko mydlenie oczu, mówię ci. Im więcej zabezpieczeń, tym łatwiej zrobić skok, na pewno tak jest. Wszystko polega na tym, żeby znaleźć jakiś myk. Spieszysz się?

- Niespecjalnie.

- To siadaj - powiedziałem - i pozwól mi działać.

Umyłem mu włosy, obciąłem, zgoiłem brodę, za pomocą nowej suszarki zrobiłem mu trwałą, a kiedy już wyglądał jak dandys, założyłem szalik i chociaż brakowało jeszcze dwóch godzin do pory zamknięcia, w jaskrawym i zachęcającym blasku bożonarodzeniowych dekoracji wyruszyliśmy pod rękę, do pizzerii, gdzie zamierzałem zaprosić go na kolację godną radży, i przy okazji porozmawiać o pewnych projektach, które od kilku dni krążyły mi po głowie albo wkoło niej, ponieważ włożyłem już w salon zbyt wiele nadziei, czasu oraz wysiłku i byłem gotowy do nadania mojemu życiu nowego kierunku, a intuicja podpowiadała mi, że po zmianie miejsca zamieszkania umiejętności Cañuta mogły mi się okazać nadzwyczaj przydatne.